

JOHN JAKES

ZŁOTA  
KALIFORNIA

TOM III

Księga VII  
W OGNIU  
1904 - 1906

Miasto rozwijało się szybko. Wokół zbudowanych dawno, jeszcze w zeszłym stuleciu domów wyrastały nowe dzielnice.

Piękne handlowe budynki oraz eleganckie hotele, takie jak „Palace”, „Fairmont” czy „St. Francis” mogły rywalizować z najwspanialszymi tego typu obiektami w Nowym Jorku czy Europie. Entuzjazm władz miasta był naprawdę imponujący. Burmistrz Phelan nakłonił wszystkie ważne osobistości, by wstąpiły do Towarzystwa Rozwoju San Francisco. Organizacja ta zaangażowała Daniela Hudsona Burnhama, słynnego architekta, by opracował całościowy nowoczesny plan rozbudowy miasta, podobnie jak niegdyś baron Haussmann na polecenie cesarza Napoleona III stworzył nowy Paryż.

Praca Burnhama miała się już ku końcowi, kiedy zaprezentował ją swym zleceniodawcom w roku 1905 lub 1906. Tymczasem w mieście nadal istniały ślady przeszłości. W slumsach i biednych dzielnicach nie wznoszono domów z cegły ani pięknego granitu, lecz z drewnianych bali i desek, w związku z czym nie różniły się od tych, które w 1849 roku zniszczył wielki pożar. Postęp kontrastował z nędzą. Na Market Street ludzie wciąż chodzili pieszo lub jeździli wiejskimi wozami, podczas gdy w centrum miasta widziało się eleganckie powozy konne i tramwaje. Pojawiały się też nieliczne samochody, znacznie szybsze od innych pojazdów.

Wszyscy entuzjasmowali się zmianami. Zachwyty nad nimi rozbrzmiewał przez całe dziesięciolecie. Beztrosko zapomniano przy tym o nieobliczalnych i groźnych siłach natury, zdolnych pokrzyżować najwspanialsze ludzkie plany. A właśnie taka zwiastująca kataklizm siła kryła się na sześćset pięćdziesiątej mili linii San Andreas.

## Rozdział 53.

Rok 1904, tak jak poprzednie lata, przyniósł ze sobą liczne, mniejsze lub większe wydarzenia. Mack palił teraz fajkę z lulką z pianki morskiej, którą kupił podczas swej bytności w Nowym Jorku. Często dyskutował o polityce z Pierpontem Morganem w jego wielkiej, marmurowej bibliotece przy Fifth Avenue, oraz pozował malarzowi Johnowi Singerowi Sargentowi, który na miesiąc przyплыwał do Ameryki z Londynu, specjalnie na zaproszenie Macka.

Pozował do portretu w czarnym garniturze, trzymając w dłoni pomarańczę. W przyszłości chciał powiesić ten obraz w bibliotece na Sacramento Street.

Spośród wszystkich zajęć bez wątpienia najbardziej pochłaniało Macka The Palms w Indio. Zmodernizował nieco pierwszy budynek sanatoryjny i rozbudował plany dotyczące pawiloników. Chciał, by w obrębie uzdrowiska stało pięćdziesiąt domków otaczających duży budynek mieszczący jadalnię, biura oraz skrzydło szpitalne. Dyrektorem budowy mianował Alexa Mullera, na którym spoczywała całkowita odpowiedzialność za sanatorium. Zaczęły już nawet nadchodzić listy od pragnących zarezerwować sobie miejsca przyszłych pacjentów. Choć stanowiło to dla i tak przeciążonego pracą Alexa dodatkowy obowiązek, z jego ust nie padło ani jedno słowo skargi. Muller zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby przepracował resztę życia nie śpiąc i nie jedząc, wciąż jeszcze jego praca nie byłaby tak ciężka jak ta, którą wykonywał Mack.

Dla odpoczynku Mack czytywał Richarda Hardinga Davisa oraz Zew krwi, bestseller Jacka Londona. Wydał nawet bankiet na cześć autora, na który to ów „Kipling Klondike” przybył bez swojej nowej żony i przeraził innych gości wizją zbliżającej się rewolucji socjalistycznej. Przy

pierwszej okazji wymknął się zresztą z przyjęcia, zupełnie pijany.

W 1904 roku włosy Macka stały się zupełnie siwe. Były gęste i układały się w piękną, dystyngowaną fryzurę, ale nie zmieniało to faktu, że ci, którzy go nie znali, oceniali Jamesa Macklina Chance'a na lat pięćdziesiąt, a nie na trzydzieści sześć, ile miał w istocie.

W tymże roku pani Olivar nauczyła się szyć na maszynie elektrycznej Singera, którą kupił dla niej Mack. Uwielbiała ją, nazywając cudem nowego wieku. Także Alex otrzymał nową maszynę do pisania: blickensdorfera. Nauczył się na niej pisać z dużą szybkością, niemal bezbłędnie. Czasami w pracy pomagała mu zatrudniona niedawno młoda asystentka, którą nazywano także „maszynistką”.

Nellie nadal pisała książki, zaczęła też palić tureckie papierosy i aktywnie uczestniczyła w ruchu sufrażystek. Pewnego dnia udała się do restauracji Roundhouse na Market Street, usiadła przy stoliku i poprosiła o kartę dań. Kelnerzy wyrzucili ją, oświadczając, że szanujące się lokale, obsługują wyłącznie mężczyzn. Powróciła następnego wieczoru, tym razem odmawiając opuszczenia restauracji. Policja aresztowała ją i aż do rana Nellie pozostała w więzieniu. Następnie napisała artykuł, któremu „Examiner” nadał tytuł: „Przerażająca noc w jednej celi z kryminalistami”. Hellburner Johnson spędził pierwsze pięć miesięcy 1904 roku w Riverside, prowadząc interesy związane z gajami pomarańczowymi. Wróciwszy do San Francisco, godzinami przebywał w Olympic Club.

- Dopóki nie zetknąłem się z grą w polo, nie miałem pojęcia, że urodziłem się po to, żeby być dżentelmenem - twierdził. - Uwielbiam ten klub. Nie ma tam żadnych kobiet, psów, ani demokratów, dzięki czemu człowiek może swobodniej odetchnąć.

Johnson zaadoptował też na powrót syna Macka - dosłownie, choć oczywiście nie w świetle prawa.

- Mam za sobą podobne doświadczenia - przypomniał Jimowi, postukując drewnianą protezę. - Nie jest z tym aż tak źle. Pozostanę przy tobie, aż przywykniesz do tego.

Wydawało się jednak, że chwila ta nie nastąpi nigdy. W chłopcu zaszła dziwna zmiana. Zresztą nie tylko w nim - w jego ojcu także. Jim chciał być teraz na powietrzu tak dużo, jak to tylko możliwe, Mack natomiast wolał, żeby syn siedział bezpiecznie w domu.

Johnson ignorował pragnienia Macka i bez przerwy zabierał Jima na konne przejażdżki, na rejsy jachtem po zatoce, a nawet na wspinaczki na Mount Diablo, choć musieli iść wówczas bardzo wolno, ponieważ lewa stopa przy każdym kroku sprawiała chłopcu ból.

Zamiłowanie Jima do przebywania na świeżym powietrzu nie zmniejszyło však ani trochę jego pasji do nauki. Fizyczna słabość jeszcze bardziej pobudziła go do doskonalenia swego umysłu. Nauczywszy się w wieku pięciu lat czytać, błyskawicznie pochłaniał kolejne książki, liczył zaś już tak szybko jak maszyna.

Mack zatrudniał jednego guwernera po drugim, ale z żadnego nie był zadowolony, dopóki na początku 1904 roku, w odpowiedzi na jego ogłoszenie, nie zjawił się w ich domu profesor Lorenzo Love z Piedmont w Ohio. Na pierwszy rzut oka profesor wydawał się zwykłym, trochę roztargnionym człowiekiem, ale gdy zaczynał mówić, natychmiast przykuwał uwagę każdego słuchacza, a jego głos rozbrzmiewał jak kościelne organy.

Love powiedział, że jest absolwentem Oberlin College. Nie okazał żadnych papierów, które by to potwierdzały, któż jednak śmiałyby pytać o nie człowieka o takim głosie. Uczył

chłopca z wielkim zapałem i zawsze miał na podorędziu jakąś mądrą maksymę.

- Sprawą najważniejszą jest wykształcenie młodego pokolenia, panie Chance. Jeśli oświecimy ludzi, tyrania nad umysłami i ciałem innych przeminie, tak jak zły duch nocy znika z nastaniem świtu.

- Kto to powiedział?

- Ja to mówię, sir. A przede mną mówił Diogenes i Thomas Jefferson. Profesora Love zmęczyła, jak to określił, nuda miasteczka Columbus w Ohio

oraz pewna kobieta usiłująca nakłonić go do małżeństwa. Oświadczył też, że jego chroniczne problemy z drogami oddechowymi zniknęły jak ręką odjął, gdy tylko stanął na kalifornijskiej ziemi. Poza tym był człowiekiem obsesyjnie przywiązyującym znaczenie do drobnostek.

- Oscar Wilde uważał, że szczegóły są wulgarne, mój chłopcze. Ale wcale tak nie jest. Cóż bowiem różni tych, którym się nie powiodło, od tych, co odnieśli sukces? Przywiązywanie wagi do szczegółów. Co jest mostem pomiędzy grzędawiskiem pospolitości a szczytem wyrafinowania? Zapytaj o to jakiegoś bogatego człowieka, zapytaj swego ojca: szczegóły, szczegóły, szczegóły.

Lorenzo był zabawnym dziwakiem, ale Mały Jim pokochał go z całego serca.

Latem 1904 roku liczba kalifornijskich kontrahentów Macka, którzy figurowali w jego notatniku, sięgnęła tysiąca dwunastu osób. Ich służbowe adresy i telefony, o ile takowe posiadali, Mack notował zawsze własnoręcznie starannym charakterem pisma. Czasem przerzucał strony notesu i ze zdumieniem dochodził do wniosku, że mimo tak licznych znajomości przyjaźni się tylko z Johnsonem i swym byłym teściem. Marquez, który mógł stać się jego przyjacielem, znowu zniknął gdzieś w Central Valley. Raz w miesiącu Mack

odwiedzał położone tam swoje rancza, co dawało mu jednocześnie pretekst, by złożyć wizytę słabnącemu z tygodnia na tydzień Hellmanowi. Starzec przeniósł się teraz do trzypokojowego apartamentu w Sacramento.

Mack nalegał jednak, by teść przeprowadził się do San Francisco.

- Zaslugujesz na coś lepszego. Pozwól, bym sam urządził ci mieszkanie.

- Może kiedyś zgodzę się na to - odpowiadał nieodmiennie Hellman. - Ale teraz jestem zbyt zmęczony, by się dokądkolwiek przenieść.

Mack zabrał pewnego razu teścia na przejażdżkę swoim cadillakiem.

Wracali bocznymi drogami, patrząc, jak stojący po kolana w wodzie Meksykanie sadzą ryż. Na skrzyżowaniu dróg natknęli się na dwóch dziwnie wyglądających ludzi. Byli to ciemnoskórzy mężczyźni w luźnych szatach, z turbanami na głowach. Obaj z szacunkiem skłonili się na widok przejeżdżającego samochodu, po czym pośpiesznie odeszli, jakby obawiając się, że zostaną zatrzymani i będą musieli odpowiadać na jakieś pytania.

- Co to za ludzie, Swampy?

- Te małe, brązowe pluskwy? Hindusi.

- W Kalifornii?

- Owszem. Widziałem już w tym roku kilku. Przybywają tu z Kanady. Szukają pracy na farmach.

- We Fresco zdarzyło mi się jeść obiad w restauracji prowadzonej przez Ormian. W całym stanie pełno jest cudzoziemców.

- Zaczynasz się starzec, Johnny. Mówisz jak Fairbanks czy inni dobrze urodzeni, zadzierający nosa synowie tej ziemi.

- Ależ skąd! - wykrzyknął Mack. Uświadomił sobie jednak, że Hellman ma rację.



Późnym latem Mack zobaczył w końcu Napad na ekspres Edwina Portera, film wyprodukowany w wytwórni Edisona. Pewnego popołudnia pomiędzy dwoma umówionymi spotkaniami zapłacił pięć centów i wszedł do środka „Neville's Nickelodeon”.

Nigdy nie doświadczał niczego podobnego. W ostatniej scenie Barnes - wyjęty spod prawa przywódca bandytów, w olbrzymim powiększeniu wypełniający cały ekran - uniósł trzymany w rękę rewolwer i wystrzelił zeń prosto w publiczność. Mack podskoczył na krześle. Dwie siedzące obok damy zemdlały.

Zapominając o swoich obowiązkach, Mack pozostał na czterech kolejnych seansach.

- To rzecz genialna - powiedział tego wieczoru Johnsonowi. - Jeśli pomysł chwyci, ruchomy obraz stanie się prawdziwą sztuką.

Zabrał Johnsona, by sam zobaczył ten film.

- Nieźle - przyznał łaskawie Teksańczyk. - Spodobałoby się Małemu Jimowi.

- O nie! To dla niego zbyt brutalne.

W 1904 roku po mieście zaczęły jeździć pierwsze trolejbusy.

Patrick Calhoun, wnuk słynnego secesjonisty z Południowej Karoliny Johna C. Calhouna, będąc właścicielem United Railroads w San Francisco postanowił napędzać wszystkie swoje wozy elektrycznością, dostarczaną przez biegnące nad ulicami druty. Calhoun obiecywał objąć swymi usługami więcej dzielnic, podczas gdy przeciwnicy jego pomysłu ostrzegali przed szpecącą miasto płataniną drutów.

Na początek Calhoun chciał zelektryfikować Sutter Street. Władze miasta kręciły na to w pierwszej chwili nosem i dla nikogo nie stanowił tajemnicy fakt, że przedsiębiorca był

zmuszony zatrudnić Abrahama Ruefa jako „asystenta i konsultanta z ramienia miasta”.

Adolph Spreckels zaprosił Macka na lunch do Pacific Union Club. Adolph trzymał się prosto, miał byczy kark i był drugim z kolei synem surowego Prusaka Clausa Spreckelsa, który stworzył na Zachodzie własne cukrowe królestwo. Claus przeniósł się później na Hawaje, gdzie - jak powiadano - od miejscowego króla wygrał w pokera liczne plantacje trzciny cukrowej.

W San Francisco natomiast rodzinny interes prowadził Adolph. John, jego starszy brat, mieszkał w San Diego i stamtąd zawiadywał całością imperium. Rudolph i Claus Augustus, zwany w rodzinie Gusem, także chcieli na własną rękę prowadzić jakieś interesy, musieli jednak stoczyć z ojcem ostrą bitwę, zanim oddał im do dyspozycji skrawek swych posiadłości na Hawajach.

Podczas lunchu Adolph dyskretnie starał się tłumić kaszel za pomocą serwetki.

- Ten trolejbusowy interes...
- Zajmuje się tym twój brat Rudolph? - zapytał Mack.
- Znasz Rudolpha?
- Owszem. Nie raz byłem zapraszany na obiad do jego domu. Byłem tam również, kiedy po raz pierwszy wspomniał o powołaniu Sutter Street Improvement Club. Ruef powtarza wszystkim, że Rudolph chce tych trolejbusów, ponieważ linia na Sutter Street przechodziłaby przed drzwiami jego domu. Jak widać, każdy ma wroga, który stara się go zniszczyć. Ale gra jest warta świeczki. Ja sam wsparłem klub sumą tysiąca dolarów.

Adolph Spreckels zmrużył oczy, jakby ta wiadomość go zaskoczyła, po czym wyjął z kieszeni płaszcz białą kopertę.

- Ja też chciałbym złożyć datek. Proszę, przyjmij tę gotówkę, a w zamian za to wypisz własny czek, podpisując go

swoim nazwiskiem. Mój brat i ja różnimy się w tak wielu kwestiach... On chciałby ciągle coś reformować, podczas gdy ja jestem dość konserwatywny... Sadzę, że to zrozumiesz.

Mack skinął głową, choć nic nie rozumiał. Wojna tocząca się między członkami tej rodziny stanowiła dlań zagadkę. Ale mniejsza o to. Pieniądze miały posłużyć na dobry cel. Mack kilkakrotnie miał okazję rozmawiać z rudym bratem Adolpha na temat poważnych reform w mieście. Z każdym dniem coraz wyraźniej widać było, że San Francisco gwałtownie potrzebuje zmian.

Raz w miesiącu Mack składał wizytę w nadmorskiej miejscowości Carmel, zapraszany tam przez Nellie. Mieszkała w ślicznym, małym bungalowie, oddzielonym sosnami od innych domków. Z jego okien roztaczał się widok na błękitną zatokę. Mack nigdy nie zostawał tu na noc, zawsze jednak o coś się z Nellie posprzeczał: albo o trolejbusy, albo o miejskie wodociągi, albo o coś jeszcze innego. Chcąc przełamać monopol Spring Valley Water Company, poprzedni burmistrz, Phelan, zwrócił uwagę na odległe źródła wody: Tahoe Lake, Shasta i Sacramento River. Później zaś konsultanci burmistrza wpadli na pomysł, by zbudować tamę w połowie drogi między miastem a doliną Hetch Hetchy.

Phelan posłuchał ich rady. Na mocy federalnego prawa - Right of Way Act - zaproponował wybudowanie w dolinie zapory. Sekretarz spraw wewnętrznych zablokował tę decyzję i od tamtej pory sprawa stała się kością niezgody.

- Bardzo dobrze się stało - orzekła Nellie.
- To twoje zdanie, czy też twego przyjaciela, Muira?
- Co się z tobą dzieje, Mack? Tama na zawsze zniszczy dolinę.
- A co z wodą dla miasta? Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Ludzie już teraz się burzą.
- To nie moja wina. Wzniescie barykady.

- No, no, oto jak z wielkiej demokratki wyłazi zwolenniczka rządów silnej ręki.

- Nie, nie to miałam na myśli...

- Nellie, woda dla San Francisco stanowi wielki problem. A całe to twoje naiwne towarzystwo stara się tego nie zauważać.

- Naiwne towarzystwo? Ależ to obelga!

W wyniku podobnych rozmów, Mack zaczął spędzać coraz więcej czasu z Margaret Emerson.

Oczywiście wybaczał Nellie jej złe nastroje. Jej współpracownik z San Francisco, Frank Norris, zmarł nagle dwa lata temu na zapalenie otrzewnej, Nellie zaś za zgodą wdowy przystąpiła do pisania Wilka, ostatniej części jego trylogii o pszenicy. Praca nie szła dobrze i wprawiało ją to w zły humor.

- Przypomniałam sobie niedawno kilka fragmentów Ośmiornicy - powiedziała Mackowi. - Te, gdzie Annixter patrzy o świcie na pszeniczne łany, zapowiadające obfite zbiory. W każdym zdaniu słyszę głos mego przyjaciela, ale nie potrafię go naśladować. Wciąż próbuję, jednak nie udaje mi się. Nigdy przedtem nic nie szło mi aż tak opornie.

Mack starał się więc wybaczać jej kłótnie, a nawet zbywać je śmiechem, ale gdzieś wgłębi duszy czuł gniew i rozgoryczenie. Nie takich stosunków pragnął wszak z Nellie.

Podobny rodzaj pomieszanej z miłością frustracji psuł mu przyjaźń z własnym synem.

Rok wcześniej, na piątym piętrze Mills Building przy Bush Street firma Chance - Johnson Oil otworzyła swoje biuro. Konkurencja Macka, Union Oil, rezydowała dwa piętra wyżej. Pewnego dnia jesienią 1904 roku Mack odbył trzygodzinne spotkanie z Havenem Oggiem i dwoma innymi geologami. Pożegnawszy się z nimi, zaprosił z kolei na rozmowę Fremonta Oldera.

Palili cygara, spoglądając przez okno na Nob Hill. Było chłodne, choć słoneczne popołudnie jednego z tych rzadkich w mieście dni, kiedy nie wiał wiatr od morza. Gdy tylko cichła morską bryza, tysiące sterczących z dachów kominów natychmiast zasnuwały ulice burą mgłą dymu.

- Otrzymałem pewne informacje na temat sytuacji z wodą - powiedział Older. - Szanowny pan Ruef podziela pogląd rządu federalnego. Nie wolno budować tamy w Hetch Hetchy, ale jednocześnie trzeba za wszelką cenę przełamać monopol Spring Valley Company.

- Jak to zrobić?

- Stworzyć konkurencję - odparł z cynicznym uśmiechem Older. - Bay Cities.

- To firma Billa Tevisa.

- Owszem. - Tevis, mieszkaniec San Francisco, odziedziczył po ojcu, Lloydzie, jakieś dwadzieścia milionów dolarów. Lloyd już w dziewiętnastym wieku był znanym kalifornijskim posiadaczem ziemskim i jednym z „królów bydła”. - Jego przedsiębiorstwo ma wodę zarówno na południe, jak i na północ od miasta. Moi reporterzy, którzy ciągle węszą wokół tej sprawy, powiedzieli, że burmistrz ostatecznie przychylił się do tego, by dać koncesję Bay Cities.

- Czy to jakiś przyjaciel Tevisa?

- Nie, ale, o ile wiem, ktoś z firmy Tevisa ofiarował mu mały prezencik, aby nawiązać przyjaźń.

- Jaki prezencik?

- Milion dolarów.

- Mój Boże! - wykrzyknął Mack. - Do czego to doszło!

- Właśnie. Trudno już o jakiegoś uczciwego człowieka we władzach miasta. Są tak chciwi, że wrywają sobie łapówki. Musimy zdemaskować Ruefa. Usunąć z władz miasta zarówno jego samego, jak i wszystkich jego popleczników.

- Ale jak to zrobić? Ruef jest teraz jeszcze popularniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Pałac cygara popatrzyli jeden na drugiego. Za oknem powoli ciemniało światło przesyconego węglowym dymem wieczoru.

Mack, Johnson i Mały Jim schodzili powoli do przystani rybackiej. Był sobotni wieczór. Jim ścisnął kurczowo dłoń ojca, idąc u jego boku długim kamiennym nabrzeżem.

Łodzie przybiły już na noc do portu i stały tam teraz ze zwiniętymi czerwonymi żaglami, ale rybacy - ciemnowłosi ogorzali mężczyźni, pokrzykujący na siebie po włosku i portugalsku - mieli jeszcze mnóstwo roboty. Dźwigali kosze rzucających się halibutów i morskich krabów i czyścili sieci. Jeden z młodych rybaków ze złotym kółkiem w uchu pogładził Jima po włosach.

Na końcu przystani kołysał się na falach mały parowy stateczek. Rozległ się głośny gwizd i dziób statku skierował się w stronę zachodzącego słońca.

- Dokąd on płynie, tato? Do Chin?

- Bardzo możliwe.

- Ja też popłynę tam pewnego dnia.

- Jasne. Ale teraz czas, byśmy wrócili do domu. Zrobiło się chłodno. Zobacz, jak kłębi się mgła.

- Chciałbym zostać tu przez chwilę.

- Nie. Jest za zimno. - Jim zamierzał coś odpowiedzieć, ale Mack dodał: - Nie spieraj się ze mną.

- Popatrz - zwrócił się do chłopca Johnson. - Przynieśli jeszcze więcej żywych krabów.

To wystarczyło, by Jim natychmiast pobiegł w tamtą stronę i zaczął przyglądać się koszom, z których dobiegało ciche popiskiwanie. Nadmorski wiatr rozwiewał końce jaskrawopomarańczowej chusty Johnsona.

- Posłuchaj, Mack, traktujesz chłopca jak jakiegoś maminsynka, a przecież inaczej chciałeś go wychować.

- Znowu się wtrącasz, Hugh.

- Wydaje mi się, że powinienem. To wprowadzie twój syn, ale masz dla niego bardzo mało czasu. A jeśli już gdzieś go ze sobą zabierasz, to zaraz traktujesz jak laleczkę z chińskiej porcelany.

- To, czego oczekiwałem od Jima kiedyś, a czego spodziewam się po nim dziś, to dwie różne rzeczy - rozzłościł się Mack. - Jest kaleką.

- Ale nie mazgajem. To prawidłowo rozwijający się chłopak. A ty bez przerwy przypominasz mu, że nie jest w pełni sprawny, zamiast przekonywać, że wszystko będzie w porządku. Nie podoba mi się to.

- Chłopiec musi nauczyć się żyć ze swoim kalectwem. Mam tylko jednego syna i sam najlepiej wiem, jak o niego dbać.

- Ale nie robisz tego dobrze...

- Nie potrzebuję twoich rad. Nie życzę ich sobie. Johnson nacisnął głęboko na czoło swój teksaski kapelusz i obrócił się w stronę nabrzeża.

- Już czas do domu, Jim - zawołał. - Choć to naprawdę nie mój pomysł.

Kiedy Mack wszedł do pokoju syna, by powiedzieć mu dobranoc, chłopiec leżał w łóżku milczący i ponury. Mack chciał, by Jim go pocałował, i chłopiec zrobił to niechętnie, pośpiesznie obejmując go drobnymi ramionkami, jakby dając ojcu do zrozumienia, że nie lubi narzuconej dyscypliny.

Nie szkodzi. Jim był zbyt wątpliwy i nie można było wystawiać na szwank jego zdrowia. Kiedyś to zrozumie i podziękuje ojcu.

Kiedy wchodził na górę, usłyszał dzwonek telefonu. Alex Muller podniósł słuchawkę.

- Dzwoni pan Older.

- Co jest, Fremont? - zapytał Mack. Usłyszał słaby, ochryply głos.

- Chyba „Bulletin” zamieścił o jeden artykuł za dużo na temat Abe Ruefa i jego współpracowników. Jakąś godzinę temu nasz wydawca, Crothers, został napadnięty przez nieznaną sprawców.

- Złodzieje?

- Niczego mu nie zabrali. Pobili go tylko drewnianymi pałkami i uciekli. Wątpliwe, czy przeżyje.

W listopadzie 1904 roku Mack oddał głos na Theodore'a Roosevelta i spierał się z Nellie na temat lokalnych kalifornijskich kandydatów. Dziewczyna gorąco popierała sędziego Altona Parkera, demokrate, którego Mack bardzo nie lubił. Rozzłoszczony powiedział jej, że prawdopodobnie głosowałyby na demokratów nawet wówczas, gdyby partia ta popełniała nie wiadomo jakie nadużycia.

- Och, dość tego - wykrzyknęła Nellie. - Chętnie podyskutowałabym na temat wyborów, ale przez swój męski szowinizm za nic nie pozwolisz mi wypowiedzieć własnego zdania.

Te słowa natychmiast ucięły całą rozmowę.

R. A. Crothers ku zaskoczeniu wszystkich przeżył mimo straszliwych ran, jakie mu zadano. Jego wypadek doprowadził do jeszcze bardziej napiętych stosunków między Ruefem a tymi nielicznymi, którzy ośmielali się głośno przeciw niemu występować. Na początku następnego roku wybuchł spór o francuskie restauracje.

Jeszcze wiosną 1904 roku komisarz policji Hutton rozpoczął kampanię przeciwko tym przybytkom, oświadczając, iż są to po prostu domy publiczne. Twierdził, że stanowią obrazę moralności i domagał się cofnięcia pozwoleń na ich prowadzenie.



Przez następne kilka miesięcy trzech innych wysokich funkcjonariuszy policji odmówiło zajęcia się tą sprawą, ponieważ purytanizm Huttona nie przystawał do dość liberalnych zasad, jakie rządziły tym bądź co bądź portowym miastem. Ale w końcu 1904 roku rzecz uległa zmianie. Związek zawodowy kucharzy i kelnerów starał się przejąć jedną z największych w mieście restauracji, „Tortoni”. Agenci związku wynajęli dwóch ludzi, by zjedli tam kolację, po czym udali się do pracujących na górze dam. Policjanci poinformowani ze szczegółami, co dzieje się w restauracji, byli zmuszeni podjąć jakieś działania. Właścicielowi lokalu nie przedłużono koncesji. Na początku stycznia 1905 roku koncesji nie przyznano także drugiemu takiemu przybytkowi, „Delmonico”.

- Zawiadomiono mnie o tym telefonicznie dziś o szóstej rano - powiedziała Mackowi Margaret. - Zadzwoił Pierre Priet z „Marchand”. Jest przerażony. Obawia się, że wszystkim zamkną interes. Inni też się tego boją: Tony Blanco z „Poodle Dog”, Jean Loupy z „Pup”, Max Adler z „Bay State”. Chcą zorganizować stowarzyszenie właścicieli restauracji francuskich i wynająć jakiegoś specjalistę, który zaradziłby kłopotom.

- Specjalistę? O czym ty mówisz? - zdziwił się Mack. Jedli właśnie obiad w jej mieszkaniu obok „Maison Napoleon”.

- Powtarzam to, co mówił Pierre. On jest już właściwie zdecydowany. Przypuszcza, że gdybyśmy się złożyli, uzbieralibyśmy pięć tysięcy dolarów w tym roku i tyle samo w następnym, żeby przekupić doktora Ruefa. Doktorka, jak nazywa go Pierre.

- Mój Boże! I co na to odpowiedziałaś?

- Posłałam Pierre'a do wszystkich diabłów. Nie będę dawała żadnych łapówek, skoro mam legalną koncesję na moją restaurację.

- To niebezpieczna postawa, Margaret.

- Prowadzę interes, któremu patronuje kilka najznakomitszych osobistości w San Francisco. Jadają tutaj urzędnicy z władz miasta. Chodzą też na górę, uśmiechając się i puszczając do mnie oko. Sądzisz, że dam się zastraszyć bandzie hipokrytów, którzy nagle wpadli na pomysł, że stanę się dla nich źródłem dodatkowych dochodów? Tak właśnie odpowiedziałam Pierre'owi. I to samo napisałam w moim liście.

Mackowi widelec wypadł z ręki.

- Napisałaś to w liście? Pokaż mi.

- Nie mam go. Dziś rano został wysłany do „Bulletinu”.

- Muszę natychmiast zadzwonić do Fremonta...

- Mack, proszę cię, usiądź. Napisałam tylko, że członkowie władz miejskich wymuszają łapówki na ludziach biznesu i że za tym wszystkim stoi Ruef.

- Nie mów tego rodzaju rzeczy w San Francisco. Nie publicznie! Ci ludzie są silni. I niebezpieczni. Widziałaś, co zrobili z moim synem. Z Crothersem...

- Nie dbam o to. Poza tym i tak jest już za późno. List został wysłany i to ja go podpisałam.

- Podziwiam cię za to. Ale narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo.

Poklepała go uspokajająco po ramieniu, on jednak siedział ze zmarszczonym czołem, zbyt zmartwiony, by zauważyć jej gest.

- Miło z twojej strony, że tak się o mnie boisz - powiedziała. - Myślę jednak, że niepotrzebnie. Mogą próbować mnie zastraszyć, ale nic więcej. Kobieta wciąż

jeszcze jest w tym mieście bezpieczna. Nawet taka kobieta jak ja.

## Rozdział 54.

Acetylenowe reflektory tworzyły tunel światła w popołudniowej mgle, kiedy ford model A skręcał w Mission Street. Samochód miał moc ośmiu koni mechanicznych i jedną kanapkę ukrytą pod składanym dachem. Pomalowany na czarno, przypominał wyposażony w silnik powóz. Po przeciwnej stronie ukazał się drugi identyczny ford. Przechodzący przez Mission Street kobieta i mężczyzna z ciekawością zerknęli na samochody, które wciąż jeszcze stanowiły rzadkość na ulicach San Francisco.

Oba auta zatrzymały się przed domem Margaret Emerson. W każdym z fordów siedziało po dwóch mężczyzn, tak potężnie zbudowanych, że z trudem mieścili się wewnątrz, choć ich kapelusze i płaszcze o aksamitnych kołnierzach nadawały im wygląd dżentelmenów.

Pasażer pierwszego z wozów, z wielkimi wypomadowanymi wąsami, kierował całą grupą. Dał znak towarzyszom, po czym wraz z mężczyzną prowadzącym samochód szybko skierował się do drzwi francuskiej restauracji.

Przez chwilę obaj wpatrywali się uważnie w spowitą mgłą ulicę. Świecąc chybotliwą latarnią, przejeżdżał właśnie tędy powóz konny. Poza tym nie było żadnego ruchu.

- Wchodzimy - powiedział z uśmiechem, który miał ukryć jego zdenerwowanie.

Rozległ się krótki dzwonek do drzwi. Margaret przerwała rozmowę ze swymi gośćmi i podeszła do drzwi, trzymając w dłoni kartę dań. Tylko trzy stoliki w jej restauracji były zajęte, cieszyła się więc, że przybyli jacyś nowi klienci. Powitała ich z uśmiechem na ustach.

- Dobry wieczór, panowie. Stolik na dwie osoby?

Pierwszy z mężczyzn zdjął z głowy kapelusz. Jego ciemne oczy błyszczały równie mocno jak wypomadowane wąsy.

- Jesteśmy tutaj służbowo, panno Emerson - powiedział, wbijając wzrok w ziemię.

- W takim razie czy bylibyście tak uprzejmi i podali wasze nazwiska? Człowiek z wami podszedł do niej tak blisko, że aż otarł się o jej białą bluzkę, co było szczególnie odrażające, bo cuchnął dżinem.

- Wystarczy, jeśli będzie pani wiedzieć, że reprezentujemy komisję policyjną. Serce podeszło Margaret do gardła. Z kuchni wyszedł właśnie kelner, niosąc na tacy dwa półmiski. Choć próbowała ostrzec go wzrokiem, spokojnie podszedł do swoich klientów i z uśmiechem podał im zamówione dania.

- Czy mogę sprawdzić upoważnienie panów?

- To nie jest konieczne. Chcemy tylko zobaczyć pani koncesję.

- Dobrze wiecie, że nie mam nowej. Powiedziałam już inspektorowi, jak był tu ostatnio, że nie zapłacę pięciuset czy tysiąca dolarów za kolejne zezwolenie.

- Inaczej nie wolno prowadzić tego interesu.

- Chcecie powiedzieć, że nie wolno mi go prowadzić, póki nie zapłacę łapówki Ruefowi? Pracuję zbyt ciężko, by wrzucać pieniądze do kieszeni szantażystów.

- Szantaż jest brzydkim słowem - odparł mężczyzna, chwytając ją za rękę. - Użyła pani wielu równie brzydkich słów w swym liście do gazety.

Margaret szarpnęła się gwałtownie.

- Wynoście się z mojej restauracji - powiedziała.

- Chciała pani chyba powiedzieć - z pani domu publicznego. Lepiej, żeby zapłaciła pani tyle, ile od pani żądają, pani Emerson. I niech pani przestanie podpisywać się pod listami, które są jednym stakiem kłamstw.

Margaret poczuła dziwny uścisk w gardle. Rozmowa na temat koncesji była tylko pretekstem. Ci ludzie przyszli tu w

zupełnie innym celu i żadne argumenty ich nie przekonają. Przestraszona zawołała do kelnera, który pośpiesznie szedł w stronę kuchni:

- Rud, zadzwoń na...

Umilkła w pół słowa. Telefonować na policję? Nie zareagowałaby na jej wezwanie.

- Albo nie. To nieważne - dokończyła. Kelner zawahał się, zdziwiony.

- Przykro nam z powodu tego, co musimy zrobić, pani Emerson, ale takie mamy rozkazy - uśmiechnął się obłudnie mężczyzna z wąsami i skinął dłonią. Dopiero teraz Margaret dostrzegła, że ma on na dłoniach rękawiczki z grubej popielatej skóry. - Bierz się do roboty, Bruno.

Drugi z mężczyzn wyjął rękę zza pazuchy płaszcza i Margaret zobaczyła błysk rewolweru.

- Uważajcie - krzyknęła do swych gości. Pierwszy z mężczyzn chwycił ją za ramię i popchnął ku ścianie. Portret cesarzowej Józefiny zakołysał się, po czym spadł na ziemię. Wokół rozsypały się kawałki szkła. Margaret, uderzona pięścią w plecy, z jękiem osunęła się na kolana.

Bruno zniżył lufę rewolweru. Kelner upuścił tacę, a wszyscy klienci z krzykiem rzucili się na podłogę. Trzymając rewolwer obiema rękoma, Bruno metodycznie począł strzelać do lamp na stolikach.

Nagle Margaret usłyszała krótki dzwonek do drzwi i wąsaty mężczyzna krzyknął:

- Wrzuć tu pochodnię i bierz się do roboty za sąsiednimi drzwiami. Za sąsiednimi drzwiami... ?

Margaret zagryzła wargi. Bruno nie przestawał strzelać. Szkło pokrywało stoliki i tace z jedzeniem. Ktoś wrzucił przez frontowe drzwi płonąca pochodnię. Wąsaty mężczyzna strącił Napoleona z piedestału, rozbijając gipsowe popiersie na setki kawałków.

Kelner umknął do kuchni, pozostawiając otwarte drzwi. Bruno wystrzelił w sufit i z góry rozległ się krzyk jakiejś dziewczyny. Jego towarzysz przewracał opuszczone przez gości stoliki, tłukąc porcelanę i kieliszki, podpalając obrusy.

„Sąsiednie drzwi” - huczało w głowie Margaret. Rzuciła się ku drzwiom i z trudem łapiąc równowagę, otworzyła je na oścież. Owiało ją zimne, przesycone mgłą powietrze.

- Ta dziwka ucieka - wrzasnął Bruno.

Potykając się i upadając Margaret dobiegła do ganku przed drzwiami swego mieszkania. Przez otwarte okno słychać było hałas, a na ulicę padała smuga światła elektrycznego.

W przewidywaniu, że wieczór będzie chłodny, Margaret napaliła tego dnia w małym kominku, zasłaniając go parawanem. Obaj znajdujący się w jej mieszkaniu mężczyźni nosili identyczne płaszcze i kapelusze. Odsunęli zasłaniający palenisko parawan i jeden z nich wsunął w ogień baseballowy kij.

Margaret wbiegła do salonu w chwili, kiedy jeden z włamywaczy niszczył właśnie jej pozłacany kominkowy zegar.

- Zostaw w spokoju moje mieszkanie, ty sukinsynu - krzyknęła, chwytając go obiema rękoma za kołnierz płaszcza. Mężczyzna wyszarpnął się, zadając jej jednocześnie silny cios kijem baseballowym. Margaret opadła na fotel. Włosy miała potargane, a w jej oczach błyszczały łzy wściekłości.

Słyszała przeraźliwy hałas i widziała wielkie, tańczące na ścianie cienie. W jadalni drugi z mężczyzn przewrócił stół i wyłamał jedną z jego nóg. Upewniwszy się, że Margaret dobrze go widzi, jednym ciosem zniszczył szklany abażur lampy od Tiffany'ego.

Elektryczna żarówka pozostała nie rozbita, ale wszędzie wokół rozsypały się kolorowe szkiełka. Kolejne uderzenie

trafiło w żyrandol wiszący u sufitu. Na ziemię posypały się kolejne odłamki szkła.

Szukając następnej rzeczy, którą mógłby zniszczyć, mężczyzna sięgnął po leżącą na stole piękną koronkową serwetę, po czym jednym szarpnięciem rozdarł ją na dwie części.

Rozsądek opuścił Margaret. Poderwała się z fotela z uniesionymi w błagalnym geście rękoma.

- Proszę tego nie niszczyć! To należało do mojej matki...

Stojący przy kominku mężczyzna zamachnął się trzymanym w ręku kijem i uderzył ją w brzuch. Margaret nie miała pod suknią gorsetu i ból zatamował jej oddech w piersi. Upadła na wznak, boleśnie kalecząc sobie ramiona o potłuczoną porcelanę. Szkło przecięło jej także nadgarstek i zapinany na guziki mankiet białej bluzki błyskawicznie przesiąkł krwią.

- A więc to coś specjalnego? - zapytał człowiek, trzymający serwetę. Przeszedł przez salon i z rozmachem wrzucił ją do kominka. - No i już po wszystkim - oświadczył z uśmiechem. Margaret zaszlochała.

Uwinęli się bardzo szybko. Wszystkie cenne rzeczy, jakie znajdowały się w salonie lub jadalni, zostały zniszczone. Margaret słyszała odgłos pośpiesznych kroków na ulicy, kiedy uciekali, po chwili zaś dobiegł ją warkot silnika samochodowego.

Wrzucona do kominka serweta zaczęła się tlić.

Margaret na kolanach czołgała się w stronę paleniska. Cały dywan zaścielały odłamki szkła. Mimo oszołomienia zagryzła wargi i nie zważając na ból pokaleczonych o szkło dłoni brnęła dalej, zostawiając za sobą na dywanie krwawą smugę. Zaciskając oczy i płacząc z bólu sięgnęła ręką w ogień i wyciągnawszy tłącą się serwetę, zdusiła płomień zakrwawionymi strzępami spódnicy.



Nie pamiętała, jak znalazła się w szpitalu, gdzie opatrzono jej rany. Miała pękniętą rzepkę kolanową, na jej brzuchu widniał wielki krwiak. Dwaj badający ją lekarze stwierdzili, że może to oznaczać poważne obrażenia wewnętrzne.

Gdy tylko była w stanie mówić, poprosiła, aby zadzwoniono do Macka. Przybył natychmiast i spędził przy jej łóżku dwanaście godzin, wychodząc jedynie po to, by zadzwonić na policję.

Telefonował tam aż dziewięć razy, ale oczywiście detektywi nie potrafili odnaleźć ani nawet zidentyfikować napastników.

Pewnej soboty, w marcu 1905 roku, „California Chance” odbił od brzegu i zgodnie z poleceniem właściciela jachtu popłynął wzdłuż lądu.

Pod białym, rozłożonym na głównym pokładzie parasolem, na którym jak wszędzie widniały inicjały JMC, trzech chińscy stewardzi Macka podawali lunch. Był piękny, pogodny dzień, wymarzony na rejs po oceanie. Ale żaden z zaproszonych gości nie zwracał na to uwagi.

Mack zaprosił na tę wycieczkę trzy osoby: Fremonta Oldera, byłego burmistrza Jima Phelana oraz Rudolpha Spreckelsa. Rudolph był wysokim, postawnym mężczyzną o wysokim czole, najprzystojniejszym spośród wszystkich braci. Świadom swojej urody, zachowywał się trochę jak udzielny książę. Kołysząc się na płóciennym krześle, niedbale skrzyżował nogi. Mack utrzymywał z Rudolphem stosunki towarzyskie, ale specjalnie za nim nie przepadał. Nie imponowało mu ani jego bogactwo, ani rodowe nazwisko.

- Zniszczyli wszystko - powiedział Mack, spoglądając na bruzdę, jaką „California Chance” pozostawiała za sobą na gładkiej powierzchni wód oceanu. Na tle parasola co chwilę migały cienie mew.

- Wiem o tym - odparł Older, żując cygaro. - Zamieściłem na ten temat artykuł.

- Nie napisałeś ani słowa o serwecie jej matki. Podartej, nadpalonej, zniszczonej.

- Powiedziałbym, że i tak miała szczęście, ponieważ uszła z życiem i skończyło się tylko na niewielkich obrażeniach - zauważył Rudolph.

- Niewielkich obrażeniach? - Mack zapalił cygaro i wyrzucił zapalną za burtę. - Człowieka można zranić na wiele sposobów. Ten kawałek irlandzkiej koronki znaczy dla Margaret niemal tyle samo co życie. Mogę pomóc jej wyremontować restaurację i zrobię to. Ale żadne pieniądze nie naprawią tej największej krzywdy. Nie można kupić wspomnień. Siedzimy tutaj, palimy cygara i rozmawiamy, a tymczasem szantażyści robią w mieście to, co im się żywnie podoba: wymuszają pieniądze na biznesmenach, napadają na przyzwoite kobiety...

- Daj spokój, Mack - przerwał mu Rudolph Spreckels. - Wiele osób sprzeciwiłoby się takiemu określeniu owych dam.

- Na Boga, ależ ona jest przyzwoitą kobietą. A oni na nią napadli. Nie bądź takim pieprzonym hipokrytą. Nigdy nie odwiedziłeś prostytutki?

Rudolph odwrócił głowę i zapatrzył się w morze.

- Przestańcie - rzekł Jim Phelan. - Jesteśmy przecież sojusznikami. I razem mamy znaleźć jakąś radę na to, co się dzieje.

- Racja, przepraszam - powiedział Mack.

- W porządku - mruknął Rudolph.

- Problem w tym, jak poruszać się w tej dżungli - zauważył Mack. - Czego byśmy się nie tknęli, wszędzie napotykamy korupcję: w wydziale wodociągów, w wydawaniu zezwoleń na prowadzenie interesu, wśród ludzi,

od których zależy zgoda na uruchomienie linii trolejbusowych...

- O, właśnie, trolejbusy - przytaknął Rudolph. - Szef tych drani poinformował United Railroads, że comiesięczne wpłaty w wysokości tysiąca dolarów to za mało. Pat Calhoun musi dać im także premię.

- Ile? - zapytał Older.

- Ćwierć miliona. Gotówką.

- Chryste - jęknął Phelan wstając i opierając się o okalającą pokład barierkę. - Podczas mojej kadencji nie było aż takiej zgnilizny. Wiedziałem o małych nieuczciwościach. Dziesięć dolarów podawane pod stołem tu i ówdzie. Ale nie coś takiego...

- Przypominam wam, panowie - odezwał się Older - że jeśli chce się usunąć raka, trzeba mieć ostry skalpel.

Zapadło milczenie. Stewardzi ponownie napełnili szklanki, po czym zniknęli z pokładu, równie cicho jak cienie mew.

Mack pochylił się do przodu, splatając ręce na brzuchu. Ostatnimi czasy znowu zapuścił brodę. Miała ten sam biały kolor co jego włosy, które, ku jego przerażeniu, stawały się coraz rzadsze.

- Bez końca mówimy o jakimś ruchu reformatorskim. Gadanie musi czym prędzej przerodzić się w działanie, bo i tak straciliśmy już mnóstwo czasu.

- Co mamy zrobić? - zapytał Rudolph.

- Potrzebujemy własnej organizacji - odparł Mack.

- A tutaj siedzi jej grupa założycielska - zauważył Older.

- Owszem - zgodził się Mack. - Musimy jasno postawić kwestię korupcji. Trzeba zebrać dokumentację na temat jej rozmiarów oraz metod działania szantażystów. Ale jak to zrobić? Nie jestem zawodowym detektywem, podobnie jak i wy. Potrzebujemy ludzi, którzy wiedzieliby, jak się do tego

zabrać, i byliby nieprzekupni. Mamy dość pieniędzy, żeby kogoś takiego wynająć.

Mack napił się piwa. Rudolph Spreckels przez chwilę przyglądał się Mackowi, po czym skinął na stewarda, by raz jeszcze napełnił jego szklanę.

- Mogę zaoferować na ten cel dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów - powiedział.

Jim Phelan niemal wypuścił z rąk talerz z ostrygami, kiedy Older z rozmachem poklepał Rudolpha po plecach.

- Ja jestem gotów dołożyć taką samą sumę - oświadczył Mack.

Nie potrafili opanować podniecenia. Older wrzucił niedopałek cygara do morza.

- W porządku, a więc mamy już pieniądze, za jakie prawdopodobnie zdołamy wynająć nieprzekupnych detektywów. Ale potrzebujemy także uczciwych prokuratorów i sędziów. Nie możemy liczyć na tych z San Francisco.

- To właśnie jest problem, który koniecznie musimy rozwiązać - powiedział Mack.

Wieczorem „California Chance” skierował się z powrotem ku brzegowi.

- Znam pewnego człowieka, którego moglibyśmy wynająć - powiedział Older, wpatrując się w mroczniejące powoli niebo. - Nazywa się Fran Heney. Francis Joseph. Przebywa obecnie w Waszyngtonie, pełniąc funkcję radcy prawnego i prokuratora. Jest niziutki, czesze się z przedziałkiem i wygląda na całkowitego mięczaka, ale ma ogromne osiągnięcia, jeśli chodzi o ściganie szantażystów i łapówkarzy.

- Znam go bardzo dobrze - przerwał mu Jim Phelan. - Jest absolutnie nieprzekupny.

- Dlatego właśnie musiał opuścić to miasto - powiedział Rudolph.

- Naprawdę jest taki świetny? - zapytał Mack.

- Heney miał swego czasu kancelarię w Arizonie. Pewien człowiek, wynajęty przez jego przeciwników, zaczął się nań z bronią. - Older przerwał na chwilę, sięgając po kolejne cygaro.

- Fran zastrzelił tego człowieka. W obronie własnej. Powiadają, że uczynił to nie mrugnawszy nawet okiem, z taką miną, jakby prowadził miłą konwersację o pogodzie. Czy to wystarczy, by przekonać cię, że naprawdę jest świetny?

## Rozdział 55.

Mack przechylił się przez poręcz na trzecim piętrze.

- Nellie? Mam właśnie ważny telefon. To zajmie mi jeszcze ze dwie minuty.

- Spotkanie zaczyna się za dziesięć minut - odparła, ale on zdążył już zniknąć w drzwiach biura.

Nellie spacerowała po wielkim holu. Młody japoński kierowca podjechał samochodem na dziedziniec od strony Sacramento Street i przyszedł zapytać, czy pan Chance potrzebuje jeszcze auta. Cadillac czekał w pogotowiu już od pół godziny.

Nellie przycisnęła do piersi trzymaną w rękę książkę *Nasze parki narodowe* Johna Muira, z dedykacją od autora.

- Któż to wie, Yosh. Mam nadzieję, że ten wielki człowiek oświeci nas wkrótce co do swych planów.

Yosh roześmiał się i wyszedł.

Nellie nadal spacerowała niespokojnie. Niedawno obchodziła swe czterdzieste urodziny - wiek ciążył jej zresztą znacznie mniej niż sława. Jako uzupełnienie stroju, składającego się z kraciastej spódnicy i płóciennej bluzki, włożyła dziś ciemnogrnatowy sweter z długimi rękawami. Na nogach miała błękitne pończochy oraz wiązane na sznurowadła trzewiki. Niektórzy uważali ten rodzaj obuwia za niezbyt elegancki lub wręcz nie przystojący przyzwoitym kobietom, ale ona nie przejmowała się tym.

Do holu wszedł Johnson, trzymając w ręku kij bilardowy.

- Witaj, Nellie. Jaki piękny mamy dzień, prawda?

- Rześki i dodający sił. Przyszłam tu od siebie pieszo - pochwaliła się. Nellie wynajmowała apartament na Russian Hill, choć nadal miała także domek w Carmel.

Życie toczyło się teraz znacznie szybciej, niż Nellie by sobie tego życzyła. Dalsza część trylogii Norrisa utknęła w martwym punkcie, a lustro niemal codziennie ukazywało na

jej opalonej twarzy nowe zmarszczki. Wprawdzie uwielbiała swoją niezależność, ale nie lubiła tego, że musi zasypiać sama. Niestety istniał tylko jeden mężczyzna, którego chciałaby mieć nocą u swego boku. Te czterdzieści lat nieco ją przygnębiały.

Zobaczyła Macka pośpiesznie wkładającego na siebie marynarkę. Zbiegł na drugie piętro, wziął Jima z opiekuńczych ramion pani Olivar, uściśnął go, po czym ujął za rękę, by pomóc mu zejść ze schodów. Pomimo że bardzo się śpieszył, cierpliwie czekał, aż syn, krok po kroku, ostrożnie stawiając nogi i mocno wspierając się o balustradę, zejdzie na dół.

- Telefonował Jesse Tarbox, jeden z moich zarządców - wyjaśnił Mack, biorąc z wieszaka kapelusz. - Dwóch moich robotników z Fresno zostało ostatniej nocy dotkliwie pobitych.

- Kto to zrobił?

- Pewni mili biali chłopcy, którzy uważają, że Meksykanie nie zasługują na to, by dawać im pracę.

- No cóż - pokiwała głową - Henry Thoreau zauważył kiedyś, że przybywając do Kalifornii człowiek znajduje się o trzy tysiące mil bliżej piekła. Może miał rację?

Mack skrzywił się i wziął ją pod ramię.

- Chodźmy. Zobaczymy, czy twoi przyjaciele zdołają powściągnąć swoje emocje, kiedy mnie zobaczą.

- Należałoby raczej zapytać, czy ty zniesiesz ich widok. Jim kuśtykając podszedł do Johnsona, który objął go czule.

- Kiedy będziecie się tam tłoczyć, pomyślimy z Jimem o wynajęciu pary wierzchowców w celu małej przejażdżki po Golden Gate Park.

- Upewnij się, że koń, którego mu dadzą, jest łagodny - poprosił Mack. - I jedźcie powoli. Nie chcę żadnych upadków. Jego stopa mogłaby tego nie wytrzymać.

- Ależ tato, jestem silny.

- Pozwól, że to ja będę podejmował decyzje, młody człowieku.

- Tak jak decydujesz o wszystkim innym... - zaczął z gniewem Jim. Mack chwycił chłopca za ramię.

- No, dajcie spokój - powiedział Johnson, rozdzielając ich. Mack cofnął się, natomiast Jim przywarł mocno do Teksańczyka. „Jakiż on jest przekorny - pomyślała Nellie. - Kiedyż wreszcie Mack oprzytomnieje i zadba o właściwe stosunki z synem, tak jak dba o swoje interesy?" Miesiąc temu, kiedy w Carmel próbowała porozmawiać o tym z Mackiem, bardzo się rozzłościł.

Zwabiony podniesionymi głosami, wyszedł z biblioteki profesor Love. W ręku trzymał podręcznik do matematyki.

- Żadnych wypraw w towarzystwie pana Johnsona, dopóki nie skończymy porannych lekcji. Leniwy człowiek zawsze popada w kłopoty. Tak powiada Hezjod.

Johnson wymierzył palec w Jima.

- Skończ je więc szybko, chłopcze.

- Tak jest, panie H. B. - odparł Jim, odchodząc z profesorem. Wspierając się o ścianę, Johnson pokuśtykał do wyjścia z Mackiem i Nellie.

- Chłopiec miał rację - powiedział.

- Miał rację sprzeciwiając mi się?

- Wciąż ci powtarzam, że nie musisz się nad nim tak trząść.

Mack chciał coś odpowiedzieć, ale zielone oczy Johnsona patrzyły nań z takim napięciem i wyrzutem, że zrezygnował i odwrócił wzrok.

- Miłej zabawy - pożegnał ich Johnson z chłodnym uśmiechem. - Czy wiesz, co wyczytałem dziś rano? - zapytał Mack jadąc Powell Street. - Że armia dokładnie przyjrzała się samochodom i orzekła, iż są dla niej bezużyteczne. Uznano



samochody wyłącznie za zabawkę bogatych ludzi. Wojskowym potrzeba tylko koni i mułów. Głupie sukinsyny.

Mack wyprzedzał właśnie jakiś wóz. Jechał szybko, co chwilę naciskając klakson. Nellie kurczowo ścisnęła znajdującą się obok siedzenia barierkę.

- Czemu jesteś taki wściekły? - Nie dam sobie rady z Jimem.

- To brzmi jak cytaty ze mnie, kiedy mówię o mojej powieści.

- Nie jestem w odpowiednim nastroju, by żartować na ten temat - znowu zatęchło, tym razem na przechodzącego przez ulicę Chińczyka.

Nellie zmarszczyła brwi. Ostatnimi czasy tak trudno było rozmawiać z Mackiem. Czasem zastanawiała się, po co w ogóle się z nim widuje. Oczywiście, znała odpowiedź na to pytanie. Chwilami czuła się jednak zmęczona zarówno jego poglądami, jak i nim samym.

Sierra Club mieścił się na trzecim piętrze Mills Building, tuż pod biurami Chance - Johnson i Union Oil.

Na twardych krzesłach ustawionych w pustej, nieprzytulnej sali siedziało około sześćdziesięciu osób. Mack i Nellie byli mocno spóźnieni, musieli więc zadowolić się miejscami w ostatnim rzędzie. W spojrzeniach, jakimi obrzucano Macka, malowała się jawna wrogość.

Pod klubową chorągwią stał na podium stary John Muir. Jak zwykle miał długie, zmierzwione włosy i brodę opadającą na zniszczony brązowy płaszcz, tak długi, że sięgał cholewek wysokich butów. Nellie szeptem poinformowała Macka, że Muir przyjechał tu prosto z rancza pod Wilcox w Arizonie, dokąd zabrał swą ukochaną żonę, Louie, ciężko chorą na zapalenie płuc. Mack był ciekaw, ile lat ma teraz przyjaciel Nellie - z całą pewnością zbliżał się już do siedemdziesiątki.

„Jakąż wspaniałą twarz ma ten człowiek - myślał patrząc na Muira. - Starą jak góry i wodospady. A te błękitne jak niebo oczy widziały większość cudów stworzonych przez naturę: Himalaje, tundrę syberyjską, katarakty Nilu...”

Teraz znało go już nie tylko paru Kalifornijczyków, ale cały świat. Jego artykuły ukazywały się regularnie w „The Atlantic” i innych czasopismach. Był niezwykłym pisarzem i niezwykłym człowiekiem. Obozując wraz z Teddy Rooseveltem w Yosemite, dał prezydentowi do zrozumienia, że źle czyni polując i zabijając żywe istoty.

- ... Groźba wisząca nad Hetch Hetchy wcale nie minęła - mówił Muir. - Głupcy zasiadający w rządzie federalnym nadal rozważają projekt zbudowania tam tamy. Musimy wspólnie się temu przeciwstawić, ponieważ zapora oznaczałaby śmierć tej pięknej doliny. Tu nie chodzi o żadne ludzkie dobro, jak próbują nam niektórzy wmówić. To plan, który pozwoliłby monopolistom i bogaczom zniszczyć owo dzikie piękno przyrody dla własnych korzyści.

- Panie Muir, czy mogę panu przerwać? - zapytał jakiś stojący na przedzie człowiek.

- Skoro pan musi, panie Phelan.

- Nie widziałem tu przedtem Jima - szepnął Mack.

- Muszę, ponieważ całkowicie nie zgadzam się z tym, co pan mówi. Podziwiam pańską odwagę i idealizm. A także cele, jakie stawia przed sobą Sierra Club: ochronę lasów i rzek Kalifornii. Ale chcę panu powiedzieć, z całym szacunkiem, że przeinacza pan fakty.

Przez widownię przeszedł niechętny szmer. ',

- Plany dotyczące Hetch Hetchy nie przyniosłyby prywatnych korzyści. W ogóle nie przyniosłyby żadnych zysków. Jeśli zbudowano by odpowiedni rurociąg, zasoby wodne Sierry zapewniłyby mieszkańcom San Francisco czystą wodę do picia na całe lata. To ten drugi, alternatywny plan

popierany przez administrację Schmitza jest monopolistyczny. I to on zakłada bezmyślne eksploataowanie skarbów przyrody. Burmistrz i jego doradcy są przeciwni budowie tamy w Hetch Hetchy, ponieważ Bay Cities dało im za to łapówkę.

Zewsząd rozległy się okrzyki: „Kłamstwo!” i „Siadaj, Phelan!” Macka ogarniał coraz gorszy nastrój. Miał ochotę wstać i wypowiedzieć swoją opinię.

- Nie zgadzam się z tym - oświadczył Muir. - Raz zniszczona natura umrze na zawsze. Niezależnie od tego, co mówicie, nie chcemy tej przeklętej tamy.

Rozległy się brawa. Nellie także zaczęła klaskać.

Mack poderwał się z miejsca.

- John... panie i panowie... Jim Phelan ma rację.

Zaczerwieniony, ale wdzięczny za tę interwencję Phelan usiadł. Mack obracał w dłoniach swój kapelusz. Ten gest pozwolił mu opanować zdenerwowanie, dzięki czemu jego głos brzmiał czysto i głośno.

- San Francisco gwałtownie potrzebuje nowych zasobów wody...

- Zasoby, które są, całkowicie wystarczają, chłopcze.

- Nie, John. Mylisz się. Zanim przedstawię pewne fakty, chcę zapewnić wszystkich tu obecnych, że kocham Yosemite i całą tę górzystą krainę równie gorąco jak każdy z was...

- Jak to możliwe, skoro przemawiasz niczym najgorszy z biznesmenów? Nie potrzebujemy waszego przeklętego postępu. Nie chcemy też więcej imigrantów, którzy zalewają ten stan...

- A ja mam wrażenie, że większość Kalifornijczyków była swego czasu właśnie takimi imigrantami, John.

- ...nie chcemy ich, bo ich przybycie oznacza dewastację naszej przyrody. Nie chcemy dalszego niszczenia danych nam przez Boga cudów natury w imię budowania kolejnych hoteli,

restauracji i sklepów z pamiątkami, które rzeszom rozwydrzonych turystów mają uprzyjemnić pobyt tutaj.

- Liczba przybyszów wcale nie musi rosnać - odparł Mack. - W tym punkcie nie zgadzam się z moim przyjacielem Phelanem.

- Dość! Siadaj! - wołali ludzie. Policzki Macka spurpurowiały.

- Chcę dokończyć to, co mam do powiedzenia.

Muir uniósł dłoń.

- Tak, pozwólcie mu na to. Pomimo że się myli.

- Nie mylę się - odparł Mack. - Jeśli chodzi o wodę, sytuacja w San Francisco jest rozpaczliwa. W czasie weekendu czytałem raport National Board of Fire Underwriters. Mówi się w nim, że nawet trzydzieści sześć milionów galonów dziennie nie pokrywa zapotrzebowania tak dużego miasta. Potrzebujemy więcej wody, nowych hydrantów - kompletnie nowego systemu wodociągów. A jeśli, na przykład, wybuchnie pożar tak wielki jak te, które zniszczyły miasto już sześciokrotnie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat? Albo nadejdzie trzęsienie ziemi?

- Bzdura - krzyknęła jakaś młoda kobieta w grubych okularach. - Nie mieliśmy trzęsienia ziemi od całych dziesięcioleci.

- Racja! - Ostatnie było w 1868!

- Uciszcie go!

- Posłuchajcie - Mack przekrzyczał chór oburzonych głosów. - Mamy najlepszą straż pożarną na Zachodzie. Ale cóż jest ona warta bez wody? Sullivan od lat próbuje stworzyć słonowodny system ratunkowy i zrekonstruować stare zbiorniki pod ulicami, ale nie może zdobyć na to pieniędzy. Lekceważycie niebezpieczeństwo i to mnie przeraża, ponieważ losy tego miasta nie są mi obojętne...

- Nie są ci obojętne nieruchomości, które posiadasz...

- Nieprawda! Troszczę się o życie mego syna i moich przyjaciół. W przeciwieństwie do was, próbuję dociec, jak wygląda prawda i kto ma rację w tym sporze.

- Kłamca! - krzyknął ktoś z sali.

Mack poczuł, że wszystkie jego wysiłki spełzły na niczym. Był wściekły, że ludzie, do których przemawiał, odrzucają wszystkie argumenty.

- Uważacie, że racja jest tylko po waszej stronie, ale mylicie się. Chodzi tu o ochronę dobra publicznego. Tama w Hetch Hetchy jest do tego niezbędna.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł Muir. - Ani nikogo z nas. Po co w ogóle tu przyszedłeś, Chance? Po czyjej właściwie jesteś stronie?

- Po stronie rozsądku, mam nadzieję. Po stronie kompromisu.

- Nie będzie żadnego kompromisu! Żadnego!

Mack włożył kapelusz.

- Zatem wychodzę.

Zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. Podniecony gorącą dyskusją z góry zakładał, że Nellie przyłączy się do niego. Kiedy nie wstała, by wyjść razem z nim, spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Wychodzimy - powiedział.

- Co takiego? Nie rozkazuj mi.

- Mówię to panu Chance'owi, jego przyjaciołom i jego zaporze: nie zgadzamy się! - krzyczał Muir. - Absolutnie nie!

Rozległy się gwałtowne brawa. Członkowie klubu powstali z miejsc. Nellie wstała także. Phelan, z ponurą miną, wbił wzrok w ziemię.

- Jesteście zaślepieni! - zawołał Mack, przekrzykując tę wrzawę.

- To koniec spotkania - powiedziała Nellie. Mack obrócił się ku niej. Nie panował już nad sobą.

- Macie ciasne poglądy i skłonności do chóralnego kwiczenia jak stado świń!

- Ty republikański, kapitalistyczny sukinsynu! Wynoś się stąd! - Wskazała mu drzwi jak grająca w melodramacie aktorka.

- Brawa dla panny Ross - wykrzyknął jakiś mężczyzna i zaczął klaskać jeszcze głośniej.

- Wynoś się! - Nellie także straciła panowanie nad sobą. - Precz stąd! Nie chcę cię więcej widzieć. Wynoś się!

- Na Boga, oczywiście, że to zrobię!

Jim Phelan przepychał się ku niemu poprzez tłum.

- Ja także idę! Boże, co za bezmyślni idealisci...

Tylko kilka kroków dzieliło ich od wyjścia. Mack zatrzasnął drzwi, które odcięły ich od grózb i przekleństw, jakie sypały się ze strony wzburzonego tłumu. Trząśnięcie się z gniewu. Z ulgą oparł się o ścianę.

- John Muir na ogół ma rację. Ale to nie znaczy, że ma ją zawsze.

- Są tacy nierozsądni - odrzekł Phelan. - Woleliby widzieć San Francisco doszczętnie spalone niż dopuścić do wycięcia choćby jednego drzewa.

Mack uspokajał się powoli. Żałował tonu, jakim wypowiadał swoje uwagi, ale nie tego, co powiedział. Choć szanował Sierra Club, miał świadomość, że jego członkowie mylą się całkowicie co do tamy. Zdawał sobie sprawę, że jego zachowanie całkowicie przekreśliło go w oczach Nellie. Phelan ruszył ku schodom.

- Poczekaj chwilę, Jim.

Mack otworzył drzwi. Sala już się uspokoiła i Muir znowu przemawiał opanowanym głosem, czerwoną kredką kreśląc coś na mapie Sierry.

- Nellie! - zawołał scenicznym szeptem Mack.

Nellie siedziała w ostatnim rzędzie i patrzyła prosto przed siebie.

Kiedy jeszcze raz powtórzył jej imię, odwróciła ku niemu głowę. W jej oczach malowała się zimna pogarda i nienawiść.

Mack zamknął drzwi i poszedł w ślad za Phelanem.

Po południu i wieczorem tego dnia wielokrotnie telefonował do mieszkania Nellie na Russian Hill. Za pierwszym razem odebrała, ale odwiesiła słuchawkę usłyszawszy jego głos. Potem nie reagowała już na dzwonki. Nie mogąc się uspokoić, Mack wędrował godzinami ciemnymi ulicami miasta, by w końcu zakończyć wieczór zasypiając w fotelu w urządzonej na nowo mieszkanie Margaret.

## Rozdział 56.

Czwartego listopada 1905 roku Francis J. Heney wszedł do biura w Mechanics' Pavilion. Zostało ono zorganizowane przez koalicję republikańskich i demokratycznych kandydatów, wymierzoną przeciwko Schmitzowi i szantażystom rodem z Union Labor. Heney jasno określił, jakie są jego warunki, po czym odbył długą podróż z Waszyngtonu, by wspomóc grupę zbuntowanych obywateli.

Mack i Fremont Older siedzieli w drugim rzędzie i ledwie widzieli niskiego prawnika. Ale za to słyszeli go doskonale:

- Dobrze wiem, że Abraham Ruef jest człowiekiem skorumpowanym. Z utęsknieniem czekam chwili, kiedy będę mógł udowodnić to przed sądem. Jeśli Eugene Schmitz i jego banda zostaną wybrani na następne dwa lata, w tym mieście nie da się żyć.

Szóstego listopada Ruef opublikował list otwarty do Francisca J. Heneya, nazywając prawnika kłamcą i oskarżając go o popełnienie w Arizonie morderstwa. Następnego dnia w San Francisco odbyło się głosowanie.

Mack czekał na wyniki w redakcji „Bulletinu” Fremonta. Żona Oldera, Cora, także przybyła tutaj z ich apartamentu w hotelu „Palace”. Wiedziała, co te wybory znaczą dla jej męża. Była miłą kobietą, której nieśmiałość ludzie brali często za zarozumiałość. Próbowwała rozmawiać z Mackiem, ale każdy temat urywał się po minucie.

Za ścianą przeszklonego pokoju Oldera reporterzy stukali na maszynach i wykrzykiwali coś do telefonów. Mack nie odrywał wzroku od tablicy, na której pojawiało się coraz więcej głosów oddanych na kandydatów Union Labor. O wpół do dziewiątej Older wysunął głowę przez drzwi biura.



- Dzwoniłem do wszystkich obwodów - powiedział. - Wygląda na to, że sytuacja w całym mieście wygląda równie źle.

Na kilka minut przed dziewiątą w redakcji zapanowało jakieś dziwne poruszenie. Wszedł Older.

- Zbieraj się, Cora. Już po wszystkim.

Mack zerknął przez szybę na tablicę, ale zamiast liczb zobaczył tylko rozmyte białe plamy. Do diabła, na domiar wszystkiego potrzebuje jeszcze okularów.

- Schmitz? - zapytał.

- Schmitz po raz trzeci. Prawdopodobnie wybrano go więcej niż czterdziestoma tysiącami głosów. To największe poparcie, jakie kiedykolwiek zdobył. Co jest z tym miastem? Jego mieszkańcy sami proszą się o to, by ich szantażowano i wykorzystywano.

Cora Older pomogła mężowi włożyć płaszcz, po czym objęła go i na moment przytuliła głowę do jego piersi. Mack sięgał właśnie po kapelusz, kiedy usłyszał dobiegający z ulicy hałas. Podbiegł do okna.

- Nadciąga tu tłum ludzi.

Po chwili zobaczyli wiwatujących zwolenników Ruefa, którzy wypełniali całą ulicę. Ich pochodnie rzucały olbrzymie, ruchliwe cienie na okoliczne budynki.

Wielu z nich było pijanych. Nieśli w rękach cegły, pałki oraz piszczalki i rogi. Podeszli pod drzwi budynku, w którym mieściła się redakcja „Bulletinu”.

- Nie możemy wrócić teraz do hotelu, Fremoncie - powiedziała Cora.

- Oczywiście, że możemy. Nie pozwolę, żeby ta hołota nami dyrygowała. - Older włożył na głowę kapelusz. Mack dostrzegł, że manifestanci niosą triumfalnie Ruefa.

Wódz rozłożył ramiona w wielką literę V. Ktoś zobaczył Macka i Oldera stojących w oknie drugiego piętra i rzucił w nich cegłą, która jednak rozbiła tylko szybę na parterze.

Z tłumu natychmiast poleciały kolejne cegły i kamienie. Posypało się więcej szkła. Older schwycił laskę i wybiegł z biura. Mack ruszył za nim, mimo rozpaczliwych protestów Cory.

Zeszli na dół. Podłoga holu zasłana była odłamkami szkła. Older podszedł do drzwi i otworzył je z rozmachem. Mack stanął u jego boku. Ludzie z tłumu wygrażali im, rzucając przekleństwa. W świetle płonących pochodni widać było niesione przez nich portrety, ukazujące z jednej strony uśmiechniętego, a z drugiej zamyślonego Ruefa.

Wódz zniknął Mackowi z oczu. Po chwili znów uniesiono go do góry, zaśmiewającego się do łez. Ujrzawszy stojących w drzwiach budynku mężczyzn, wskazał na nich palcem.

- Popatrzcie, to Fremont Older. Uważa się za redaktora wielkiej gazety, ale tak naprawdę jest tylko parszywym anarchistą.

Spocona twarz Ruefa lśniła podnieceniem. W tłumie zawrzało. Jakaś kobieta splunęła na Macka.

- Co to za gówno stoi za tobą, Older? - wrzasnął jakiś mężczyzna.

Older zamierzył się laską, ale chybił o kilka centymetrów. Mężczyzna umknął, przeklinając.

- Do diabła z miastem, którym rządzi taki parszywiec - warknął Older. - Wracam do „Palace” i upiję się. Cora, weź mnie pod ramię.

- I mnie także - powiedział Mack. Trzymając kobietę między sobą, wyszli na pełną szkła ulicę. Tłum nadal wygrażał im i rzucał obelgi, ale rozstępował się, robiąc im przejście.

Dwie przecznice od Market Street natknęli się na Fairbanka. Rozpoznavszy Macka i Oldera uśmiechnął się, jakby byli jego najlepszymi przyjaciółmi.

- Dobry wieczór, Fremont. Witam, pani Older. Witaj, Mack. A więc przegraliście.

- Przegraliśmy bitwę, nie wojnę - odparł zimno Older.

- Wciąż zdobywasz punkty dla siebie, Walterze? - zapytał Mack. Fairbanks przygładził wąsy.

- Taki już mam nawyk - powiedział, po czym pożegnał się i ruszył pośpiesznie w stronę Mason Street.

Całe San Francisco rozbrzmiewało dźwiękami dzwonów, rogów, gwizdków i pijackim śpiewem. Ktoś wystrzelił z pistoletu. Older zbladł i przyśpieszył kroku.

- Podjąłem decyzję, Coro. Czas już, bym kupił bilet do Waszyngtonu. I tak zwlekałem z tym już zbyt długo.

- Kup dwa bilety - powiedział Mack.

Phelan, Spreckels, Mack i Older powołał swój ruch na rzecz reform w jadalni University Club. Na prośbę Macka jeszcze raz rozważono zatrudnienie Francisca J. Heneya.

- Jest idealnym człowiekiem, ale pamiętajmy, że ktoś może oskarżyć go o morderstwo.

- To rzecz sprzed czternastu lat - powiedział Older. - Mam swojego człowieka w biurze śledczym w Tucson, czyli tam, gdzie się to wszystko wydarzyło. Żona pewnego lekarza chciała rozwieść się z mężem. Doktor był człowiekiem porywczym i brutalnym. Zapowiedział, że zastrzeli każdego prawnika, który podejmie się prowadzenia sprawy jego żony. Heney uczynił to i ów lekarz publicznie go zaatakował. Heney był jednak szybszy i zabił napastnika. Natychmiast oczyszczono go ze wszelkich zarzutów. Z pięćdziesiąt osób było świadkiem tej strzelaniny. Dostałem kopie ich zeznań.

- W takim razie o jeden problem mniej - stwierdził Mack.

- Ale pojawił się inny, znacznie większy - zauważył Phelan. - Nie możesz stanąć przed komisją rządową, nie mając w ręku dowodów na to, że popełniono przestępstwo godzące w ogólnonarodowe dobro.

- Postaram się o te dowody - uciał Older. - Wszyscy wiecie, że do miasta przywozi się dziewczęta z Dalekiego Wschodu, by pracowały tu jako prostytutki. Handlarze żywym towarem sprzedają je do domów publicznych, żądając po trzysta dolarów za każdą. Dwóch moich najlepszych ludzi znalazło nieco materiału na ten temat. Dziewczyny te przedstawia się w biurach imigracyjnych jako żony obywateli amerykańskich chińskiego pochodzenia. Dwa z takich małżeńskich aktów dostały się w moje ręce. Są tam nazwiska, daty i okoliczności przybycia kobiet do Ameryki. Możemy więc zwrócić się z tą sprawą do rządu federalnego - zakończył, rozpierając się na krześle.

Spreckels był zachwycony, ale Mack miał poważne wątpliwości.

- I uda ci się to powiązać z Ruefem? - zapytał.

- Tak sędzę - wzruszył ramionami Older. - Dla wszystkich będzie jasne, że jest zamieszany w czerpanie korzyści z nierządu. A przynajmniej, że są w to zamieszani jego ludzie. Nie sędzę, bym musiał udowadniać te powiązania. Wystarczy, że prześlemy dokumenty Heneyowi i uczynimy go naszym specjalnym oskarżycielem. On już zajmie się Ruefem. Pakuj walizki, Mack. Dziś rano kupiłem dla nas bilety.

Prezydent Theodore Roosevelt przyjął ich trzeciego grudnia 1905 roku w przebudowanym gabinecie wewnątrz Executive Mansion.

Na kominku płonął ogień, a za oknem padał mokry, miękki śnieg, którego trzycalowej grubości białe poduszki malowniczo zdobiły nagie gałęzie drzew. Burza śnieżna

wprowadziła zamęt wśród konnych wozów i bryczek, niemal całkowicie paraliżując ruch w południowej części miasta.

Mack pomyślał, że czterdziestosiedmioletni Roosevelt przypomina potężny dąb, który wyrósł nagle ponad paleniskiem kominka. Prezydent był wysoki i szeroki w ramionach. Goście wyczuwali w nim ogromną energię.

Roosevelt pozwolił sobie na początku na pięciominutową rozmowę towarzyską. Ofiarował im podpisane przez siebie egzemplarze własnej książki *The Rough Riders* i pokazał fotografię zrobioną w studio, na której był o wiele młodszy, w groteskowym kowbojskim stroju, heroicznie unoszący w górę winchestera i nóż do zdejmowania skalpów.

- Okropne zdjęcie, ale właśnie takie chcieli mieć wydawcy. Mack przekazał prezydentowi pozdrowienia od Johnsona.

- Sierżant Hugh Johnson! - przypomniał sobie Roosevelt.  
- Wysoki, silny mężczyzna. Doskonały żołnierz, jak wszyscy zresztą Teksasczycy. Został ciężko ranny pod El Caney. Przekażcie mu moje wyrazy uznania. A teraz - do rzeczy.

Older przedstawił sprawę, z którą przyjechali.

- Panie prezydencie, San Francisco jest miastem zniewolonym. Abraham Ruef ma w ręku burmistrza i całą radę miejską. Wkrótce rozciągnie swoją władzę także na sędziów i prawników. William Langdon, nowy prokurator okręgowy, jest jeszcze nie tyle skorumpowany, ile niedoświadczony. Dotąd zajmował się szkołami. Ruef skłonił go do objęcia tej funkcji, kiedy odmówiło mu sześciu doświadczonych prawników. Jest pewne, że Langdon nie oprze się naciskom ze strony Ruefa. Oto z czym przyjechaliśmy, poza sprawą naruszenia przepisów imigracyjnych, na co mamy dokumenty. Urząd miejski coraz bardziej przypomina dom publiczny. Wydaje się, że można też kupić każdego z członków rządu stanowego.

- Jestem świadom panującej korupcji - zgodził się z nim prezydent. - Wspominali mi już o niej pewni dżentelmeni. Przekupstwo niszczy moralne podstawy, na jakich winny opierać się prawa Kalifornii. Co więcej, ta plaga rozprzestrzenia się na cały kraj.

- Nasz ruch na rzecz reform nie może zrobić już nic więcej, sir - powiedział spokojnie Mack.

- Stoicie po właściwej stronie, panowie. Dokonaliście moralnego wyboru.

- Dziękuję, panie prezydencie. Ale ja wolałbym konkretne działania. Wymuszenie przestrzegania prawa.

- Tak, rozumiem. Proszę, niech pan mówi dalej.

- Zgromadziliśmy wynoszący niemal sześćset tysięcy dolarów fundusz na wynajęcie detektywów i prawników... ale dalej nie możemy już pójść. Potrzebujemy kogoś cieszącego się autorytetem i kompetentnego, by właściwie wydał te pieniądze na przeprowadzenie śledztwa i postawienie winnych w stan oskarżenia.

- Czy musicie utrzymywać swoje działania w sekrecie?

- Tak, sir. Nie chcemy ujawniać, że maczaliśmy w tym palce, póki nie będziemy mieli jakiegoś planu walki.

- Jednak oni i tak wiedzą, kim jesteśmy - powiedział Older. Wiedzą bardzo dobrze, że patrzymy im na ręce. Wszyscy jesteśmy obserwowani. Mack i jego syn zostali nawet brutalnie pobici.

- Tak, słyszałem o tym. Bardzo współczuję. Proszę dalej, panie Chance.

- Chyba najgorsze jest to, że okrzyknięto nas antysemitami. Roosevelt zdjął z nosa pince - nez.

- A czy jest w tym choć odrobina prawdy?

- Absolutnie nie.

- To podła obelga - potwierdził Older. - Ten mały skur... pan Ruef mógłby być równie dobrze katolikiem, muzułmaninem czy Hotentotem.

Roosevelt rozchylił zasłony w oknie i przez chwilę obserwował padający śnieg. Wróciwszy do biurka, pokazał im pękatą teczkę.

- Kiedy napisaliście do mnie po raz pierwszy, poprosiłem Departament Sprawiedliwości o potwierdzenie waszych zarzutów. Większość z tego, co mówiliście, okazało się prawdą. Ta sprawa z chińskimi kobietami daje mi podstawy do działania. Ale nigdy nie uderzajcie, jeśli możecie tego uniknąć. A jeśli już musicie uderzyć, róbcie to mocno. Chcę dać wam dwóch moich najlepszych ludzi.

- Dwóch! - ucieszył się Mack.

- Tak, panowie. Pana Heneya, do którego już się zwróciliście, i szefa policji skarbowej, Billa Burnsa.

- Detektywa Williama J. Burnsa? - upewnił się Older.

- Tego samego. Każdy prokurator potrzebuje sprytnego śledczego, potrafiącego zbierać dowody. Prosiłem już obu tych panów, żeby spotkali się z wami jutro rano w hotelu „Willard”.

Twarz Oldera pojaśniała. Nie oczekiwał aż tak wiele. Zerwał się z miejsca i uściskał prezydentowi dłoń.

- Nie znajduję wprost słów, sir, żeby...

- Chwileczkę - przerwał mu Roosevelt. - Może być pan mniej zachwycony, kiedy powiem panu, że mogę wydelegować Heneya i Burnsa dopiero wtedy, gdy uporają się ze swymi bieżącymi obowiązkami. Francis Heney jest wciąż jeszcze zajęty przygotowaniem oskarżenia w sprawie senatora Mitchella i innych, którzy rozkradali stanowiące publiczną własność ziemie w Oregonie, a i Burns nie siedzi beczynn timer.

Mack ukrył rozczarowanie. Niecierpliwił się. W uszach wciąż mu rozbrzmiewało szuranie kalekiej stopy Jima, kiedy chłopczyk wędrował przez Sacramento Street. W takich chwilach zawsze ogarniało go pragnienie zemśczenia się na Abe Ruefie. Przybierało ono na sile, ilekroć spędzał z synem nieco więcej czasu i obserwował, jak wiele wysiłku kosztuje chłopca chodzenie, choć Jim nigdy się na nic nie skarżył. Przy takich okazjach wyobraźnię Macka nawiedzały zawsze krwawe fantazje: Ruef wpadający w zastawiony na grubego zwierza potrzask, Ruef paskudnie postrzelony, skąpany w kałuży własnej krwi. Być może, powinien wstydzić się takich marzeń, ale, do diabła, nie czuł z ich powodu żadnych wyrzutów sumienia.

- Może się zdarzyć, że Heney i Burns nie zawitają do San Francisco przed wiosną - ciągnął Roosevelt. - Zapewniam was jednak, że warto poczekać - dodał, odprowadzając ich do wyjścia.

W hotelu „Willard” przy Pennsylvania Avenue poznali Burnsa i odnowili znajomość z Francisem Heneyem. Bill Burns pochodził z Baltimore i miał w sobie specyficzny irlandzki wdzięk. O pracy w policji marzył od dzieciństwa, gdyż jego ojciec był komisarzem policji w Columbus w Ohio.

- Muszę mieć całkowicie wolną rękę i żeby nikt nie zadawał mi żadnych pytań. Człowieka, którego inwigiluję, zawsze uważam za winnego, dopóki nie udowodni, że jest inaczej - oświadczył.

- To bardzo skuteczna metoda, choć niezbyt zgodna z prawem - stwierdził Heney.

- Zajmij się aktem oskarżenia, Francis, a resztę zostaw mnie. Nie złapiesz bandytów, jeśli będziesz zachowywał się jak salonowy dżentelmen. Dostaniesz najwyżej tęgiego kopa w dupę, co też może stanowić cenne doświadczenie, bo



oducza litości dla tych sukinsynów. Wyślemy tego Ruefa do San Quentin. Możecie na mnie liczyć.

Kiedy Mack jechał na zachód sypialnym wagonem Pullmana, śniło mu się, że tonie. Pograżając się w czystej, mieniącej się wodzie, opadał powoli na dno górskiego jeziora, niezdolny ani do złapania oddechu, ani do wypłynięcia na powierzchnię. W słoneczną toń zapadały się wraz z nim także ptaki, lisy, niedźwiedzie grizli oraz jelenie z zaplątanymi w poroża girlandami polnych kwiatów. Łagodnie i powoli wirowały w wodzie w bezszelestnym, szalonym tańcu.

Obudził się spocony. Za oknem szalała śnieżna zawieja. Poza koszmarem z dzieciństwa żaden inny sen nie był nigdy tak przerażający jak ten.

Rozumiał znaczenie tego snu i wiedział, co powinien zrobić. Natychmiast po powrocie do San Francisco napisał list do Johna Muira, informując go, że zmienił zdanie. Nadal uważa, że miasto gwałtownie potrzebuje wody, ale zgadza się, że nie należy budować tamy w Hetch Hetchy.

- Jeśli mam przebywać tutaj przez jakiś czas, muszę mieć własne biuro - oświadczył Mackowi i Olderowi Francis Heney. - Znalazłem sobie pomocnika. Nazywa się Joe Dwyer. To świetny prawnik. Zgodził się nakłonić Langdona, aby zatrudnił mnie jako swego specjalnego asystenta.

Older wychylił się przez okno, wydmuchując nosem dym z cygara.

- Langdon jest miękki jak masło. Ruef potrafi zmusić go, by ci odmówił. Heney uśmiechnął się.

- Ale my będziemy naciskać mocniej niż on.

Był początek kwietnia 1906 roku, środa. Mack z niecierpliwością oczekiwał końca tego spotkania, marząc o krótkim urlopie.

- Burns zdołał już zebrać kilka ciekawych informacji. - Heney wybrał kilka kartek z leżącego przed nim pliku. -

Grupa działaczy klubu boksterskiego zapłaciła osiemnaście tysięcy dolarów, by zyskać pewność, że tylko oni dostaną pozwolenie na organizowanie walk. Nasz informator twierdzi, że Ruef i Schmitz posunęli się i w tym wypadku do szantażu.

Heney sięgnął po kolejny dokument.

- P.G.E., nasz szanowny zakład użyteczności publicznej. Dali dwadzieścia tysięcy dolarów, by przekonać komisję, iż nie należy obniżać produkcji benzyny.

Prawnik rozłożył na stole następne papiery.

- Trzydzieści tysięcy dolarów wzięte oficjalnie za doradzanie firmie Parkside Realty. Tak naprawdę Ruef zagwarantował im, że dostaną koncesję na trolejbusy, które chcą uruchomić w zachodniej części miasta...

- Mój Boże, wasi informatorzy należą do ludzi wyjątkowo gadatliwych - stwierdził Older.

Mack wzruszył ramionami.

- Można ich tylko za to pochwalić. Tylko oni wiedzą, jak działa machina, która steruje także policją i sądami. Są jednak pewni, że Ruef i jego poplecznicy nie zostaną postawieni w stan oskarżenia.

Heney skrzywił się.

- A jednak zostaną - oświadczył. - Czy możecie zjeść dziś ze mną kolację? Mam się wieczorem spotkać z Hiramem Johnsonem. Chcę go dla nas wynająć.

- Jesteś cholernie tajemniczy, Francis - stwierdził Mack.

- Owszem. Ale to dlatego, że mam zamiar zaprowadzić w San Francisco porządek.

- Cóż, jeśli chodzi o kolację, obawiam się...

- O Boże! - wykrzyknął nagle Older, omal nie połykając trzymanego w ustach cygara. - Jak ten parszywy złodziej to zrobił? Chodźcie tu szybko!

Mack i Heney dotarli do okna akurat w chwili, gdy ulicą przejeżdżał otwarty czarny samochód. Za plecami kierowcy

siedział Abraham Ruef, mający obok siebie jakieś paczki. Jechał z zadowoloną miną człowieka, do którego należy cały świat. Mackowi wydawało się, że Ruef zerknął na okna redakcji „Bulletinu”. Wkrótce samochód zniknął im z oczu.

- Czy wiecie, co on wiozł w tych paczkach? - zapytał Older. - Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Gotówką. Pierwszą ratę wymuszonej szantażem ćwierćmilionowej łapówki za zgodę na uruchomienie linii trolejbusowej. Przedwczoraj dostałem informację na ten temat. Pieniądze te przysłano z banku na Wschodzie. Chłopcy Calhouna odebrali przesyłkę i w Fairbanks Trust wymienili złoto na gotówkę. Ruef zapowiedział, że osobiście odbierze pieniądze dziś rano.

- Gdzie mu je przekazano?

- W biurze przedsiębiorstwa trolejbusowego Calhouna. Orzechowe oczy Macka spochmurniały.

- Co za sukinsyn.

- Kiedy człowiek zdobywa władzę, czasem wydaje mu się, że jest bezkarny - powiedział Heney. - Ale to może ułatwić nam zadanie.

- Przestrzegam pana przed lekceważeniem Abe Ruefa. To sprytny drań. W rzadkich momentach słabości podziwiam go.

- Wyrzucimy go stąd - zapewnił Francis Heney. - Choć może to zająć miesiące lub lata.

- Ufam ci, Francis. Ale do końca uwierzę w to, co powiedziałaś, kiedy Ruef odjedzie do San Quentin - oświadczył Mack, sięgając po kapelusz.

- Czy rzeczywiście nie możesz towarzyszyć mi podczas kolacji z Hiramem Johnsonem?

- Nie tym razem. Jadę do Monterey.

- Gdzieś tam mieszka Nellie, prawda? - upewnił się Older.

- O ile mi wiadomo, tak - z uśmiechem odparł Mack. - Ale celem mojej wycieczki jest wypróbowanie nowego samochodu.

Older wyjął cygaro z ust.

- Kupiłeś nowy?

- Tak, to piękny wóz. W poniedziałek odebrałem go ze statku. Przyłynął z Liverpoolu. Czytałem o tym modelu w „Olympia Auto Show”. Zapłaciłem tysiąc funtów. Bóg raczy wiedzieć, ile będzie kosztować mnie transport statkiem. W każdym razie samochód błyszczy jak słońce. Jego konstruktor, Henry Royce, nazwał go „Srebrnym Duchem”.

Nastrój oczekiwania nie opuszczał Macka przez całą noc. O szóstej wyskoczył z łóżka. Kiedy się golił, przyszedł do niego Mały Jim. Zarówno ojciec, jak i syn, byli jeszcze w piżamach. Chłopczyk z każdym rokiem miał jaśniejsze włosy i coraz bardziej upodabniał się do swej matki.

- Dokąd się wybierasz, tato?

- Na wybrzeże. Mam nadzieję zobaczyć się z Nellie.

Jim milczał przez chwilę, po czym poważnym głosem zapytał:

- Czy Nellie jest dziwką?

Mack zaciął się w policzek i zaklął, dociskając do krwawiącej rany gorący ręcznik.

- Nie, nie jest. Kto nauczył cię takiego brzydkiego słowa?

Jim wpatrywał się w swoje białe stopy.

- Chłopcy.

- Jacy chłopcy?

- Chłopcy, których poznałem na ulicy.

- Trzymaj się od nich z daleka. I nigdy więcej nie powtarzaj tego słowa, rozumiesz?

Mały Jim spojrzał na ojca poważnym, zimnym wzrokiem i wyszedł.

- Zadaje się z jakimiś ulicznikami - oburzającym tonem powiedział Mack przy śniadaniu. - Z jakimiś młodocianymi chuliganami.

- A co ma robić? - odparł Johnson. - Przecież nie ma tu w pobliżu nikogo innego, z kim mógłby się bawić. Zresztą kontakty z takimi dziećmi na pewno mu nie zaszkodzą.

- Do diabła, przecież on nie ma jeszcze nawet ośmiu lat.

- Co z tego? Mój przyjaciel Jack, kiedy miał siedem lat włóczył się już po dokach w Oakland. I pił wódkę.

- Jack London to wyjątek. Poza tym, jest pisarzem. Nie można wierzyć w to, co opowiadają o sobie pisarze. Mam zamiar nakazać Angelinie, by lepiej pilnowała chłopca. Niech trzyma go w domu choćby siłą.

- Och Mack, na Boga...

- Ciebie także o to proszę. Nie chcę, by mój syn włóczył się po San Francisco jak jakaś sierota.

- To sprytny chłopak. I bardzo rozsądny. Potrafi zadbać o siebie...

- Słyszałeś, co powiedziałem? Jeśli jesteś moim przyjacielem, spełnisz tę prośbę. Johnson popatrzył na siedzącego w końcu długiego stołu współnika.

- Jestem twoim przyjacielem. Ale czasami trudno mi sprostać warunkom, jakie stawiasz naszej przyjaźni.

## Rozdział 57.

Stumilowa podróż zajęła Mackowi niemal cały dzień, ale jazda tym wielkim, srebrnym samochodem była prawdziwą przyjemnością. Auto miało piętnaście stóp długości, ważyło trzy tysiące trzysta funtów, a sześciocyldrowy silnik miał moc pięćdziesięciu koni mechanicznych. Srebrne koła wykonano z drewna, zaopatrując je w pneumatyczne opony. Samochód miał cztery biegi oraz bieg wsteczny.

Zrobiona z polerowanego drewna kierownica znajdowała się po prawej stronie, ale Mack nie uważał tego za niewygodę. Przechodziły go ciarki na myśl o ogromnej mocy tego pojazdu. A przy tym auto rzeczywiście posiadało wszystkie te zalety, o jakich mówił producent, i było tak ciche jak elektryczna maszyna do szycia czy zegar.

We wtorek o zmierzchu Mack zatrzymał się w pobliżu domu Nellie. Zdjął kask i gogle, po czym niecierpliwie zapukał do drzwi.

Okiennice na szybach były zamknięte. Zapukał ponownie, tym razem głośniej. Po piątej próbie rozczarowany obszedł dom dookoła, po czym powlókł się z powrotem do rolls - royce'a.

Był idiotą, że nie uprzedził Nellie o swoim przybyciu. Uważał jednak, iż może ona nie życzyć sobie jego wizyty i że łatwiej mu będzie pogodzić się z nią, jeśli pojawi się osobiście. Teraz zaś czekała go długa droga powrotna do miasta, na którą nie miał najmniejszej ochoty. Czuł, że należy mu się coś więcej z tego weekendu.

Nagle przypomniał sobie, że w pobliżu znajduje się hotel „Del Monte”. Czemu, u diabła, nie miałby spędzić paru godzin w obozie wroga?

Southern Pacific wybudowała pierwszy hotel „Del Monte” w roku 1880. Cholly Crocker był niespokojnym duchem i zdołał przekonać inwestorów, że cała strefa Monterey w

poblizu oceanu wkrótce zaludni się dzięki pociągom, które w jego czasach kursowały jeszcze prawie puste. Miał rację. Park Del Monte o powierzchni stu dwudziestu sześciu akrów, artystycznie zaplanowany i poprzecinany uroczymi alejkami, przy których stały klasyczne posągi, wypełnił się przybyszami z miasta.

Sam budynek hotelowy liczył sobie trzy piętra i przypominał kształtem tort weselny. Był biały, z zielonymi okiennicami i szerokimi zewnętrznymi schodami ozdobionymi amerykańskimi i kalifornijskimi flagami oraz sztandarami linii kolejowej. „Del Monte”, do którego wybierał się Mack, był kopią tego pierwszego i został wybudowany w 1887 roku.

Zaparkował „Srebrnego Ducha” i opłacił stróża, by być pewnym, że nic złego nie stanie się z jego samochodem, po czym wynajął apartament na trzy dni. Recepcjonista na szczęście nie rozpoznał go. Mack czułby się głupio, gdyby ktoś zobaczył, jak używa życia w hotelu stanowiącym własność linii kolejowych.

Nie był w dobrym nastroju, starał się więc nie pić zbyt dużo. Przebrał się w marynarkę i białe flanelowe spodnie, włożył do kamizelki złoty zegarek z łańcuszkiem i spiął krawatę diamentową spinką wielkości kciuka.

Lunch zjadł na tarasie przy białym żelaznym stoliku. W hotelu było tłoczno. Grzecznie odmówił, gdy zaproszono go, by przyłączył się do jakiejś gry na trawniku. Usiadł w wyplatany fotelu na wielkiej werandzie, gdzie Ballenberg Society Band grała właśnie ostatnie przeboje: Sweet Adeline, In My Merry Oldsmobile, Hello, Central, Give me Heaven oraz Toyland Victora Herberta. Ta ostatnia piosenka wprowadziła Macka w dziwną melancholię. Cóż on tu robi, marnując czas pomiędzy tymi próżniakami?

Przypatrując się drzewom, jakimi wysadzona była siedemnastomilowa aleja dojazdowa do hotelu,

niepostrzeżenie wdał się w rozmowę z pulchną blondynką, która przypominała mu Carlę. Była to niedawno rozwiedziona pani Francie Howell z Denver. Około wpół do szóstej oboje kochali się już namiętnie w jego apartamencie.

Zjedli razem kolację, a następnie tańczyli w sali balowej przy dźwiękach orkiestry Ballenberga, która wystąpiła tym razem w strojach wojskowych. Przy okazji porozmawiali trochę z trzema oficerami marynarki w niebieskich mundurach.

Tej nocy kochali się znowu. Następnego dnia po śniadaniu, kiedy grali w krokieta, Mack odkrył, że Francie Howell to nie byle jaki przeciwnik. Musiał walczyć zaciekle, by ją w końcu pokonać, ponieważ przegrana z kobietą wydawała mu się rzeczą nie do pomyślenia.

W hotelowym sklepie kupili kostiumy kąpielowe. Francie wybrała dla siebie bardzo śmiały paryski model, który wywołał oburzone spojrzenia gości, kiedy weszła w nim do jednego z leczniczych basenów. „Przyzwoite” kobiety kąpały się tu w skromnych bluzkach i sięgających kostek spódnicach oraz w pończochach.

Mack doskonale wypoczął podczas tego weekendu, ale kiedy obudził się w niedzielę rano, uznał, że nie może zmarnować już ani godziny więcej i wyjedzie zaraz po śniadaniu. Jego rozwódka była naprawdę miła, ale nie była to Nellie. Trzeba wracać do San Francisco.

Czeka tam praca.

No i Jim.

O ile wiedział dobrze, jak prowadzić interesy, o tyle zupełnie nie miał pojęcia, jak postępować z tym chłopcem. Wszystko, co robił, zdawało się złościć syna, a z kolei te reakcje wywoływały gniew w Macku. Jak więc powinien postępować?



Nie wiedział. Nie miał jednak wątpliwości, że nie znajdzie odpowiedzi na to pytanie leżąc w łóżku należącym do Southern Pacific. Pocałował Francie w policzek i zaczął się ubierać.

Skierował „Srebrnego Ducha” w aleję dojazdową, wysadzaną starymi cyprysami. Powietrze było rześkie i miało lekko słonawy zapach. Przeświecające przez drzewa promienie słońca odbijały się w mosiężnych reflektorach jakiegoś masywnego ciemnozielonego auta, sunącego naprzeciw. Mack rozpoznał napędzanego parą white'a.

W chwilę później rozpoznał także kierowcę.

Aleja dojazdowa nie była wystarczająco szeroka, by pomieścić dwa samochody, każdy z nich zjechał więc prawymi kołami na pobocze. Fairbanks zdjął z głowy hełm i przygładził włosy.

- Ho, ho, nieprzejednany reformator i wróg kolei odwiedził „Del Monte”. Żałuję, że nie zrobiliśmy ci zdjęcia. Cóż to za samochód? Wygląda jak osadzona na kołach cienka kromka chleba.

- Nowy model rolls - royce'a.

- Ach, angielskie auto. Czyżby amerykańskie wozy nie były już dla ciebie wystarczająco dobre? Porusza się wolniej od słonia.

- Jest jednak szybszy niż ten twój parafinowy piecyk, Walterze.

- Może miałbyś ochotę kiedyś się ze mną zmierzyć?

Zapytał o to tak pośpiesznie i z taką nadzieją, że Mack roześmiał się.

- Zdaje mi się, że od dawna czekałeś na chwilę, w której będziesz mógł coś takiego zaproponować, prawda? Marzyłeś o tym od owego pamiętnego meczu polo. Albo nawet dłużej.

Fairbanks chrząknął, zaciskając dłonie na kierownicy.

- Tak czy nie? - zapytał.

- Oczywiście. Kiedy tylko sobie życzysz.  
- Następnej niedzieli. To znaczy piętnastego kwietnia.  
Będę tutaj mniej więcej o tej samej porze.  
- Doskonale - odparł Mack, myśląc o tym, że może tym razem zastanie Nellie w domu.  
- Tylko twój wóz i mój.  
- Jasne - przytaknął Mack, odchylając się do tyłu i pozwalając, by słoneczne promienie pieściły jego czoło. Nagle poczuł, że jest mu tak dobrze, lepiej, niż było przez cały ten weekend. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.  
- A więc zgoda. Przygotuj się na to, że dostaniesz baty, Walterze - powiedział i machnąwszy na pożegnanie ręką, odjechał. Przez obłok spalin Fairbanks dostrzegł, jak Mack zjeżdża na pobocze, by minąć się z kolejnym samochodem. Droga w tym miejscu zwężała się, zmierzając ku pięknie rzeźbionemu mostkowi ponad laguną. Wkrótce pozostał już tylko uniesiony kołami auta pył. Fairbanks poczuł w skroniach gwałtowny skurcz bólu.

Piątkowe popołudnie było pochmurne i deszczowe, tak że Mack musiał zapalić w garażu lampy elektryczne. Od ósmej rano zajmował się swoim „Srebrnym Duchem”.

Yoshimo Okada zdjął koło zapasowe, przymocowane z prawej strony i wyciągnął umieszczoną pod nim skrzynkę z narzędziami. Taka sama skrzynka znajdowała się też po lewej stronie i Yosh starannie sprawdził ich zawartość według trzymanej w ręku listy. W garażu unosiła się woń smarów.

Czoło Macka lśniło potem. Siedząc na miejscu kierowcy, uważnie kontrolował wskaźniki na desce rozdzielczej, naciskał pedały gazu i hamulca, sprawdzał przekładnie kierownicy. Tył samochodu podniesiony został potężnym lewarem.

Mack sprawdził kolejno wszystkie biegi, a nawet zatrąbił klaksonem. Klęczący po lewej stronie Yosh uniósł głowę i

uśmiechnął się. Mack spostrzegł, że kierowca był już bardzo zmęczony i uznał, że lepiej będzie zakończyć pracę i trochę odpocząć. Yosh spędził cały ranek za kierownicą cadillaca, jeżdżąc w poszukiwaniu zapasowych opon i narzędzi. Mack także czuł się zmęczony. Przywiązywał do tego wyścigu większe znaczenie, niż powinien. Ale nie mógł nic na to poradzić.

- Czy odłączyłeś ogranicznik obrotów, Yosh?

- Nie, sir. Zrobię to tuż przed samym wyścigiem.

- A więc to mniej więcej wszystko, co... Przerwał, słysząc znajomy dźwięk dobiegający od strony tylnych schodów. Było to szuranie lewej stopy Jima.

Chłopiec wszedł do garażu i obrzucił srebrny wóz niechętnym spojrzeniem.

- Witaj, synu - rzekł Mack. Jim w odpowiedzi kiwnął głową.

- O, panicz Jim - uśmiechnął się serdecznie Yosh, wycierając szmatą brudną od smarów dłoń. - Jak się miewasz?

- W porządku - odparł chłopczyk, podchodząc bliżej. W garażu szuranie jego stopy nie było aż tak głośne, ale ciągnąc za sobą nogę, zostawiał na ziemi ślad. Mack przyglądał mu się zza kierownicy wozu. Widok kalectwa syna jak zawsze głęboko go ranił.

Jim usiadł na skrzynce z częściami zapasowymi.

- Czy mogę pojechać z tobą do Monterey, tato? - zapytał.

- Nie, to niemożliwe.

- Chciałbym zobaczyć, jak się ścigasz.

Mack otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu. W świetle żarówek osłoniętych cynowymi kloszami załśnił srebrny emblemat z jego inicjałami.

- Nie będzie mnie przez parę dni. Po wyścigu mam zamiar pojechać do Carmel i zobaczyć się z panną Ross. Nie było jej w domu w zeszłym tygodniu, a bardzo już się za nią

stęskniłem. - Wyciągnął rękę, chcąc pogłaskać syna po włosach. - Obiecuję, że będzie to już ostatnia wycieczka...

Jim uchylił głowę, nie pozwalając się dotknąć, i uśmiech zniknął z twarzy Macka. Chłopiec podniósł się ze skrzynki i podszedł do drzwi garażu. Yosh spojrzał na Macka, a potem na Jima.

- Zaraz wrócę - powiedział skończywszy wycierać ręce i skierował się w stronę schodów wiodących do domu.

Jim wpatrywał się w Macka pełnym żalu wzrokiem.

- Nie obchodzi cię to, że chciałbym zobaczyć, jak wygrasz wyścig.

- Ależ Jim, oczywiście, że obchodzi. - Mack podniósł porzuconą przez Yosha szmatę i starł z palca odrobinę smaru.

- Ale nie mogę odrywać cię od lekcji z profesorem Love. Angelina zajmie się tobą przez ten czas, gdy mnie tu nie będzie.

- Czemu nigdy nie chcesz mnie nigdzie ze sobą zabierać, tato? - zapytał z ponurą miną Jim, nie dając za wygraną.

Mack nie był przygotowany na tak otwarcie postawione pytanie. Podszedł do syna, wpatrując się w niego z uwagą.

- Tłumaczyłem ci to już kiedyś, Jim. Chcę dla ciebie jak najlepiej. Chcę, byś zdobył porządne wykształcenie. Skończył dobry college, na przykład Stanford. A to oznacza, że nie możesz wiecznie opuszczać lekcji z panem Love.

- Nienawidzę ich.

- Jak to? Przecież zawsze lubiłeś czytać i rozwiązywać matematyczne zadania. Cóż więc się zmieniło? - Zadając to pytanie, doskonale znał odpowiedź: cokolwiek podobało się jemu, nie mogło podobać się Jimowi.

Chłopiec milczał.

- No cóż - odezwał się w końcu Mack. - Niezależnie od tego, co myślisz o nauce, jest ona konieczna.

W błękitnych oczach Jima niespodziewanie ujrzał łzy. Gdzieś od zachodu dały się słyszeć pierwsze pomruki burzy.

- Robisz to wszystko, ponieważ nie chcesz mieć mnie przy sobie.

- To nieprawda. Ale gdy chodzi o twoje wykształcenie, o przyszłość, wtedy zawsze...

- Kto jedzie z tobą do Monterey?

- Yosh. Żeby pomóc mi przy samochodzie.

- A panna Emerson? Ta dziwka? Dłonie Macka zacisnęły się w pięści.

- Mówiłem ci już, byś nie używał brzydkiego języka. Szczególnie zaś tego słowa.

- Ale panna Emerson jest dziwką.

- Przestań, Jim. I nie płacz. Jestem zmęczony twoimi kaprysami.

- Zależy ci jedynie na zadawaniu się z dziewczynkami.

- Wiesz dobrze, że nie lubię tego słuchać.

Jim zacisnął zęby.

- Dziewka! Mack mocno chwycił syna za rękę.

- Dziewka, dziewczynka! - wrzeszczał chłopiec, próbując się wyswobodzić. Mack puścił go, wymierzając mu jednocześnie policzek.

Jim cofnął się, wpadając na ścianę i omal się nie przewracając. Przestał płakać. Wpatrywał się w ojca, jakby nie mogąc uwierzyć, że pozwolił on sobie na takie okrucieństwo w stosunku do niego.

Hellburner Johnson wsłuchiwał się w odgłosy burzy. Pojedyncza, osłonięta abażurem elektryczna żarówka rzucała jasny krąg światła w mrocznej bawialni. Johnson natarł sobie włosy brylantyną i włożył najlepszą błękitną koszulę oraz prążkowany krawat. Granatowy płaszcz leżał rzucony niedbale na skórzanej walizkę, stojącą tuż na krawędzi świetlistego kręgu.

A więc stosunki między mieszkańcami tego domu osiągnęły punkt krytyczny. Mack uderzył Jima, po czym wyszedł dokądś, kipiąc z gniewu. Johnson czekał na niego już od dawna, wyglądając co jakiś czas przez zalewane strugami deszczu okno.

Usiadł w kręgu światła, próbując skupić się nad kartkami rękopisu, jaki przysłał mu jego przyjaciel London. Znając zamiłowanie Johnsona do podróży, Jack przepisał dlań kilka fragmentów, które zamierzał zamieścić w swej kolejnej książce.

Niebo przejaśniło się nieco. Johnson usłyszał na schodach znajome kroki.

Złożył kartki i wsunawszy je do kieszeni, sięgnął po płaszcz oraz bagaż.

- Jim? - Mack cicho zapukał do drzwi. - Odezwij się, Jim.  
- Zapukał ponownie. Z jego płaszcza i butów skapywała woda. Krążył po mieście bez kapelusza, z podniesionym kołnierzem i rękoma wsuniętymi głęboko w kieszenie, zastanawiając się, co zrobić, by stosunki między nim a synem stały się mniej napięte.

Chłopiec nie odpowiadał na pukanie. Mack nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Przestraszył go nagły hałas. Z mroku schodów wyłonił się Johnson. Mack natychmiast zauważył brylantynę na włosach współnika, jego świeżą podróżną koszulę oraz czarny prążkowany krawat.

- Zostaw go w spokoju, Mack.

- Co? - Mack zaskoczony był jego tonem.

- Powiedziałem, żebyś zostawił to dziecko w spokoju, póki nie nauczysz się traktować go jak należy. Wiem, co zrobiłeś. Rozmawiałem o tym z Jimem przed kolacją. Daj mu czas, by doszedł do siebie.

- Uderzyłem go, choć nie powinienem...

- Masz rację, nie powinieneś. Jim zachował się okropnie, to prawda, ale to, co uczyniłeś, to najgorsza z możliwych rzeczy. Lepiej, żeby ci się to więcej nie zdarzyło.

Mack popatrzył w intensywnie zielone oczy przyjaciela i wyczytał w nich niepokój. Objął Johnsona ramieniem i obaj odeszli od drzwi pokoju Jima. Czuł się słaby i pokonany.

- Czego on ode mnie oczekuje, Hugh?

- Nie martw się tym tak strasznie. Po prostu potrzebuje ojca, który nie byłby tak bardzo zajęty swymi ranczami, ropą, nieruchomościami i komitetami do spraw reform. I swoją kobietą. A także osobistymi porachunkami z pewnym zarozumiałym prawnikiem. Czy naprawdę ty i Fairbanks musicie się zachowywać jak smarkacze? Bo tak właśnie to wygląda.

Mack zatrzymał się na schodach, spoglądając w głąb holu. Przez widoczne za oknami chmury przedzierały się promienie słońca. Ogarnęło go nagłe poczucie winy, jakby był przyłapanym na gorącym uczynku przestępcą. W kilku prostych słowach Johnson zawarł całą istotę jego sporu z Fairbanksem i uświadomił mu, jak wygląda to dla osób postronnych.

Choć czynił to z niechęcią, musiał przyznać Johnsonowi rację.

- Widzę, że masz na sobie strój podróżny.

- Wyjeżdżam.

- Nie uprzedziłeś mnie.

- Do diabła, Mack. Nigdy nie ma cię w domu na tyle długo, by ktokolwiek zdążył ci o czymkolwiek powiedzieć. Mam nadzieję, że złapię jeszcze pociąg, który odchodzi o północy na Wschód, a potem może uda mi się wsiąść na handlowy statek wiozący bydło do Francji. Życie tutaj przestało mi się podobać.

Staął przed Mackiem i wymierzył weń wskazujący palec.

- Musiałem powiedzieć ci to wszystko przed wyjazdem. Nadal jesteś moim przyjacielem, ale niekiedy twoja pewność siebie i przekonanie o własnej nieomyślności zwodzą cię na manowce. Mówiłeś kiedyś, że nie chcesz wychować piecucha i maminsynka. A potem tak właśnie zacząłeś traktować Jima. Daj temu spokój. Weź udział w tym głupim wyścigu, a potem zapomnij o Fairbanksie i zajmij się synem.

- Zostanę na weekend w San Francisco. Zatelefonuję do Fairbanksa i powiem mu, że nie mogę...

- Nie zwracaj sobie tym głowy - powiedział Johnson, machając ręką. - Jim nie chce teraz z tobą rozmawiać. Ale zanim wrócisz, trochę ochłonie. Wtedy będziesz mógł naprawić to, co zepsułeś. Popraw się. Poświęć temu miłemu, bystremu dziecku trochę czasu, albo będziesz miał ze mną do czynienia, gdy wrócę.

Uniósł lewą połą granatowego płaszcza, spod którego ukazała się inkrustowana kością słoniową kolba rewolweru.

- Przekonasz się, że Fairbanks jest przy mnie jak dziecko. Ale lepiej nie każ mi tego udowadniać. Zrób porządek ze swoim życiem. Do zobaczenia.

Mały Jim usłyszał warkot silnika i zerwał się z łóżka. I tak prawie nie spał tej nocy, przestraszony błyskawicami. Choć burza, która szalała wewnątrz niego, była jeszcze gorsza.

Boso podbiegł do okna. Przez koronkowe firanki przedzierały się pierwsze promienie świtu. Przechylił się przez parapet. Ciemnobłękitne oczy miał zapuchnięte od płaczu.

Patrzył na samochody wjeżdżające na skrzyżowanie ulic Sacramento i Mason i skręcające na południe. Mack siedział za kierownicą „Srebrnego Ducha”. Płócienny dach sprawiał, że Jim nie mógł dostrzec jego twarzy.

Serce chłopca na nowo przepełniły ból, złość i rezygnacja. Z oczu pociekły mu łzy - nienawidził swojego płaczu i nienawidził ojca.



Za „Srebrnym Duchem” sunął cicho cadillac. Nad San Francisco wstawał różowy poranek pięknego wiosennego dnia.

Wspaniałego dnia na to, by zrobić to, co planował przez całą noc. Odsunął się od koronkowych firan, opuścił głowę i przez chwilę stał bez ruchu. Westchnął głęboko, jakby chcąc w ten sposób dodać sobie odwagi, po czym pokuśtykał do wielkiej mahoniowej komody, rzucając jednocześnie zaniepokojone spojrzenie na drzwi wiodące do holu. Nikt jednak nie zamierzał mu przeszkadzać.

Wyciągnął ulubioną koszulę i rzucił ją na łóżko. Znalazł pasek i spodnie. Z wbudowanej w ścianę szafy wyjął najsolidniejsze buty. Przypomniawszy sobie o czymś, pośpiesznie podszedł do biurka i zaczął przerzucać szkolne podręczniki, aż znalazł między nimi liczydło. Lubił patrzeć na paradę ziejących ogniem smoków goniących się po ramce. Przesunąwszy kilka czerwonych i żółtych koralików, z trudem przełknął ślinę i otarł policzki.

Nie mógł przecież, odchodząc, zostawić swej ulubionej zabawki.

## Rozdział 58.

Mack i Walter zaparkowali w gaju po wschodniej stronie Coast Road, jakieś dwadzieścia jardów od siebie. Każdy z nich chciał jeszcze sprawdzić swoją maszynę przed wyścigiem.

Fairbanks przywiózł ze sobą startera, sztywnego młodzieńca, członka nowej organizacji, jaka powstała w mieście: Automobile Club of Southern California. Był on równie mdły jak jego brązowy garnitur i biała koszula ze sztywnym kołnierzykiem i takimiz mankietami. Przyjechał brązowym louverne'em.

Jak zawsze w niedzielę, Coast Road za Point Lobos była niemal pusta. Lekko skręcając w głąb lądu, omijając zatoczki Pacyfiku, droga wiała się na południe ku Tehachapis, po czym zwracała na północ, w stronę Monterey. Był rześki kwietniowy dzień.

Mack pocił się w kombinezonie i hełmie, podczas gdy Yosh otworzył maskę silnika i zastrzyknął paliwo niezbędne do rozruchu.

- W porządku, panie Chance - oznajmił.

- A więc teraz otworzymy zawór benzynowy. - Mack lubił powtarzać na głos kolejne czynności związane z uruchamianiem silnika. Pomagało mu to w skoncentrowaniu się, co dziś przychodziło mu z jeszcze większym trudem niż zwykle, gdyż przez całą drogę z miasta nie mógł przestać myśleć o Jimie. I o ostrzeżeniach Johnsona.

Schylił się do ręcznej pompy paliwa i energicznie na nią nacisnął.

- Napęliłem gaźnik. Zakręć korbą, Yosh. Japończyk wykonał jego polecenie.

„Srebrny Duch” od rana był w drodze i rozgrzany silnik zapalił bez trudu. Starter Fairbanksa skinął na kierowców.

- Pośpieszcie się, panowie. Mamy już sześć minut spóźnienia.

Prawnik wyprowadził swego white'a z zagajnika, hamując tuż przed narysowaną na drodze linią.

Mack ustawił „Srebrnego Ducha” po jego lewej stronie, witając rywala niechętnym skinieniem głowy. Fairbanks lekko się uśmiechnął i skinął ręką.

Starter uniósł w górę pistolet.

- Warunki tego wyścigu są proste...

- Chwileczkę - przerwał mu Fairbanks. - Chciałbym zaczekać na mojego kibica. O, już jedzie.

Mack usłyszał zbliżający się od strony Monterey samochód. Auto było pomalowane na żółto. Prowadził je ubrany w liberię mężczyzna, obok którego siedziała kobieta ubrana w zbyt obszerny automobilowy kombinezon. Spod kasku wymykały się jej kosmyki jasnych, związanych w luźny kok włosów.

„To niemożliwe” - pomyślał Mack. Mały samochód marki buffalo podjechał bliżej i teraz nie mogło już być mowy o pomyłce: to była Carla.

Szofer zjechał na pobocze, zgasił silnik, po czym obszedł samochód dookoła, by pomóc wysiąść swej pasażerce. Carla wygramoliła się niezdarnie, potknęła się i z całym impetem wpadła na kierowcę. Nie przygotowany na to, nie zdołał jej podtrzymać i Carla osunęła się na kolana w pył przydrożny.

Mruczając przeprosiny szofer chciał jej pomóc wstać, ona jednak odepchnęła jego dłoń. „Pijana - pomyślał Mack. - A przecież jest jeszcze tak wcześnie. Boże, miej ją w swojej opiece.”

Jak dotąd Carla ani razu nie spojrzała w jego stronę. Fairbanks wysiadł ze swojego samochodu i Mack poczuł się w obowiązku uczynić to samo. Młody starter prawnika z zajęciem wpatrywał się w czubki swoich butów.

Mack zdjął hełm oraz gogle.

- Witaj, Mack - powiedziała Carla, krzywiąc w uśmiechu wymalowane usta. Był to zarozumiały, wyniosły uśmiech, podobny temu, jaki często pojawiał się na twarzy Fairbanksa. Najwidoczniej mieli ze sobą wiele wspólnego.

- Dzień dobry, Carlo. Co za niespodzianka.

- Przebyłam całą tę drogę z hotelu, by życzyć ci powodzenia. Oczywiście nie aż tak serdecznie, jak życzę go twemu przeciwnikowi - dodała, ujmując prawnika pod ramię.

A więc to tak. Nowy kochanek. Dziwne, że nie słyszał na ten temat żadnych plotek. Ale przecież nawet Swampy nie śledził prywatnego życia córki, czemu więc on miałby się tym interesować? Wiedział, że Fairbanks zawsze pragnął Carli, czy jednak do końca zdaje on sobie sprawę z tego, po co sięga? Ku swemu zdumieniu poczuł, że ogarnęło go na moment współczucie dla rywala. On sam na widok Carli na nowo doznał uczucia ulgi, jak wypuszczony na wolność więzień, dobrze pamiętający, co to znaczy znajdować się w zamknięciu.

Skrył jednak swoje uczucia pod grzecznym uśmiechem.

- Skoro rzeczywiście kibicujesz Walterowi, nie przyjmuję żadnych życzeń od ciebie.

Nienawiść malująca się w jej błękitnych oczach wywołała w nim lodowaty dreszcz. Założył z powrotem gogle i siadł za kierownicą „Srebrnego Ducha”.

- Zaczynajmy - powiedział.

Dłonią w rękawiczce Carla objęła za szyję Fairbanksa i pocałowała go. Zrobiła to tak, by wszyscy dookoła widzieli, jak namiętnie rozchyła przy tym usta. Na twarzy prawnika odmalowało się zakłopotanie, pozostali zaś z niesmakiem odwrócili wzrok. Przyzwoici ludzie nie pozwalali sobie publicznie na takie pocałunki.

Fairbanks uwolnił się z objęć Carli i coś do niej szepnął. Po chwili on także wsiadł do samochodu.

Carla cofnęła się, zaczepiając obcasem o kamień. Przewróciłaby się ponownie, gdyby kierowca nie podtrzymał jej, za co zaszczyciła go niechętnym „dziękuję”.

Starter stanął przed lśniąca w słońcu maską samochodu prawnika.

- O ile wiem, znacie panowie drogę. Trasa tego wyścigu biegnie na północ, w głąb lądu, ku „Del Monte”. Cały dystans wynosi dziesięć mil. Wygrywa ten, kto pierwszy dojedzie do hotelu i zatrzyma się na parkingu przed nim. Ruszycie na odgłos wystrzału. Czy są jakieś pytania?

- Nie - odparł Fairbanks. Siedział za kierownicą z gołą głową, tylko w goglach. Carla posłała mu z daleka pocałunek i pomachała ręką jak egzaltowana pensjonarka. Prawnik najwidoczniej lubił takie gesty. Skinął jej ręką, po czym zaczął bębnić palcami o kierownicę. Robił wrażenie całkowicie odprężonego.

- Możemy zaczynać? - zapytał Mack. Obecność Carli denerwowała go. Nie kochał jej, ale nie mógł zapomnieć o tym, że kiedyś do niego należała. Jej nowy romans brukał pamięć łączącej ich intymności.

Od niechcenia bawił się swymi goglami. Gumka przy nich była nieco za ciasna. Yosh przyglądał mu się z boku. Znał byłą panią Chance z widzenia, wiedział też, jaką cieszyła się reputacją. Potrafił również wiele wyczytać z wyrazu twarzy swego pracodawcy i widział, jak bardzo jest zdenerwowany.

Lekki wiatr zwichrzył włosy Fairbanka. Starter odsunął się na bok i Mack zacisnął dłonie na kierownicy. W chwilę później rozległ się strzał.

Fairbanks ruszył naprzód i natychmiast skręcił w lewo.

- Na miłość boską, Walterze - krzyknął Mack. Samochód rywala otarł się o przedni zderzak „Srebrnego Ducha”.

White wyjechał na środek drogi, przyspieszając. Mack krztusił się pyłem. Musiał zwolnić, żeby uniknąć zderzenia. Zderzak samochodu Fairbanksa i tak ledwie o cal minął oponę Dunlopa, którą przy zetknięciu przeciąłby jak nożem.

A więc to w taki sposób zamierzał walczyć Fairbanks. W porządku. Mack opuścił dach i położył przednią szybę. Wiatr zdarł mu z głowy czapkę, w twarz uderzyły drobinki kurzu. Ale pozwoliło mu to skoncentrować się tak, jak nigdy przedtem.

Wielka srebrna maszyna pognała przez pustkowie za samochodem rywala. Autostrada hrabstwa Monterey niezbyt zasługiwała na taką nazwę, wiała się bowiem w górę i w dół, przypominając raczej górską ścieżkę. Obu kierowców błyskawicznie okrył pył i spocona twarz Macka wyglądała tak, jakby posmarowano ją cieniutką warstewką rdzawego błota.

Na szybkościomierzu miał trzydzieści dziewięć mil na godzinę, a licznik wskazywał, że od początku wyścigu przejechał dwie i pół mili. Samochody podążały jeden za drugim, droga była bowiem zbyt wąska, by Mack mógł wyprzedzić Fairbanksa.

Dziury i wyrwy sprawiały, że kierowcy podskakiwali jak kowboje dosiadający nie ujeżdżonych wierzchowców na rodeo. Mack zacisnął szczęki z taką siłą że poczuł ból. Lepiej już było otworzyć usta, ryzykując, że nagły wstrząs wybije mu zęby.

Droga wiodła teraz w pobliżu jakiejś winnicy. Meksykańscy robotnicy oderwali się na chwilę od pracy, by popatrzeć na pędzące samochody. Mack z całej siły nacisnął hamulec, cudem unikając zderzenia z white'em, którym zarzuciło na pobocze, z powodu przebitej prawej opony.

Walter Fairbanks splunął i zaklął siarczyście, podczas gdy Mack spokojnie odjeżdżał w dal.

Siedział wygodnie za kierownicą, zamierzając przebyć resztę drogi do „Del Monte” w mniej zawrotnym tempie. Trudno było wierzyć, że wygrał tak łatwo, wiedział jednak, że zmiana koła zabierze prawnikowi przynajmniej dziesięć minut, a takiej straty czasu nie zdoła on już nadrobić.

Mack zatrzymał się na chwilę przy jakimś straganie, by kupić wielkie zielone jabłko. Nie czuł się usatysfakcjonowany tak łatwym zwycięstwem.

Licznik wskazywał, że przejechał już sześć mil. ....

Pół mili dalej, wyjeżdżając z gaju cyprysowego na rozległą równinę, dostrzegł nagle przed sobą olbrzymią, głęboką kałużę. Wiedział, że jeśli zwolni, straci uzyskaną nad przeciwnikiem przewagę, ale i tak było to lepsze od zalania silnika. Machinalnie podjął decyzję. Przyhamował i wolno wjechał w błotniste bajoro. Czuł, że silnik pracuje teraz na najwyższych obrotach, a opony z trudem pokonują opór wody...

„Srebrny Duch” powoli przejeżdżał przez kałużę. Wkrótce przednie koła samochodu wyłoniły się z niej, tylne jednak, niestety, zaczęły nagle obracać się w miejscu. Rolls - royce coraz głębiej zapadał się w błoto.

Mack zacisnął dłonie na kierownicy. Skąd wzięło się tutaj to bagno? Przecież po ostatniej burzy cały szlak od San Francisco do Monterey zdołał już wyschnąć!

Chwilę później dostrzegł jakiegoś mężczyznę, siedzącego na przyzbie nędznej chaty przy drodze.

Człowiek ów z nieskrywanym rozbawieniem przyglądał się samochodowi swymi małymi wylupiastymi oczyma.

- Wygląda na to, że ugrzązł pan.
- Może mi pan pomóc się stąd wydostać? Ma pan konie?
- Dwa muły. Tam na łące.
- Zapłacę panu.
- Jasne - kiwnął głową wieśniak. - Sto dolarów.

- Sądziłem, że jest pan farmerem, a nie lichwiarzem - warknął Mack.

- Jeśli to dla pana za dużo, proszę tu zostać - powiedział ów człowiek wzruszając ramionami. Mack domyślił się, że Matka Natura nie była jedyną siłą zdolną stworzyć takie pułapki dla nieostrożnych kierowców. Nieraz czytywał o podobnych sztuczках wymierzonych w bogaczy uganiających się swymi kosztownymi zabawkami.

- Dobra, zapłacę - powiedział z rezygnacją. - Niech pan idzie po muły.

Przyprowadzenie zwierząt zabrało farmerowi dziesięć minut, a zaczepienie ich łańcuchem o przedni zderzak pochłonęło dziesięć następnych. Chłop zażyczył sobie opłaty z góry. Mack wręczył mu studolarowy banknot. Farmer włożył pieniądze do kieszeni kombinezonu i śmignął batem.

- Naprzód, generale Grant! Naprzód, generale Lee!

Na czas mocowania łańcuchów Mack wyłączył silnik, teraz zaś uruchomił go na nowo. Wspólnymi siłami mułów i motoru bez trudu wyciągnęli samochód z błota.

Mack wysiadł z samochodu. Farmer obrzucił go pogardliwym spojrzeniem - nieczęsto udawało mu się naciągnąć mieszczucha na tak dużą sumę.

- Dobra robota - pochwalił Mack. - Zasłużył pan na premię.

- Och, to doprawdy miło z pana strony...

- Jasne - zgodził się Mack, wymierzając mu w twarz silny cios pięścią.

Z ust farmera posypały się siarczyste przekleństwa. Mack wyjął z jego kieszeni studolarowy banknot, po czym pchnął mężczyznę w stronę błotnistej kałuży.

Wskoczył z powrotem do „Srebrnego Ducha” akurat w chwili, kiedy na równinę pokrzykując i machając ręką



wjeżdżał Fairbanks. Farmer dostrzegł jego samochód dopiero w ostatniej chwili. Z wrzaskiem skoczył w środek kałuży.

Fairbanks z całej siły nacisnął hamulec i zatrzymał się nad samą wodą. Wykrzykując groźby pod adresem farmera, nakazał mu, by się cofnął. Mack patrzył przez ramię, jak jego przeciwnik wjeżdża w kałużę. Miał dużo szczęścia. White przebrnął przez wodę i ociekając błotem wyjechał z drugiej strony bajora.

Licznik wskazywał, że „Srebrny Duch” przejechał osiem i ćwierć mili. Droga stała się szersza i skręcała na wschód. W oddali widać już było dachy Monterey. Mijając zakręt, Mack ponownie obejrzał się przez ramię i dostrzegł podążającego za nim white'a. Gdy tylko droga poszerzyła się na tyle, że oba samochody mogły się zmieścić obok siebie, Fairbanks skreślił gwałtownie, kierując swe auto prosto w „Srebrnego Ducha”.

Rozległ się chrzęst metalu. Prawnik przymierzył się do powtórzenia swego manewru, ale tym razem Mack, przygotowany na to, uciekł mu, wjeżdżając w rosnącą przy drodze kępę chwastów.

Przed sobą zobaczył nagle wielkiego eukaliptusa. Obluzowane tylne drzwi zawadziły o jego wystający korzeń i poszybowały w niebo jak olbrzymia srebrna moneta. Mack ominął drzewo i powrócił na szosę, ruszając w ślad za obłokiem pyłu wznoszonego przez koła samochodu rywala.

Mack docisnął do oporu pedał gazu i pognał za Fairbanksem.

Na jakąś milę przed „Del Monte” droga stała się jeszcze szersza. Fairbanks o mało nie zepchnął do rowu dwóch wycieczkowych powozów, nie chcąc dopuścić do tego, by Mack go wyprzedził. Wielki silnik „Srebrnego Ducha” miał jednak moc o wiele większą od white'a i wkrótce obaj przeciwnicy jechali już ramię w ramię.

Jadąc z utkwionym przed siebie wzrokiem, Mack jęknął nagle: zupełnie zapomniał o pułapce czyhającej na nich przy wjeździe do hotelowej posiadłości. Pułapkę ową stanowił łukowaty kamienny mostek ponad laguną. Zmieścić się na nim mógł zaledwie jeden samochód. Tylko jeden.

Oba samochody ramię w ramię dotarły do miejsca, gdzie droga miała już tylko jeden wąski pas. Fairbanks znowu skręcił kierownicą, próbując zepchnąć przeciwnika na pobocze.

Mack nie spodziewał się tego manewru. Uderzenie wozu prawnika sprawiło, że przyciął sobie zębami język, trzymał jednak kierownicę tak mocno, jakby był do niej przyrośnięty. Na poboczu przy mostku stały jakieś powozy. Ich pasażerowie machali rękami, kibicując wyścigowi. Za white'em ukazał się nagle obłok tłustego czarnego dymu, a silnik auta począł się krztusić. To dało Mackowi lekką przewagę.

Fairbanks znowu natarł bokiem swego samochodu na „Srebrnego Ducha”, odrywając mu umocowane z prawej strony lustro. Przedni zderzak rolls - royce'a wygiął się tak mocno, że jego ostra krawędź zdarła z opony wążutki pasek gumy.

Fairbanks po raz trzeci uderzył w srebrne auto. Widzowie poczęli krzyczeć i gwizdać, wyrażając dezaprobatę dla nie sportowego sposobu walki. Z podbródka Macka spływała krew, plamiąc kombinezon. Oba wozy zbliżały się do przewężenia drogi przed mostkiem. Mack zacisnął zakrwawione usta, opuścił głowę i gnał przed siebie. Czuł, że white znajduje się zaledwie kilka cali za nim. Do przewężenia brakowało już tylko trzydziestu jardów.

Tylko dwudziestu.

Dziesięciu...

Rolls - royce nie zjechał na bok ani o milimetr i w końcu Fairbanka zawiodły nerwy. Mack usłyszał przekleństwo i pisk opon. Samochód przeciwnika został w tyle.

Z całym impetem wjechał na mostek dokładnie w chwili, kiedy zderzak zgiął się jeszcze bardziej, przecinając oponę. „Srebrny Duch” uderzył w kamienną balustradę. Mack próbował zapanować nad kierownicą, ale samochód ocierał się o kamienie, krzesząc iskry i dymiąc. Widzowie poczęli krzyczeć z przestachem i wyskakiwać ze swoich pojazdów.

Kiedy „Srebrny Duch” minął już mostek, Mack obejrzał się przez ramię. Okazało się, że Fairbanks wybrał inną drogę. Pokonawszy płytką lagunę, wjeżdżał właśnie w porastające drugi brzeg trzciny.

Spłoszone stado kaczek bijąc skrzydłami uciekało spod kół samochodu. Nagle jednak tylne koła white'a ugrzęzły w przybrzeżnym mule. Samochód zakołysał się, a jego silnik zasyczał. Ponad maską uniosły się olbrzymie kłęby pary. Fairbanks wyskoczył z wozu i wpadł w trzciny, które zdarły mu z oczu gogle.

Mack jechał dalej, choć „Srebrny Duch” ledwie reagował na ruchy drewnianej kierownicy.

Minął tłum rozentuzjasmowanych widzów i z szybkością nie większą niż dwie mile na godzinę wziął zakręt. Wysłuchawszy widocznie próśb i zaklęć Macka, „Srebrny Duch” zdołał dotoczyć się do podjazdu przed tarasem hotelu, po czym, wydawszy jakby westchnienie ulgi, zatrzymał się i osiadł na wygiętej feldze z dziurawą oponą.

Mack powlókł się z powrotem w stronę mostku. Kurz nadał jego włosom dziwną rdzawą barwę, a ślady krwi na kombinezonie zdążyły już zbrązowieć. Oblizał wargi, zastanawiając się, co też czuje teraz Fairbanks.

Ponieważ szedł pieszo, dotarł do mostku zaledwie na chwilę przed cadillakiem, luverne'em i błyszczącym złotym

buffalo, które podjechały z drugiej strony. Carla poleciła szoferowi, by się zatrzymał, po czym wyskoczyła z wozu i przez płytką lagunę pobiegła tam, gdzie miotał się Fairbanks. Jakiś otyły jegomość potrząsnął dłonią Macka, składając mu gratulacje. Carla zdarła z głowy gogle i czapkę, rzucając je w zieloną wodę, podczas gdy prawnik przyglądał się white'owi, teraz tkwiącemu jeszcze głębiej w przybrzeżnym mule.

- Czy nic ci się nie stało, mój drogi? - wykrzyknęła z niepokojem Carla, podbiegając do kochanka. Mack zatrzymał się przy balustradzie mostu i wyczerpany usiadł na kamieniu. Carla, jak zwykle, miała na palcach liczne pierścionki, z szafirami, szmaragdami oraz olbrzymimi, owalnie oszlifowanymi diamentami. Mack patrzył zdumiony, jak jego była żona obsypuje pocałunkami twarz Fairbanksa.

- Nic ci nie jest, kochanie? - pytała co chwila.

- Myślę, że nie - odparł prawnik. - Ale samochód jest już na nic.

- Nie martw się tym, najdroższy - powiedziała. - Mogę ci kupić nowy. Choćby nawet dziesięć. Przynajmniej tyle mogę uczynić dla mego męża.

Wiedziała, że Mack znajduje się wystarczająco blisko, by ją słyszeć.

Fairbanks objął Carłę. Stali teraz oboje w zielonej wodzie, uśmiechając się do Macka, który poczuł się nagle tak, jak owego pamiętnego dnia, kiedy został pobity przez Coglana na posterunku policji. Miał to samo uczucie klęski. Fairbanks odniósł nad nim zwycięstwo, zanim jeszcze rozpoczęli wyścig.

- Gratuluję, Chance - zawołał prawnik.

- Gratulacje także dla ciebie i Carli. Nie wiedziałem, że wzięliście ślub. Kiedyż miało miejsce to szczęśliwe wydarzenie?

Carla uśmiechnęła się lekko, pozwalając mężowi, by sam odpowiedział na to pytanie.

- Dwa tygodnie temu, w Los Angeles.

- Ach tak. Cóż za niespodzianka. Wszystkiego najlepszego.

Przepełniony dziwnym uczuciem ulgi Mack odwrócił się i pomaszerował z powrotem wzdłuż rzędu milczących kibiców.

## Rozdział 59.

Wyczerpanie i poczucie klęski nie opuszczało Macka jeszcze przez wiele godzin po wyścigu. Odesłał Yosha wraz z rolls - roycem z powrotem do San Francisco, mówiąc, że potrzebuje kilku dni tylko dla siebie. Nie miał pojęcia, dokąd się uda, obiecał jednak, że nazajutrz zadzwoni do Alexa Mullera. Wsiadł w cadillaca i o zachodzie słońca dotarł do małej wiejskiej gospody.

Nazajutrz z centrali telefonicznej w Monterey próbował zadzwonić na Sacramento Street, ale na linii były jakieś zakłócenia. Po trzeciej próbie Mack poddał się - nie mogło przecież wydarzyć się nic złego, jego interesy nie ucierpią, jeśli nie będzie go jeden dzień dłużej.

We wtorek pojechał do Carmel. Nellie podjęła go lunchem złożonym ze smażonej ryby i piwa. Ponieważ dzień był pochmurny, zapaliła lampy naftowe, które wypełniły wnętrze wzniesionej z sekwojowego drewna chaty charakterystycznym zapachem. W swoim domku Nellie nie miała ani elektryczności, ani telefonu.

Samotność najwyraźniej jej nie służyła. Opalenizna zniknęła z twarzy Nellie i miała teraz cerę białą jak lalka z chińskiej porcelany. Wokół oczu pokazała się siateczka zmarszczek. Nie dopisywał jej też humor: prawie nic nie jadła, paląc jednego tureckiego papierosa za drugim.

Mack powiedział jej, że zmienił zdanie na temat Hetch Hetchy i że napisał już o tym Muirowi. Spodziewał się, iż Nellie zareaguje na tę wiadomość z entuzjazmem, ale ona powiedziała tylko: „To dobrze.”

W milczeniu pozmywali i poszli na spacer ścieżką wśród białych wydm. Wzburzone morze wyrzuciło na brzeg wielkie kłody nadgniętego drewna. Jeden z pniaków przypominał Mackowi modlącego się na klęczkach człowieka.

Wędrowali na chłodzie, usiłując nie dotykać się nawzajem. Spod nóg co chwilę osuwał się im piasek. Jakiś człowiek z olbrzymią brodą pomachał do Nellie, przechodząc obok. Zmierzał na plażę, niosąc pod pachą farby i sztalugi.

Mack opowiedział Nellie o małżeństwie Carli. Zaskoczyło ją to.

- Czy widziałeś się z nimi jeszcze później? - zapytała.

- Nie. Odjechali zaraz po wyścigu. To dziwne, ale mam ochotę jak najszybciej zapomnieć o tym pojedynku i nigdy więcej nie wracać doń myślami. Pokonanie Fairbanksa nie przyniosło mi żadnej satysfakcji. Johnson trafnie to określił, jako bijatykę dwóch smarkaczy na szkolnym podwórzu.

- Niektórzy ludzie nigdy nie przestają postępować w ten sposób - powiedziała Nellie opuszczając głowę i wsadzając ręce w kieszenie spódnicy. - Nazywają taką rywalizację interesami, polityką, sportem... Powinieneś cieszyć się, że już z tego wyrosłeś.

Wiatr rozwiewał mgłę, marszcząc lśniąca, zieloną powierzchnię wody, po której niosło się wycie syreny statku. Mack miał ochotę wziąć Nellie w ramiona i mocno przytulić.

- Czas, byśmy porozmawiali o tobie - powiedział. - Nie wyglądasz dobrze.

- Och, fizycznie mam się całkiem nieźle. To tylko nerwy. Nigdy nie czułam się taka przygnębiona. Nigdy!

- Piszesz?

- Nie. Nie jestem nawet w stanie wziąć pióra do ręki. Nie potrafię już nic napisać. Przegrałam, Mack. Po prostu przegrałam.

- To minie, zobaczysz.

Krzywy uśmiech na chwilę pojawił się na jej twarzy.

- Co ja słyszę? Wielki pan Chance przyznaje, że człowiek ma czasem prawo być niedoskonały?

Mack roześmiał się.

- Nie ty jedna przegrywasz. Chcesz porozmawiać o klęskach? Mogę ci coś niecoś na ten temat powiedzieć.

Opowiedział jej o Jimie.

- Johnson ma rację także w tej sprawie - dodał na zakończenie.

Nellie na moment zapomniała o swoich kłopotach. Usiadła na wyrzuconym przez morze, wilgotnym od mgły pniaku.

- Jesteś zdumiewająco szczery, gdy mówisz o sobie.

- Już ci powiedziałem, że wiele rzeczy stało się dla mnie jasne dopiero teraz, podczas pobytu w hotelu. Ale co z tego? Dalej nie wiem, co robić.

- H.B. udzielił ci już odpowiedzi na to pytanie. Zapomnij na jakiś czas o interesach i skoncentruj się na Jimie, bez względu na to, jak bardzo będzie to na początku dla ciebie trudne... - Przerwała na chwilę, wpatrując się w mgłę. - Nie chcesz chyba popełnić tego samego błędu, jakiego nie ustrzegłeś się w stosunku do obecnej żony Fairbanksa, prawda?

- Ależ kiedy byliśmy z Carlą małżeństwem, nie raz próbowałem... - Mack urwał nagle. To, co chciał powiedzieć, byłoby wybielaniem się, obroną przed zarzutami. Sam nie wierzył we własne usprawiedliwienia, dlaczegóż więc mieliby wierzyć w nie inni? - Nie. Masz rację - rzekł w końcu. - Zanieczywałem ją. A kiedy ona reagowała na to, odsuwając się ode mnie, zanieczywałem ją jeszcze bardziej. I tak samo było z Jimem. Dopiero wczoraj to sobie uświadomiłem, choć ty pewnie widziałaś to od początku. Jesteś przecież taka bystra...

- O tak. Jestem ekspertem od problemów wszystkich ludzi, tylko nie mogę poradzić sobie z własnymi.

Nagły powiew wiatru sypnął w nich piaskiem. Nellie wstała i poszła w stronę wody. Wyraz rezygnacji, malujący się na jej twarzy zaniepokoił Macka. Objął ją i odwrócił ku sobie.



- Nie mogę znieść, kiedy popadasz w taki zły nastrój. Martwię się o ciebie.

- Ja też tego nie lubię. Gdzież jest ta cała kalifornijska nadzieja? Boże, ależ by mi się teraz przydała. - Odwróciła głowę i zacisnęła powieki. Po jej policzkach potoczyły się łzy. Zrzuciła mu rękę na szyję.

Mack poczuł, że cała drży.

Stali tak przez chwilę nieruchomo, aż wreszcie Nellie odchyliła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy. Jej usta były blade jak kość słoniowa. Mack pocałował ją, czując na wargach słony smak jej łez.

Włosy Nellie pieściły jego zamknięte oczy.

- Nikt nie ma na mnie tak dobrego wpływu jak ty - szepnął. - Kiedy zbaczam z właściwego szlaku, zawsze kierujesz mnie nań z powrotem. Zostań ze mną. Kocham cię...

Z niespodziewaną namiętnością Nellie oddała mu pocałunek. Mack poczuł, jak przyciska się do niego udami.

- Zostań ze mną - powtórzył.

- Nie mogę - odparła zdławionym głosem. - Nie pokonam swoich problemów, póki nie opuszczę tego stanu. A co będzie później, zobaczymy.

- Do diabła, Nellie. Pragnę cię do szaleństwa... Odepchnęła go od siebie.

- Twój syn cię potrzebuje. Jeśli naprawdę traktujesz poważnie swoje obowiązki rodzicielskie, nadszedł czas, byś to udowodnił.

- Nie dojadę już dziś do San Francisco.

- Jeśli wyjedziesz teraz, będziesz tam rano.

- Pozwól mi zostać.

- Bóg mi świadkiem, że pragnę cię ze wszystkich sił. Ale mimo to - nie! Mack pocałował ją w usta, potem zaś obsypał pocałunkami jej powieki.

- Chcesz tego samego, co ja. Czuję to.

- Proszę cię, Mack, jedź już. Nie wiesz nawet, jak dalece brakuje mi silnej woli. Jeśli zostaniesz na tę noc, będę cię błagać, byś został przez cały tydzień. Przez rok. Na zawsze. A znienawidziłabym siebie, gdybym trzymała cię z dala od Jima choćby o godzinę dłużej niż jest to konieczne.

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony.

- Och, proszę, nie bądź ironiczny.

- A czego, u diabła, oczekiwałaś? Odpychasz mnie od siebie! Nie pierwszy raz.

- Znowu tracisz panowanie nad sobą. Kiedy jednak dobrze to przemyślisz, dojdiesz do wniosku, że miałam rację.

- To nie zmienia faktu, że czuję się jak w piekle.

- Cóż, ze mną jest niewiele lepiej. Ale to nie twoja wina. Jedź już. Jedź!

Pobiegła przez wydmy. Mack nie gonił jej, stał bez ruchu, jakby skamieniał z rozpaczy.

„Przeklęta kobieta! Uparta jak zwykle!” - pomyślał, idąc do swego cadillaka. Odjechał, nawet nie wstępując do domu Nellie, by się pożegnać.

## Rozdział 60.

Okna tego niewielkiego budyneczku wychodziły na Half Moon Bay. Szyld wiszący nad drzwiami, słabo widoczny w świetle elektrycznej żarówki, głosił: SHORE CAFE: WINA, PIWA, LIKIERY.

Mack popatrzył na ten napis, zamknął samochód i wszedł do środka. Za plecami słyszał skrzeczenie morskich mew. Czuł się zmęczony. Jechał przez cały dzień, zatrzymując się tylko po to, żeby wziąć paliwo.

Jedyną osobą obecną w kawiarni był jej właściciel, zajęty myciem baru. Był to krępy mężczyzna o silnym karku, ubrany w koszulę w podłużne błękitne pasy. Pojedyncza, ocieniona abazurem lampa rzucała mdłe światło na znajdującą się za barem półkę, na której ustawiono liczne butelki i trzy pamiątkowe emaliowane talerze. Pierwszy z nich przedstawiał Cliff House, drugi - Midwinter Fair w Golden Gate Park, trzeci zaś - turystów siedzących w Japanese Tea Garden.

Właściciel strzepnął ścierkę, jakby chciał w ten sposób dać Mackowi do zrozumienia, że nie podoba mu się jego pogniecione i zakurzone ubranie.

- Już zamknięte - powiedział niechętnie. - Nie ma pan zegarka? Jest wpół do jedenastej.

- Chcę odrobiny whisky - odparł Mack, sięgając do kieszeni. - Na litość boską znajdzie pan chyba trochę czasu, by nalać mi whisky i sprzedać benzyny.

Mężczyzna przyjrzał się położonemu na ladzie banknotowi i zaśmiał się.

- Dwadzieścia dolarów? Za te pieniądze mogę spełnić pańską prośbę. Mogę nawet wydać na pana cześć ucztę. - Wskazał ręką stół w pobliżu drzwi kuchennych, zza których dolatywał zapach spalenizny.

- Jeśli chce pan pójść spać, proszę się nie krępować. Tylko niech najpierw napelni pan mój bak i da mi whisky - poprosił Mack.

- Ile?

- A ile pan jej ma?

Przechyliwszy głowę, Mack skrzywił się i przełknął alkohol. Przez chwilę rozkoszował się ciepłem, jakie rozlało mu się po brzuchu. Przed nim stały trzy kwaterki whisky. Jedna z nich była już pusta, druga na wpół opróżniona, trzecia zaś jeszcze nie zaczęta.

- Boże - jęknął. - Któraż to godzina? - wyjął kieszonkowy zegarek i otworzył kopertę. Było kilka minut po piątej.

- Czyżby już ranek?

Na zewnątrz, w półmroku, lśniła lekko karoseria cadillaca. W oddali połyskiwała szara, gładka powierzchnia Half Moon Bay, w której odbijały się nieśmiało różowe promienie świtu.

- Już ranek - stwierdził Mack, smutno potrząsając głową. Wyobraził sobie co powiedziałyby Nellie, gdyby wiedziała, że przesiedział całą noc, pijąc taną whisky tak długo, aż zasnął.

No, trudno. Wczoraj był tak wyczerpany, że nie mógłby dłużej prowadzić wozu. Teraz, pomimo wieczornego pijaństwa, czuł się znacznie lepiej. Był pewien, że poradzi sobie zarówno z Jimem, jak i z Nellie. Nie wolno zapomnieć o wskazówce T. Fowlera Hainesa: człowiek nigdy nie powinien tracić nadziei.

Wstał od stołu. Chciał wyjść na dwór i popatrzeć na wschód słońca. Nagle kiedy podchodził do drzwi, podłoga pod jego stopami zadrżała. Usłyszał jakiś odległy wybuch. Z sufitu posypał się tynk, okrywając jego ramiona białym pyłem.

Na górze rozległy się kroki i przekleństwa. Z półek za barem spadać poczęły butelki.

Mack ze zdumieniem spojrział na drżący nad jego głową sufit. A potem zapadła cisza. Wszystko to musiało trwać nie

więcej niż trzydzieści sekund. W oddali ktoś uruchomił dzwon ostrzegający o pożarze. Na górze trzasnęły drzwi i na schodach ukazał się ubrany w czerwoną flanelową piżamę właściciel kawiarni. Ziewając, potarł nie ogolony policzek. - Jezus, spadłem z łóżka. I dopiero to mnie obudziło.

- Co to, u diabła, było? Trzęsienie ziemi?

- Owszem. I chyba niemałe.

- Cóż, przynajmniej nie trwało długo...

Nie dokończył, bo podłoga zakołysała się znowu, a sufit nad jego głową rozstał się nagle, tworząc szeroką szczelinę. Mack wyskoczył z budynku w ostatniej chwili, gdy „Shore Cafe” z hukiem waliła się na właściciela lokalu.

Mały Jim obudził się w tym samym momencie, co jego ojciec. W nos uderzył go zgniły odór śmietnika. Pałaca się w nocy latarnia uliczna, świecąca ponad wozem mleczarza, gdzie znalazł schronienie na noc, już zgasła.

Jim oparł się o ścianę budynku i przycisnął do piersi trzymane w dłoniach zawiniątko. Był skostniały z zimna. Opuścił Sacramento Street w niedzielę o zmierzchu. Musiał długo czekać, aż nadarzy się po temu dogodna sposobność. Chwila, kiedy Alex, pani Olivar i profesor Love przebywali poza domem, a cała służba była zajęta.

„Wracam do taty” - powiedział do siebie, otrząsając się z resztek snu. Trzy noce spędzone na włóczędztwie zupełnie pozbawiły go chęci do uciekania z domu. W niedzielę i w poniedziałek spał w Golden Gate Park i bardzo zmarzł. Zjadł też wszystkie zabrane z kuchni jabłka i cały chleb. W poniedziałek w nocy jakiś nieznajomy człowiek podszedł do niego i rozpiąwszy spodnie, obnażył genitalia, czyniąc mu przy tym ordynarne propozycje. Jim uciekł, nawet nie wysłuchawszy ich do końca.

Ostatniej nocy włóczył się do późna, zanim znalazł schronienie między śmietnikiem a ścianą budynku. Spał przy

podmurówce czteropiętrowego „Valencia Street Hotel”, taniej gospody tuż przy Market Street.

Ojciec go nie kochał, ale Jim nie potrafił jeszcze zatroszczyć się sam o siebie. Był zeszywniały z zimna i głodu. Powrót do domu wydawał mu się więc lepszy od pozostania tutaj, nawet jeśli ojciec miałby ukarać go za ucieczkę...

Uwagę chłopca zwrócił jakiś odgłos dobiegający z odległego końca ulicy. W promieniach świtu dostrzegł sylwetkę mężczyzny ubranego w sięgające kostek postrzępione spodnie oraz połatany płaszcz. Na dłoniach miał wełniane rękawiczki bez palców.

Przez chwilę Jim pomyślał, iż może to ów ordynarny człowiek z Golden Gate Park. Ale to nie był on: ten miał potargane, kręcone włosy, sięgające mu aż do ramion.

Rozległ się szmer spływającej po ścianie strużki. Najwidoczniej nieznajomy oddawał pod murem mocz. Nagle koń zaprzężony do wozu mleczarza zaczął parskać, potrząsać głową, jakby czegoś się przestraszył.

„Chcę do domu! Natychmiast!” - pomyślał Jim, niezdarnie gramoląc się na nogi.

- Hej, jest tam kto? - zawołał kędzierzawy mężczyzna, zmierzając w stronę chłopca.

Jim ruszył w przeciwnym kierunku. Uczynił kilka kroków i znalazł się na Valencia Street. Koń nadal potrząsał łbem, jakby próbując zerwać uprząż. Coś musiało szalenie go przestraszyć.

Nagle ziemia zadrżała i rozległ się hałas przypominający dudnienie rozpędzonego pociągu. Jim rozejrzał się wokół siebie, nie odkrył jednak źródła tego dźwięku. I wówczas ulica zafalowała jak trzepany dywan. Chłopiec z lękiem otworzył usta, ale jego krzyk utonął w przerażającym huku osuwających się ścian pobliskich budynków. W „Valencia

Hotel" wyrwani ze snu goście poczęli krzyczeć i miotać się w panice. W jednej chwili w mieście zaczęły bić wszystkie dzwony. Wrzawa, jaką czyniły, budziła grozę.

Olbrzymi gzyms przeleciał tuż obok Jima i z hukiem rozpadł się na kawałki, uderzając o ziemię. Chłopiec krzyknął i przywarł całym ciałem do muru hotelu. Odłamek gruzu ranił go lekko w policzek oraz rozciął mu powiekę.

Niespodziewanie na jego ramieniu zacisnęła się czyjaś dłoń.

- Co się stało, mały?

Jim krzyknął, widząc nad sobą obcą twarz, otoczoną kędzierzawymi włosami.

Był to ten sam mężczyzna, którego zauważył wcześniej u wylotu ulicy.

- Pozwól mi przejść, młodzieńcze. Pozwól, by stary Jocker zobaczył...

Jakiś gość hotelowy wybiegł na ulicę, płosząc zaprzężonego do wozu konia. Po drugiej stronie rozpadł się nagle na dwie części i zwałił się na ziemię komin dwupiętrowego budynku. Lawina cegieł posypała się na stojącego na chodniku mleczarza. Jakiś kamień rozbił pojemnik z mlekiem, które rozlało się zmieszane z krwią rannego człowieka.

Dachy zapadały się jeden po drugim, a kominy zwały się na ziemię, sypiąc wokół snopami iskier. Ulica falowała, jak wody oceanu. Jim zeszywniał z lęku. Nawet gdyby nieznajomy nie zaciskał dłoni na jego ramieniu, i tak nie byłby w stanie uciec.

- Jezu! Boże! To dzień sądu ostatecznego - wykrzyknął mężczyzna. Kiedy wydawało się już, że całe to horrendum trwać będzie w nieskończoność, wszystko nagle umilkło.

- Trzęsienie ziemi - trzeźwo ocenił sytuację trzymający Jima człowiek.

Z okolicznych domów nadal w panice wybiegali ludzie. Z kikutu jednego ze zawalonych kominów strzelił w niebo ogromny język ognia, który jednak szybko zniknął, a w jego miejsce pojawiła się smuga gęstego, czarnego dymu. Ani na chwilę nie przestawały bić dzwony. W niecałe dziesięć sekund później poranek znowu wydawał się rześki, pogodny, a niebo byłoby całkowicie przejrzyste, gdyby nie zasnuwał go unoszący się ponad zrujnowanymi budynkami pył. W dole Market Street dal się słyszeć syk spienionej wody, która tryskała na wysokość dwóch pięter. Widocznie został uszkodzony jakiś uliczny hydrant.

Jim postąpił krok do tyłu, próbując wyrwać się trzymającemu go mężczyźnie, kiedy ziemia pod jego stopami zadrżała ponownie. W połowie ulicy uniósł się bruk, tworząc spory pagórek. „Valencia Hotel” zakołysał się, zaś stojące nieopodal trzy inne budynki pochyliły się pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Ponownie rozległ się przerażający rumor. Na głowę Jima posypały się odłamki tynku.

- Uważaj, chłopcze - krzyknął włóczęga, rzucając się ku niemu i osłaniając go własnym ciałem przed kaskadą cegieł, które spadały ze składającego się właśnie jak domek z kart hotelowego budynku, grzebiącego pod gruzami dziesiątki ofiar.

Mack gnał na południe jak szalony. Jego siwe włosy rozwiewał wiatr. Kurczowo ścisnął kierownicę, jakby próbując zmusić auto, aby jechało jeszcze szybciej.

Za plecami zostawił leżące w gruzach nabrzeże Half Moon Bay. Po pierwszej fali wstrząsów, o wpół do szóstej rano, Mack zorientował się, że część kawiarni ocalała. Przy pomocy mieszkających po sąsiedzku ludzi odgruzował wejście i odnalazł rannego, ale żywego właściciela.



Jadąc samochodem, Mack wpatrywał się w ciągnące się aż po linię horyzontu wody Pacyfiku po lewej stronie i brzeg półwyspu po prawej. Wywołane trzęsieniem ziemi fale morskie wdarły się na ląd, powodując liczne zniszczenia - między innymi wyrywając i unosząc ze sobą przeszło pół mili torów kolejowych.

Po prawej stronie drogi Mack ujrzał nagle wymachującego rękoma człowieka, stojącego przed zawalonym składem, którego ocalały szyld głosił: ŚWIEŻE KARCZOCHY I AWOKADO!

- Zatrzymaj się, człowieku! Zawracaj - krzyknął nieznajomy. Wszystko leży w gruzach. Linia telegraficzna zerwana. Dzwoniłem do Palo Alto. Z uniwersytetu zostały ruiny...

Mack zacisnął dłonie na kierownicy. O milę przed sobą ujrzał obłoki dymu oraz mieszaninę jaskrawych kolorów: czerwieni, żółci i różu.

Nie widział jeszcze miasta, ale kolorowe języki ognia powiedziały mu, że trzęsienie ziemi, jakie nastąpiło tu przed czterema godzinami, wyrządziło szkody znacznie większe niż obrócenie w ruinę kilku budynków.

- Jim! - krzyknął, naciskając pedał gazu. - Jim!

O dziewiątej piętnaście rano, osiemnastego kwietnia 1906 roku, Mack Chance wjechał do San Francisco.

Do płonącego San Francisco.

## Rozdział 61.

Policja specjalna - powiedział ubrany po cywilnemu mężczyzna.

Stał przed maską cadillaca na skrzyżowaniu Tenth i Bryant z wycelowanym w Macka wielkim koltem.

Skrzyżowanie zasnuwał dym, czarne jego kłęby wzbijały się w powietrze także na południe od Market Street. Mack słyszał brzęk wybijanych szyb,

- Kto pana wynajął do tej służby?
- Burmistrz Schmitz. Mnie i tysiące innych.
- Gdzie pańskie upoważnienie?
- W bębenku tego rewolweru.
- Proszę zejść mi z drogi. Mieszkam na Nob Hill.

Nazywam się Macklin Chance.

- Och, pan Chance! Nie poznałem pana, choć wielokrotnie widywałem pańskie fotografie... - Mężczyzna odsunął się sprzed maski samochodu. - Proszę jechać i być ostrożnym. I proszę uważać na to - wskazał dłonią tryskający wodą hydrant, wokół którego ziemia zdążyła się już przemienić w błotnistą maź.

- Co się tu dzieje?

- W całym mieście woda tryska z hydrantów tworząc wielkie kałuże.

- Czy to znaczy, że uszkodzeniu uległy biegnące pod ziemią rury?

- Na to wygląda. Proszę pamiętać, że na Market Street panuje istne piekło. Ludzie wynoszą z budynków wszystko, co tylko da się ocalić. Zupełny dom wariatów. Proszę nie wykonywać żadnych podejrzanych ruchów. Oni biorą bardzo poważnie to, co zostało tu napisane. - Wyjął z kieszeni zmiętą ulotkę i podał ją Mackowi.

**NALEŻY ZABIĆ KAŻDEGO PRZYŁAPANEGO NA GRABIEŻY, KRADZIEŻY LUB JAKIMKOLWIEK INNYM**

PRZESTĘPSTWIE - głosił wilki napis. Pod spodem widniał podpis burmistrza.

- Zabijać ludzi nie zadając im żadnych pytań? Jak Schmitz mógł wydać takie polecenie?

- A jak mogło wydarzyć się coś takiego jak to?

Mack przejechał przez wielkie rumowisko cegieł utworzone przez zwalony komin. Wśród ruin jakiegoś domu pełzały z sykiem języki błękitnych płomieni, wydobywające się z pogiętych rur. W górę Market Street podążała pośpiesznie pompa strażacka. „Cóż straż pożarna zdoła uczynić bez wody?” - pomyślał Mack.

Zabandażowany mężczyzna w długiej, flanelowej nocnej koszuli podbiegł do cadillaca, prosząc o podwiezienie.

- Byłem pacjentem Central Emergency Hospital, który zawalił się nam prosto na głowę. Muszę odnaleźć żonę. Obawiam się, że mogła już opuścić nasze mieszkanie na North Beach.

- Proszę wsiadać. Będę jechał przez Market Street.

- To takie straszne, takie straszne - nie przestawał lamentować ranny mężczyzna, sadowiąc się obok Macka. - Redakcja Hearsta stanęła w płomieniach. Opera także już nie istnieje. Wczoraj Caruso śpiewał tam partię Don Josego. Zatrzymał się w jednym z naszych hoteli i powiadają, że zginął. Och, Boże, tak się niepokoję o moją żonę.

- Dokąd mogła się udać?

- Na księżyc. Mieszkają tam wszyscy krewni mojej żony.

- Powodzenia - powiedział mu Mack na pożegnanie. Mężczyzna podziękował i poszedł przed siebie. Mack ze zdziwieniem pokręcił głową. Central Emergency Hospital pozbył się wszystkich pacjentów, nawet obłąkanych.

Skrećiwszy na Market Street, Mack ujrzał przerażający widok. City Hall był na wpół zrujnowany i niebezpiecznie przechylony. Wszędzie kręciło się mnóstwo wojska. Byli tu

żołnierze z Fort Mason, z Presidio oraz kawaleria z koszar przy Pine Street. Wszyscy byli uzbrojeni, niektórzy mieli bagnety.

Od strony północnej nad nabrzeżem unosiły się kłęby dymu, które chwilami przesłaniały nawet wysoki osiemnastopiętrowy budynek „Call”, jak dotąd nie tknięty jeszcze ogniem.

W dole ulicy Mack zobaczył mężczyzn w garniturach i kobiety z parasolkami, którzy wyglądali tak, jakby wybrali się na przechadzkę. Dopiero po chwili ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że jest to zbiegowisko gapiów.

Cadillac wolno sunął ulicą, przedzierając się jak mała łódka przez falujące morze ludzi. Setki mieszkańców San Francisco, przerażonych tym, co się stało, uciekało w stronę parków i nadmorskich plaż. Wlekli za sobą wózki ręczne, kosiarki do trawy i maszyny do szycia, na które zapakowali swój dobytek. Dwóch ludzi pchało nawet pianino wraz z piętrzącym się na nim stosem ubrań i manekinów krawieckich.

Dym począł szczypać Macka w oczy, wdzierając się do gardła i powodując atak kaszlu. Wokół siebie widział coraz więcej błękitnych mundurów i wysokich hełmów. Widocznie prócz żołnierzy i specjalnych oddziałów policji skierowano tu także policjantów z elitarnej jednostki kapitana Drinana.

- Z drogi - zawołał siedzący na koniu dowódca, wymachując batem i torując sobie drogę wśród ludzkiej ciżby.  
- Oddział za mną.

Uzbrojeni w bagnety żołnierze uformowali dwuszereg i posłusznie ruszyli za nim. Otoczyli cadillaca.

- Rekwirujemy to auto - oświadczył kapitan.

- Chwileczkę, kapitanie... - Proszę wysiąść.

Mack musiał zastosować się do tego rozkazu.

- Sądziłem, że armia uważa te zabawki bogaczy za zupełnie dla siebie nieprzydatne.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Samochód jest nam potrzebny do przewozu zabitych i rannych. Dotyczy to wszystkich aut. Żaden inny pojazd nie przedrze się teraz przez ulice. Szeregowy Allen, proszę zabrać wóz.

Wskazał batem na wschód. Mack bezradnie patrzył, jak młody żołnierz w mundurze khaki odjeżdża jego samochodem, zmuszając tłum, by rozstępował się przed nim.

Idąc dalej, spostrzegł na ulicy martwe konie. Pod nogami chrzęścił mu, wyrwany z ziemi, pokruszony bruk. Wszystkie saloony były zamknięte. „Na polecenie burmistrza” - głosiły napisy na drzwiach. Unoszący się wokół dym stał się tak gęsty, że nie widać było nawet słońca.

U wylotu Market Street leżała jakaś kobieta w podwiniętej spódnicy, kurczowo zaciskając ręce na framudze drzwi. Szarpała się i wyprężała, krzycząc przeraźliwie. Klęczało przy niej dwoje ludzi. Mijając ich Mack dostrzegł pomiędzy rozłożonymi nogami kobiety nowo narodzone dziecko.

W chwilę później wyprzedziło go kilku mężczyzn pchających wózek pełen worków z napisem: FAIRBANKS TRUST. Trzej z nich dzierżyli w dłoniach gotowe do strzału rewolwery.

- Co tam macie? - zapytał Mack, podchodząc do nich.

- Milion dolarów w sztabkach złota - odparł uzbrojony mężczyzna, wymierzając weń broń. - Chcesz przyjrzeć się im z bliska? Ostrzegam, że będzie to twoje ostatnie spojrzenie.

- Nie, dziękuję. Wierzę ci.

Mack odsunął się i mężczyźni z wózkiem, przyśpieszywszy kroku, zniknęli za zakrętem. Dokąd zmierzali? Do Ferry Building? Do Oakland? Czy nadal kursowały promy?

Napotkawszy próbującego kierować ruchem ulicznym sierżanta policji, Mack zapytał go o sytuację w mieście.

- Och, panie Chance, to prawdziwa katastrofa - odparł policjant z wyraźnym irlandzkim akcentem - Nie ma innej wody prócz tej, jaką zgromadzono w cysternach, i tej, pompowanej z zatoki. Nie działa żaden alarm przeciwpożarowy - cała stacja alarmowa w Chinatown została zniszczona podczas trzęsienia ziemi. Biedny Dennis Sullivan został śmiertelnie ranny, kiedy zawaliło się jego stanowisko dowodzenia...

Sullivan, szef miejskiej straży pożarnej, bezskutecznie próbował wyżebrać od władz pieniądze na udoskonalenie systemu wodociągów.

- Nikt nie potrafi tak jak on pokierować strażakami. Mieliśmy jeszcze dodatkową robotę w Hayes Valley. Jakaś przeklęta baba próbowała upichcić śniadanie mając rozwalony komin. Prawdziwy dopust boży. Może Bóg postanowił zniszczyć to grzeszne miasto, wraz z jego dziwkami i sodomitami...

- A jak jest na Nob Hill?

- Tymczasem bezpiecznie, ale kto wie, jak długo jeszcze tak będzie?

Mack ujrzał chmurę dymu. Budynek „Call” sterczał teraz jak wierzchołek góry lodowej ponad oceanem dymu.

„Kto wie, jak długo jeszcze tak będzie?”

Skreślił w przecznicę, przy której stał „Call”. Ludzi było tu jeszcze więcej niż gdzie indziej. Tłum wypełniał szczerze całą jezdnię od krawężnika do krawężnika, zadając pytania i przekrzykując się w odpowiedziach na temat trzęsienia ziemi. Nie byli to jednak typowi gapie. Zamiast lekkomyślnej ciekawości, Mack dostrzegł w ich oczach zmartwienie.

- Czy „Call” też może się zawalić?

- Nie za naszego życia. Ten budynek jest ogniotrwały.

- „Crocker” także miał być ogniotrwały, a stanął w płomieniach.

- Ale „Palace” stoi nietknięty. Widzicie łopoczące na jego dachu flagi?

- Wiwat stary „Palace”. Niektórzy poczęli bić brawo.

Od południowej strony Market Street dolatywał huk płomieni, tętent kopyt końskich, brzęk szkła z wybijanych szyb, krzyk żołnierzy i policjantów, płacz dzieci i wycie klaksonów samochodowych, kiedy auta przepychały się przez tłum, uwożąc zabitych i rannych. Wciąż słychać było, jak zawalają się kolejne budynki.

Mack zerknął na zegarek. Dochodziło południe. Krzyki na ulicy stały się jeszcze głośniejsze, kiedy na najwyższym piętrze budynku „Call” pojawił się słup dymu. Zaczęły pękać szyby okien, a odłamki szkła posypały się na chodnik. Tłum wokół Macka zafalował i z krzykiem rzucił się do ucieczki.

Sierżant policji użył właściwego słowa: katastrofa. Serce San Francisco wprawdzie jeszcze biło, ale wszystko wskazywało na to, że wkrótce się zatrzyma.

Skręcił w Grant Street i rzucił przelotne spojrzenie na Union Square. Pełno było tam ludzi i jak na razie nie widziało się żadnych zniszczeń. Na skraju skweru natknął się na człowieka, którego znał z Bohemian Club.

- Chance. Jesteś w Komitecie Ocalenia, czy wiesz o tym?

- Nie. Dopiero co wróciłem do miasta. Co to za komitet?

- Burmistrz chce, by zorganizowano straż ogniową i szpitale polowe. Wybrał pięćdziesięciu najznamienitszych obywateli miasta. Przewodniczącym został Jim Phelan. Wysłano poselstwo do burmistrza Motta w Oakland i gubernatora Pardee w Sacramento. Zobaczyłem twoje nazwisko, kiedy o dziesiątej rano ogłaszano skład komitetu. Pewnie teraz zebrał się na posiedzenie.

- Gdzie?

- Nie jestem pewien. Słyszałem, że członkowie komitetu opuścili gmach sądu i udali się do nowego budynku „Fairmont”.

- Dzięki - odparł Mack i zaczął przepychać się ku Dewey Monument. Jakiś mężczyzna, stojący przy skwerze od strony Geary Street, krzyczał, wymachując rękoma:

- Uciekajcie do Oakland. Trzynaste nabrzeże.

- Ile? - krzyknął ktoś z tłumu.

- Pięćdziesiąt centów.

- To złodziejstwo.

Ze dwudziestu ludzi ruszyło jednak za nim.

Mack zmierzał w stronę Post Street, kiedy nagle rozległ się zbiorowy krzyk. Odwrócił się. Cztery najwyższe piętra „Calla” stały już w płomieniach. Za budynkiem, przynajmniej na dwie mile, rozciągało się morze ognia, zasnuwając niebo czarnym dymem. Na południu podobny dym świadczył o tym, że płonie także Hayes Valley - widocznie pożar, który zaczął się od zepsutego komina, zdążył się już rozprzestrzenić. Ciągły trzask płomieni oraz huk pękających ścian budynków i łomot osuwających się cegieł sprawiały wrażenie, jakby wokół toczyła się wojna.

Mack minął Post Street i skierował się na Powell. Niespodziewanie dostrzegł Alexa Mullera, który skręcał właśnie w St. Francis Street. Muller był bez kapelusza i płaszcza. Szedł w stronę skweru.

- Alex! - zawołał Mack, przepychając się przez tłum. Usłyszawszy swoje imię, Muller odwrócił się.

- Pan Chance!

Wydawało się, że widok pracodawcy wcale go nie ucieszył. Na przepoconej koszuli Alexa widniały smugi brudu, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało.

- Nie wiedzieliśmy, gdzie pan jest ani kiedy pan wróci. Komitet burmistrza...



- Tak, słyszałem o tym. Czy i ty występujesz w roli gapia, podobnie jak wszyscy tutaj?

- Nie, proszę pana. Przyszedłem tu w nadziei, że... Czy był pan już w domu?

- Nie, jeszcze nie.

- A więc nie wie pan nic o synu?

Mimo żaru bijącego od płonących domów, Mack poczuł, że robi mu się zimno.

- Czy Jim jest ranny?

- Nie, proszę pana. W niedzielę po południu profesor, Angelina Olivar i ja przez kilka godzin przebywaliśmy poza domem. Ja wróciłem pierwszy, jakiś kwadrans po dziesiątej. Ponieważ Angelina miała wrócić dopiero w poniedziałek rano, zajrzałem do Jima, ale okazało się, że nie ma go w pokoju. Najwidoczniej wymknął się z domu pod naszą nieobecność.

- Co to, u diabła, znaczy: wymknął się?

- Przykro mi o tym mówić, proszę pana... Na twarzy Mullera malowało się zmieszanie. - Myślę, że on uciekł.

- O Jezu! Nie!

- Próbowaliśmy się z panem skontaktować, choć nie wiedzieliśmy dokładnie, dokąd się pan udał. W „Del Monte” powiedziano nam, że już pan wyjechał. Yosh twierdził, że zadzwoni pan w poniedziałek rano, ale nie uczynił pan tego. Wieczorem poprosiliśmy władze lokalne, żeby poleciły swoim agentom odszukanie pana, ale kiedy wymieniliśmy pańskie nazwisko, nie chciano z nami dalej rozmawiać... - Mack był zbyt wstrząśnięty, by zareagować na te słowa. - Nie było mnie w domu przez cały ranek - ciągnął Alex. Od chwili gdy obudziło nas trzęsienie ziemi, krążyć po ulicach w nadziei, że natknę się gdzieś na Małego Jima... Czuję, że nadal jest w San Francisco.

- Jesteś pewien, że uciekł?

- Zabrał ze swego pokoju wiele rzeczy. Łóżko było nie pościelone.

- Czy od razu w niedzielę zadzwoniłeś na policję?

- Naturalnie. Uczyniłem to niezwłocznie. Szczegółowo opisałem im wygląd Jima.

- Do diabła, czy rzeczywiście tak trudno odnaleźć siedmioletniego chłopca, który w dodatku kuleje na jedną nogę?

- Nie, proszę pana. Zeszłej nocy pieszy policjant patrolując Market Street widział go tam. Niestety Jim zniknął mu w tłumie. A dziś rano... No cóż, sam pan widzi, co się tu dzieje. Policja nie ma czasu go szukać.

Kolejny budynek zawalił się z głośnym hukiem. Mack powiódł wzrokiem po otaczającej go ludzkiej ciżbie. Pod powiekami poczuł łzy, zdołał je jednak powstrzymać.

- Boże, gdzie on jest?

Ulicą wstrząsnął nowy, odmienny od poprzednich wybuch. Ludzie zaczęli krzyczeć, osłaniając głowy rękoma.

- Czy to następny wstrząs?

- Nie, nie. To dynamit. Żołnierze detonują budynek, by powstrzymać pożar. Po chwili rozległy się jeszcze dwa wybuchy.

- Jeśli mogę panu coś zaproponować... - zaczął Alex.

Mack odwrócił się i zobaczył jakiegoś mężczyznę, który przepychał się obok niego. Nie zastanawiając się, co robi, pobiegł za nim.

Pośpiesznie minął Powell Street. Za jego plecami, na przestrzeni półtorej mili od zatoki aż po Sixth Street, ciągnęło się morze płomieni. Ogień ogarnął już cały budynek „Call” i nieubłaganie zmierzał teraz ku „Palace Hotel” przy Montgomery. Biegąc w stronę domu, Mack czuł się tak, jakby niespodziewanie znalazł się w samym środku piekła.

Minął jakąś małą dziewczynkę, kurczowo ściskającą w rączce szmacianą lalkę, i przebiegł obok siedzącej w drzwiach domu starej Chinki, po twarzy której spływały łzy.

Nie zatrzymując się przemknął obok kawiarni, przy której dwaj policjanci z oddziałów specjalnych odbierali właśnie złodziejowi srebrne sztucce. Biegł w górę California Street, nie zwalniając mimo palącego bólu w klatce piersiowej. Wielogodzinny głód, szok oraz wyczerpanie dały jednak w końcu o sobie znać. Oparł czoło o zimny granit nowo wybudowanego, wciąż jeszcze nie otwartego „Fairmont Hotel”. Nieoczekiwanie pomyślał o Margaret i jej restauracji przy Mission Street. Z pewnością legła w gruzach. Czy Margaret nic się nie stało?

Podniósł głowę. Gorący podmuch rozwiął jego siwe włosy. Czuł się tak zmęczony, że miał ochotę usiąść na ziemi. Musiał jednak iść dalej. Do domu. Ale właściwie czemu tak się spieszył? Cóż może zrobić, skoro Jim odszedł? Kto odnajdzie teraz chłopca pośród wielotysięcznego tłumu?

I jeszcze ten komitet...

Przedstawił się strażnikom i wszedł do hotelu.

Otworzył drzwi do salonu wciąż jeszcze pachnącego świeżą farbą.

- Witaj, Mack - powiedział Jim Phelan zza prezydialnego stołu. - Długo na ciebie czekaliśmy.

- Dopiero dziś przyjechałem z Carmel. Trzęsienie ziemi zastało mnie w Half Moon Bay.

- Zastanawiam się, w jaki sposób uratować to miasto - odezwał się Rudolph Spreckels.

- Już za późno na to. - Ten głos należał do Fairbanksa. Uwaga prawnika rozzłościła Phelana.

- Proszę nie mówić w ten sposób. Mieszkańcy San Francisco tak łatwo się nie poddadzą. Nie załamają rąk i nie zaczną płakać. Czy możemy wziąć się do pracy, panowie?

Ogień rozprzestrzeniał się coraz szybciej, pochłaniając ulicę za ulicą. Granitowe filary topiły się, osuwały i zastęwały na ziemi w formie nieregularnych skał. Stalowe belki gięły się i sklejały ze sobą jak wrzucony na gorącą wodę makaron. Żelazne płyty składały się jak kartki papieru, a kamienne mury kruszyły jak szkło, zmieniając się w sterty gruzu.

O pierwszej po południu wojsko poczęło wysadzać dynamitem północną część Market Street. Ogień rozprzestrzeniał się już także w kierunku zachodnim.

O trzeciej po południu flagi „Palace Hotel” zniknęły w kłębach dymu. Wielkie, stare gmaszysko czekało na swój koniec.

O ósmej wieczorem, kiedy zachodziło słońce, fałszywa zorza nadal rozświetlała niebo nad miastem. Bezsilna straż ogniowa patrzyła na siane przez ogień spustoszenie, zdając sobie sprawę, że płomienie sięgnęły już Powell Street.

Wkrótce ogień dotarł także do Eighth Street.

Trzecie ognisko pożaru - ogień zaprószony przez nieostrożną kobietę gotującą śniadanie - rozprzestrzenił się aż na Mechanics' Pavilion i przesunął w stronę City Hall. Ktoś nazwał to pożarem jajek na szynce. Niedługo później płomienie ogarnęły Ninth Street, łącząc się z pożarem, jaki dotarł tu z Market Street i tworząc jeden wielki ocean ognia, rozlewający się falą w stronę Mission District.

W „Fairmont”, podobnie jak wszędzie indziej, telefony milczały, zaś informacje o rozmiarach pożaru docierały jedynie za pośrednictwem samochodów przywożących co chwilę raporty z miasta. Komitet Ocalenia polecił przewieźć do Golden Gate Park zapasy żywności, by setki tysięcy bezdomnych nie pozostały tej nocy bez jedzenia. Wysłannik z Oakland zawiadomił władze miasta, że z Los Angeles wyruszył specjalny pociąg, wiozący do San Francisco lekarzy, żywność i medykamenty.

O jedenastej wieczorem ogień ogarnął także Chinatown. Dziesięć tysięcy mieszkańców tej dzielnicy już wcześniej opuściło swoje sklepy i domy, dołączając do innych uciekinierów.

Mack tej nocy wypił tylko filiżankę herbaty i zjadł połówkę czerstwej bułki. Na krótko przed trzecią rano usłyszał jakiś hałas na korytarzu.

- Musimy ewakuować się z hotelu - krzyknął ktoś, odrywając go od pracy. - Ogień dotarł już na tę stronę Powell Street.

- Idź lepiej do domu, Mack - doradził mu Phelan. - Ratuj, co się tylko da.

Linie walki z ogniem wytyczono na zachód od Van Ness. Ogień ogarnął Bush Street i Pine Street, pochłaniając błyskawicznie kolejne budynki, w czym dodatkowo pomagał podsycający płomienie wiatr od morza. W pewnym momencie wiatr zmienił kierunek, przenosząc ogień także na drewniane pałacyki właścicieli kopalń srebra.

W domu Macka na skutek trzęsienia ziemi wypadły z ram kolorowe szyby, zasypując odłamkami szkła podłogę holu trzy kondygnacje niżej. Sufit w sypialni przechylił się pod kątem trzydziestu stopni.

W biurze na trzecim piętrze Mack pośpiesznie pakował dokumenty dotyczące prowadzonych przezeń interesów. O trzeciej czterdzieści nad ranem poczęto wynosić z domu to, co najbardziej chciano zeń ocalić: senora Olivar zabrała cenny wizerunek Madonny, profesor Love zapakował natomiast Bartletta i kilka innych książek. Służba wynosiła na zewnątrz zastawy stołowe, egzemplarze Biblii i albumy z fotografiami.

Yosh wyprowadził z garażu „Srebrnego Ducha”, którego acetylenowe reflektory z trudem przebijały się przez kłęby dymu. Od samochodu odczepiono zniszczony zderzak,

brakowało mu też koła zapasowego, ale nadal wyglądał imponująco.

Całkowicie wyczerpany Mack poruszał się jak lunatyk. Wyszedł z domu trzymając w rękach skrzynkę z dokumentami i powoli ruszył przed siebie. Służba popatrzyła nań ze zdumieniem.

Oszołomiony dymem i migotliwym blaskiem płomieni wpadł na Alexa, niosącego wielki obraz Sargenta.

- Zostaw to.

- Ależ to wielkie dzieło sztuki...

- Wolałbym raczej mieć tu mojego syna. - Wiem, proszę pana. Mimo to pragnę ocalić ten obraz.

Sekretarz wymknął się przez bramę, nie wypuszczając z objęć portretu Macka.

Wszyscy domownicy, prócz Macka i Alexa, wsiedli do rolls - royce'a, tłocząc się w nim jak filmowi komicy, przeznaczone bowiem dla siedmiu osób auto pomieścić musiało aż jedenastu ludzi. Mimo tak znacznego przeciążenia, resory wozu wytrzymały.

Mack odwrócił się jeszcze, by rzucić ostatnie spojrzenie na dom. Zobaczył, jak filar po lewej stronie wejścia załamuje się i zwała na ziemię, pociągając za sobą emblemat z jego inicjałami.

„Taka widać jest wola Boga” - pomyślał.

Ogień zatańczył ponad dachem „Fairmont” i przez wybite okna wdarł się do środka budynku.

- Panie Chance? - zawołał z niepokojem Yosh.

„Co za próżność - myślał Mack, patrząc na zawaaloną kolumnę. - Co za głupota. Nic dziwnego, że dosięgnęła mnie kara boska.” Ucieczka Jima także musiała być karą zesłaną nań przez Boga.

- Proszę, niech się pan pośpieszy - ponaglił go Alex.

Twarz Macka wykrzywiła się. Z wielkim wysiłkiem uniósł skrzynkę z dokumentami i rzucił ją z powrotem za ogrodzenie domu.

- Spalcie się, przeklęte - powiedział.

W świetle acetylenowych reflektorów „Srebrnego Ducha” jego blada twarz miała jakiś dziki, obcy wyraz. Zdjął marynarkę i rzucił ją na ulicę. Ludzie w samochodzie dostrzegli na jego prawym biodrze kaburę z koltem.

- Jedź za mną, Yosh - polecił, kierując się pieszo w dół ulicy. Samochód sunął za nim. Alex maszerował z tyłu. Znad jego ramienia nieruchome oczy namalowanego na portrecie Macka patrzyły wprost na płonący dom.

Mack czuł na karku gorący podmuch wiatru. Pożar oświetlał mu drogę. Powoli wiódł auto w dół Nob Hill, zostawiając wzgórze na pastwę nowego zdobywcy - płomieni.

Księga VIII  
RUINY  
1906 - 1908



Pożar trwał jeszcze przez środę i czwartek. Na Van Ness Avenue strażacy wysadzili w powietrze domy, by zatrzymać ogień. Dynamitowe eksplozje uczyniły dużo hałasu, ale eksperci ocenili później, iż nie na wiele się zdały.

Za walką z ogniem przy Van Ness przyszło miastu zapłacić bardzo wysoką cenę, kiedy bowiem skierowano tu wszystkie oddziały straży pożarnej, na północy miasta płomienie zdołały przedrzeć się przez Washington Street i zniszczyły część Russian Hill oraz North Beach. Na wschodzie pożar strawił zaś Columbus Avenue i dotarł aż na wybrzeże.

W piątek główna fala ognia zmniejszyła się i powoli zaczęto odnosić zwycięstwo nad płomieniami. Dzięki wyposażonym w pompy łodziom przeciwpożarowym udało się ocalić większość miejskich przystani. Na zachodnim krańcu miasta ogień zdołał się wprawdzie przenieść poza Van Ness, ale nie dokonał tam już zbyt wielu zniszczeń. W sobotę w sukurs strażakom przyszedł ulewny deszcz.

Lista ofiar pożaru liczyła przeszło pięćset nazwisk, przy czym nikt nie wiedział, ilu ludzi zginęło wcześniej, pogrzebanych pod gruzami zawalonych domów, później dopiero objętych ogniem. Płomienie szalały na przestrzeni dwóch tysięcy ośmiuset akrów, niszcząc dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzkich siedzib. W ruinę obróconych zostało przeszło sześć razy tyle budynków, ile pochłonał pożar Londynu w 1666 roku. Nawet pożar Chicago z 1871 roku zniszczył zaledwie dwie trzecie tego, co strawił ogień w San Francisco.

Wielkie słynne budowle, banki i teatry legły w gruzach. Całe archiwum City Hall oraz posiadłości Wielkiej Czwórki przy Nob Hill zostały zniszczone. Promy nie przestały kursować ani na chwilę, ale uliczne trolejbusy nie ocalały.

Mieszkańcy San Francisco nie tracili jednak ducha. Przeżywali już wcześniej inne katastrofy, wiedzieli więc, że

przeżyją i tę. Komitet Ocalenia natychmiast uruchomił sto pięćdziesiąt punktów pomocy, w których rozdawano jedzenie i wodę. Odległe stany i miasta przysłały specjalnymi pociągami żywność i koce, by pomóc poszkodowanym.

Wśród dzieci w szkołach organizowano kwesty na rzecz mieszkańców San Francisco. Z całego świata napływała finansowa pomoc - na przykład Japonia ofiarowała miastu prawie ćwierć miliona dolarów. Zapewnienie dachu nad głową i żywności wszystkim ofiarom, które zakwaterowano przejściowo w wielkich namiotach rozbijanych, gdzie tylko się dało, włączając w to plaże, pochłonęło w sumie dziewięć milionów dolarów, pochodzących z pomocy, jakiej kraj i zagranica udzieliły San Francisco.

Mniej hojne okazały się instytucje, które ubezpieczały dobra i nieruchomości mieszkańców miasta. Teraz, kiedy niebo nad San Francisco przestało być niebieskie, a w powietrzu unosił się zapach dymu, większość z nich zdradziła swoich klientów. Straty uczynione przez pożar wynosiły około pół miliarda dolarów i uczciwe firmy starały się zwrócić swoje długi w całości. Dwanaście amerykańskich przedsiębiorstw wywiązało się ze zobowiązań, przyplacając to bankructwem, ale kilka europejskich ogłosiło, że wypłaci zaledwie dwadzieścia pięć procent należności.

Powoli usuwano kolejne zniszczenia, mieszkańcy miasta dalecy byli bowiem od poddania się rozpacz. Trzęsienie ziemi objęło swym zasięgiem dwustumilowej długości pas biegnący z południa na północ. Jego szerokość wynosiła czterdzieści mil. Na północ od Fort Bragg i na południe od Salinas wstrząsy poskręcały tory kolejowe w serpentyny. Naoczni świadkowie opowiadali, że drogi poruszały się tam pod nogami jak ruchome schody, a w ziemi utworzyła się szczelina głębokości dwudziestu jeden stóp. Miasteczko Santa Rosa w hrabstwie Sonoma zostało zrównane z ziemią. W Palo

Alto zniszczeniu uległ budynek uniwersytetu. W gruzach legła także większa część San Jose.

Wszystko to wyglądało jak żywcem wzięte z sennego koszmaru, ale szybko te straszliwe zniszczenia stały się synonimem bohaterstwa. Któż inny prócz Kalifornijczyków potrafiłby tak błyskawicznie podźwignąć się po najgorszym trzęsieniu ziemi w historii ludzkości? Któż wykazałby tyle odwagi, hartu ducha i wytrzymałości? Miasto szybko otrząsnęło się z szoku i rozpacz, odzyskując swój dawny urok. Handsome Gene Schmitz powiedział w swoim przemówieniu: „Nasze piękne miasto legło w gruzach. Ale jako wasz burmistrz zapewniam was: są to najpiękniejsze ruiny, jakie kiedykolwiek oglądało ludzkie oko. ”

Zacząła się odbudowa. Żołnierze z bagnietami bez przerwy patrolowali ulice, pilnując porządku. Władze miasta obradowały teraz w „Whitcomb Hotel” przy Market Street. Architekci kreślili nowe plany miasta, korzystając z okazji, że z woli Boga mieli tak dużo przestrzeni do zapełnienia.

Ludzie dzielili się między sobą dachem nad głową, jedzeniem, wspomnieniami i dobrym nastrojem. Skromne racje żywności, jakie otrzymywali, pochodziły z transportów przewożonych koleją z Chicago, Denver czy Jersey City. W owym czasie wszyscy zapomnieli o niechęci do SP.

W ciągu trzech lat wszystkie budynki w handlowym sercu miasta zostały odbudowane tak pieczołowicie, że nikt nie poznałby, iż miało tu miejsce jakiegokolwiek trzęsienie ziemi lub pożar. Najlepszy z alchemików - czas - zmienił zwykły pył katastrofy w złoto legendy. Jeszcze wiele lat później mieszkańcy San Francisco z rozrzewnieniem wspominali owe „najpiękniejsze ruiny, jakie kiedykolwiek oglądało ludzkie oko”.

## Rozdział 62.

Zanim ogień rozprzestrzenił się na całe miasto, Mack bez wytchnienia przemierzał parki i plaże nad oceanem. Wszędzie okazywał przepustkę podpisaną przez gubernatora Pardee.

- Mój syn ma siedem lat, wkrótce skończy osiem - powtarzał wciąż od nowa komendantom obozów, żołnierzom i uciekinierom. - Kuleje. Jest wysoki i jak na swój wiek bardzo dojrzały. Ma jasne włosy i ciemnobłękitne oczy. Nie mam jego zdjęcia, ale wygląda tak jak ta kobieta ze zdjęcia w „Oakland Tribune”. Może go widzieliście?

W sobotni deszczowy poranek odwiedził liczne posterunki policji oraz kwaterę przy Stanyan Street. Panował tam nieopisany harmider. Wchodzili i wychodzili urzędnicy, a przerażeni ludzie krzycząc i płacząc szukali nazwisk krewnych na listach ofiar. Ponieważ Mack był w mieście osobą znaną, został natychmiast przyjęty przez samego Drinana. Wiedział on o zniknięciu chłopca, ale nie miał na jego temat żadnych wieści. Wymamrotał jedynie kilka słów współczucia i odesłał Macka do detektywa Mulvihilla.

- Ike Mulvihill - przedstawił się detektyw, ściskając dłoń Macka. Jego biurko wyglądało tak, jakby ktoś wysypał na nie zawartość kilku koszy ze śmieciami. - Proszę usiąść - wskazał gościowi chwiejne krzesło. Był zwawym, siwowłosym, niemłodym już mężczyzną z workami pod oczyma. Miał na sobie brudną, przepoconą koszulę oraz krawat, po którym widać było, że nurzał się w niezliczonych filiżankach kawy i kufkach piwa. - A więc chodzi o pańskiego syna - zaczął, w roztargnieniu przesuwając z miejsca na miejsce pliki dokumentów. - Jak dotąd, nigdzie go nie widziano. Zważywszy na okoliczności, nie ma w tym nic dziwnego. Co chwilę przepadają gdzieś setki ludzi. Naprawdę setki. Muszę jednak powiedzieć panu, że utrudnił nam pan pracę, nie dostarczając fotografii chłopca.

- Miałem tylko dwa jego zdjęcia. Oba spaliły się razem z domem. Musiałem przede wszystkim ratować domowników i nie dbałem o rodzinne pamiątki. Sądzę jednak, że mimo to policja podejmie jakieś działania - w głosie Macka zadźwięczał sarkazm.

- Gdy tylko będziemy mieć na to czas i ludzi - odparł detektyw. Zabrzmiało to tak niemile, że Mack rozzłościł się, zapominając, jak bardzo policjant może być zmęczony i wyczerpany.

Gniewnie uderzył pięścią w blat biurka.

- Musicie znaleźć na to czas teraz, a nie za tydzień, czy za miesiąc.

- Proszę nie krzyczeć na mnie, panie Chance. Mam pełne ręce roboty.

- Podobnie jak wszyscy. Mimo to żądam, by pan coś zrobił

- Nie życzę sobie, aby przemawiał pan do mnie takim tonem. Proszę pamiętać do kogo pan mówi...

- I nawzajem, do diabła. Płacę podatki...

- Ale nie popiera pan władz tego miasta - wybuchnął Mulvihill. - Jestem zajęty, panie Chance. Mam setki takich spraw. Zrobimy dla pana wszystko, co tylko się da, podobnie jak dla każdego innego obywatela. Jeśli cokolwiek znajdziemy, powiadomimy pana natychmiast. Gdzie pan mieszka?

- W namiocie w Golden Gate Park.

- Świetnie. Życzę panu miłego dnia - powiedział detektyw, nie podnosząc wzroku. Wychodząc, Mack z hukiem zatrzasnął drzwi, ale nie poczuł się od tego ani odrobinę lepiej.

Kiedy opuszczał budynek, przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. Zważywszy na wiek Mulvihilla, musiał być on bez wątpienia kiedyś współpracownikiem Lona Coglana. Być może nawet jego przyjacielem. Boże, co za sytuacja.

Podobnie jak czterdzieści tysięcy innych ludzi obozujących w parku, Mack i jego domownicy stworzyli wśród podwójnego rzędu białych namiotów swoją małą wspólnotę, na zmianę wyczekując w kolejkach po jedzenie i wodę. Przez kilka pierwszych dni wodę dostarczano z Oakland, przywożąc ją barkami i pod silną strażą rozprawdzając po mieście za pomocą beczkowsów.

Ich obozowa społeczność szybko się powiększała. Wkrótce odnalazł ich Rhett Haverstick wraz z żoną i pięciorgiem dzieci. Po nich dołączyła Margaret z dwoma kelnerami i nieśmiałą, ciemnoskórą prostytutką imieniem Gisella. „Maison Napoleon” zostało całkowicie zniszczone. Od czasu, kiedy wypuszczono ją ze szpitala, Margaret prowadziła restaurację zaledwie przy pomocy kilku dziewcząt, przez co musiała zrezygnować z podawania posiłków w pokojach na górze. Jak wyznała Mackowi, straciła serce do tego interesu. Prowadziła go jednak, ponieważ była to jedyna rzecz, na jakiej się znała.

Kelnerzy Margaret przyciągnęli ze sobą pianino i wieczorami ludzie przychodzili do nich, by posłuchać, jak Gisella gra na nim i śpiewa - dziewczyna miała piękny sopran. Ulubionym utworem stała się piosenka Dziś w nocy nie było nam łatwo w naszym mieście, którą Gisella śpiewała mocnym, przejmującym głosem. Czasem też wykonywała ten utwór powoli, jak pieśń żałobną, i wtedy wszystkie kobiety płakały.

Mack wrócił do centrum miasta w niedzielę, gdy tylko ugaszono pożar, i znów wypytywał obcych ludzi, opisując im wygląd Jima i pokazując fotografię Carli. Na ulice wyległy setki gapiów. Mieszkańcy miasta niewiele mieli do roboty prócz przyglądania się zniszczeniom. Nad mokrymi od deszczu zgliszczami unosiły się obłoki pary. Młodzi, uzbrojeni w karabiny mężczyźni w mundurach khaki strzegli ulic przed złodziejami. Wozy z wymalowanymi na bokach czerwonymi

krzyżami rozwoziły koce i ubrania. Ściany spalonych budynków rzucały długie cienie, przypominając swym wyglądem cmentarne pomniki. Domy, które uniknęły pożaru, stały pochylone nad chodnikami pod niezwykłym kątem.

Żadne budowle nie przesłaniały linii horyzontu, a niebo znajdowało się niżej nad ziemią niż zwykle. Całe miasto robiło wrażenie jakby mniejszego niż dawniej. Teraz, mijając to, co niegdyś było trzema przecznicami, człowiek zdawał sobie sprawę, że uszedł ledwo milę.

Kiedy Mack ze smutną miną zatrzymał się przed gruzami, jakie pozostały z budynku Hearsta, podszedł do niego niski, krępy Chińczyk. Uśmiechając się i klepiąc go po ramieniu, powiedział:

- Niech się pan nie martwi, odbudujemy to.

Mack pokazał mu zdjęcie z „Oakland Tribune”, ale i tym razem jego nadzieje okazały się płonne.

Na sąsiednim rogu ulicy jakiś mężczyzna wspiał się na przewróconą skrzynkę po mydle i wymachując Biblią w stronę kilkunastu zaciekawionych słuchaczy, krzyczał:

- Babilon upadł! Grzeszny Babilon upadł! Bóg pokarał te wszystkie wymalowane dziwki i zboczeńców. Zrównał z ziemią domy publiczne. Wziął odwet na grzesznikach tolerujących całe to zło...

Mack pokiwał głową. Tak, najłatwiej było powiedzieć, że to kara za rozwiązłość mieszkańców miasta. Uliczni kaznodzieje nigdy nie wspominali o niewydolnym systemie dostarczania wody.

W pobliżu Ferry Building Mack natknął się na Jacka Londona. London cieszył się sławą wybitnego pisarza, ale bardzo często jego nazwisko pojawiało się też w gazetach przy okazji seksualnych skandali lub relacji z socjalistycznych wieców. Jak powiedział Mackowi, przybył do San Francisco prosto ze swojego rancza koło Glenn Ellen.

Mack zaczął mu opowiadać o swoim synu, ale pisarz wcale go nie słuchał.

- Nigdy nie spodziewałem się, że mieszkańcy San Francisco zachowają się tak odważnie i okażą sobie tyle serca - powiedział. - Przy okazji takiej katastrofy wszystkie klasy społeczne zaczynają się nawzajem dostrzegać. To dziwne, sądziłem, że raczej wybuchnie między nimi wojna.

- Czyżbyś był rozczarowany? London popatrzył na niego w roztargnieniu.

- Nie. Raczej zdumiony. Zauważ przy tym, przyjacielu, że stare San Francisco - miasto bogaczy - przestało istnieć. A nowe będzie należeć już do innych ludzi: do robotników, do biedoty. Zobacz, co tu się dzieje: prawie nikomu nic nie pozostało. Mam nadzieję, że odnajdziesz swojego syna - rzucił na zakończenie i zdawkowo uchylając kapelusza, odszedł.

Dotknięty jego zachowaniem Mack pomyślał z goryczą, że London tak bardzo przejmuje się losem miasta, a jednak skoro tylko dorobił się pieniędzy, natychmiast przeniósł się stąd na wieś.

Rozmawiając później z Mackiem, profesor Love stwierdził, że teorie Londona na temat społeczeństwa są naiwne, ale pisze znakomicie. A przy tym nie myli się twierdząc, iż katastrofa ma także swoje dobre strony.

- Animus tamen omnia vincit - „Odwaga zwycięża wszystko”, jak powiedział Owidiusz.

Pieniądze nie znaczyły teraz nic, ponieważ nie było towarów, które można by za nie kupić. W długiej kolejce po jedzenie biedacy stali razem z prawnikami, bankierami, dziennikarzami, milionerami i innymi bardzo zamożnymi dawniej ludźmi.

Podobnie jak wszyscy inni, Mack także miał co jakiś czas dyżur przy kopaniu bądź zasypywaniu latryn i wkrótce



przesiąkł ich fetorem. Szybko przywykł jednak do tego - bądź co bądź był to zapach życia.

Ludzie komunikowali się ze sobą za pomocą skrawków papieru lub informacji wypisywanych kredą na specjalnych ulicznych tablicach. „Pani J. Fox bezpiecznie dotarła do Oakland; Angelo Fanucci proszony jest o odszukanie swojej rodziny w obozie numer 2; Poszukuje się krewnych noworodka płci męskiej; Malcolm, spotkajmy się tutaj w piątek w południe. Nora.” Mack miał ochotę dołączyć swój własny dopisek: „Jim, gdzie jesteś? Tata.”

Niektórzy szybko zorientowali się, że na nieszczęściu San Francisco ubić można niezły interes. Pewnego dnia Mack udał się wraz z Rhettem Haverstickem do polowej poczty w parku. Urządzono ją tutaj w jednym z namiotów nieomal już w chwili, kiedy ogień począł ogarniać całe miasto.

Dla Macka nie było żadnych wiadomości, ale jego towarzysz otrzymał list od kuzyna z Los Angeles: „U nas nie było nawet śladu trzęsienia ziemi. Czemu w przyszłości nie miałbyś przenieść się do Los Angeles? Poleć to także swoim przyjaciom. Można tutaj zrobić nielichy interes na handlu ziemią. Phil.”

James Phelan wezwał członków Komitetu Ocalenia na spotkanie na wolnym powietrzu.

- Mieliśmy rację, jeśli chodzi o zaopatrzenie w wodę. Sytuacja miasta w chwili, kiedy wybuchł pożar, potwierdziła pilną potrzebę zbudowania zapory w Hetch Hetchy. Musimy wyrzucić presję na władze miasta, aby zaakceptowały nasz projekt. Nie możemy dłużej ulegać sentymentalnym uczuciom obrońców natury.

Na odprawianej pod gołym niebem katolickiej mszy Alex Muller poznał Sopię Carminelli, filigranową, nieładną, ale bardzo inteligentną dziewczynę. Wkrótce przedstawiła ona młodego Szwajcara rodzicom i ośmiu braciom. Dwa tygodnie

później Alex odszukał Macka podczas cowieczornego śpiewania. Mack jak zwykle siedział przed swoim namiotem na odwróconej do góry dnem drewnianej skrzynce. Nigdy nie śpiewał razem z innymi, a tylko słuchał pieśni z utkwionym w dal wzrokiem.

Alex powiedział Mackowi, że oświadczył się Sophii i został przyjęty. Dodał, że zamierza ożenić się, gdy tylko życie w mieście powróci do normy.

Pewnej pogodnej, słonecznej soboty obóz odwiedził dystyngowany, siwowłosy biznesmen. Zgromadziwszy wokół siebie tłum ludzi, zaczął przemawiać:

- Drodzy obywatele, wszyscy dobrze wiecie, kim jestem. Patrick Calhoun, prezes United Railroads, waszego przedsiębiorstwa trolejbusowego. Jeżdżę od obozu do obozu, aby pomóc ofiarom trzęsienia ziemi zarówno w swoim własnym imieniu, jak i z ramienia mojej firmy. Przeznaczaliśmy na ten cel sumę stu tysięcy dolarów.

Rozległy się długie, głośnie brawa.

- Czyż ojcowie miasta mogą nie być wzruszeni hojnością Patricka? - powiedział do Macka Fremont Older stojąc w cieniu wielkiego cyprysa. - Teraz na pewno pozwolą mi założyć linie trolejbusowe, gdzie tylko zechce.

Czternastego maja doradcy Ruefa zgodzili się na uruchomienie w mieście trolejbusów.

Mack spędzał teraz całe godziny w nowo powstałym Komitecie Pomocy, gdzie zajmował się dystrybucją przywożonego do obozu jedzenia, pościeli i ubrań, jakie napływały przez Oakland z całych Stanów Zjednoczonych.

Każdemu, kto go o to pytał, Mack odpowiadał pocieszająco:

- Oczywiście, że odbudujemy San Francisco. - Mówił o tym z takim przekonaniem, jakby była to dlań najważniejsza

rzecz na świecie. Ale tak naprawdę najważniejsze było coś, o czym wspominał bardzo rzadko: Jim.

Podczas pierwszych trzech tygodni sześciokrotnie odwiedzał posterunek policji, ale za każdym razem otrzymywał tę samą odpowiedź: „Nic nowego. Nikt nie widział pańskiego syna.” Nie spotykał się już z Mulvihillem - detektyw trafił do szpitala z zawałem serca, jakiego nabawił się z przepracowania. Jego następcą, młody, dobrze wychowany policjant, jeszcze mniej interesował się sprawą Macka.

Gotowanie wewnątrz namiotów, podobnie jak wewnątrz budynków, które ocalały, było surowo zakazane. Ilekroć więc domownicy Macka po długim wyczekiwaniu w kolejce dostawali trochę wołowiny, przyrządzali ją pod gołym niebem na ułożonym na ceglach arkuszu blachy. Haverstick nazywał te przyrządzane na świeżym powietrzu posiłki barbecue. Twierdził, że ten sposób gotowania wkrótce upowszechni się w całym mieście i że inni Kalifornijczycy również powinni iść za ich przykładem.

Rzeczywiście uliczne kuchnie widziało się teraz wszędzie. Niektóre z nich nie były własnością prywatną, lecz punktami żywienia zorganizowanymi przez instytucje charytatywne. Jadło się w nich pod gołym niebem, na wspartych na kozłach długich stołach, często ustawionych pośród ruin. Na śniadanie podawano kaszę, mleko i chleb, na obiad siekane mięso, warzywa i chleb, a na kolację zupę, gulasz i chleb. Nikt jednak nie narzekał. Ci, którzy mieli pieniądze, płacili za posiłek piętnaście centów, ci, którzy byli bez grosza, otrzymywali jedzenie za darmo po okazaniu talonu Czerwonego Krzyża.

Także indywidualni przedsiębiorcy zakładali jadłodajnie, których menu było nieco bardziej urozmaicone. Pewnego popołudnia Mack, wracając z posiedzenia Komitetu Pomocy, postanowił pójść brzegiem zatoki, by obejrzeć swój dawny

skład - pompowana z oceanu woda ocaliła Chance Produce Company przed spłonieniem. O przecznicę od magazynu dostrzegł nową uliczną garkuchnię. Wymalowany kredą, prymitywny szyld głosił: ROSS CAFE.

- Nellie!

Nellie podniosła wzrok znad stojącego na blasze garnka. Dwóch brodatych mężczyzn czekało cierpliwie w kolejce. Na twarz Nellie znowu powróciły kolory. Obsłużywszy klientów, wytarła dłonie w fartuch i zaprowadziła Macka w odległy kąt jadłodajni. Posadziła go tuż przy tablicy, na której codziennie wypisywała kredą menu oraz reklamowy slogan: JEDZ, PIJ I BĄDŹ WESOŁY, BO JUŻ JUTRO MOŻEMY ZOSTAĆ ZMUSZENI DO PRZENIESIENIA SIĘ DO OAKLAND.

- Nie mogłam siedzieć beczynnio w Carmel.

- Jak długo tu jesteś?

- Pięć dni. Pozwoliło mi to przełamać niemoc, jaka ogarnęła mój umysł. Zeszłej nocy znowu zaczęłam pisać.

- Czy twoje mieszkanie na Russian Hill ocalało?

- Owszem, ogień je oszczędził. A co u ciebie?

Kiedy powiedział o Jimie, rozplakała się. Mack starał się za wszelką cenę zapanować nad sobą, żeby nie denerwować Nellie. Wkrótce jednak powiedział coś, co sprawiło jej ogromną przykrość.

- Znowu zmieniłem zdanie. Jeśli nie znajdzie się żadna zadowalająca alternatywa, będę nalegał na wybudowanie tamy w Hetch Hetchy.

Opowiadanie Nellie Strefa ognia zostało zakupione jeszcze tego samego roku przez „The Saturday Evening Post”. Redaktor tej gazety oświadczył, że jest to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisała. Kiedy William Randolph Hearst dowiedział się o tym, przesłał Nellie list z gratulacjami.

Coraz bardziej zrozpaczony zniknięciem Jima Mack wynajął drukarza, który narysował i powielił portret Jima.

Rysunkowi towarzyszył dokładny opis chłopca. Za odnalezienie zaginionego ustalono nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów gotówką, ale Mack gotów był nawet podwoić tę sumę. Ewentualne informacje napływać miały na adres biura prawnego Haversticka.

Mack kazał wykonać aż dwadzieścia tysięcy kopii portretu i rozesłał je po całym stanie do redakcji gazet, na posterunki policji i do urzędów telegraficznych. Niestety, cała ta akcja nie przyniosła spodziewanych efektów.

Pewnego pogodnego wieczora pod koniec maja Mack i Margaret jedli razem kolację - przyrządzoną przez Macka smażoną wołowinę i zieloną fasolę, bo to akurat przypadło w udziale ich małej społeczności, kiedy rozdawano racje żywności.

- Mięso jest bardzo smaczne - pochwaliła go Margaret.

- Natomiast fasola niezbyt się udała - ocenił samokrytycznie Mack.

- Obserwowałam cię podczas barbecue. Chyba nie lubisz gotowania w tych warunkach, prawda?

- Nic nie lubię robić w tych warunkach.

- Postanowiłam odbudować restaurację - oświadczyła Margaret.

- Tak? Ciekaw byłem, czy się na to zdecydujesz. Chętnie pomogę ci we wszystkim, jeśli tylko będziesz tego potrzebowała.

- Jesteś bardzo hojny. Czyżby twoje banki zdołały w porę ewakuować pieniądze ze skarbców?

- Niektóre tak. Mam na przykład czterdzieści tysięcy dolarów w Bank of Italy Pete Gianniniego. Pete zapakował pieniądze w skrzynie i osobiście odwiózł wozem do San Mateo. Natomiast banki, których skarbcie spłonęły, wydają specjalne zaświadczenia. Na ich podstawie można otrzymać ekwiwalent w złotych monetach.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze - powiedziała Margaret, podnosząc do ust kolejny kęs mięsa. Mack siedział ze wzrokiem utkwionym w spoczywający na kolanach talerz. - Czy chodzi o Jima?

- Chyba tak. Nie wiem. Śpię osiem, dziewięć, nawet dziesięć godzin na dobę, a wciąż czuję się zmęczony. I miewam straszliwe bóle głowy... Tak okropne, że prawie nic nie widzę. Zmarszczył brwi. - Pojawiają się całkiem bez przyczyny. Czasem zastanawiam się, po co w ogóle żyję.

Margaret milczała przez chwilę.

- Tak bardzo czujesz się zrozpaczony? Mack potakująco skinął głową.

- Tak. Pewnie z powodu Jima.

- Być może nie tylko. Słyszałam, jak inni ludzie w obozie także skarżyli się na podobne dolegliwości. Ktoś mówił, iż jest to skutek wyrzutów sumienia.

- Czego?

- Wyrzutów sumienia, że udało nam się przeżyć, podczas gdy tak wielu innych zginęło.

- Mielibyśmy czuć się z tego powodu winni?

- Otóż to. Ty śpisz przez wiele godzin, podczas gdy ja w ogóle nie mogę zmrużyć oka. A straciłam przecież tylko dobytek, nie syna.

Twarz Macka skrzywiła się z bólu.

- Czy ten ktoś powiedział także, jak długo może trwać taki stan ducha?

- Nie. Nic o tym nie słyszałam.

- W takim razie wiedz, że ja o tym nigdy nie zapomnę.

Margaret miała ochotę zganić go za to, że zamyka się we własnym nieszczęściu, ale w jego oczach malowała się taka rozpacz, że nie miała serca tego uczynić. Mack odstawił talerz. Zauważyła, że zjadł najwyżej dwa, może trzy kęsy wołowiny.

- Chyba nie powinienem... - zaczęła z wahaniem, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Owszem, powinienem. Mój syn uciekł. Jestem za to odpowiedzialny. Czuję się zmęczony, Margaret. Pójdę już spać.

Wszedł do namiotu, który dzielił razem z Alexem i profesorem Love, ale nie mógł zasnąć. Ból świdrował mu czaszkę. Zaczął odmawiać starą litanie:

„Już nigdy nie będzie mi zimno. Nigdy nie będę biedny...”  
Przypomniał sobie, jak przepelniony nadzieją zszedł z gór Sierra prosto w kalifornijską wiosnę. Gdzież teraz podziła się nadzieja?

Światło ogniska rzucało ruchliwe cienie na płótno namiotu. Mack zasłonił powieki dłonią, próbując zmniejszyć oszałamiający ból, jaki rozsadzał mu czaszkę. Zasłużył na to, co przeżywał. Dotąd zawsze wierzył we własne siły i sądził, że jest w stanie pokonać każdą rozpacz.

Teraz jednak zmienił zdanie.

Po dziesięciu dniach od rozesłania plakatów Haverstick otrzymał dziewięć listów i dwa telegramy, w których wszyscy nadawcy zawiadamiali, iż znają miejsce pobytu Jima.

- Sześciu z nich z całą pewnością kłamie - oświadczył Haverstick. - Wszyscy ci ludzie rozpoznali chłopca nie tylko po tym, że kuleje, ale także po małym znamieniu w kształcie motyla na prawym policzku.

Mack skinął głową. Znamie było jego własnym pomysłem, pułapką zastawioną na oszustów.

- Chyba te plakaty nie były dobrym pomysłem.

- Dlaczego? Należy sprawdzić wszystkie listy, które dają choć cień nadziei. Sam jednak nie zdołasz tego uczynić.

- Tym bardziej nie uczyni tego policja - odparł Mack. - Oni po prostu siedzą z założonymi rękoma.

- Może wynająć prywatnych detektywów? Czemu nie porozmawiasz z Billem Burasem?

Mack z ożywieniem uniósł głowę.

- Masz rację, zrobię to.

Burns polecił detektywa z Los Angeles, pracującego obecnie dla agencji Pinkertona, byłego policjanta z Great Northern Line, Wilda (Wild (ang.) - dziki) Billa Flyshacka.

- Choć nadał sobie takie groźne przezwisko - powiedział Burns - jest pracowity jak mrówka. Naprawdę na imię ma Selwyn.

Mack wysłał do Flyshacka depeszę, ten zaś obiecał, że gdy tylko skończy obecnie prowadzoną sprawę, przyjedzie, by z nim porozmawiać.

Przez cały maj i czerwiec Mack i Haverstick sprawdzali odpowiedzi na plakaty. Ustalili, że wszystkie listy dotyczyły kogoś innego, nie Jima. W największe zdumienie wprawiła ich nowina, która nadeszła z Santa Barbara. Jakaś kobieta zapewniała, że syn Macka mieszka naprzeciwko niej. Ów kulejący „chłopiec” okazał się trzydziestosiedmioletnim mężczyzną.

- Otrzymujemy aż za dużo listów - westchnął Haverstick po tym wydarzeniu. - Problem w tym, że nie wiem, co zrobić, by przestały napływać.

Mack był zbyt zrozpaczony, by powiedzieć cokolwiek. Uczestniczył w tak wielu spotkaniach, że miał już tego serdecznie dosyć. Włączono go do nowo powstałego „komitetu czterdziestu” do spraw odbudowy San Francisco. Gdy tylko miał jakąś wolną godzinę, krążył po obozach, zadając wciąż te same pytania, choć z coraz większym trudem przechodziły mu one przez gardło. Zbyt wiele czasu upłynęło od ucieczki Jima, by mógł uwierzyć, że ktoś go zapamiętał.

Tym bardziej że ludzie przeżyli tak wielki szok wywołany trzęsieniem ziemi i pożarem. Mimo to Mack nie tracił nadziei.



Przechodząc pewnego wieczoru wzdłuż rzędu namiotów w Golden Gate Park natknął się na Alexa, niosącego pod pachą rulon jakichś papierów. Alex wiedział, w jakim stanie są nerwy jego pracodawcy i starał się nie okazywać tego, jak sam czuł się szczęśliwy. Nie przychodziło mu to łatwo, kochał bowiem bardzo swoją Sophię. - Są jakieś wiadomości, proszę pana?

- To samo co wczoraj. I przedwczoraj. I przez ostatni tydzień. Nikt go nie widział.

Alex chrząknął z zakłopotaniem. Obok przebiegli dwaj chłopcy, tocząc przed sobą koło z wozu.

- Czekałem na pana powrót.

Weszli pomiędzy namioty. Trzy z nich były puste. Mack zwolnił większość swojej służby. Nie potrzebował jej teraz i chciał, by ludzie ci znaleźli sobie jakieś inne zajęcie. Na odchodne wypłacił każdemu z nich sześciomiesięczną odprawę.

Alex wskazał namiot, w którym urządzono tymczasowe biuro.

- Pan Haverstick potrzebuje pańskiej pomocy. Chodzi o odszkodowania.

- Rhett zna moje zdanie na ten temat. Jeśli firmy ubezpieczeniowe spróbują zmniejszyć wartość należnego mi odszkodowania choćby o jeden procent, będę je do końca życia ciągał po sądach.

- Nasze odszkodowania od „Aetna of Hartford” nie pozostawiają nic do życzenia, ale ubezpieczenie „Hamburg - Bremen” zostało zaniżone.

- Sukinsyny - warknął Mack, wkładając ręce do kieszeni.  
- Wynajmij najlepszego prawnika w Niemczech. Wywalczę swoje pieniądze choćby po to, by dać satysfakcję tym wszystkim ludziom, których na to nie stać. Jakże jeszcze masz do mnie sprawy?

- To, proszę pana. - Alex z wahaniem podał mu zwinięte w rulon papiery. - Pan Starr zostawił mi to dziś rano.

- Któż to, u diabła, ten pan Starr?

- Pan Kingsley Starr. Z firmy „Starr and Meldrum”. Architekt.

- To on projektował mój dom?

- Tak, proszę pana. Pan Starr uznał, że ponieważ odbudowa miasta ruszyła w tak niesamowitym tempie, pan także być może będzie chciał... - Spojrzenie zmęczonych oczu Macka sprawiło, że zaczął mu się plątać język. - On... hmm... przywiózł oryginalne plany pańskiego domu wraz z projektami pewnych poprawek i udogodnień.

Mack nie odrywał od niego wzroku. Alex jeszcze raz chrząknął z zakłopotaniem.

- Oczywiście, architekci nie wiedzieli nic o zaginięciu pańskiego syna. Mieli nadzieję, że okażą się pomocni.

Spojrzenie Macka złagodniało. Wolno wyciągnął przed siebie rękę. Alex z ulgą podał mu plany.

- Powiedz Rhettowi, że zobaczę się z nim jutro albo pojutrze - powiedział Mack. - Teraz mam zamiar zdrzemnąć się z godzinkę. Potem zaś chcę pojechać do obozu przy Harbour View. Nie byłem tam już od tygodnia.

- Rozumiem, proszę pana.

Mack odwrócił się i chciał odejść, kiedy zauważył, że Alex nie rusza się z miejsca.

- Coś jeszcze?

- Tylko to, proszę pana, że... jeśli wolno mi to powiedzieć... wszystkich nas bardzo głęboko zabolęła pańska strata. Ale wierzymy, że Jim odnajdzie się cały i zdrowy.

- Dziękuję, Alex. Ja też jestem tego pewien. Po prostu nie może być inaczej.

W ciemnym namiocie, przez którego płótno ledwie przeświecały promienie słońca, Mack zerknął na plany domu.

Czy powinien odbudowywać swą posiadłość? Teraz? A może należało spalić te projekty w ogniu barbecue, przy którym Angelina Olivar pełniła rolę pani domu? Wsunął papiery pod poduszkę i położył się. Śnił o Jimie, a potem jeszcze raz powrócił do niego koszmar ze śnieżną zawieją. Obudziwszy się o zmierzchu, usłyszał bębniący o dach namiotu deszcz.

Wild Bill Flyshack nie należał do ludzi miłych. Był obcesowy i arogancki, a w jego głosie cały czas słyszało się sarkazm. Żuł raczej, niż palił cygara i bez przerwy spluwał na ziemię zieloną śliną.

- Będzie nam potrzebna fotografia pańskiego syna, panie Chance. Mack wyjaśnił, czemu nie posiada żadnego zdjęcia Jima.

- Czy to znaczy, że mając tylko dwie fotografie nie postarał się pan żadnej ocalić? - splunął Flyshack. - Ale, jak zauważyłem, wyniósł pan z ognia własny portret.

- To nie ja... Zresztą to nie ma znaczenia. Chyba nie przyszedł pan tu po to, aby rozmawiać o moim postępowaniu? Wystarczy wam fotografia mojej byłej żony. A tych wszędzie jest pełno. Jim wygląda dokładnie tak jak ona.

- Nikt nie wygląda tak samo jak ktoś inny - odparł Wild Bill Flyshack.

- Na litość boską, spróbuje go pan znaleźć, czy nie?

- Za pieniądze, które pan oferuje, jesteśmy gotowi odnaleźć nawet archaniołów u świętego Piotra lub Judasza w piekle.

- Zapłacę wam jeszcze specjalną premię, jeżeli go znajdziecie.

- Jeżeli, panie Chance, jeżeli... Zabiegałem o moją żonę przez szesnaście lat, oświadczałem się jej, błagałem, by mnie przyjęła, rujnowałem się dla niej na prezenty. W moje czterdzieste trzecie urodziny w końcu powiedziała „tak”. Drugiego dnia miesiąca miodowego, w czasie podróży

poślubnej, w dom, gdzie się zatrzymaliśmy, uderzył piorun i moja żona zginęła w płomieniach. Na tym świecie nie ma nic pewnego. Szczególnie, jeśli chodzi o chłopca, który zniknął już tak dawno temu. Tym bardziej, że po jego ucieczce nastąpiło trzęsienie ziemi i pożar.

## Rozdział 63.

W mieście życie powoli wracało do normy. Władze San Francisco na nowo podjęły swe obowiązki. Zawieszenie broni między Ruefem a jego wrogami, które nastąpiło na czas, kiedy najważniejszą rzeczą było przeżycie w trudnych warunkach, odeszło w zapomnienie. Dzięki ludziom, którzy wywarli presję na prokuratora okręgowego Langdona, Francis Heney został jednym z jego zastępców.

Mack uznał, że nie może dłużej żyć w parku i prowadzić tu swoich interesów. Zaczął rozglądać się za dużym mieszkaniem do wynajęcia. Szybko zorientował się, że takowych w mieście po prostu nie ma, kupił więc dwupiętrowy dom przy Greenwich Street, położonej na Russian Hill od strony zatoki. Dzielnica ta na szczęście ocalała przed ogniem. Właściciel domu przeżył poważny szok podczas trzęsienia ziemi, kiedy ziemia rozstąpiła mu się niemal pod nogami. Jego żona oświadczyła, że oboje z mężem na zawsze mają dość San Francisco. Otrzymawszy pieniądze, wyprowadzili się jeszcze tego samego dnia.

Na dole, w pomieszczeniach z dużymi, wychodzącymi na zatokę oknami, Mack urządził biuro, sam zamieszkując na górze. Jego obecny dom można było odnaleźć jedynie kierując się numerem, nad wejściem nie umieszczono bowiem żadnych inicjałów, ani nawet nazwiska właściciela.

Alex powiesił portret Sargenta nad biurkiem pracodawcy. Mack nie chciał tego obrazu, ale sekretarz uparł się, że dzieło to musi się znaleźć w jego biurze.

Mack postanowił mieszkać sam. Senora Olivar przychodziła codziennie o siódmej rano i zostawała do wieczora, gotując i sprzątając. Mack znalazł dla niej maleńki domek na wybrzeżu oceanu. Alex wynajął sobie pokój i czekał na przydział jednego z pięciu tysięcy sześciuset domków, jakie miano zbudować w parkach dla ludzi, którzy

stracili wszystko podczas trzęsienia ziemi. Nadeszła zima i płócienne namioty nie stanowiły już właściwej ochrony przed deszczami. Owe domki, stawiane teraz pośpiesznie, miały dwa, a czasem trzy pokoje. Alex i Sophia, którzy zamierzali pobrać się przed świętami Bożego Narodzenia, jako rodzina uzyskaliby prawo do takiej kwatery.

Profesor Lorenzo Love także mieszkał w wynajętym pokoju. Mack ciągle płacił mu pensję nauczyciela, wierząc, że jak długo będzie trzymał guwernera przy sobie, istnieje szansa na odnalezienie Jima.

Mack zgolił brodę i zamówił sobie w końcu okulary. Sprzedał „Srebrnego Ducha” i nabył małego, czarnego oldsmobile'a, na którym nie umieścił już swoich inicjałów. Zresztą tego znaku nie nosiło teraz nic, co do niego należało.

Pewnego dnia pod koniec lipca zadzwonił do Macka bardzo podniecony Haverstick.

- Dostałem właśnie list, który powinieneś zobaczyć. Podpis jest wprawdzie nieczytelny, ale nadawca nie wspomina nic o nagrodzie. Píše jedynie o naszych plakatach. Opis chłopca pasuje. I to pasuje doskonale.

Mack omal nie rozbił samochodu, pędząc do nowo otwartego biura prawnika. Wbiegł przez furtkę i minąwszy stenografa wpadł do gabinetu. Raczej wyrwał z rąk przyjaciela ordynarną kopertę z niezgrabnie wypisanym adresem. List został nadany w Visalii, w Central Valley.

„Osoba, której szukacie, mieszka wraz z rodziną Randolphów, przy Wild Horse Road, w Visalii...”

Dalej następował dokładny opis, w którym nie wspomniano ani słowem o fałszywym znamieniu. Mack nie mógł powstrzymać ogarniającej go olbrzymiej fali nadziei.

- Zadzwoniłeś do Flyshacka?

- Nie. Wyjechał do Ensenady, żeby sprawdzić inny ślad. -  
Boże, w takim razie sam tam pojedę.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Nie ma pewności, czy nie jest to jeszcze jeden...

- Czuję, że nie. Czuję to. To Jim. Jadę.

Całą noc leżał wpatrując się w okno, o które dzwonił deszcz. Następne popołudnie spędził w podróży, jadąc w potwornym upale, typowym dla Central Valley o tej porze roku. Wreszcie zatrzymał swój wynajęty powóz na zakurzonej bitej drodze. Dalej uliczka była zbyt wąska, by mogła się na niej zmieścić jego bryczka i ostatnie ćwierć mili szedł pieszo, spływając potem pod ciężkim płaszczem.

Nadzieja opuściła go nieco, kiedy ujrzał nędzną chatę przy końcu drogi. Jakiś wąły parobek siedział na przyzbie, ale widząc zbliżającego się Macka, czmychnął czym prędzej w głąb śmierdzącego świniami podwórza. Mack zaczął już żałować, że nie posłuchał ostrzeżeń Haversticka i dał się ponieść emocjom. Chociaż, jeśli istniała choćby najmniejsza nadzieja...

Zapukał w rozpadające się drzwi, czując, że serce wali mu jak młotem.

Otworzyła mu ciemnoskóra siwowłosa kobieta w wyblakłej, połataniej sukience.

- O co chodzi?

Serce Macka poczęło bić jeszcze szybciej. Spoconymi dłońmi wyciągnął z kieszeni list oraz zmięty plakat.

- Szukam rodziny Randolphów...

- Tak, to my jesteśmy Randolphowie.

- Przyjechałem z San Francisco. Otrzymałem list, w którym napisano, że... Proszę spojrzeć, chodzi o tego młodego człowieka, białego chłopca z blond włosami, mocno utykającego na jedną nogę. To mój zaginiony syn. W tym liście napisano, że mieszka tutaj.

W jej smutnych oczach pojawił się nagle wyraz współczucia. Otworzyła szerzej drzwi.

- Nie mogę przeczytać tego listu, proszę pana, bo jestem niepiśmienna, ale zapewniam, że jedynym kulawym chłopcem tutaj jest mój wnuk, Lester. Siedzi tam.

Mack ujrzał czarnego chłopaka w wieku Jima, wspartego na zrobionej domowym sposobem kuli.

- O Jezu - powiedział, nie potrafiąc powstrzymać napływających do oczu łez. - Jezu! Czemu ktoś przysłał mi ten list?

- Może ów człowiek pana nie lubi - powiedziała łagodnie kobieta. - Na świecie jest wielu ludzi bez serca. Ogromnie mi przykro, że jeden z nich zadał panu ból.

„Kto? - zastanawiał się Mack. - Carla? Nie, mimo wszystko nie była aż tak okrutna. Zatem może Fairbanks? Albo ktoś z Departamentu Policji w San Francisco, kto ma krewnych w Visalii? W każdym razie ktoś, kto wiedział o fałszywym znamieniu i pomyślał, że zażartuje sobie ze mnie w ten sposób. Boże, jakimże trzeba być sukinsynem, żeby zrobić coś takiego!”

Kobieta obserwowała go uważnie. Wziął się w garść i lekko uściskał jej dłoń.

- Przepraszam, że sprawiłem pani kłopot. Bardzo mi przykro... - Odwrócił się i odszedł ze zwieszonymi ramionami, słysząc zamykane za plecami drzwi.

Wszystko wewnątrz niego gotowało się z gniewu i żalu, ale wystarczyło mu jeszcze przytomności umysłu na to, by w widocznym miejscu pod kamieniem na środku podwórza zostawić studolarowy banknot.

Haverstick okazał mu swoje współczucie, ale nie omieszkał zaznaczyć, że Mack powinien spodziewać się tego rodzaju rzeczy.

- Takiego okrucieństwa?

- Tak. Pomyśl o czasach, kiedy Jim zaczął kuleć. Nie odnosiłeś się wtedy do ludzi zbyt uprzejmie. Narobiłeś sobie



wrogów. Zresztą tak dzieje się ze wszystkimi, którym coś się uda, a tobie udawało się wszystko. Wybacz, że ci to mówię, ale tak wygląda prawda.

Wkrótce Mack sam musiał przyznać, że ostrzeżenia Flyshacka, dotyczące trudności ze znalezieniem Jima, nie były pozbawione podstaw.

W lecie, jak zwykle w San Francisco, rozgorzały spory polityczne. SP nie podobał się gubernator George Pardee, ponieważ okazywał przedsiębiorstwu zbyt mało życzliwości i kolejom niełatwo było nawiązać z nim współpracę. Przez swoich rzeczników prasowych, Herrina i Fairbanksa, linie kolejowe oświadczyły, że będą popierać Jamesa Gilletta, kongresmena z pierwszego okręgu, by to on został kandydatem republikanów. Człowieka tego wybrał osobiście prezes SP, Harriman.

Zjazd partii planowany był na pierwszy tydzień września w Santa Cruz. Abe Ruef miał w ręku wszystkich członków delegacji z San Francisco, którzy zobowiązali się głosować zgodnie z jego wskazówkami. Żywiono przekonanie, iż Ruef poprze Gilletta, on jednak zaskoczył wszystkich, ogłaszając tuż przed konwentem, że życzy sobie nominowania J. O. Hayesa, wydawcy San Jose Mercury.

- Cóż za głupi wybór, nawet jak na Ruefa - oświadczył Mack. - Hayes jest po prostu nikim.

- Uspokój się - odparł Fremont Older. - Ruef wcale nie myśli poważnie o Hayesie. Po prostu rozgrywa własną grę. Wiesz równie dobrze jak ja, że zamierza pewnego dnia zostać członkiem amerykańskiego senatu. A dzięki komu może mu się to udać? Dzięki ludziom, którzy kontrolują głosy w Sacramento, takim jak Walter Fairbanks i Bill Herrin. Sądzę więc, że w ostatnim momencie Ruef zmieni zamiar, zobowiązując swą delegację do głosowania na kandydata kolei.

W „Sea Beach Hotel” w Santa Cruz Wódz rzeczywiście zmienił zdanie i głosy delegacji z San Francisco przyniosły nominację Jamesowi Gillettowi.

Owej nocy przewodniczący komitetu stanowego, Frank McLaughlin, wydał przyjęcie, na którym honorowymi gośćmi byli Gillett i Ruef. Gospodarzowi przyszło do głowy, że wszyscy zebrani chcieliby mieć po tym wieczorze jakąś pamiątkę, coś, co przypominałoby im o triumfie sojuszu wpływowych obywateli San Francisco z największą i najsilniejszą korporacją stanu. McLaughlin sprowadził więc fotografa, a dostojni goście, mocno już oszołomieni alkoholem, nie dopatrzyli się w tym niczego złego. Mały Abe Ruef usiadł pośrodku, jak przystało na władcę, którym w istocie był. Gillett stanął z nim, trzymając dłoń na ramieniu Wodza. Po drugiej stronie zajął miejsce Porter, kandydat SP na wicegubernatora. Do zdjęcia pozowali także Fairbanks i McKinley z wydziału prawnego linii kolejowych, dwaj sędziowie, oraz szef jej lobbystów, George S. Patton, senior.

Wszyscy uważali, że ta doniosła chwila warta jest takiego zdjęcia. Nikt nie dostrzegł też niczego złego we wręczaniu odbitek przyjaciółom.

Wkrótce jednak fotografia przedostała się do prasy. „Król dzienników” podpisał ją: „Gabinet Harrimana”. Fremont Older nazwał ją „Hańbą Kalifornii”. Stała się najszlachetniejszą polityczną fotografią w historii stanu. Wojna, która przycichła nieco po trzęsieniu ziemi, rozgorzała na nowo.

Konwent republikanów oraz „Hańba Kalifornii” sprawiły, że obóz reformatorów przyspieszył swoje działania. W niedzielę dwudziestego pierwszego października 1906 roku prokurator okręgowy Langdon opublikował w miejscowej prasie wyniki śledztwa prowadzonego przez Francisa Heneya i Williama Burnsa. Ujawnił, że wynajęci detektywi od miesięcy deptali Ruefowi po piętach, zbierając przeciwko niemu

dowody. Jeszcze w tym samym tygodniu powołano ławę przysięgłych, która miała rozpatrzyć oskarżenie przeciwko Wodzowi.

Jak złapane w pułapkę zwierzę, Ruef próbował kąsać napastników. Nakłaniał Radę Miejską, by wydała polecenie zwolnienia Langdona i uczynienia jego samego oficjalnym doradcą prokuratury stanowej. Przeciwnicy zareagowali jednak natychmiast, oświadczając, że prokurator jest urzędnikiem okręgowym i nie ma powodu, dla którego miałby być usuwany przez Radę Miejską. Specjalnie powołana komisja pozostawiła Langdona na stanowisku. Wódz poczuł się przyparty do muru.

Jim zabłądził i próbował odnaleźć drogę podczas zamieci. Płatki śniegu topniały na jego powiekach. Zamarzał.

Opadł na kolana, starając się dłońmi bezskutecznie wymacać ścieżkę.

Mack wiedział, że Jim jest gdzieś blisko, ale nie mógł go odnaleźć. Podmuchy wiatru utrudniały mu marsz, oślepiając go igiełkami lodu.

- Jim? To ja, tata. Już idę. Trzymaj się...

Dostrzegł ciemne kształty odcinające się od śniegu... Chaty na zboczu wzgórza. Znał to miejsce. Czemu więc nie mógł odszukać ścieżki?

Nagle tumany śniegu stały się jeszcze gęstsze. Jim jak oszalały próbował przedrzeć się przez tę białą zasłonę. Mack rzucił się przed siebie, ponownie wykrzykując imię syna. Chłopiec uniósł głowę. Miał bladą skórę i sine usta.

- Tata? Tato, jestem tutaj...

Mack zaśmiał się z triumfem. Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści stóp i chwyci swego chłopca w ramiona, by zabrać go do domu...

Jakieś drgnienie ziemi zmusiło go, by popatrzeć w dół. U jego stóp otwierała się przepaść.

Ziemia zaczęła się Mackowi usuwać spod nóg. Po drugiej stronie przepaści zobaczył wyciągającego ku niemu ramiona syna... Mack poczuł, że nie może utrzymać się na nogach i ciężko upadł na plecy.

Prosto na dywan w domu przy Greenwich Street.

Chłodne jesienne słońce przeświecało przez koronkowe firanki, padając mu na twarz. Mack potarł ręką czoło i zerknął na płaczącą się wokół nóg jedwabną piżamę. Mrużąc oczy poprawił okulary. Wstając rzucił okiem na nagłówki wieczornych gazet z poprzedniego dnia. Teraz przypomniał sobie wszystko: wypił dwie butelki wina i zasnawszy zwałił się pod stół.

Ktoś zapukał do salonu. Mack powlókł się, by otworzyć drzwi. Na jego widok pani Olivar westchnęła z ulgą.

- Czy wszystko w porządku, senior Chance? Słyszałam jakiś rumor.

- Zasnąłem na kanapie i spadłem z niej. Angelina Olivar miała w dłoniach fartuch.

- Tak się martwiłam. Od ponad dwóch godzin zastanawiałam się, czy nie powinnam pana obudzić.

Mack obrócił ku oknu wymizerowaną twarz.

- Czyżby było już tak późno?

- Wpół do jedenastej, senior.

Mack jęknął i potarł skronie. Sypianie do późna zaczynało mu wchodzić w nałóg. Podobnie jak sięganie po alkohol.

Ulicą przejechał jakiś hałaśliwy wóz. Służby miejskie pracowały dniem i nocą. Władze miasta z dumą stwierdzały, że uprzątnięto już sześć czy siedem milionów cegieł.

Senora Olivar wciąż stała w drzwiach.

- Czy coś jeszcze? - zapytał Mack.

- Na dole czeka na pana stary przyjaciel, który znowu wrócił do domu.

- Hellburner?

- Tak, senor.

- Przygotuj kawę. Przemiję tylko twarz i już schodzę na dół.

Mack ruszył korytarzem wiodącym ku pokojom na tyłach budynku. Angelina Olivar zauważyła, że szedł powłócząc nogami, a spojrzenie jego orzechowych oczu wciąż było martwe i puste.

Znajdujący się piętro niżej gabinet Macka był równie obskurny i ponury jak pokoje na górze.

Johnson stał obok swojej walizki, obracając w dłoniach kapelusz o szerokim rondzie. Miał na sobie pelerynę, zaś jego szyję zdobiła nieodłączna chusta, tym razem czarna. Na widok Macka znieruchomiał, wpatrując się weń uważnie.

- Mój Boże! Słyszałem, że nie jest z tobą najlepiej, ale nie sądziłem, że aż tak źle.

- Cześć, Hugh. Witaj w domu.

Mack podszedł do swego biurka, przyglądając dłonią rozczochrane włosy. Angelina Olivar przyniosła na tacy filiżanki z kawą i szybko odeszła.

- A więc naprawdę wróciłeś - powiedział Mack, patrząc na współnika.

- Tak - Johnson odłożył kapelusz na kanapę i zdjął płaszcz. Usiadłszy na jednym z foteli sięgnął po kawę. - Przynajmniej na pewien czas.

- Mieszkam tu na górze. Są tam jeszcze trzy puste sypialnie. Możesz się rozgościć.

Johnson skinął głową, przyjmując zaproszenie.

- Zupełnie nie poznaję miasta po tym, co się stało. - Podmuchał na parującą kawę. - Wiesz, że nie mam talentu do gadania, ale chcę powiedzieć, jak bardzo mi przykro...

- Daj spokój. Przecież Jim gdzieś żyje.

Mack wstał zza biurka i podszedł do stojącej po drugiej stronie pokoju szafy.

- Mam tu trochę whisky, jeśli miałbyś ochotę. Johnson zaprotestował gwałtownie:

- Nie o tak wczesnej porze.

- Nie obrazisz się jednak, jeśli napiję się sam, prawda?

Otworzył szafę i Johnson dostrzegł w środku liczne karafki i butelki. Mack wziął z półki kieliszek i napełnił go czerwonym winem, które wypił kilkoma łykami jak wodę.

- Co z twoim domem na Nob Hill? - zapytał Johnson. - Nie byłem tam jeszcze...

- Spalony aż po piwnice.

- Masz zamiar go odbudować?

Mack ponownie napełnił kieliszek i zamknął szafę. Sięgnął po leżące na półce plany.

- Starr, ten architekt, który projektował mój dom, uważa, że powinienem. Margaret także tak myśli. Wszyscy sądzą, że powinienem. - Rzucił rysunki z powrotem na półkę. - Poza mną.

Wypił duszkiem wino i nalał sobie kolejny kieliszek. Johnson ze smutkiem obserwował przyjaciela. Nie miał pojęcia, jak pomóc Mackowi. Być może zresztą nikt nie mógł mu pomóc.

## Rozdział 64.

W pierwszy wtorek listopada Mack wrócił do swego domu przy Greenwich Street o wpół do czwartej po południu. Trzech ludzi w roboczych kombinezonach szorowało pomalowane na szaro framugi okien sąsiedniego domu, a z pobliskiego sklepiku z papierosami dobiegały różne uderzenia młotka. Stukot młotków słyszało się teraz zresztą w całym San Francisco.

Mack miał na sobie brązowy płaszcz, prążkowany brązowy garnitur i dobrany doń kolorem kapelusz. Zarówno garnitur, jak i płaszcz, pochodziły z Londynu, ale nie wyróżniały się niczym szczególnym, raczej nadając właścicielowi wygląd anonimowego człowieka, niż ściągając nań uwagę.

Mack wziął laskę pod pachę i otworzył drzwi. Z salonu wybiegł mu na spotkanie zarumieniony i pełen energii Alex. Wskazał ręką leżącą na marmurowym blacie stołu stertę papierów.

- Przyniósł to posłaniec z biura Haversticka. Pan Haverstick telefonował także osobiście przed pięcioma minutami, by przypomnieć panu, że należy natychmiast zająć się udziałami przedsiębiorstwa wydobywającego ropę naftową.

- Mogą poczekać - odparł Mack, odkładając laskę.

Alex cofnął się o krok, zdumiony odpowiedzią swego pracodawcy.

- Mamy także gościa - dodał, wskazując drzwi biura. - Pan Marquez. Nieruchoma twarz Macka ożywiła się nagle. Wszedł do środka i zastał Diego Marqueza pogrążonego w rozmowie z Johnsonem. Pomimo że wszystkie okna były pootwierane, a zasłony rozsunięte, salon zdawał się jeszcze bardziej zakurzony i mroczny niż zwykle. Na widok Macka Marquez zerwał się z miejsca. Od czasu ich ostatniego

spotkania jeszcze bardziej przytył i nosił jeszcze mocniej postrzępione ubranie. Siwa patriarchalna broda sięgała mu aż do połowy klatki piersiowej. Podszedł do Macka dziwnym, kołyszącym się krokiem, jakby był kaleką. „Hemoroidy - pomyślał Mack. - Hemoroidy albo jakaś inna choroba związana z wiekiem.”

- Witaj, Diego - powiedział Mack, wyciągając do niego rękę. - Czy Felicia jest z tobą?

- Nie. Porzuciła mnie. Zaszła w ciążę z synem pewnego farmera. Czyż to nie ironia losu? - smutno wzruszył ramionami. - Ale zapewne to było nieuniknione - dodał. - Młoda dziewczyna nie może żyć w ciągłej biedzie i niepewności. Łatwo zapomnieć o ideałach, kiedy ma się pusty żołądek. Nie należy wracać do tego tematu. Pozwól wyrazić mi najszczęśliwszy żal z powodu twego syna.

- Och, odnajdę go, Diego. Pokłóciliśmy się i uciekł. Ale wróci. Wynajęłam człowieka z agencji Pinkertona, by go znalazł. Usiądź. Napij się whisky albo wina?

Ponieważ odmówił, Mack napełnił jedynie swój kieliszek.

- Co mogę dla ciebie uczynić? Marquez milczał przez chwilę.

- Pracowałem w Central Valley - powiedział w końcu. - W pobliżu twojego rancza.

- Czy praca ta polegała na uświadamianiu robotników?

- Tak. Nadal potrzebują pomocy. Ktoś musi wskazać im, jak mają upominać się o swoje prawa. Nie tylko o uczciwe zarobki, ale także o odpowiednie jedzenie i przyzwoite kwatery. Czy wiesz, że niektórzy właściciele rancz nie zadbali nawet o toalety? Szczęśliwy jestem, że nie dotyczy to twojej posiadłości.

- Czegóż w takim razie oczekujesz ode mnie?

Johnson założył nogę na nogę i poruszył się niespokojnie, słysząc w głosie Macka zniecierpliwienie. Marquez także



zmarszczył brwi. Najwyraźniej jego przyjaciel nie był w zbyt dobrym nastroju.

- Przybyłem tutaj, aby porozmawiać o pewnej grupie robotników, których nikt nie chce zatrudnić. Kilkuset z nich zostało bez dachu nad głową po trzęsieniu ziemi w San Francisco...

- O kim mówisz?

- O Hindusach.

- A, o nich. Widywałem ich na ulicach.

- Pochodzą głównie z Pendżabu, północno - zachodniego stanu Indii. Są doskonałymi rolnikami, biegłymi w uprawie bawełny, melonów, fig i kukurydzy. Ale nie mogą znaleźć pracy, nawet za najniższą, głodową zapłatę.

- Czemu? - zapytał Johnson.

- Ponieważ mają zbyt ciemną skórę. Bardzo różnią się od nas. Lubimy chwalić się, że Kalifornia to Złota Brama, stojąca przed wszystkimi otworem. Niestety, jeśli nie ma się białej skóry, zwykle jest to nieprawda.

Mack popatrzył na niego martwym wzrokiem. Marquez pochylił się ku niemu.

- Znam osobiście siedmiu Hindusów, którzy głodują. Chciałbym, żebyś zatrudnił kogoś z nich. Choćby tylko na okres próbny.

- Jestem biznesmenem, a nie instytucją charytatywną. Wynajmowaniem ludzi zajmują się moi zarządcy.

- Proszę cię o to w imię przyjaźni.

Mack sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Porozmawiam z jednym z zarządców, ale decyzja należy do niego - powiedział.

W Central Valley ciągle było upalnie. Za zakurzoną oknem biura Jesse Tarboxa fontanny wody skrapiły liście winorośli.

Tarbox był szczupłym mężczyzną o jasnej skórze, mającej tendencję do opalania się na czerwono. Nosił tabaczkowe bryczesy, brązowe kawaleryjskie buty i koszulę khaki. Pocił się obficie i dlatego zmieniał koszule dwa, a nawet trzy razy dziennie. Jego żona czasem narzekała na to, ale kilka uderzeń trzcinką zamykało jej usta.

Tarbox pochodził ze stanu Indiana i niedawno został wylany z prywatnej szkoły, w której uczył przez szesnaście lat. Przyczyniła się do tego jego krewka natura, uderzył bowiem pewnego ucznia o jeden raz za dużo, łamiąc mu rękę, która źle się zrosła. Opuściwszy szkołę, bawił przez jakiś czas w Kansas i Kolorado, pracując na farmach i zdobywając doświadczenie. W końcu, mając pięćdziesiąt siedem lat, znalazł pracę, jaką lubił: mógł teraz używać trzcinki do bicia bez ograniczeń.

Zadzwoił wiszący na ścianie telefon i zarządca sięgnął po słuchawkę. Centrala we Fresno połączyła go z San Francisco.

- Tu Tarbox - powiedział nerwowo. Jego pracodawca był twardym człowiekiem, a ostatnio miewał w dodatku złe nastroje i trudno było przewidzieć, co uczyni.

Tarbox słuchał przez chwilę.

- W porządku, sir, chociaż, jeśli chce pan znać moje zdanie, nie powinniśmy zatrudniać Hindusów. W żadnym wypadku. Wyglądają jak Murzyni. Jak tylko pokażą się w mieście, wystraszą na śmierć miejscowe kobiety. Niektórzy ranczerzy twierdzą, że to dobrzy robotnicy, ale ja im nie wierzę. Myślę, że nie są warci tego, by zawracać sobie nimi głowę.

- Zgoda, Jesse, będzie jak zechcesz, czy poza tym wszystko w porządku?

- Tak jest, sir.

Mack pożegnał się i rozłączył. Tarbox odwiesił słuchawkę na widełki. Na zewnątrz baraku syczące pompy rozpylały w

powietrzu olbrzymie, złote wachlarze wody, spryskując nimi lśniące liście aleksandryjskiej winorośli.

Zarządca z niechęcią popatrzył na aparat telefoniczny. Macklin Chance płacił dobrze, ale Tarbox nie lubił go. Nienawidził wszystkich, którzy mając dużo pieniędzy, mogli uważać się za kogoś lepszego niż on.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i do środka wszedł jakiś Meksykanin. Do przepoconej błękitnej bluzy przyciskał słomkowy kapelusz.

- Señor, la tubería de la estación de bombeo se rompió y se está inundando. Pękające liny przy pompach stanowiły wieczny problem. Ale najpierw Tarbox zajął się czymś innym.

- Wciąż od nowa powtarzam wam - powiedział po hiszpańsku - żebyście nigdy nie wchodzili tutaj bez pukania. Postaram się wpoić ci tę zasadę tak, byś nigdy o niej nie zapominał. - Uśmiechnął się złowieszczo, sięgając po trzcinkę.

Mack odsunął telefon z powrotem w róg biurka.

- Mój zarządca nie zgodził się. Miejscowi ludzie nie lubią Hindusów.

- Czy to twoja ostateczna odpowiedź? - zapytał rozgniewany Marquez, gwałtownie wstając z miejsca.

- Owszem.

- Myślę, że człowiek, którego spotkałem parę lat temu, odpowiedziałby inaczej. Sam podejmowałby takie decyzje. Mówiono mi, że strata syna zmieniła cię, ale nie miałem pojęcia, że aż tak bardzo.

- Nie potrzebuję twoich umoralniających nauk, Diego.

- Przykro mi, Mack. Skoro jesteś wrogiem tych, którym pomagam, jesteś także moim wrogiem.

Mack wzruszył ramionami.

- Skoro tak twierdzisz. - Odwrócił się do gościa plecami, jak gdyby nagle zainteresowała go zakurzona sterta listów leżąca na stole.

Johnson i były kaznodzieja wymienili między sobą pełne współczucia spojrzenia. Marquez ujął postrzępiony słomkowy kapelusz, identyczny jak wszystkie inne, które nosił podczas swych pielgrzymek, i nie popatrzywszy więcej na Macka wyszedł.

- Nieźle traktujesz starych przyjaciół - gwizdnął przez zęby Johnson, kiedy za Marquezem zaniknęły się drzwi.

- To ty tak uważasz.

- Tu nie chodzi o moje zdanie. To fakt - Johnson podsunął Mackowi skreconego przez siebie papierosa. - Był czas, kiedy pomógłbyś każdemu znajdującemu się w potrzebie biedakowi.

- Chryste, mówisz zupełnie tak jak Diego. Czyżby udzielił ci lekcji, jak zostać kaznodzieją?

- Niech ci się nie wydaje, że zbędziesz mnie szyderstwem. Gdyby była tu Nellie, powiedziałaaby ci to samo.

- Nellie jest w drodze do Europy. Postanowiła napisać nową powieść. Płynąc do domu, pewnie spotkałeś po drodze jej statek. Musisz się więc obyć bez tego sojusznika.

- Obejdę się - odparł Johnson, podchodząc do stołu. - Mam ci coś do powiedzenia.

- Jak zwykle. Ale ja nie mam ochoty tego słuchać - powiedział Mack, rozkładając przed sobą rachunki z San Solaro. Wynikało z nich, że jest tam już tysiąc trzech stałych mieszkańców.

Johnson sięgnął po papiery i zabrał je sprzed oczu przyjaciela.

- Posłuchaj mnie, Mack. Wiem, że zostałeś straszliwie zraniony. Przykro mi z tego powodu, ale to nie daje ci prawa do zachowywania się jak sukinsyn.

Mack poderwał się z krzesła i wyrwał Hughowi dokumenty, jakby to był drogocenny skarb.

- Rozmawialiśmy już kiedyś na ten temat. Jeśli masz zastrzeżenia do tego, jak postępuję, drzwi stoją otworem. Jak zawsze.

Teksańczyk westchnął głęboko.

- Chyba rzeczywiście wybiorę się w jakąś podróż. Każę zapakować moją walizkę. Popełniłem głupstwo wracając tutaj. Zostań więc sam, użalając się nad swoim nieszczęściem, upijając się i warcząc na wszystkich jak wściekły pies. Ja na szczęście nie muszę na to patrzeć.

Wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi.

Dziesięć minut później Mack usłyszał nieregularny odgłos kroków na schodach. Drewniana proteza Johnsona zastukała o deski podłogi, a w chwilę później skrzypnęły drzwi i za oknem mignął cień wysokiego kapelusza.

Mack skrył w dłoniach poczerwieniałą twarz. Nienawidził tego pewnego siebie Teksańczyka. Nienawidził go tym bardziej, że wiedział, iż Johnson ma rację.

Postanowił zapomnieć o tym otwierając kolejną butelkę wina.

W Central Valley Hellman przewrócił się wchodząc na schody i złamał nogę. Jego gospodyni uważała, że upadł, ponieważ ze starości miał już słaby wzrok, a był zbyt próżny, żeby nosić okulary. Usłyszawszy o tym, Mack zaśmiał się smutno: doskonale rozumiał swojego teścia.

Odwiedził go w Sacramento i dowiedział się, że ojciec Carli będzie musiał przez miesiąc pozostawać w łóżku. Hellman przysięgał wprawdzie, że jest równie pełen energii i sił jak zawsze, ale usnął w trakcie ich rozmowy, ostatnie słowa mamrocząc już przez sen.

- Jest zbyt stary, by mieszkać samotnie - powiedział Alexowi Mack, wróciwszy do San Francisco. - Znajdź mu jakieś mieszkanie. Przenieś go tutaj.

Na Mission Street śmierdziało błotem i rynsztokiem. Mack i Margaret stali przy pustym placu. Dwaj ubłoceni mężczyźni pracowali w głębi rowu przecinającego parcelę.

Mack i Margaret przyglądali się temu w milczeniu. Patrzyli, jak cieśle zbijają szalunki na fundamenty nowego budynku. Promienie słoneczne wyłaczały włosy Margaret. Wyglądała bardzo elegancko w kostiumie z bordowego aksamitu, w koronkowych rękawiczkach i w wytwornym kapeluszu. Uśmiechała się nieśmiało. Wyglądała niewinnie jak dziecko.

Pałac cygaro, Mack beznamiętnym wzrokiem obserwował robotników.

- Zostanie otwarta w marcu - oświadczyła Margaret, ujmując go pod ramię. - Tak powiedział mi wczoraj architekt.

- Świetnie - odparł Mack. Jego orzechowe oczy błędziły gdzieś ponad ceglanyścianami sąsiednich domów, wędrując ku ciężkim, pędzonym przez wiatr chmurom.

- Czy kiedykolwiek uwolnisz się od myśli o tym nieszczęściu? - zapytała Margaret, zatrzymując się i dotykając jego policzka.

- Tak. Kiedy tylko policja lub Pinkerton odnajdą mojego syna.

- Czy jest coś...?

Wędrowali opustoszałą ulicą, po której przesuwwały się cienie jesiennych obłoków. Na rogu, w kałuży krzepnącej krwi, dostrzegli dwa martwe konie. Widocznie pracowały tak ciężko, że w końcu serca odmówiły im posłuszeństwa. Służby miejskie usuwały nocami wiele padłych zwierząt.

Margaret zakrztusiła się poczuwszy odór krwi. Zakłopotana, uśmiechnęła się przepraszająco.

- Świnie śmierdzą jeszcze gorzej. Teraz wiesz, czemu uciekłam z farmy. Na Market Street trwało usuwanie gruzu. Trolejbusy nie woziły jeszcze ludzi.

Mimo panującego na ulicy hałasu, usłyszeli głośne nawoływania gazeciarza.

- Krzyczał coś o Ruefie - powiedział Mack, ożywiając się nagle. Pośpiesznie ruszyli w tamtą stronę i wkrótce zobaczyli mały tłumek skupiony wokół chłopca sprzedającego „Examinera”. Hearst urządził już redakcję w nowym budynku, ale mimo to gazeta długo jeszcze miała być drukowana w Oakland.

- Gazety, świeże gazety! Abe Ruef i burmistrz Schmitz oskarżeni o przestępstwo!

Mack przepchnął się do przodu i sięgnął po ostatni egzemplarz gazety. Wskazał Margaret wielki nagłówek: „Ruef i Schmitz oskarżeni!”

Była to wiadomość, na którą grupa reformatorów oczekiwała od tygodni.

- Pięć dowodów oszustwa - przeczytała szybko Margaret. - „The Poodle Dog”... „Delmonico”... „Marchand”... Mack, oni mają całą ewidencję: rachunki, daty, dowody wypłacenia pieniędzy...

- Burns i jego detektywi odwalili kawał dobrej roboty. Sprawa restauracji francuskich to tylko początek.

Bierce przysłał mu z Waszyngtonu wiadomość:

„Powieść Nellie o trzęsieniu ziemi została opublikowana w The S. E. Poste. Sztylet zazdrości przeszył mą splamioną atramentem pierś. Ona robi karierę, podczas gdy ja mizdrzę się do wielkiego Wm. R. Hoeya, choć w gruncie rzeczy nienawidzę jego taniego brukowego piśmidła. Nikt inny jednak nie wystawia tak hojnych czeków.”

Szóstego grudnia Fremont Older przygotował przepustkę dla Macka i obaj wmieszali się w tłum przybyły na proces

Ruefa i Schmitza. Liczba miejsc w sądzie nadal była ograniczona z powodu zniszczeń po trzęsieniu ziemi. Mack pomyślał, iż to ironia losu, że proces miał odbyć się w budynku synagogi, w sali, która zwykle służyła do nauczania Tory.

Podczas czytania aktu oskarżenia Handsome Gene Schmitz stał wyprostowany, podczas gdy Wódz siedział ze skrzyżowanymi nogami, bezmyślnie gapiąc się w sufit.

Okazało się to ponad wytrzymałość sędziego Dunne.

- Oskarżony ma obowiązek na stojąco wysłuchać aktu oskarżenia. Nikt nie będzie miał w tym sądzie specjalnych praw. Proszę wstać. Urzędnik zacznie czytać od początku.

Ruef posłusznie podniósł się z miejsca.

Wild Bill Flyshack odwiedził Greenwich Street na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Jego relacja była krótka.

- Nadal żadnego śladu po nim.  
- Detektywi nie dowiedzieli się niczego nowego?  
- Sprawdzili pięciu kolejnych chłopców. Żaden z nich nie okazał się pańskim synem.

Mack uderzył pięścią w stół.

- Nie płacę ci za to, Flyshack, byś przyjeżdżał tutaj i opowiadał o swoich niepowodzeniach. Zatrudnij więcej ludzi.

- Chwileczkę, panie Chance. Już teraz pracują nad tym wszyscy, jakich mamy...

- W takim razie znajdźcie go. Pinkerton uchodzi za najlepszą agencję w kraju. Flyshack tak gwałtownie strzepnął do szklanej popielniczki popiół z cygara, że złamało mu się ono w rękę.

- Każdy dzień przynosi potwierdzenie na to, że Pinkerton zasługuje na swoją opinię. Po prostu pan nie ma odwagi spojrzeć prawdzie w oczy.



Mack zapalił osłoniętą zielonym kloszem lampę elektryczną. Jej blask padł na spoconą twarz detektywa. Mack popatrzył mu w oczy.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Pinkerton jest agencją prywatną. Nie mamy dostępu do wszystkich źródeł, jakimi dysponuje policja. Ona zresztą nie pali się wcale do pomagania nam. Szczególnie w pańskim przypadku. Nie cieszy się pan zbyt dużą popularnością u władz miasta, panie Chance.

- Sądzi pan, że o tym nie wiem? Ale co to, u diabła, ma do rzeczy?

- Dużo - odparł Flyshack. - Większość policjantów w tym mieście nienawidzi pana, a w każdym razie nie ma zamiaru zrobić nic, by panu pomóc. I nie chodzi tu tylko o to, że jest pan przeciwnikiem Ruefa. To wiąże się jeszcze ze sprawą Lona Coglana. Przez wiele lat był tu cieszącym się wielkim uznaniem detektywem.

- Niech pan przejdzie do rzeczy.

Flyshack nie lubił być przesłuchiwany. Narastało w nim uczucie buntu.

- Nie byłem zadowolony ze współpracy z policjantami, wobec czego wkręciłem w szeregi policji własnego informatora - powiedział drżącym z gniewu głosem. - Ma niskie stanowisko, ale to wystarczyło, by zobaczyć i usłyszał niejedno. Dowiedziałem się, że dzwono w pańskiej sprawie do innych urzędów miejskich w całym stanie. W San Diego, Los Angeles... Nie zachęcano nikogo, broń Boże, by łamał prawo. Po prostu sugerowano, żeby nie wysilano się zbytnio, aby panu pomóc. Po cichu ściągano też wydrukowane przez pana plakaty ze słupów ogłoszeniowych, ścian dworców kolejowych i tak dalej. Niby nic wielkiego, ale znacznie zmniejszyło to szansę, że usłyszymy coś o pańskim synu.

- Czy Abe Ruef maczał w tym palce?

- Nie powiedziałem, że zrobił to bezpośrednio Ruef. Raczej jego przyjaciele zasiadający we władzach miasta. Mają znajomości w całej Kalifornii i bardzo nie lubią zarówno pana, jak i całego ruchu reformatorskiego. Nie zrobili zresztą nic konkretnego, za co można by postawić ich przed sądem. Mimo to poważnie panu zaszkodzili.

- A więc to dlatego nie odnaleziono dotąd Jima?

- Jest to na pewno jedna z przyczyn.

- Myślę, że szuka pan dla siebie wymówki. Flyshack poderwał się na równe nogi.

- Po prostu mówię panu to, czego się dowiedziałem. Zresztą może pan natychmiast zrezygnować z moich usług.

Gorycz brząca w jego głosie sprawiła, że Mack zawstydził się.

- Nie, nie, przepraszam pana. Wierzę w to, co pan powiedział. Chcę, żeby nadal zajmował się pan tą sprawą. Proszę usiąść.

Flyshack niechętnie opadł na fotel. Popatrzył na rozgniecione w popielniczce cygaro i sięgnął po następne.

- Bardzo chętnie powiedziałbym panu coś pocieszającego, panie Chance. Obiecałem, że wszystko będzie dobrze. Ale, szczerze mówiąc, zaczynam już tracić nadzieję. Cała ta krecia robota władz, o której panu wspomniałem, na pewno nam nie pomogła, ale ma jednak drugorzędne znaczenie wobec czegoś innego: jest już grudzień. Zmusił pan do działania policję, rozlepił tysiące plakatów, a mimo że upłynęło już osiem miesięcy, pański syn nadal się nie odnalazł. Będziemy w końcu musieli pogodzić się z myślą, że zginął podczas trzęsienia ziemi lub późniejszego pożaru.

- Nie, nie zginął. Odnajdziecie go.

- Kalifornia to wielki stan. Jest w niej wiele miejsc, gdzie znajdować się może grób takiego małego chłopca...

- Odnajdziecie go.

Flyshack obrzucił Macka uważnym spojrzeniem. Powoli wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną kartkę papieru.

- Mam przy sobie rachunek za ten miesiąc. Czy życzy pan sobie, abym przekazał go panu Mullerowi?

- Pan Muller ma urlop na czas miodowego miesiąca. Proszę zostawić go mnie. Detektyw położył kartkę na biurku i sięgnął po swoją podróżną torbę.

- Nie jest pan łatwym klientem, panie Chance.

- Nie, ale chyba dobrze wam za to płacę?

Flyshack zaśmiał się. Mack odprowadził go do holu. Obaj byli w złym nastroju.

- Nie ozdobił pan domu na święta? - zapytał Flyshack, rozglądając się dookoła.

- A po co?

- Cóż... rozumiem pana. Tak czy owak życzę wesołych świąt. - Włożył kapelusz i wyszedł w mrok ulicy.

## Rozdział 65.

W 1907 roku Stany Zjednoczone przeżyły kolejną panikę finansową. Spadały ceny akcji, bankrutowały banki, rosło bezrobocie. Pierpont Morgan zwrócił się do przedsiębiorców w całym kraju, by chronili udziały znajdujące się w rękach prywatnych, bo jedynie to mogło przywrócić równowagę zachwianej pozycji banków i systemów kredytowych. Mack poświęcił na to siedem milionów dolarów ze swojego prywatnego majątku.

Aeronautyka wciąż była zupełną nowością. Wprawdzie już w 1903 roku bracia Wright odbyli lot do Kitty Hawk, ale mimo to konserwatywne społeczeństwo nie miało zaufania do latających maszyn, tak jak w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku nie miało zaufania do samochodów. Ludzie uważali, że ten, kto na serio interesuje się lataniem, musi być szaleńcem. I właśnie za takiego uchodził w ich oczach Mack.

Nellie napisała doń z Florencji, że wkrótce ukończy powieść i że pisze około dziewięćuset słów dziennie. Twierdziła, że po tej książce spadkobiercy Collisa Huntingtona oraz Wujka Marka Hopkinsa znienawidzą ją na zawsze.

Mack wybrał się w interesach do Nowego Jorku i powrócił do Kalifornii parowcem przez Colon w Panamie. Przejeżdżając przez Isthmus, widział wielki wykop w ziemi, gdzie tysiące robotników wymachiwało łopatami przeklinając „Wielki Rów Teddy'ego” - kanał łączący dwa oceany. Na pokładzie przybrzeżnego statku w drodze do San Francisco przeczytał Grzędawisko Uptona Sinclaira.

Spędzający urlop w Kalifornii Willie Hearst zabrał Macka na konną przejażdżkę na swoje ranczo Piedra Blanca, posiadłość w hrabstwie San Luis Obispo, gdzie ojciec Willie'ego kupił w 1865 roku czterdzieści pięć tysięcy akrów hiszpańskiej ziemi. Willie miał już teraz żonę i trzech synów.

Był także kongresmenem z Nowego Jorku. Jednak zarówno o Waszyngtonie, jak i o swojej rodzinie niewiele mówił. Zamiast tego, galopując wraz z Mackiem wzdłuż dzikich plaż nad Pacyfikiem, z nostalgią wspominał piękną Kalifornię. To właśnie tam chciał pewnego dnia zbudować wymarzony zamek.

Do Macka dotarły słuchy na temat nowej, radykalnej organizacji robotników. W publicznych oświadczeniach jej członkowie deklarowali, że ich celem jest edukacja „uciskanej klasy robotniczej” oraz przygotowanie „ogólnoświatowej rewolucji”. Na liście aresztowanych podczas wiecu tej organizacji w Visalii znalazł nazwisko Diego Marqueza.

Mack przeniósł swego teścia z Sacramento do ślicznego domu przy Lombard Street, którego okna wychodziły na zatokę. Wynajął mu także pielęgniarkę i kucharkę. Hellman chorował cierpiąc na serce i żyłaki na nogach, zaczynał też tracić pamięć. Mimo to wciąż powtarzał, że od nikogo nie potrzebuje żadnej pomocy.

Profesor Lorenzo Love miał już dość czekania na odnalezienie się swego ucznia i przyjął posadę w żeńskiej szkole w Bakersfield. Żegnając się z Mackiem oświadczył, iż modli się o to, by Jim pewnego dnia powrócił, jeśli jednak miałyby to nie nastąpić, ufa, że Mack pogodzi się z tą stratą.

- Longfellow napisał, że cierpienie czyni nas silniejszymi  
- powiedział.

- To bzdura, Lorenzo. Dobrze o tym wiesz.

- Niech pan znajdzie Jima, panie Chance - rzekł nauczyciel, ściskając byłego pracodawcę. - Niech go pan znajdzie.

Flyshack składał raporty regularnie, wciąż jednak nie miał żadnych pocieszających wieści. Pewnej bezsennej nocy pod koniec 1907 roku do Macka dotarła wreszcie nieubłagana, rozpaczliwa prawda.

Nie było już żadnej nadziei. Stracił Jima na zawsze.

Tymczasem proces Ruefa posuwał się naprzód. W marcu sąd był już w posiadaniu sześćdziesięciu pięciu dowodów łapówkarstwa i defraudacji pieniędzy. Siedemnaście spraw dotyczyło wydobycia ropy naftowej, trzynaście wiązało się z zakładaniem linii telefonicznych, siedemnaście innych zaś z miejskimi trolejbusami. Heney, jako oskarżyciel posiłkowy, zażądał zamknięcia Ruefa w areszcie przy Fillmore Street i rozpoczął z nim negocjacje. W zamian za częściowe przywrócenie mu wolności Wódz zgodził się zeznawać.

W czerwcu przesłuchiowano Ruefa w sprawie udziału Schmitza w napadzie na restaurację Margaret. Sąd orzekł o jego winie i Schmitz został skazany na pięć lat więzienia w San Quentin.

Nie obyło się oczywiście bez pogroźek pod adresem tych, którzy stali po stronie oskarżycieli. Mack otrzymał pocztą trzy anonimowe groźby, że zostanie zabity, a Rudolf Spreckels odebrał pewnego razu telefon z ostrzeżeniem, że jego dom zostanie wysadzony w powietrze. Kiedy Fremont Older odbywał podróż po południowej Kalifornii, jacyś trzej ludzie próbowali go porwać, gdy pociąg zatrzymał się na jednej ze stacji. Napastnicy byli uzbrojeni, ale mimo to Older zaczął krzyczeć i pracownicy stacji wraz z pasażerami udaremniłi porwanie.

Przynajmniej raz w tygodniu Mack przyjeżdżał na Lombard Street i zabierał Hellmana na cały dzień do sądu. Starzec lubił słuchać o nieuczciwości swych dawnych współpracowników i Mack przypuszczał, iż cieszy go świadomość, że nie on jeden zachowywał się w przeszłości jak łajdak.

Sprawa „Parkside Realty” trafiła na wokandę na początku kwietnia 1908 roku. „Parkside” była rozwijającą się firmą, na czele której stał William Crocker, prezes „Crocker Bank” i syn

Cholly'ego, jednego z Wielkiej Czwórki. Przedsiębiorstwo chciało uruchomić nową linię trolejbusową wzdłuż wybrzeża oceanu, potrzebowało koncesji, to zaś oznaczało łapówkę dla Ruefa. Wódz sam oskarżył urzędników „Parkside” o nieuczciwość, składając przed sądem zeznania w zamian za umożliwienie mu zwolnienia za kaucją. Zanim jednak zaczęła się rozprawa, Ruef i prokurator pokłócili się, Heney chciał bowiem, by oskarżony powiedział więcej, niż pierwotnie uzgodniono, i w rezultacie doszło do zerwania całej ich umowy. Heney i jego ludzie znowu znaleźli się w punkcie wyjścia.

- Mają teraz trudności nawet ze znalezieniem sędziów - powiedział Mack, pomagając teściowi zejść po schodach domu przy Lombard Street.

Hellman z wysiłkiem pokuśtykał ku oldsmobile'owi.

- Czy to dzisiaj będą ustalać skład ławy przysięgłych? Mack skinął głową.

- Wysadzenie w powietrze domu Gallaghera znalazło się na pierwszych stronach gazet i będzie teraz cholernie trudno znaleźć dobrych, obiektywnych ławników.

To, o czym mówił, odnosiło się do wypadku, jaki miał miejsce dwa dni wcześniej. Wybuch dynamitu zniszczył front rezydencji byłego członka władz miejskich, Jamesa Gallaghera. Był on zamieszany w sprawę Tireya Forda, urzędnika „United Railroads”. Pośredniczył między nim a Ruefem, kiedy Ford przekazywał władzom miasta łapówkę. Gallagher i jego rodzina cudem ocaleli z tego zamachu.

Hellman złościł się, że zięć pomaga mu wsiąść do samochodu, Mack jednak nie zwracał na to uwagi.

- Dziękuję, Johnny. Widzę, że uważasz mnie już za kalekę. Czy coś zmieniło się ostatnio w sprawie Hetch Hetchy?

- Nie, rzecz wciąż się odwleka - odparł Mack, siadając za kierownicą. - Nie zapadły jeszcze żadne decyzje.

Kiedy miał już ruszyć, starzec nieoczekiwanie chwycił go za ramię. Dłoń Hellmana była czerwona, spocona i drżąca.

- Posłuchaj, nigdy nie byłem biegły w prawieniu komplementów. Ale wiedz, że naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz. To, że znalazłeś mi ten dom i zatrudniłeś pielęgniarkę. I że przyjeżdżasz tutaj, by zabrać mnie co tydzień do sądu, choć jesteś tak zajęty...

- To jest jak zabawa karnawałowa dla całego miasta. Wiem, że lubisz takie rzeczy.

- Patrzenie, jak piecze się na rożnie tych wszystkich facetów, jest ciekawsze od oglądania dziewczuch tańczących z gołymi tyłkami. W każdym razie w moim wieku.

Hellman uśmiechnął się i w jakiś sposób uśmiech ten przypomniawszy Mackowi, że on sam także jest śmiertelny. Poczł się nagle bardzo stary.

- Nie robię dla ciebie nic specjalnego - powiedział w końcu.

- Do diabła, to nieprawda. Życie na ranczo było jednak dla mnie za ciężkie i jestem ci wdzięczny, że przeniosłeś mnie do miasta. Carla nigdy nie odwiedzała mnie zbyt często, teraz zaś w ogóle przestała do mnie zaglądać.

- Wiem o tym.

- Wiesz też, dlaczego tak się dzieje. Ta dziewczyna jest bez serca. Ma za nic starego ojca. Obchodzi ją tylko picie i ten pacykarz, z którym się ostatnio zadaje. Ojca nie chce nawet widzieć. To by jej przypominało, że starość jest czymś realnym. A ona bardzo pragnie o tym zapomnieć. - Popatrzył w słońce załzawionym wzrokiem. - Zawsze kochałem moją córkę, Johnny. Ale chyba nigdy jej nie lubiłem.

Mack milczał. Podzielał uczucia starca.



Francis J. Heney zbliżył się do ławy przysięgłych. Na miejscu dla świadka siedział człowiek wyglądający jak prowincjonalny sędzia. Miał rozczochrane, siwiejące blond włosy, olbrzymie wąsy i zasnutę bielmem oko, co chwilami upodabniało go do szaleńca. W przeznaczony dla widowni części sądu zgromadziło się około trzydziestu osób. Trzej z broniących Abrahama Ruefa adwokatów - Shortridge, Ach i Fairall - konferowali cicho ze sobą, przesłaniając usta dłońmi.

- Morris Haas zgodził się wczoraj być ławnikiem w sprawie łapówki wręczony przez „Parkside”. Czy pan sprzeciwia się temu, panie Heney?

- Tak, Wysoki Sądzie - Heney wziął do ręki jakiś kartonik. - Mamy nowe informacje. Nasi ludzie dotarli do nich dopiero teraz.

Morris Haas spocił się widząc, jak sędzia przygląda się podanej mu fotografii.

- Proszę o pozwolenie zaprezentowania tego zdjęcia panu Haasowi - powiedział Heney.

- Sąd wyraża zgodę - odparł sędzia. Heney podszedł do miejsca dla świadków.

- Panie Haas, pokażę panu mającą już dwadzieścia lat fotografię, którą otrzymałem z departamentu więziennictwa. Jest to zdjęcie człowieka z ogoloną głową ubranego w więzienny pasiak.

Haas przymknął oczy. Po jego twarzy strużkami począł spływać pot.

- Czy to pan jest na tej fotografii? Czy prawdą jest, że przebywał pan w tym czasie w więzieniu San Quentin za zdefraudowanie pieniędzy?

- Ten Heney to naprawdę mały spryciarz - szepnął Hellman siedzący na swym ulubionym miejscu w drugim rzędzie. - Nie chciałbym, żeby zainteresował się tym, co ja sam robiłem piętnaście czy dwadzieścia lat temu.

- Proszę o odpowiedź, panie Haas - powiedział Heney.  
- Gubernator wystosował do mnie przeprosiny - oświadczył Haas. - Przywrócił mi pełne prawa obywatelskie...

- A więc zaprzecza pan, że to pan znajduje się na tym zdjęciu?

- Nie, nie zaprzeczam. Jakże mógłbym? To ja, ale spłaciłem już mój dług. Powróciłem do San Francisco, ożeniłem się i spłodziłem czworo dzieci. Przecież tamta sprawa nie może nadal świadczyć przeciwko mnie.

- Ja uważam inaczej - odrzekł Heney lodowatym tonem. - Wysoki Sądzie, prokurator nie może zgodzić się na ławnika, na którego ktoś mógłby, w ten czy inny sposób, wywierać jakieś naciski. A oskarżenie o przestępstwo, z którego się kiedyś wycofano, może dziś posłużyć do zaszantażowania tego człowieka. Dzięki naszemu śledztwu odkryliśmy przeszłość pana Haasa i żałuję ogromnie, że musiałem podać ją do publicznej wiadomości. Żądam jednak, by wykluczono go...

- Niech cię diabli, Heney - wrzasnął Haas, zrywając się na równe nogi. Sędzia nakazał mu spokój.

- Proszę opuścić miejsce dla świadka, panie Haas. Jest pan wolny.

Haas ruszył w stronę Heneya, który akurat odwrócony był do niego plecami, ale urzędnik sądowy chwycił go mocno za ramię i odciągnął od prokuratora. Przy pomocy Foleya, osobistego strażnika oskarżyciela, odprowadził go aż za barierkę odgradzającą prawników od widzów. Otyła kobieta z ciemnym wąsikiem nad górną wargą rzuciła się ku Haasowi ze łzami w oczach.

- Nie puszczę tego płazem - krzyknął Haas, przepychając się ku drzwiom sali sądowej. - Przez ciebie jestem skończony w San Francisco. Zapłacisz mi za to!

- Szaleniec - stwierdził Hellman.

Mack właśnie miał mu coś odpowiedzieć, kiedy pojawił się strażnik sądowy.

- Szuka pana jakiś dżentelmen, panie Chance. Był u pana w domu i pański asystent przysłał go tutaj.

Wręczył Mackowi ozdobną wizytówkę. Mack zaintrygowany rzucił na nią okiem, po czym widząc, że Hellman zerka mu przez ramię, podał teściowi.

- Możesz to przeczytać?

- Oczywiście, że mogę. - Hellman nie lubił, gdy przypominano mu o jego pogarszającym się wzroku. Przyglądał się wizytówce, dotykając jej niemal nosem.

- Do diabła, co tu jest napisane?

- Gilbert M. Anderson. „Essanay Manufacturing Company”, Argyle Street, Chicago.

- Nigdy o kimś takim nie słyszałem. Idź i zobacz się z nim. Nic mi się przez ten czas nie stanie.

Mack pośpieszył do holu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu w jego orzechowych oczach pojawił się błysk zainteresowania, wywołany ozdobnym nadrukiem na wizytówce: stylizowanym fragmentem taśmy filmowej.

W „New Golconda Saloon and Grill”, dwie przecznice do budynku sądu, Mack zamówił kufel piwa. Gilbert Anderson był krępy i raczej brzydkim człowiekiem.

Miał koło trzydziestu lat, jednak jego lśniące, brązowe oczy i duży nos sprawiały, że wyglądał na starszego. Był ubrany równie starannie jak bankowy urzędnik wysokiej rangi.

- „Essanay” - wskazał leżącą pomiędzy nimi wizytówkę - to firma moja i George'a Spoor. George zajmuje się stroną finansową przedsiębiorstwa. Ja dbam o produkcję.

- Mówi pan o filmach?

- Tak, proszę pana. O nich też właśnie chciałem z panem porozmawiać. Po - zwałam sobie zabierać panu czas,

ponieważ słyszałem, że nie boi się pan inwestować w nowe pomysły.

Mack sięgnął po cygaro. Chyba tracił czas. Anderson wyglądał na człowieka nie mającego żadnej siły przebicia. Był raczej nieśmiały. Jednak szczerłość malująca się na jego twarzy budziła zaufanie. Mack skinął głową na znak, że pozwala mu mówić dalej.

- Jestem aktorem scenicznym... - zaczął Anderson. - To znaczy, kiedyś nim byłem...

- W Nowym Jorku?

- Tak. Choć urodziłem się w Pine Bluff w Arkansas. - Przyglądał się przez chwilę Mackowi, jakby oceniając, czy może mu zaufać. - Gilbert Anderson to pseudonim, który wymyśliłem na potrzeby teatru. Uznałem, że brzmi lepiej niż Max Aronson. Niektórzy producenci nie lubią żydowskich aktorów, a pewne teatry nie chcą nawet wynajmować sal, jeśli w przedstawieniach grają Żydzi.

- Świat jest pełen głupich ludzi, panie Anderson. Czy dobrze zrozumiałem, że rzucił pan scenę dla filmu?

- To prawda. Przemierzyłem cały Zachód, grywając małe rólki. Dwie z nich nawet w Westlake Park w Los Angeles. Potrzebuję jednak jakiegoś stałego zajęcia. Chcę kupić ziemię, wybudować studio filmowe i czerpać korzyści z tego, że w Kalifornii zawsze świeci słońce. Niestety, jak dotąd każdy cent zarobiony przez „Essanay” wkładaliśmy w studio w Chicago. Potrzebuję dodatkowego kapitału.

- Jakiego rodzaju filmy chce pan kręcić?

- Takie, które przyniosą mi pieniądze. Mack roześmiał się.

- To najlepszy gatunek.

- Lubi pan filmy?

- Kocham je. Anderson pochylił się tak gwałtownie, że omal nie rozlał piwa.

- Prawdę mówiąc, najbardziej zainteresowany jestem filmami o Zachodzie. Stary Zachód na dobrą sprawę już nie istnieje. Samochody, miasta, nowoczesne drogi... i ci wszyscy ludzie przybywający tu i zakładający biura handlu nieruchomościami albo przedsiębiorstwa turystyczne... To przez nich umarł stary Zachód.

- Znam pewnego człowieka, który by się z panem zgodził.  
- Mack pomyślał o Johnsonie, który przepadł jak kamień w wodę, a jego udziały w wydobywaniu ropy naftowej leżały nietknięte na koncie w Los Angeles.

- Ludzie wciąż kochają Zachód, panie Chance - oświadczył Anderson z entuzjazmem. - Częściowo dlatego, że już odchodzi w przeszłość, a częściowo, ponieważ jest taki prosty i uczciwy. A także fascynujący. Czy widział pan Napad na ekspres Portera?

- Wielokrotnie.  
- Grałem w nim pasażera wydanego na łaskę bezprawia.  
- Cóż - Mack wydmuchnął dym - z pewnością widziałem pana. Ale niestety nie zapamiętałem.

Anderson poczuł się dotknięty jego szczerością. „Typowy aktor” - pomyślał Mack z rozbawieniem. Podobał mu się ten młody człowiek, który tak bardzo kochał Zachód, choć z pewnością nie wyglądał na człowieka Zachodu. Anderson rozpiął guzik marynarki i Mack zauważył, że młodzieniec zaczynał już tyć.

- Miałem grać tam kogoś innego - powiedział po chwili. - Zostałem przyjęty do roli jednego z rabusiów. Ale Porter zapytał, czy kiedykolwiek jeździłem konno. Nie mogłem go okłamać. Prawdę mówiąc, miałem już dość Nowego Jorku i gotów byłem porzucić aktorstwo, kiedy dostałem tę pracę. Film Portera zmienił moje życie. Zmienił także kino.

- Ponieważ opowiada pewną historię.

- Owszem. Czy zauważył pan, że ten króciutki film składa się zaledwie z czternastu scen? Kiedy kręciliśmy je na pustkowiu w New Jersey, nie myślałem o tym zbyt wiele. Potem jednak poszedłem na projekcję i byłem oczarowany. Stałem w ciemnościach w „Edenie” przy Fourteenth Street i widziałem, jak ludzie zrywali się z miejsc, krzycząc: „Łapać ich!”, kiedy wyjęci spod prawa rabusie napadali na pociąg. A gdy film się skończył, prosili: „Puśćcie to jeszcze raz, jeszcze raz.” Nie mogłem uwierzyć w reakcję ludzi w „Edenie” i poszedłem do „Hammersteina” na Broadwayu. Tam również wyświetlano ten film. Sądziłem, że tym razem widownia pozostanie chłodna i opanowana. Wie pan, co się wydarzyło?

- Czyżby znów krzyczeli: „Puśćcie to jeszcze raz!”?

- Otóż to! - Anderson szybko dopił piwo, zapominając otrzeć z ust pianę. - Ciągłe nie mieli dosyć. Powiedziałem wtedy do siebie: „Anderson, to jest to. Kręcenie filmów to dobry interes.”

- I teraz chce pan robić filmy o Zachodzie?

- Owszem. Takie, gdzie będę miał bohatera, pozornie złego, ale o dobrym sercu. Sam go zagram, żeby zaoszczędzić pieniądze.

Mack uśmiechnął się ironicznie. Nie był wcale pewny, czy rzeczywiście oszczędność była głównym powodem, dla którego Anderson chciał tej roli. Ale podobał mu się entuzjazm tego człowieka.

- Czy znalazł pan już plac, na którym miałyby stanąć studio?

- Tak, proszę pana. Za East Bay. W Niles Canyon. Z dala od gęstych mgieł.

- I jeszcze najważniejsze pytanie: czy nauczył się pan już jeździć konno? Anderson wybuchnął śmiechem.

- O tyle, o ile. Jeśli spadnę z siodła, zawsze można powtórzyć scenę. To właśnie jest takie piękne w filmie.

Poprzez smugi dymu Mack z uwagą wpatrywał się w swego rozmówcę. Zwracając się o pomoc do ludzi o konserwatywnych poglądach człowiek ten nie miałby szans. Potrzebował kogoś nie bojącego się nowości. Mack poczuł nagle, że przenika go dziwny dreszcz. Już kiedyś doznał podobnego uczucia. I zwyciężył. Jeśli teraz odmówi, niczego nie zyska.

Ku swemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że dzieje się coś wyjątkowego. W tym obskurnym, zakurzonej saloonie jakiś obcy człowiek otworzył przed nim drzwi, przez które można uciec przed rozpaczą. Ogarnęło go dziwne, odświeżające uczucie.

- Muszę wracać do sądu. Proszę przysłać mi swoją ofertę. Chcę wiedzieć, ile pieniędzy pan potrzebuje.

## Rozdział 66.

Sprawa „Parkside” zakończyła się zawieszeniem ławy przysięgłych. Prokurator nalegał, by tym szybciej przejść do procesu samego Ruefa, oskarżając go o przekupywanie w imieniu „United Railroads” władz miejskich, a w szczególności J. J. Fureya. Podobnie jak Gallagher, Furey zeznawał po zapewnieniu mu nietykalności. Tym razem było jeszcze trudniej skompletować niezawisłą ławę przysięgłych i proces trwał aż siedemdziesiąt dwa dni. Główny obrońca Ruefa, Henry Ach, miał zastrzeżenia niemal do co drugiego kandydata na ławnika. Nie życzył sobie nikogo, kto czytał „Call” lub prenumerował „Bulletin”.

- Niedługo nie będzie chciał przyjąć ławnika tylko dlatego, że rozpoczyna on dzień od sikania - kpił Hellman.

Jeszcze wiele razy Henry Ach skreślał nazwiska kandydatów na ławników i zanim skompletowano ławę przysięgłych, przesłuchano ponad tysiąc czterysta osób.

Tymczasem piątego listopada odbyły się wybory prezydenckie. Mack oddał głos na sekretarza obrony Williama Howarda Tafta, którego Roosevelt osobiście wskazał jako swego następcę. Głosowanie przyniosło zwycięstwo republikanom i stało się upokarzającą porażką populisty Williama Jenningsa Bryana, którego demokraci desperacko uczynili swym kandydatem już trzeci raz z rzędu.

Szóstego listopada ława przysięgłych została w końcu zaprzysiężona i rozpoczął się proces.

W piątek trzynastego listopada sędzia William Lawlor ogłosił po południu krótką przerwę. Sala sądowa w Carpenter's Hall była wypełniona po brzegi. Zgromadziło się tu ponad dwustu ludzi. Wypełniali oni wszystkie balkony i siedzieli nawet przed ławkami przeznaczonymi dla prasy. Mack i Hellman jak zwykle zajmowali miejsca na dole w drugim rzędzie. Przysłuchiwali się, jak adwokat Ach brał w



krzyżowy ogień pytań Jamesa Gallaghery, koronnego świadka oskarżenia.

Kiedy ogłoszono przerwę i ludzie zaczęli opuszczać swoje miejsca, Mack usłyszał chrapanie. Hellman spał zwiesiwszy głowę. „Lepiej zabiorę go już do domu” - pomyślał Mack, wstając z miejsca.

Zobaczył, że ku ich ławce zbliża się jakiś niski mężczyzna. Mack widział go już na pewno wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to było. Człowiek ów potrafił go, w podnieceniu przepychając się w stronę prawników.

Salę sądową wypełnił szmer rozmów. Marząc o zaczerpnięciu świeżego powietrza, Mack skierował się ku tylnym drzwiom. Nagle wstrząsnął nim dreszcz. Przypomniał sobie, że człowiek, który go potrafił, miał bielmo na oku...

- Co on robi? O mój Boże, on ma pistolet! - Ponad szum rozmów wybił się histeryczny krzyk jakiejś kobiety.

Rozległ się strzał.

Mack wskoczył na krzesło. Zobaczył, jak Francis Heney osuwa się na ziemię. Z rany koło ucha ciekła krew. Zabójca stał nieruchomo, wciąż ściskając w dłoni dymiący pistolet.

Hellman obudził się i zaczął gramolić z miejsca. Na sali sądowej zapanowała martwa cisza. A potem wszyscy zaczęli krzyczeć jednocześnie. Strażnik sądowy oraz Foley ruszyli w stronę Morrisa Haasa, który cofał się przed nimi. Wciąż oszołomiony jeszcze snem Hellman stanął w przejściu, tarasując drogę zbliżającemu się mężczyźnie.

- Co się stało? Po co panu, u diabła, ta broń? - zapytał ze zdumieniem, niczego nie rozumiejąc.

- Z drogi - wrzasnął Haas, a ponieważ Hellman nie poruszył się, dwukrotnie wypalił do starca z pistoletu. Na piersi Swampy'ego wykwitły dwie ogromne, ciemnoczerwone plamy.

- Jezu! - zawołał Mack, zeskakując z krzesła i przepychając się ku teściowi, podczas gdy strażnik rozbroił Haasa i powalił go na podłogę.

- Co z nim? - zapytał przez telefon Bill Burns następnej nocy.

- Źle - odparł Mack.

- Jest w szpitalu?

- Nie. Wolał zostać we własnym łóżku. Cały czas jestem przy nim. A co z Heneyem?

- Niesamowita rzecz. Będzie żył. Lekarze sądzą, że kiedy dosięgła go kula, musiał mieć otwarte usta. Może się śmiał. Pocisk przeszedł przez mięśnie szczęki pod uchem. Gdyby trafił ćwierć cala wyżej, byłoby po nim. Dużo czasu upłynie jeszcze, zanim przyjdzie do siebie, ale wyzdrowieje. Poza tym, prawdopodobnie, nie straci głosu.

- To bardzo dobrze - stwierdził Mack znużonym głosem.

- Mam jeszcze najświeższe wieści o Haasie. Nie żyje.

- Jak to się stało?

- Samobójstwo.

- W więzieniu?

- Tak. Znaleziono go z pistoletem w dłoni. Zrobił to leżąc na pryczy, pod kocem. Kiedy go zamykano, nie miał przy sobie broni. Ktoś musiał mu ją dostarczyć.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Macka.

- Wiesz dobrze, Bill, że nie lubię węszyć wszędzie spisku, ale to, co powiedziałaś, daje wiele do myślenia. Haas bez wątpienia przeżywał załamanie nerwowe. Być może ktoś to wykorzystał.

- Kogo masz na myśli?

- Tę samą osobę, która namówiła go do zabicia Heneya.

- Sądziysz, że ktoś go do tego popchnął?

- Niewykluczone. Posługują się dynamitem, czemu więc nie mieliby posłużyć się rozgorzonym człowiekiem? Być

może spodziewali się, że Haas jest na tyle szalony, by wyświadczyć im później jeszcze jedną przysługę i skończyć ze sobą. Może właśnie dlatego dostarczono mu broń.

- Interesująca teoria - powiedział Burns po chwili milczenia. - Ale nigdy już nie dowiemy się, czy tak było w istocie.

## Rozdział 67.

Reflektory samochodowe rozświetlały mrok na Lombard Street. Długi, lśniący pope-toledo zatrzymał się i szofer otworzył drzwi od strony pasażera. Stojąc przy oknie, Mack obserwował wysiadającą z wozu Carlę.

Skraj jej fiołkoworóżowego aksamitnego płaszcza dotknął zakurzonego chodnika.

Mack otworzył drzwi. Miał na sobie wymiętą koszulę, stare spodnie i domowe kapcie. Uśmiechnął się ironicznie.

- Widzę, że bardzo się spieszyłaś. Zostawiłem ci w Burlingame wiadomość już trzy dni temu.

Carla zerknęła nań nerwowo. Twarz miała bladą, postarzałą i obrzmiałą, czego nie zdołała ukryć nawet gruba warstwa pudru i różu na policzkach. Rozmazany tusz do rzęs tworzył pod jej oczami czarne półksiężycy.

- Walter wyjechał do Waszyngtonu, a ja przebywałam w Carmel. Służba nie wiedziała, jak mnie znaleźć.

Zamykając drzwi, Mack poczuł silny, słodkawy zapach, przebijający się przez woń perfum Carli.

Zdjęła płaszcz i rzuciła go na dywan w salonie. Przybyła tu prosto z przyjęcia i miała na sobie złotą, atlasową wieczorową suknię. Ozdobiony czarną koronką dekolt był na tyle głęboki, by nie skrywać całkowicie jej pełnego biustu. Ciężki diamentowy naszyjnik w świetle lamp elektrycznych mienił się wszystkimi barwami tęczy.

- Czy ty nie czytasz gazet, Carlo?

- Nie w Carmel. Pojechałam tam na weekendowe przyjęcie.

- Gdzież się ono odbywało? Pewnie na dnie beczki z dżinem.

- Ty sukinsynu - powiedziała, unosząc zaciśniętą pięść. - Jesteś podły. Mack odepchnął jej rękę.

- I podle się czuję. Wyjęli mu jedną kulę, ale drugiej nie mogli znaleźć. Twój ojciec umiera. Powinnaś zjawić się tu wcześniej.

Przeszli przez długi korytarz, w którym płonąła tylko jedna mała lampka. Mack uchylił drzwi i Carla z całej siły ścisnęła jego ramię.

- O, mój Boże! - szepnęła.

W sypialni Hellmana na stołach i rozstawionych wszędzie taboretach płonęły setki ofiarnych lampek, migoczących w czerwonych i błękitnych szklanych kloszach.

Hellman leżał z zamkniętymi oczyma. Miał na sobie piżamę z szarej flaneli, a w palcach ścisnął prosty drewniany krucyfiks.

Krepa pielęgniarka siedziała na krześle koło drzwi.

- Poprosił o te lampki i krzyż natychmiast, gdy odzyskał przytomność - powiedział Mack. - Nie wiedziałem nawet, że jest katolikiem.

- Tata urodził się jako katolik, ale dorastał nie wyznając żadnej religii. Opowiadał, że niemieckie zakonnice biły go za to bez litości. Wystąpił z Kościoła mając szesnaście lat. Ludziom zawsze mówił, że jesteśmy protestantami.

Mack otworzył drzwi na całą szerokość. Carla popatrzyła mu prosto w oczy, ale nie znalazła w nich współczucia. Westchnęła głęboko i weszła do środka. Nogi drżały jej tak, że aż się poślizgnęła. Mack podtrzymał ją, by nie upadła.

- Na litość boską, stój o własnych siłach.

Pielęgniarka obdarzyła ich niechętnym spojrzeniem. Hałas obudził Hellmana.

- Kto to? - zapytał otwierając oczy. W pierwszej chwili nie widział nic poza poruszającymi się cieniami. W końcu jego wzrok spoczął na lśniącej złotej sukni stojącej przy jego łóżku córki.

- Carla? Moje dziecko. Carla.

Mack zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Pokój potrzebował wietrzenia - unosił się w nim zapach zakrwawionych bandaży i nocnika. Zapach śmierci.

- Tato - wyjąkała Carla załamany głosem, opadając na kolana i skrywając twarz w okrywającym ojca kocu. Jej ramiona drżały. - Tato, och, tato...

Hellman pociągnął nosem. Ktoś, być może pielęgniarz, starannie uczesał jego rzadkie siwe włosy. Już teraz wyglądał jak zmarły oczekujący na przybycie żałobników. Przesunął dłoń po kocu i pogłaskał złote loki córki.

- Moja mała Carla. Boże, śmierdzi od ciebie jak z saloonu. - Powiedział to łagodnie, niemal z rozbawieniem.

- Wszystko będzie dobrze, tato - głos Carli brzmiał jak kwilenie dziecka. - Otoczymy cię najlepszą opieką.

- Mam już najlepszą opiekę. Najlepszych lekarzy w... - Przerwał mu gwałtowny atak kaszlu. - W Kalifornii. - Przycisnął do piersi krucyfiks. Najwidoczniej mówienie sprawiało mu trudność i wywoływało ból. - Mój zięć zadbał już o mnie - powiedział, nie przestając głaskać pochylonej głowy Carli. - Ten twój nowy mąż, jak mu tam...? Być może ten sztywniak ma siłę przebicia, ale Mack... on...

Znowu zaczął kaszleć. Jego twarz pokrył błyszczący pot. Pielęgniarz otarła mu czoło ręcznikiem, usuwając jednocześnie z jego warg zieloną flegmę. Hellman popatrzył na nią tak, jakby miał do czynienia ze żmiją, i kobieta odsunęła się.

- Mack jest najlepszym człowiekiem, jaki cię kiedykolwiek kochał. Ale ty nie zwracałaś na to uwagi. Miałaś wszystko, czego potrzeba do szczęścia, i odrzuciłaś to. Jesteś strasznie głupia. - Jego głos przeszedł w niewyraźny charkot. - Strasznie głupia, skoro go zostawiłaś.

Carla uniosła głowę. W jej oczach odbiło się światło ofiarnych lampek. Makijaż miała już zupełnie rozmazany. Popatrzyła na Macka.

- Wiem, tato.

- Taka głupia... choć taka ładna. Schones Madchen. Tak samo jak twoja matka. Ona także była piękna... - Hellman westchnął i zamknął oczy.

- Tato? Pielęgniarka dotknęła ręki Hellmana i przyłożyła mu dłoń do czoła.

- Proszę się nie niepokoić, pani Fairbanks. Zasnął. Musi teraz trochę odpocząć.

Carla powlokła się z powrotem do holu. Mack zamknął drzwi, wciąż mając przed oczyma obraz śpiącego z krucyfiksem w dłoni Hellmana.

- Myślałam, że on... - Carla bezwładnie oparła się o ścianę.

- Jeszcze nie. Lekarze powiadają, że to kwestia dnia, najwyżej dwóch. Ma wewnętrzne krwotoki, których nie można zatrzymać.

- Och, Mack! - Przytuliła się do niego drżąc na całym ciele i objęła go za szyję. - Potrzebuję drinka - powiedziała. - Proszę, nie praw mi morałów, tylko po prostu nalej mi.

- Dostaniesz odrobinę brandy, to wszystko. Uwolnił się z jej uścisku i poszedł ciemnym korytarzem.

Znalazłszy się w salonie, zaciągnął story w wychodzących na ulicę oknach. Nie chciał, by szofer podglądał spotkanie pani Fairbanks z jej byłym mężem.

Nalał trochę brandy, którą Carla wypila dwoma łykami. Kiedy jednak wyciągnęła ku niemu opróżnioną szklaneczkę, przecząco potrząsnęła głową.

- Rozmawiałem ze Swampym na temat jego ostatniej woli - powiedział. - Odziedziczysz połowę wszystkiego, co

posiada. Druga połowa pozostanie w depozycie aż do chwili, gdy odnajdzie się nasz syn.

Carla obdarzyła go pełnym kokieterii uśmiechem, który jednocześnie przeraził go i oburzył. Czyżby aż tak bardzo się rozpiła? Słyszał, że niektórym alkoholikom wystarczy kilka łyków, by stracić panowanie nad sobą.

- Tata ma rację. Byłam szalona myśląc, iż kiedykolwiek znajdę kogoś lepszego od ciebie. Jesteś najlepszy pod każdym względem. Także w łóżku.

- Nie jest to chyba odpowiedni czas, by o tym rozmawiać.

- Czemu nie? Byliśmy małżeństwem. I rozstaliśmy się, nie mając do siebie żadnych pretensji. - Podeszła do drzwi i zmysłowym gestem przesunęła palcami po lśniącym drewnie. Uśmiech ani na chwilę nie zniknął z jej twarzy.

Mack poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Byłeś najlepszy. Czasami o tym zapominam, choć wolałabym pamiętać. I chciałabym, żebyś ty także pamiętał mnie...

- Carlo, na litość boską...

Chwyciła jego dłonie, pieszcząc je swymi palcami. Mack cofnął się, ale Carla, nie zrażona tym, przytuliła się do niego, znowu obejmując go za szyję. Dotknęła językiem jego policzka. Jej krągły biust napierał na jego klatkę piersiową. Przez cienki materiał koszuli czuł jej naprężone sutki.

- Jak myślisz, cóż takiego noszę pod tą suknią? Gorset prosto z Paryża. Z brokatowego atłasu i koronki. Ściągnięty wstążką. Chciałbyś zobaczyć?

- Przestań - odepchnął ją od siebie.

- Kocham cię, Mack. Zawsze cię kochałam. Odeszłam, ponieważ nie potrafiłam zdobyć nad tobą władzy. Nie umiałam zmusić cię, byś robił to, co ja zechcę. Ale nigdy nie przestałam cię kochać.



- O ile pamiętam, nie chciałaś także ponosić odpowiedzialności za wychowywanie Jima.

- To był błąd. Moje odejście było błędem. Byliśmy takimi dobrymi kochankami - znowu spróbowała go objąć. - Przypomnijmy sobie tamte chwile.

Mack chwycił ją za nadgarstki.

- Nie, dziękuję. Nie mam do tego prawa. Nie jesteśmy już małżeństwem. Pogardzam twoim mężem, ale czułbym się zbrukany, gdybym przyprawił mu rogi.

- A to dlaczego? - zdziwiła się, wyciągając przed siebie ramiona i kołysząc się lekko. - Czemu mnie nie chcesz?

- Lepiej będzie, jeśli już sobie pójdziesz. Zadzwoń do Burlingame, jeśli stan twojego ojca się zmieni.

- Mack...

- Odejdź.

To ostatnie słowo wypowiedział spokojnie, ale stanowczo. Carla opuściła ramiona. Drżała.

- Ty łajdaku! Ty zarozumiały sukinsynu! Dziesiątki razy miałam kochanków lepszych od ciebie. Nawet kiedy byliśmy małżeństwem, nie wystarczałeś mi.

Mack ze znużeniem odwrócił się do niej plecami.

- Nie jest to dla mnie żadnym zaskoczeniem. Upiłaś się. Chyba przez cały czas pozostajesz pod wpływem alkoholu. Idź i wyśpij się. - Podniósł z podłogi jej płaszcz i narzucił jej go na ramiona,

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić - rozzłościła się. - Myślisz, że jesteś taki wspaniały? Zawsze na miejscu? Powiem ci jednak, że raz nie byłeś na swoim miejscu. W Nowy Rok 1898. Pojechałeś do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się z tą dziwką, która pisze książki. Czy pamiętasz, gdzie ja wtedy byłam?

Mack poczuł, że żołądek ścisną mu się ze strachu.

- W Pasadenie.

- Racja. Ale nie byłam tam sama. Towarzyszył mi Walter. Spałam z nim. Spałam z nim w Pasadenie. Właśnie w tym czasie, rozumiesz? Brał mnie w ten Nowy Rok niejedną raz. Miał to być odwet na tobie.

Pochyliła się ku niemu gwałtownie i dostrzegł, że pomimo płynących jej z oczu łez, uśmiechnęła się.

- Wynoś się.

- Nie odejdę, dopóki nie powiem ci czegoś jeszcze. Sądziłeś, że Jim urodził się o miesiąc za wcześnie? Nie. Poród odbył się we właściwym czasie. Byłam już w ciąży, kiedy wróciłeś z Nowego Jorku. Jim nie jest twoim synem. To dziecko Waltera.

- Kłamiesz. Carla odchyliła głowę i roześmiała mu się prosto w twarz.

- Poczuleś się dotknięty, co? Bardzo dobrze! Przemyśl to sobie dokładnie. Walter był moim kochankiem. Wychowywałeś jego syna. A ojciec śmiał powiedzieć, że jestem głupia.

- To nieprawda! Kłamiesz! - krzyknął Mack, otwartą dłonią uderzając ją w twarz.

Carla rozplakała się i opadła na kanapę. Mack patrzył na swoją prawą dłoń, jakby należała ona do kogoś innego. Kiedyś uderzył Jima, a teraz podniósł rękę na kobietę...

- Ty tchórzliwy sukinsynu - powiedziała Carla, odpychając go, gdy chciał pomóc jej wstać. - Nie dotykaj mnie. Nie dotykaj mnie, albo naślę na ciebie policję, ty pieprzony, znęcający się nad kobietami potworze.

- Przepraszam cię - powiedział Mack. - Nie chciałem.

Carla nie słuchała go. Pośpiesznie podbiegła do drzwi. Dyszała ciężko. Diamenty jej naszyjnika jeszcze raz zamigotały w świetle lamp.

- Cieszę się, że ci to powiedziałam. Cieszę się, że cierpisz. Mam nadzieję, że zraniłam cię śmiertelnie.

Wyszła, rozsiewając na ścianach i suficie diamentowe błyski, które Mackowi wydały się kometami wróżącymi kataklizm.

Twarz młodego luterańskiego pastora poczerwieniała od listopadowego chłodu.

- Panie Boże, polecamy twej opiece Otto Adolphusa Hellmana.

Szara mgła znad oceanu opadała na Redeemer Cemetery, zraszając nagrobne kamienie i zbrązowiałą trawę.

Mack stał nad otwartym grobem, utkwivszy smutny wzrok w odlaną z brązu trumnę. Już poprzedniego dnia obejrzał zamówiony pomnik: wysoką rzeźbę z różowego marmuru, przedstawiającą pruskiego orła. Na dole był wysoki na dziesięć cali napis: HELLMAN oraz data jego urodzin i śmierci.

Przy grobie zgromadziło się czternastu żałobników. Wszyscy poza Mackiem związani byli z Hellmanem interesami. Carla i jej mąż nie pojawili się na pogrzebie, przysłali tylko wielki wieniec, teraz już nieco przywiędły i zważony chłodem.

- Przyjmij go, Wszechmogący Boże, teraz i na wieki. Amen.

Upłynęła stosowna chwila milczenia i żałobnicy jeden po drugim zaczęli się rozchodzić. Mack nałożył kapelusz i uściskawszy dłoń pastora, wręczył mu kopertę z zapłatą. Dwóch znudzonych grabarzy poczęło powoli opuszczać trumnę w głąb grobu.

Mgła zamieniła się w deszcz. Przed bramą cmentarną stało w rzędzie kilka czarnych samochodów. Mack przestraszył się, kiedy znienacka zza kamiennego anioła wyszła ku niemu jakaś spowita w czarny płaszcz kobieta.

- Pomyślałam, że możesz po tym wszystkim potrzebować towarzystwa - powiedziała Margaret, ujmując go pod ramię. -

Jesteś taki smutny, odkąd umarł. Wiem, że bardzo to przeżyłeś.

Mack nic na to nie odpowiedział. Margaret sądziła, że jej przyjaciel nie mógłby już cierpieć bardziej niż wtedy, gdy zniknął jego syn, ale to, co przeżywał teraz, wydawało się jeszcze gorsze. Jego skóra pożółkła, a pod oczami ukazały się wielkie, czarne sińce. Czterdziestoletni James Macklin Chance wyglądał jak inwalida.

Obok zaparkowanych samochodów jakiś człowiek w płóciennej czapce rozstawiał na statywie aparat fotograficzny.

- Panie Chance, proszę tutaj, jeśli można - zawołał na widok Macka. Mack podbiegł do niego i kopnął statyw. Aparat wylądował w błocie. Zdenerwowany wszedł wraz z Margaret do czarnego oldsmobile'a i pośpiesznie odjechali.

## Rozdział 68.

Abrahamie Ruef, czy słyszałeś werdykt, jaki wydała w tej sprawie ława przysięgłych? Zostałeś skazany na czternaście lat więzienia w San Quentin. To maksymalny wyrok, jaki można otrzymać za wymuszanie łapówek.

Sędzia Lawlor odłożył trzymany w dłoni dokument.

Wódz chwycił za ramię swego obrońcę, Henry'ego Acha. Proces zakończył się dwa tygodnie temu. Zeznania Gallaghery nie pozostawiły żadnych wątpliwości co do winy Ruefa.

- To niesprawiedliwe... Będę składał apelację! - krzyknął Ach. Reporterzy rzucili się do wyjścia, potrącając Macka, który właśnie wstawał ze swego miejsca. Fremont Older poklepał go po ramieniu.

- Dostaliśmy go, na Boga! Mówiłem ci, że nam się uda! Hiram Johnson, prawnik z Sacramento, który zastąpił Heneya, zaczął powoli

zbierać ze stołu rozrzucone notatki. Ludzie ściskali jego dłoń, gratulując sukcesu. Trzej mężczyźni w błękitnych mundurach otoczyli Ruefa i poprowadzili ku drzwiom. Między budynkiem sądu a więzieniem Ruef podróżował zawsze w towarzystwie silnej policyjnej eskorty.

Mack założył kapelusz. Ruef odszukał go wzrokiem i zatrzymał się nagle. Jeden z policjantów nakazał mu, by szedł dalej, ale Wódz zlekceważył to polecenie. Przechylił się nad pustymi teraz fotelami dla prasy. Oczy miał wilgotne i lśniące.

- No to co, wyrównaliśmy rachunki?

- Gdyby to zależało ode mnie, dostałbyś sto, a nie czternaście lat. Ruef wyglądał tak, jakby poczuł się tym dotknięty. Stał jeszcze przez chwilę bez ruchu, zanim policjanci nie popchnęli go ku wyjściu.

Mack powoli schodził po schodach domu przy Greenwich Street. W rękę trzymał zapakowaną skórzaną walizkę. Senora Olivar stała w salonie, w napięciu miętosząc rąbek fartucha.

Obserwowała twarz Macka, szukając w niej jakichś oznak poprawy nastroju.

Nie znalazła ich jednak. Mack zbliżył się do niej i wcisnął jej w dłoń kopertę.

- To prezent z okazji świąt Bożego Narodzenia. Alex będzie jak zwykle co tydzień przysyłał pani pensję.

Muller i jego żona trzy dni wcześniej przeprowadzili się do Riverside.

- Kiedy pan wróci, senor?

- Nie wiem. Mam dość tego miasta.

W świetle zimowego księżycy Mack jechał drogą wiodącą do San Jose. Jacyś podpici ludzie z przydrożnych knajp machali do niego, wołając:

- Wesółych Świąt! Wesółych Świąt! - Ale Mack nic odpowiadał na ich pozdrowienia. Bożonarodzeniowa noc nie była dlań niczym specjalnym - po prostu noc, w ciągu której powinien przejechać wiele mil.

Jechał wyboistą drogą tak długo, póki nie zaczęły mu się kleić oczy. Kiedy poczuł ogarniającą go senność, zdrzemnął się na siedzeniu, trzymając w dłoni gotowego do strzału kolta.

W Nowy Rok zabłocony oldsmobile stanął przed Villa Mediterranean.

Służba starała się przywitać Macka uprzejmie i ciepło, ale widać było, że jest przerażona i zaskoczona: nie spodziewano się, że pracodawca zmienił się aż tak bardzo.

Mack wręczył służącemu walizkę i otworzył drzwi gabinetu. Bez wątpienia Alex musiał być tutaj przed nim. Wszystkie dokumenty leżały uporządkowane, opisane jego drobnym, precyzyjnym pismem.

Mack rozsunał story w oknach. Blask zimowego słońca wdarł się do pokoju, oświetlając leżący na biurku stary przewodnik Hainesa. Sięgnął po książeczkę, strząsając z niej kurz. Nagle odwrócił się gwałtownie i rzucił książką o ścianę.

Przysunął sobie fotel do okna i usiadł, wpatrując się w blask słońca. Wciąż od nowa rozpamiętywał rozmowę z Carlą. Czuł się tak, jakby w jego głowic wyświetlano ciągle ten sam film. Czasami zatrzymywał obraz, by lepiej przyjrzeć się twarzy byłej żony w chwili, gdy wyjawiała mu prawdę o Jimie. Pragnął odkryć w jej wzroku choćby najlżejszy ślad fałszu. Ale żył z nią dostatecznie długo, by wiedzieć, że nie kłamała. Nieraz widział ją rozhisteryzowaną, mówiącą niezgodne z prawdą rzeczy, ale to, co powiedziała o Jimie, nie było kłamstwem. Wbiła mu w serce najostrzejszy nóż, jaki miała. Aż po rękojeść. Mack czuł, że tkwi on tam nadal i że już nigdy się go nie pozbędzie.

Księga IX  
NISZCZĄC MACHINE  
1909 - 1910



Kinematografia przenosiła się na Zachód. Uciekała z pustkowi New Jersey oraz takich studiów jak „Biograph”, mieszczący się w dawnej sali koncertowej przy Fourteenth Street w Nowym Jorku. Uciekała przed zimową pogodą, wlokącymi się bez końca dniami i tygodniami pozbawionymi słońca. A tym bardziej uciekała przed złością Thomasa Edisona i jego prawników.

Edison miał niewiele wspólnego ze skonstruowaniem kamery do kręcenia filmów. W gruncie rzeczy pogardzał takim sprzętem. Był jednak sprytnym biznesmenem, zawsze gotowym użyczyć jakiemuś wynalazkowi swojego imienia, jeśli tylko miało mu to przynieść zyski. Kiedy jednak producenci zaczęli kopiować sprzęt Edisona, rozwścieczony wynalazca ogłosił, że skradziono mu wzór projektora. Nie mógł wprawdzie nikogo oskarżyć o kradzież pomysłu na całe urządzenie - zostało ono bowiem skonstruowane przez Eastmana - ale upierał się, że obudowa jest jego własnym opatentowanym wynalazkiem.

W 1907 roku sąd federalny w Chicago orzekł, że niezależny producent William Selig naruszył prawa patentowe Edisona. Jak wielu innych producentów, „pułkownik” Selig był odważnym, niechętnie przyznającym się do porażki człowiekiem. Spakował więc całą swoją wytwórnię i przeniósł się tam, gdzie, jak sądził, nie dopadną go prawnicy Edisona: poza Góry Skaliste, do Kalifornii.

Inni poszli za jego przykładem. Odkryli w Kalifornii nieograniczone możliwości zarabiania pieniędzy. Pod wodzą najbardziej liczącej się wytwórni - „Biograph”, siedmiu największych producentów zawarło pokój ze słynnym wynalazcą. Wypłaciło mu dywidendę, on zaś w zamian za to dał im licencję na sygnowany swoim nazwiskiem sprzęt. Producenci nie należący do tego małego klubu mieli zakaz posługiwania się urządzeniami Edisona.

Tak właśnie narodziła się „Motion Picture Patents Company”, monopolistyczna organizacja, której szybko nadano nazwę „Patents Trust”. Powstała ona w 1908 roku i szybko poczęła tropić producentów, starających się uciec przed nią na Zachód, tam gdzie wcześniej udał się Selig. „Patents Company” potrafiła ich jednak wyśledzić i dochodzić swoich praw. Posuwano się nawet do niszczenia kamer. W końcu organizacja ta zakończyła żywot, a ostatnie gwoździe do jej trumny wbił Akt Shermana. Zanim to jednak nastąpiło, jej działalność sprawiła, że wiele nowych wytwórni przeniosło się już na stałe do Kalifornii. Były między nimi takie studia jak „Biograph”, „Essanay”, „Vitagraph” i „Kalem”. Na Zachodzie mogły one zwiększyć produkcję dzięki dobrej pogodzie, jaka panowała tu przez okrągły rok.

W latach dwudziestych Południowa Kalifornia stała się prawdziwym regionem przemysłowym. Filmy zaś okazały się jeszcze jedną kalifornijską żyłą złota.

## Rozdział 69.

Pewnego jasnego, pogodnego poranka w listopadzie 1909 roku Mack i Alex Muller jechali konno w dół wzgórza.

Mack miał na sobie dżinsowe spodnie, wyblakłą drelichową koszulę i zawiązaną na szyi czerwoną chustę. Miesiące spędzone w Południowej Kalifornii przywróciły mu smagłą cerę. Cieszył się tą poranną przejażdżką, w przeciwieństwie do Alexa, który jak zawsze z lękiem spoglądał w dół. Wyglądał dziwnie, siedząc w siodle w garniturze, płaszczu i krawacie.

Wznosząca się za ich plecami Villa Mediterranean wyglądała teraz zupełnie inaczej. Z bramy i frontonu budynku usunięto wielkie inicjały JMC.

Przed nimi w promieniach poranka złociły się gaje pomarańczowe, a cienkie strużki dymu nad wzgórzami świadczyły o tym, że poprzedniej nocy w obawie przed przymrozkiem uruchomiono piece olejowe. Teraz, w świetle dnia, meksykańscy i biali robotnicy ustawiali je, ładując na wozy.

- Od czego zaczniemy?

Alex sięgnął po starannie przygotowany spis na tę przejażdżkę. Ostatnio mieszkał w małym domku u stóp Mount Rubidoux, dumny z narodzin dwóch synów, bliźniaków.

- Otrzymaliśmy list od pana Flintmana, księgowego, który kwestionuje sumę naszych ostatnich udziałów w wydobyciu ropy. Przejrzałem rachunki. Po prostu pomylił się, opuszczając jedną pozycję. Zadzwoń i powiedz mu o tym. Bardzo nas przeproszał. To człowiek, który nie mógłby przeżyć tego, gdyby rachunki nie zgodziłyby mu się choćby o trzy pensy.

Mack roześmiał się.

- A co porabiają Czciciele Słońca? Dawno nic o nich nie słyszałem.

- Ten zakon stał się jednym z największych Kościołów w południowej Kalifornii.

- Nie nazywaj tego Kościołem. To sekta, fałszywy kult. Pewnego dnia jego wyznawcy poznają się na Wyatcie.

- Słyszałem, że na razie żyje jak maharadża.

- Nic dziwnego. Co mamy dalej?

Skierowali swoje wierzchowce w aleję pomiędzy drzewami. Zarządca Billy Biggerstaff i dwaj Meksykanie zawołali do nich, machając rękoma. Mack odpowiedział na ich pozdrowienie, gdy tymczasem Alex pochylił się, by uniknąć uderzenia z gałęzią.

- Kapitan Norheim chce złożyć wymówienie, o ile nie ma pan zamiaru wyprowadzić jachtu z suchego doku.

- Nie mam zamiaru. Zwolnij go. Zapłać mu hojnie.

- Zajmę się tym. Pan Anderson napisał prosząc, by odwiedził pan nowe studio. Mack wyłożył pięćdziesiąt tysięcy dolarów na studio „Essanay” w East Bay.

Złożył się na nie z Gianninim z „Bank of Italy”, który po rozmowie z Andersonem zdecydował się włożyć w ten interes piętnaście tysięcy dolarów. Uwielbienie Gianniniego dla filmu było równie wielkie jak fascynacja Macka.

- Zobaczę je, kiedy znowu wybiorę się na północ. O ile to w ogóle kiedykolwiek nastąpi.

- Jest pan głównym udziałowcem, sir. Czy nie powinien pan obejrzeć swojej własności?

- Ufam Andersonowi. Podoba mi się też scenariusz, który przysłał w zeszłym tygodniu. Nazwał swojego westernowego bohatera „Broncho Bill”.

Alex nie usłyszał ostatnich słów, bowiem pomiędzy końskimi kopytami przemknął właśnie zielony wąż. Alex kochał Kalifornię, ale wołał podziwiać piękno jej natury przez okno.

Znowu spojrzał na trzymaną w ręku kartkę.

- Następna sprawa to „Wardlow Brothers”. W poniedziałek będą już mieli ostateczny plan i kosztorys nowego systemu wodnego dla Fresno.

Mack skinął głową.

- Chyba będę kontynuował to przedsięwzięcie, chociaż to ogromna inwestycja: nowe zbiorniki i kanały, nowe rurociągi i przepompownie...

- Ale przyniesie to Central Valley wielkie korzyści.

- A kimże ja jestem, żeby dbać o korzyści Central Valley?

- spytał Mack twardym głosem.

Alex pochylił się nad końskim grzbietem.

- Współpracownik Selwyna Flyshacka telefonował z biura Pinkertona z Los Angeles.

- I?

- Nie miał nic nowego do powiedzenia. Po prostu jak co tydzień zdał relację ze swoich poczynań.

Mack przestał odbierać te telefony osobiście. W sierpniu Flyshack zrezygnował z prowadzenia tej sprawy, przekazując ją swemu podwładnemu. W agencji Pinkertona nikt już nie wierzył w pomyślne zakończenie poszukiwań. Stopniowo coraz mniej się do nich przykładano. Trudno zresztą było winić za to detektywów - nikt nie lubi przegrywać.

- Są też dobre wieści - powiedział Alex pełnym nadziei głosem. Panna Emerson telefonowała wieczorem. Po Nowym Roku przyjedzie tu na urlop.

Ta nowina podniosła nieco Macka na duchu.

- Przez cały rok usiłowałem namówić ją do przyjęcia zaproszenia. Bardzo się cieszę, że ją zobaczę. Czy to już wszystko?

- Tak, proszę pana. Poza tym, że powinienem chyba przypomnieć o spotkaniu, jakie ma pan dzisiajszego popołudnia. Chodzi o tych dżentelmenów z Ligi Lincoln - Roosevelta.

- Do diabła, zapomniałem o tym. Wcale nie chcę się z nimi widzieć. Pozwoliłem im przyjść tylko przez grzeczność.

Trzej goście byli białymi, starannie ubranymi republikanami. Ich krawaty i dobrze skrojone marynarki nie pasowały do włosko - hiszpańskiej atmosfery salonu w domu Macka i ostro kontrastowały ze strojem gospodarza.

Dorian Stimson, młody, dobrze zapowiadający się prawnik, był absolwentem Harvardu. Mack poznał go kiedyś za pośrednictwem Enrique'a Pottera. Rozmawiali ze sobą podczas zjazdu Christian Socialist Economic League, organizacji założonej w Los Angeles przez doktora Johna Randolpha Haynesa. Haynes był wspaniałym, rzutkim człowiekiem, którego Mack podziwiał za umiejętność godzenia gorącej sympatii dla socjalistów z czerpaniem olbrzymich korzyści ze spekulowania nieruchomościami.

Drugi z gości, Max Margolis, był zasuszonym, dostojnym przedsiębiorcą, właścicielem siedemnastu składów między Venturą a San Diego. Cieszył się on znacznymi wpływami w Good Government Group w Los Angeles. Trzeci mężczyzna, Randall Noone, był naczelnym redaktorem „Modesto Annunciator”.

Mack poczęstował ich whisky i kiedy wypowiedziano już wszystkie pochwalne uwagi na temat gajów pomarańczowych, wspaniałego domu i świetnego pociągu kursującego do Riverside, Stimson przemówił w imieniu gości:

- Czy wie pan, panie Chance, że republikanie organizują kluby Ligi Lincoln - Roosevelt?

- Wiem - odparł Mack.

- Mamy w związku z tym dla pana pewną propozycję. Za rok chcemy zwrócić nasz stan jego mieszkańcom. Jediną drogą do tego jest wprowadzenie licznych reform, bo tylko w ten sposób pokonać możemy kandydatów popieranym przez SP.

- Najważniejszy jest wybór gubernatora - powiedział Noone.

Stimson przechadzał się po pokoju, najwidoczniej pewien swych zdolności do przekonywania.

- Hiram Johnson zgodził się kandydować na to stanowisko. Odwalił kawał świetnej roboty, zastępując Francisa Heneya, kiedy został on ranny. Będzie słynnym prokuratorem, kiedy Ruef wreszcie znajdzie się w San Quentin.

- To wstyd, że jeszcze go tam nie ma - wtrącił Margolis.

Padające przez wysokie okno promienie słońca zaśniły na siwych włosach Macka. Odchylił głowę, opierając ją o ścianę.

- Jest wielu innych dobrych prawników w Kalifornii.

- To prawda - kontynuował Stimson - że odwlekanie wysłania Ruefa do więzienia zakrawa na skandal. Ale wciąż jeszcze trwa proces. Dopiero po jego zakończeniu Wódz będzie naprawdę pokonany. Znajdzie się w więzieniu, gwarantuję to panu. Wracając do rzeczy - Hiram Johnson jest idealnym kandydatem. Pełni funkcję wiceprzewodniczącego naszej organizacji. To rozsądny, doświadczony człowiek.

- Jego głębokie zaangażowanie w tę sprawę można zrozumieć dopiero wtedy, kiedy wie się, ile kosztowała go ta decyzja - powiedział Randall Noone. - Zna pan jego ojca, Grove'a, słynnego prawnika z Sacramento? Zawsze sprzyjał kandydatom popieranym przez linie kolejowe. Wściekł się na syna, kiedy usłyszał o jego nominacji. Ale Hiram nie ma zamiaru się wycofać.

- Podobnie jak my wszyscy - oświadczył Stimson. - W zeszłym roku przez sześć miesięcy prowadziliśmy kampanię na rzecz zmodyfikowania prawa. Stworzyliśmy w Sacramento silne lobby i teraz już pełna przekupionych przez SP delegatów Konwencja Stanowa nie będzie miała decydującego wpływu na nominowanie kandydatów. To dopiero pierwszy

krok... Nasze następne zadanie, to zwyciężyć w wyborach w 1910 roku. Dlatego poszukujemy przyjaciół. Pragniemy, by pan stał się jednym z nich, panie Chance. Potrzebujemy pana w naszej drużynie. Potrzebujemy wpływów, jakie ma pan w San Francisco. I - bądźmy szczerzy - potrzebujemy pańskich pieniędzy.

- Ależ ja mieszkam teraz w Południowej Kalifornii. Nie mam zamiaru wracać do San Francisco.

Stimson stanął przed Mackiem, jakby wstępował na mównicę.

- Enrique Potter uprzedzał, że wybrałem niedobłą porę, by przekonywać pana do naszej propozycji. Ale proszę, niech się pan dobrze zastanowi, zanim pan odmówi. Dziesięć lat temu obywatele Kalifornii odnieśli znaczące zwycięstwo nad SP: Huntington przegrał sprawę o umorzenie długu. Ale Ośmiornica jest wciąż wielka i silna.

- A także bardzo pewna siebie - dodał Margolis. - Bez przerwy obrzucają błotem Good Government Group, szydzą z nas i nazywają gegaczami...

- Tego nie można tolerować - stwierdził Stimson. - Nie będziemy tego znosić ani chwili dłużej.

- Panie Stimson... panowie... Podziwiam wasz zapał i zgadzam się z panami. Wierzę w każde wasze słowo. Ale wygrałem już dość bitew. Jestem zmęczony walką.

Trzej republikanie wymienili rozczarowane spojrzenia.

- Pański przyjaciel, Rudolph Spreckels, przyłączył się do nas - powiedział Noone. - Jim Phelan także.

- Podziwiam ich za to. Ale to nie zmieni mojej decyzji.

- Czy mam rozumieć, że pan odmawia? - zapytał Stimson.

- Tak. Życzę panom przyjemnej drogi powrotnej do Los Angeles.



## Rozdział 70.

Margaret przybyła z San Francisco slipingiem. Kiedy wysiadała na zalany słońcem peron, wyglądała, jakby przyjechała prosto z Paryża. Jej podróżny kostium uszyty był z ciemnobrązowej wełny, a bluzka z żabotem i zapiętym wysoko kołnierzem podkreślała kształt długiej, pięknej szyi. Brązowe rękawiczki, taki sam jedwabny parasol oraz identyczny w kolorze słomkowy kapelusz z piórami - wszystko to stanowiło doskonale do siebie pasującą całość.

- Jak cudownie znów cię widzieć - powiedziała, obejmując Macka i ściskając go serdecznie.

- Sądziłem już, że nigdy nie przyjmiesz mojego zaproszenia. Jestem szczęśliwy, że cię widzę.

Dopiero kiedy zeszli z peronu Margaret zauważyła, że Mack znów jest opalony. Fizycznie musiał czuć się znacznie lepiej, ale jego oczy wciąż pozostawały martwe.

Mack postawił bagaże z tyłu swego najnowszego samochodu, limuzyny packarda, jaskrawożółtej, z czarnymi nadkolami.

- Postanowiłem, że spędzimy ten dzień z dala od ludzkich oczu, a potem pojedziemy na noc do Redondo Beach. Zarezerwowałem dwa apartamenty - dodał szybko. Margaret zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

Mack wyjechał z parkingu i chwilę później wchłonął ich wielkomięski ruch. Minęli wielki czerwony tramwaj należący do Pacific Electric, którego motorniczy bez przerwy dzwonił ostrzegawczo na inne pojazdy. Nieco przestraszona Margaret zdjęła z głowy kapelusz i wachlowała się nim.

- Jeździsz jak szatan. Czy tu nie ma żadnego ograniczenia szybkości? ...

- Sześć mil na godzinę w centrum miasta i trzydzieści poza nim. Nie potrafię jednak poruszać się tak wolno.

Margaret szybko pozbyła się lęku. Mack był świetnym kierowcą i nigdy nie stwarzał zagrożenia dla pieszych, choć gnał przed siebie tak, jakby go ktoś gonił.

- To moja pierwsza wizyta w Los Angeles - powiedziała Margaret. - Jakież to wielkie miasto. A ja wyobrażałam sobie, że zobaczę nędzne chaty i krowy spacerujące po ulicach.

- Tak było jeszcze w latach osiemdziesiątych. Teraz mieszka tu trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi, może nawet więcej. Każdego dnia przybywa tu i odjeżdża dwanaście pociągów. - Mijali właśnie redakcję „Timesa”, zajmującego potężny, ciemnoczerwony ceglany budynek. - To nieoficjalna stolica Otisa. Czy wiesz, że na Filipinach wyznaczono cenę za jego głowę? Popatrz na drzwi. Prawdziwa forteca. Wewnątrz znajduje się chyba z pięćdziesięciu uzbrojonych strażników.

- Po co?

- Na wypadek, gdyby pewnego dnia anarchiści ze związków zawodowych przypuścili tutaj szturm - odparł Mack, puszczając do niej oko.

Jechali przez uliczki pełne małych, schludnych domków, na tyłach których pracowały hałaśliwe pompy. Mack pokazał jej szyb, jaki drażył niegdyś dla Doheny'ego, teraz jednego z najbogatszych ludzi w całym stanie. Po południu pojechali do Echo Park Lake, gdzie słońce tworzyło tęczowe refleksy w tłustych plamach ropy.

- Któregoś dnia cała ta okolica spłonie - orzekł ponuro Mack.

Pokazał jej także Angel's Flight, kolejkę linową, którą można było wjechać na Bunker Hill. Kiedy jednak zaproponował, że zabierze ją na farmę aligatorów, odmówiła.

- W porządku, ale póki nie zobaczysz tych wszystkich zdumiewających rzeczy, nie będziesz wiedziała, jaka naprawdę jest Południowa Kalifornia. Zanim wyjedziesz, udamy się jeszcze do Pasadeny, gdzie pokażę ci miejsce kultu

pewnej sekty. Opowiadałem ci o moim dawnym współniku, prawda?

W Brown's Union Square Cafeteria, nowego rodzaju restauracji bez kelnerów, zjedli kotlety wieprzowe z warzywami. Przesuwali się z tacami wzdłuż długiej lady, samodzielnie wybierając jedzenie i płacąc rachunek na końcu kontuaru.

- To jeszcze jeden kalifornijski pomysł - wytłumaczył Mack.

Mieli kłopoty ze znalezieniem miejsca. Kilka najbliższych stolików zajmowali członkowie Michigan Society, którzy właśnie tu urządzili sobie spotkanie. Niejaki Grand Wolverine wygłosił hymn pochwalny pod adresem stanu, z którego zarówno on, jak i jego słuchacze, uciekli już dawno temu. Na każde wspomnienie o Michigan zgromadzeni przy stolikach ludzie wstawali i bili brawo.

- Bardzo kochają śnieg teraz, kiedy nie muszą go już oglądać - zażartował Mack.

Po jedzeniu pojechali obejrzeć wytwórnie filmowe.

- Tu właśnie kręci swoje filmy „Biograph”. Przenieśli na zimę całe studio z Nowego Jorku, by korzystać z naszego słońca. Pracują obecnie nad filmem pod tytułem W starej Kalifornii. Chcą kręcić go na terenie misji San Gabriel i na mojej ziemi, na wzgórzach Hollywood.

Mack nie wspomniał ani słowem o tym, że większość mieszkańców Riverside uważa go za szaleńca, ponieważ wpakował pieniądze w przemysł filmowy.

- Co to za interes? - krzywił się Clive Henley. - Biznes, prowadzony przez Żydów z nowojorskiego getta. Większość z nich to banda obdartusów.

- Wychodzi z ciebie twój snobizm, Clive - odrzekł Mack.  
- A także rasizm.

- Jeśli chcesz trzymać sztamę z Żydami i aktoreczkami, nie dziw się, że ludzie kpią z ciebie - wzruszył ramionami Henley.

Clive starał się być dowcipny, ale jego uwagi były z reguły niegrzeczne. Mack przestał go lubić. Nie podobały mu się także ciągłe ataki ze strony bogatych republikanów, którzy mieli mu za złe, że odmówił udziału w ich kampanii wyborczej. Mack zrezygnował nawet z tego powodu z członkostwa w klubie polo.

Zastali zespół „Biograph” na zbitej z desek rampie, na placu obok składu drewna. Aktorzy i aktorki ubrani byli w hiszpańskie stroje. Mack pokazał Margaret wizytówkę.

- Oto człowiek, z którym muszę się zobaczyć. Mike Sinnott.

- Tu jest napisane: Mack Sennett.

- Oni wszyscy mają pseudonimy. Sinnott jest asystentem reżysera. Bywa też aktorem i autorem scenariuszy. Tak przynajmniej powiedział mi przez telefon.

Weszli na scenę, która nagle wypełniła się gwarem rozmów i stukotem młotków stolarzy, przygotowujących nowe dekoracje. Przedstawiały one wnętrze hacjendy. Nad sceną nie było dachu, a jedynie płócienne płachty, które miały za zadanie rozproszyć nieco światło słoneczne.

- Gdzie znajdę Sinnotta? - zapytał Mack ubraną w mnisi habit dziewczynę.

Wskazano mu krępego, łysego mężczyznę o długich rękach i pospolitych rysach twarzy. Rozmawiał właśnie z jakimiś dwoma mężczyznami. Jeden z nich był niski i nosił płócienną czapkę, drugi, wysoki, miał złamany nos. Zwracał uwagę, ponieważ ubrany był w garnitur, krawat i słomkowy kapelusz, gdy inni mieli na sobie albo stare, postrzępione ubrania, albo kostiumy filmowe.

Mężczyzna w kapeluszu wskazał na kamerę, wypuszczając jednocześnie nosem dym z cygara. Wszyscy inni z uwagą słuchali tego, co mówił.

- To musi być reżyser - stwierdził Mack.

Narada skończyła się i Sinnott rozstał się ze swymi rozmówcami. Mack przedstawił się, wyciągając jednocześnie z kieszeni płaszcza plik dokumentów.

- Mój prawnik, pan Potter, poczynił kilka poprawek w tekście tego kontraktu.

Podpisałem go już. Pod koniec tygodnia oczekuję stu dolarów czynszu.

- Oczywiście, panie Chance. Czy chce pan zobaczyć się z naszymi pracownikami?

Przedstawił ich przystojnemu młodemu aktorowi nazwiskiem Jack Pickford i jego siostrze Mary, piętnasto czy szesnastoletniej dziewczynie o wyjątkowej urodzie. Potem zaprezentował ich niskiemu mężczyźnie, który okazał się kamerzystą, oraz reżyserowi, panu Griffithowi.

- Witajcie na planie wytwórni „Biograph”, panie Chance i panno Emerson. Mack zwrócił uwagę na to, że Griffith mówi z południowym akcentem.

- Hollywood to świetne miejsce na studio - powiedział Sinnott. - Dziesięć minut temu ubiliśmy z panem Chancem interes.

- Dwóch Macków zawsze się ze sobą dogada, prawda? Gdzie pan mieszka?

- Obecnie w Riverside. A pan?

- Urodziłem się na plantacji w hrabstwie Oldham w Kentucky, jakieś dwadzieścia mil od Louisville. Jestem dumny z tego, że w moich żyłach płynie krew starych konfederatów. Mój ojciec walczył w First Kentucky Cavalry. Brał udział w bitwach dowodzonych przez Bedforda Forresta i Joe Wheelera. A pani, panno Emerson?

- Pochodzę z Północnej Kalifornii. Reżyser poufałym gestem pogładził policzek Margaret. Rozzłościło to Macka i wywołało zazdrość u panny Pickford.

- Cóż za uśmiech - oświadczył Griffith. - Gdyby chciała pani kiedyś potańczyć, proszę zostawić mi wiadomość w „Alexandria Hotel” przy Spring Street.

Było to nie zobowiązujące, niemal żartobliwe zaproszenie, ale wypowiadając te słowa, nie spuszczał oczu z Margaret.

- A czy pani Griffith nie będzie miała nic przeciwko temu, szefie? - zapytała Mary Pickford słodkim głosem.

Griffith popatrzył na nią z ironią.

- Kochana Mary - powiedział i odwrócił się plecami do dziewczyny. Jack Pickford zasłonił twarz rękawem przepoconego mnisiego habitu i zaśmiał się.

Griffith potrząsnął dłonią Macka i uśmiechnął się do Margaret.

- Proszę jej strzec, panie Chance. Inaczej ktoś ją ukradnie.  
- Pocałował Margaret w rękę i trzykrotnie w policzki.

- W porządku, panie i panowie. Jack, Mary, Wally, proszę na plan.

Obserwowali pracę aktorów przez ponad godzinę. Margaret fascynowało wszystko: gra, ręczna kamera, dbałość o szczegóły przejawiana przez reżysera. Griffith zastanawiał się długo przed każdym ujęciem i ciągle spierał się z kamerzystą, rzadko mu jednak ulegając. Jak dowodzący oddziałem żołnierzy generał był skupiony, a czasem - jeśli coś źle szło - nawet uszczypliwy. Niezbyt przypominał tego uprzejmego Południowca, który jeszcze przed chwilą rozmawiał z Margaret.

- Jakiż to atrakcyjny mężczyzna - powiedziała, odchodząc od sceny.

- Nie podobało mi się to jego gadanie o konfederackim pochodzeniu.

- Mnie też nie. Ale czy zwróciłeś uwagę na tę śliczną dziewczynę, Pickford? Widać, że za nim szaleje.

- Ona i jeszcze kilka innych kobiet w tym towarzystwie. Wygląda na to, że małżeństwo wcale go nie usatkowało.

- Mówisz jak stary purytanin. Małżeństwa nie miały także wpływu na moich klientów z „Maison Napoleon”. Przychodzili tam, pomimo że byli żonaci.

- Albo właśnie dlatego.

Margaret roześmiała się, ale Mack pozostał poważny.

Styczeniowe popołudnie było chłodne. Długie, ostre cienie kładły się melancholijnie na ziemi. Mack skręcił przy wielkiej kolorowej tablicy reklamowej, po czym zatrzymał się, aby rozpiąć płócienny dach i umocować szybę osłaniającą od wiatru. Margaret przyglądała się reklamie. Namalowano na niej błękitne niebo, na którego tle widniały balony z gondolami, oraz jedno i dwupłatowe samoloty. Napis pod spodem głosił:

**PO RAZ PIERWSZY W AMERYCE!**

**LOTNICZE SPOTKANIE**

Los Angeles, 10 - 20 stycznia

- Co to za „lotnicze spotkanie”? - zapytała Margaret.

- Wielka wystawa połączona z pokazami, lotami na czas i tym podobnymi rzeczami. Sponsoruje ją gazeta Hearsta. Glenn Curtiss przywiezie ze sobą kopię „Golden Flyer”, samolotu, na którym zdobył Puchar Gordona Bennetta w Rheims. Przybędzie także Louis Paulhan z Francji. To będzie prawdziwe święto.

- Dużo czytałam na temat latających maszyn. Nigdy nie miałam ochoty wsiąść do czegoś takiego, ale chętnie popatrzyłabym na nie. Zabierzesz mnie na pokazy?

- Oczywiście, jeśli tylko zechcesz. Nie mam rodziny, której musiałbym poświęcać czas. Ani żadnych bliskich przyjaciół.

- Otrzymałeś jakieś wieści od H. B.?

- Żadnych.

Mack prowadził packarda zakurzoną szosą. Mijając jakiegoś rowerzystę, klaksonem zmusił go do zjechania z drogi. Margaret zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. Z pobladłymi policzkami i mocno bijącym sercem obserwowała, jak Mack manewruje samochodem.

- To będzie wspaniały urlop, o ile zdołam ujść z życiem - oświadczyła, przekrzykując hałas silnika.

Recepcjonista w Redondo Lodge zaprowadził ich do przylegających do siebie apartamentów nie zadając żadnych pytań. Mack natychmiast zauważył, że między pokojami znajdują się drzwi.

Rozpakowali bagaże, zdjęli z siebie zakurzone ubrania, po czym udali się na spacer wybrzeżem Santa Monica Bay. Pomarańczowe, zimowe niebo odbijało się w srebrzystym morzu, którego fale z hukiem rozbijały się o przybrzeżne skały. Dwóch młodych ludzi w ściśle przylegających do ciała kostiumach starało się utrzymać równowagę na unoszących się na szczycie fal deskach.

- Cóż, u licha, oni robią?

- Uprawiają coś, co nazywa się surfingiem. To zupełna nowość. Tu, w Kalifornii, zawsze można natknąć się na coś nowego.

Obserwowali przez chwilę obu mężczyzn, podziwiając ich siłę i młodość.

Posiłek zjedli w wyłożonej drewnem restauracji hotelowej. Mack był zaskoczony, widząc pomiędzy winami oferowanymi w karcie „Sonoma Creek”. Wypili butelkę tego trunku jedząc steki, a potem jeszcze jedną przy deserze. Udając się na spoczynek, byli lekko oszołomieni alkoholem. Margaret pocałowała go na dobranoc w policzek i skierowała się ku swoim drzwiom.



Mack czuł, że wypił za dużo. W ubraniu padł na łóżko i zasnął z twarzą wtuloną w poduszkę. Po jakimś czasie usłyszał pukanie do drzwi łączących jego apartament z pokojem Margaret. Trzymała w dłoni mosiężny lichterz z zapaloną świecą, gdyż hotel nie był zelektryfikowany. Jej nocna koszula była biała jak suknia panny młodej. Przez cienki materiał prześwitywały ciemne sutki piersi...

- Margaret...

Zasłoniła mu dłonią usta i przytuliła się do niego. Mack zrzucił z siebie ubranie.

- Margaret... - szepnął, kiedy się obudzili. Nadal trzymał ją w ramionach.

- Tak?

- Nie wolno nam już nigdy więcej tego zrobić.

- Wiem. Ale przynajmniej raz musiało się to zdarzyć. Pocałowała go, a złote loki opadły na jej nagie ramiona.

- Dziękuję ci, mój ukochany.

Opuściła jego zmiętą, ciepłą pościel i w chwilę później drzwi łączące ich pokoje zamknęły się za nią. Rano, schodząc na śniadanie, była świeża i radosna.

- Jakież cudowny miałam sen - oświadczyła. - Śniło mi się, że kochaliśmy się ze sobą, a potem zabrałeś mnie, bym obejrzała samoloty. Wczoraj odniosłeś się do tego pomysłu bez szczególnego entuzjazmu. A ja myślałam, że uwielbiasz nowe wynalazki.

- Bo tak jest - oświadczył Mack z nagłą energią. Był świeżo ogolony i miał na sobie czystą koszulę. Pomimo wypitego poprzedniego dnia wina nie czuł bólu głowy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy było mu lżej na duszy.

- To wspaniale - powiedziała Margaret, po czym zwracając się do kelnera poprosiła: - Niech pan da nam jakiś stolik w słońcu, dobrze?

## Rozdział 71.

Trzywagonowe tramwaje Pacific Electric przybywały co dwie minuty do Dominguez Junction. Stąd trzeba było już tylko przejść pół mili błotnistą drogą, by znaleźć się na płaskim szczycie Dominguez Hill. Organizatorzy pokazu przygotowali miejsca dla dwudziestu sześciu tysięcy widzów. Trzymilowej długości zasieki oddzielały publiczność od samolotów i placu, na którym rozbito wielkie wystawowe namioty. „Los Angeles Examiner” przeciągnął nawet do tego miejsca specjalną linię telefoniczną. Maszyny latające stały po obu stronach drogi wiodącej na szczyt wzgórza. Na otwarcie wystawy przybyło zaledwie dwadzieścia tysięcy ludzi, ale już pod koniec pierwszego tygodnia liczba odwiedzających to miejsce sięgnęła czterdziestu tysięcy osób dziennie.

Wśród tłumu, który przybył tu w niedzielę, znajdował się także pewien chłopiec i towarzyszący mu starszy mężczyzna. Lewe ramię chłopca opuszczało się w widoczny sposób, kiedy przenosił ciężar ciała na lewą stopę. Starzec także poruszał się wolno, wspierając na lasce z powodu artretyzmu. Jak na swoje jedenaście lat chłopak był bardzo wysoki. Miał przy tym ładną twarz, jasne włosy i ciemnobłękitne oczy. Ponieważ obaj ze starcem kuleli, ludzie brali ich za krewnych.

Chłopiec używał nazwiska Jim David, pierwszego, jakie przyszło mu do głowy, kiedy stary człowiek zapytał, jak ma się do niego zwracać. Jego opiekuna nazywano Jocker Sprue, choć to także nie było jego prawdziwym nazwiskiem.

- Noszę zupełnie wariackie imiona nadane mi przez dorobkiewiczów i dusigroszy z Wirginii, którzy byli moimi przodkami. Z żalem muszę ci się przyznać, że moje pełne imię i nazwisko brzmi: Arlington Arvide Murtha Sprue - powiedział kiedyś, gdy Jim poruszył tę kwestię. - Przyznasz,

że moja matka ciężko zgrzeszyła nazywając mnie w ten sposób, co?

Jocker był tym człowiekiem, którego Jim tak się przeląkł owej pamiętnej chwili, kiedy jedna ze ścian „Valencia Street Hotel” niemal zwała im się na głowy. Jocker instynktownie osłonił wtedy Jima własnym ciałem, ratując go przed uderzeniami odłamkami gipsu i cegieł. Ocalił go także przed spadającym wprost na nich hotelowym łóżkiem.

Jim ocknął się po chwili, krztusząc się kurzem. Przerażony ciemnością, próbował uwolnić się od przygniatającego go ciężaru ciała Jockera.

- Krzycz, chłopcze - rozkazał mu ochrypłym głosem starzec. - Krzycz i módl się, by ktoś nas usłyszał. To trzęsienie ziemi. I to bardzo silne.

Zaczęli wołać:

- Na pomoc! Tutaj, niech ktoś nam pomoże!

Wydawało im się, że upływały godziny, a nikt nie nadchodził. Wokół nich narastał coraz większy hałas: strzelały płomienie ognia, jęczeli ranni i umierający hotelowi goście, krzyczeli uciekający w panice przechodnie. W końcu Jim poczuł, że nie może już dłużej krzyczeć. Zabrakło mu tchu. Powiedział o tym niewidocznemu w ciemnościach mężczyźnie, który chwycił go za ramię i ścisnął z całej siły, zadając nieopisany ból.

- Nie mów tak, nie poddawaj się. Krzycz, dopóki gardło nie odmówi ci posłuszeństwa. Krzycz, póki nie zemdlejesz. Inaczej nigdy się stąd nie wydostaniemy.

I Jim krzyczał.

W końcu, śmiertelnie wyczerpany, usłyszał, jak starzec mówi:

- Ktoś jest w pobliżu. A potem do jego uszu dotarł inny, odległy głos:

- Nie, Harry, bardziej z tyłu. Pod tym zwalonym łóżkiem. Na pewno słyszałem tam jakiś głos.

Dwaj zakurzeni, spoceni policjanci wydobyli ich z pułapki. Jocker został ranny w plecy, ale wyprostował się natychmiast, gdy jeden z policjantów zapytał go o nazwisko.

- Arthur Jones. Jesteśmy wam bardzo wdzięczni, panowie - oświadczył, po czym odszedł pośpiesznie, ciągnąc Jima za sobą.

Na Market Street ujrzeni prawdziwe piekło. Ogień coraz szybciej rozprzestrzeniał się na południe, od strony zatoki widać zaś było kolejny pożar. Jim był zbyt przerażony i wdzięczny nieznanemu, by mógł nie posłuchać starca, gdy ten szepnął:

- Weź mnie za rękę, chłopcze. Jocker zajmie się tobą i będzie miał cię w opiece. Nie zadawaj mi żadnych pytań i nie miej tak przełkniętego wzroku. Udało mi się opróżnić kilka cudzych kieszeni, dzięki czemu mamy dość pieniędzy, by przepłynąć promem do Oakland. Mam nadzieję, że promy wciąż kursują, bo ta strona zatoki powoli zamienia się w piekło.

Na Market Street Jimowi zdawało się, że wśród tłumu mignęła mu twarz ojca. Chciał go zawołać, ale znajoma postać szybko zniknęła mu z oczu. Zresztą nie był wcale pewny, czy chce wrócić do domu. Poza tym Jocker trzymał go mocno, żeby się nie zgubili w panującym zamieszaniu.

Tego ranka na Market Street Jim zapoznał się z jedną z niezwykłych umiejętności mieszkańców ulicy: Jocker wyciągnął z kieszeni jakiejś kobiety pięć dolarów tak, że zupełnie tego nie zauważyła, po czym obaj uciekli do Oakland odchodzącym w południe promem.

To właśnie na promie Jocker zapytał go o nazwisko i chłopiec przedstawił się jako Jim David. Powiedział także, że jego krewni nie żyją.

- No, skoro tak twierdzisz - odparł Jocker, ukazując w uśmiechu białe zęby. Później Jim dowiedział się, że starzec mył je starannie przynajmniej raz dziennie, ale mimo to stracił już kilka na przodzie. - Gdybyś rzeczywiście był dzieckiem ulicy, miałbyś inną cerę i zupełnie inne ręce. Ale dla mnie nie ma to znaczenia, nawet jeśli uciekłeś z domu. Nie będziemy o tym rozmawiać. Uczyniłem to samo, kiedy byłem niewiele starszy od ciebie. Woda i ogień nigdy się nie pogodzą, a ja bardzo wcześnie zdecydowałem, że Sprue i jakakolwiek odpowiedzialność za cokolwiek nie mogą iść ze sobą w parze.

Przechylił się przez barierkę promu i ponad głowami tłumu obserwował ogarniające miasto płomienie.

- Wędrowałem już po świecie w towarzystwie różnych chłopców, ale żaden z nich nie wyglądał tak sympatycznie jak ty. Zawrzyjmy umowę. Jeśli będziesz próbował uciec, złapię cię i zbiję. Zostań ze mną, a się tobą zaopiekuję. Nigdy nie skrzywdziłem żadnego z moich chłopców. Nigdy również żadnego nie dotknąłem, wyjąwszy oczywiście chwile, kiedy musiałem nauczyć ich nieco dyscypliny, albo okazać odrobinę koniecznej czułości - oświadczył, otulając ramiona Jima swym postrzępionym płaszczem. - Będę dla ciebie kimś w rodzaju ojca - powiedział to tak cicho, że Jim ledwie słyszał go poprzez szum fal i warkot silników promu. - Sądzę, że będzie nam razem dobrze. Będziesz mi pomagał... Nie jestem już tak młody jak niegdyś i ten przeklęty artretyzm bardzo mi dokucza. W zamian za to nie zaznasz głodu i będziesz na ogół sypiał pod dachem. Stary Jocker dopilnuje też, byś nie padł ofiarą ulicznej dżungli, Jimie David.

Ponownie przytulił chłopca do siebie. Rękawy jego płaszcza pokryte były pyłem tynku „Valencia Street Hotel” i zostawiały na ubraniu Jima białe smugi, ale on tego nie dostrzegał. Był szczęśliwy, że znalazł towarzysza w osobie tego dziwnego, sympatycznego, starego włóczęgi.

Mieszkali przez dwa tygodnie w obozie dla ofiar trzęsienia ziemi w Oakland, a potem przez pięć nocy spali w pustym wozie, na którego bokach wymalowano napis:

DLA CIERPIĄCYCH W KALIFORNII OD  
MIESZKAŃCÓW IOWA.

W końcu Jocker oświadczył, że muszą ruszać w drogę.

- Znaleźliśmy sobie wprawdzie dobre miejsce, ale za dużo tu żołnierzy. Poza tym już się ociepliło, a mój artretyzm potrzebuje słońca.

Jocker postanowił, że udadzą się na wschód. Jimowi podróż ta wydała się ekscytująca, ale jednocześnie niebezpieczna. Stary włóczęga nauczył go, jak czepiać się wagonów pociągu, kiedy jechały dostatecznie wolno - nie było to tak łatwe, jak się na początku wydawało. Kiedy Jim spróbował tego po raz pierwszy, zranił się w ramię tak poważnie, że omal nie wylądował pod kołami. Na szczęście Jocker zdołał go podtrzymać.

Starzec nauczył go także, jak podróżować wyladowanymi po brzegi wozami, tak by się przy tym nie zabić. A także, jak oskubać kradzionego kurczaka i obronić się przed innymi włóczęgami, którzy często mieli ochotę pobić ich na śmierć. Jim uczył się szybko. Z podwójną gorliwością starał się zapamiętywać lekcje starego, ponieważ miał wyrzuty sumienia, że opóźnia podróż. Z powodu kalekiej nogi nie mógł iść tak szybko jak Jocker, ale jego opiekun nigdy na to nie narzekał. Wręcz przeciwnie, starał się raczej podtrzymywać chłopca na duchu.

Zawędrowali w pobliże granicy meksykańskiej, potem zaś znowu skierowali się na wschód, ku pastwiskom i plantacjom bawełny w Teksasie. Przemierzywszy Luizjanę, skręcili na południe, na Florydę. Przez jakiś czas napawali się pięknem atlantyckich plaż, pływając i baraszkując na piasku oraz żywiąc się samodzielnie zbieranymi wielkimi błękitnymi

krabami. Zawsze starali się jeść to, co znaleźli, kradnąc jedynie wtedy, gdy nie było innego wyjścia: „Człowiek powinien posuwać się do kradzieży jedynie z konieczności, Jim. Nigdy nie dla sportu” - przestrzegał Jocker.

Jim uważał Jockera za wspaniałego towarzysza, bardzo inteligentnego i mądrego, pomimo braku wykształcenia. Starzec od deski do deski czytał każdą starą gazetę, jaką tylko znalazł. „To uniwersytet biedaków, nie zapomnij o tym” - powtarzał. Wiedział coś o każdej części Ameryki, a przynajmniej zawsze miał coś do dodania, kiedy przy ognisku włóczędzy opowiadali sobie o miastach, które odwiedzili.

- Buffalo, powiadasz? Byłem tam raz z dwoma dżentelmenami: kapitanem Silverheelsem i Grayem Spats Kidem. Ale nie dałbym za Buffalo złamanego grosza. Za zimno tam. I nie przepadają za nami w tamtych stronach. Słynny pisarz, Jack London, przesiedział w więzieniu w Buffalo cały miesiąc. Jako chłopiec włóczył się drogami tak jak Jim. Dzięki temu później zawsze miał dużo współczucia dla prostych ludzi.

W końcu zmęczony wędrownym życiem Jocker postanowił, że osiadą gdzieś na stałe. Ze względu na klimat wybrał Kalifornię, a dokładniej Los Angeles. Jim wyrósł i między starcem a nim pozostało już bardzo niewiele z dawnych stosunków z podziałem na role pana i niewolnika. Stali się przyjaciółmi, współnikami, czymś na kształt ojca i syna.

W Los Angeles Jim pracował dorywczo, aby mogli opłacić czynsz i kupić jedzenie. Był sprytny i zręczny, dlatego też rzadko brakowało mu zajęcia. Jocker także pracował, gdy tylko mógł, ale artretyzm dokuczał mu coraz bardziej. Pomimo że Jocker nie był jego prawdziwym ojcem, Jim kochał starego włóczęgę niemal tak, jak niegdyś kochał Macka, zanim ten odwrócił się od niego. O swojej matce

myślał bardzo niewiele. Widywał jej fotografie w gazetach. Widział, że jest piękną, należąca do najlepszego towarzystwa damą, że wciąż mieszka gdzieś w Kalifornii, ale od czasu, kiedy Mack wyjaśnił mu, że Carla opuściła ich z własnej woli i bez żadnej przyczyny, stała się ona dla chłopca jakąś zimną, bezduszną postacią, przypominającą martwą, marmurową rzeźbę z muzeum.

Od czasu do czasu Jim natykał się w gazetach także na nazwisko swego ojca. Jego zdjęcia zasmucały go i budziły gniew. Czemu ojciec tak go nienawidził? Czy dlatego, że sam był nieszczęśliwy? Teraz zresztą nie miało to dlań już większego znaczenia. Miał nowe życie i był wolny. Postanowił, że nigdy już nie powróci do poprzedniej egzystencji.

Teraz, gdy tramwaj Pacific Electric wiozł ich na lotniczą wystawę, zarówno Jim, jak i Jocker, mieli dobrą pracę na przedmieściach Pasadeny. Jim uwielbiał przebywać na słońcu. Uczył się hodowania egzotycznych drzew i kwiatów Południowej Kalifornii, czując, że nareszcie jego życie toczy się tak, jak powinno. Na jesieni skończył dwanaście lat, ale wyglądał na dwa, trzy lata więcej ze względu na swój wzrost i dojrzałe rysy twarzy. Zaczynał już zwracać na siebie uwagę dziewcząt, ale ponieważ był jeszcze zbyt młody, ich zainteresowanie zdumiewało go. Kiedy zapytał o to Jockera, stary włóczęga zachichotał.

- Wiem, że na razie nic cię one nie obchodzą, ale poczekaj jeszcze trochę - powiedział. - Będiesz miał fioła na ich punkcie. Zaufaj staremu Jockerowi.

- Wiesz dobrze, że ci ufam - uśmiechnął się Jim, ściskając sękatą dłoń starca.

Kiedy wagoniki Pacific Electric wtoczyły się na końcowy przystanek, Jim ujął dłoń Jockera i pomógł mu wysiąść. Czuł



się w obowiązku opiekować się starcem, któremu każdy ruch sprawiał ból.

Był chłodny, wietrzny poranek. Jim zmrużył oczy i popatrzył na szczyt wzgórza.

- Spójrz, Jockerze, balony już wzniosły się w powietrze. Czy nie uważasz, że to wspaniałe?

- Sam chciałbym polecieć balonem - odparł stary włóczęga. Jocker miał na sobie swój jedyny garnitur, który choć wytarty na kolanach i łokciach, nadal jeszcze wyglądał schludnie. Poprzedniego dnia Jim własnoręcznie ostrzygł starcowi włosy. - Ale myślę, że Bóg nie przeznaczył Jockera Sprue do wznoszenia się ponad ziemią .

Śmiejąc się, Jim ujął krzepko swego opiekuna pod ramię, przyglądając się specjalnemu pociągowi, na którego platformach stały przypięte łańcuchami lśniące samochody. Wewnątrz nich siedzieli wspaniale wystrojeni mężczyźni i kobiety. Nad platformami widniał transparent: **POCIĄG WYSTAWOWY Z SAN DIEGO.**

Jim cieszył się, że tu jest, podobnie jak inni mieszkańcy Los Angeles. Ludzi ogarnęła gorączka latania - tak to przynajmniej nazywano w ulubionym komiksie Jima, którego bohater, Mały Nemo, podróżował po niebie w skonstruowanym samodzielnie pojeździe. Jadąc tutaj, minęli skład, na drzwiach którego reklamowało się przedsiębiorstwo sprzedające balony: „**KUP - PRZEŻYJESZ NIEZAPOMNIANE CHWILE.**”

Podniecony czekającymi ich atrakcjami, młody James Ohio Chance II, obecnie Jim Davis, pociągnął starego człowieka błotnistą drogą w stronę szczytu.

Wędrówka pod górę nie szła im zbyt łatwo. Po pierwsze, ostatnie zimowe deszcze sprawiły, że droga była bardzo śliska, po drugie, marsz utrudniały liczne sunące powoli samochody, które co chwila zapadały się w błoto. Trzech

mężczyzn z zaprzęgiem mułów krążyło wzdłuż drogi proponując swoje usługi tym, którzy zaryli się w grząskiej ziemi.

Panujące zamieszanie pogłębiali jeszcze rowerzyści. Po obu stronach drogi rozstawili swe budy kramarze, którzy przekrzykiwali się nawzajem, zachęcając przechodniów do kupowania ich towarów. Można tu było dostać kawę i kandyzowane orzechy, okulary przeciwsłoneczne oraz hełmy samochodowe w kształcie samolotu. Jima jednak nie kusiły te wspaniałości. Oszczędzał zarobione przez siebie pieniądze, by opłacić dwie najważniejsze rzeczy: przejazd, który kosztował ich obu dolara, oraz program imprezy za dziesięć centów.

- Opamiętajcie się! - krzyczał jakiś człowiek, stojący na odwróconej do góry dnem skrzynce po mydle. - Aeroplany wypłoszą z nieba ptaki. Ta mechaniczna plaga zniszczy przyrodę!

- Czy są tu Wrightowie? - zapytał jakiś siedzący w samochodzie człowiek. Jego towarzysz odpowiedział, że nie, jako że odmówili udziału w tych uroczystościach.

Lepkie, brązowe błoto pokryło buty Jima i Jockera. Słyszając odległy huk, chłopiec podskoczył, ściskając kaleką dłoń starca.

- To silniki, już startują... Musimy się pośpieszyć.

- Byłbym szczęśliwszy, gdybym mógł jechać tą drogą, zamiast nią iść - oświadczył Jocker. Mimo to starał się jak mógł dotrzymać chłopcu kroku.

Na placu, gdzie odbywał się pokaz samolotów, ludzie wzbijali stopami w powietrze tumany kurzu. Na szczęście lśniące maszyny stały w namiotach, a specjalnie wynajęci policjanci strzegli ich przed wandalami.

Glenn Curtiss przywiózł cztery swoje dwupłatowce. Były tu także trzy jednopłatowce Bleriota z Francji oraz dwa dwupłatowce Farmana. W jednym z namiotów mieściło się

wyposażenie do pompowania gazem balonów - tajemnicza i intrygująca plątanina zbiorników, pomp i rur. Tuż obok, pod gołym niebem, jakiś młody mężczyzna wygłaszał wykład na temat swego ornitoptera, który przypominał jednokołowy rower z doczepionymi doń skrzydłami. Nakazawszy tłumowi, by się rozstąpił, młodzieniec wsunął ramiona w pasy przy skrzydłach i zasiadł na rowerowym siodełku. Zaczął machać skrzydłami, na skutek czego ornitopter uniósł się jakieś dwie stopy nad ziemią, po czym opadł z powrotem.

- Widziałeś, Jim? Ludzie nigdy nie nauczą się latać. Zresztą pociągi w zupełności mi wystarczą.

- Och, daj spokój - powiedział chłopiec z uśmiechem. - Zapłaćmy za wstęp i zajmijmy miejsca. Nie chcę stracić pokazu Curtissa.

Mack przejechał packardem przez błotnistą drogę i zapłacił za miejsce do parkowania. Mogli wprawdzie oglądać pokaz z samochodu, on jednak wolał wykupić za dwa dolary miejsca w pierwszym rzędzie ławek dla widzów.

Trasa wyścigu miała kształt sześciokąta. Jeden z dwóch jej najdłuższych boków znajdował się tuż przy drucianym ogrodzeniu, drugi ciągnął się wzdłuż pola uprawnego. Trasę oznakowano dziesięciostopowymi wieżyczkami, na szczycie których powiewały flagi. U stóp każdej stał konny policjant, uzbrojony w pistolet i karabin. Jakiś młody łobuziak wdarł się na tor i jeden ze strażników pogalopował ku niemu, chcąc go schwytać. Chłopcu udało się jednak uciec i dopaść ogrodzenia, zanim policjant zsiadł z konia. Triumfalnie zagrawszy stróżowi prawa na nosie, urwis zniknął w tłumie. Margaret roześmiała się, ludzie zaś zaczęli bić brawo i gwizdać.

Potężny, ważący jakieś trzysta funtów mężczyzna podszedł do ogrodzenia i złożył ręce przy ustach.

- To Horton z Long Beach - powiedział Mack. - Nazywają go człowiekiem - megafonem.

- Panie i panowie - zagrział człowiek - megafon. - Zwróćcie uwagę na nasze polowe lotnisko. W kopii swego słynnego „Golden Flyera” pan Glenn H. Curtiss spróbuje dziś ustanowić nowy rekord szybkości.

Wśród publiczności rozległy się brawa. Obserwowano pomalowany na kolor khaki dwupłatowiec, który toczył się hałasując silnikiem o mocy sześćdziesięciu koni mechanicznych. Nie było żadnej kabiny, która chroniłaby lotnika, lecz jedynie zwykłe małe siedzenie umieszczone przy dolnym płacie, tuż za sterem. Curtiss zajął miejsce i położył nogi na pedałach. Pocąc się w skórzanym płaszczu, szalu i goglach, sprawdził stery, hamulce oraz pompę paliwową.

Mack nasunął na oczy swoją samochodową czapkę tak, by nie oślepiało go zimowe słońce. Curtiss pomachał publiczności, po czym zwiększył obroty silnika i dwupłatowiec ruszył przed siebie, podskakując na nierównej ziemi. Po chwili wzniósł się w powietrze.

Ludzi ogarnął prawdziwy szal. Siedząca w pobliżu Macka i Margaret kobieta zemdląła i z trudem udało się ją ocucić. Mack przypomniał sobie Kalifornię taką jaką ujrzał po raz pierwszy: brzydką, brudną i ponurą. Teraz samochody, tramwaje elektryczne i latające maszyny miały całkowicie zmienić jej oblicze. Zmienić cały świat. Poprzednia epoka przechodziła do historii.

Samolot Curtissa wzniósł się ponad wieżyczki i począł lecieć wyznaczoną trasą. Nawet najbardziej obojętni ludzie patrzyli teraz na to z zapartym tchem. Maszyna z rykiem przelatywała nad widownią, rzucając cień na wpatrzone w nią twarze. Wydawała się grzmiącym zwiastunem nowego świata.

Curtissowi nie udało się tego popołudnia pobić rekordu szybkości, ale i tak otrzymał gorące brawa. Kiedy wylądował,

Mack zerwał się na nogi i klaskał tak długo, aż rozbolały go ręce.

Następnym pilotem był Louis Paulhan, były cyrkowiec i mechanik z fabryki samolotów Voison w Paryżu. Rok wcześniej ustanowił rekord, przelatując osiemdziesiąt cztery mile w dwie godziny i czterdzieści cztery minuty.

Dwupłatowiec Paulhana był jeszcze bardziej niepozorny niż samolot Curtissa. Pomalowano go na jasnoszary kolor, a chłodzony powietrzem silnik miał moc pięćdziesięciu koni mechanicznych. Tego dnia Paulhan miał zabrać ze sobą pasażera. Człowiek - megafon wystąpił naprzód.

- Razem z panem Paulhanem polecą porucznik Finger z armii Stanów Zjednoczonych. Zademonstrują oni możliwości wykorzystania samolotów w czasie wojny.

Tłum umilkł. Mężczyzna w mundurze khaki przypiął się pasami do skrzydła obok lotnika, umieszczając nogi na poziomej poprzeczce.

- Ciekawe, czy Paulhan zabrałby mnie ze sobą? - powiedział Mack.

- Czy naprawdę byłbyś gotów zaryzykować coś takiego?

- Jasne. Samoloty to nie byle co. Zobaczysz, że pewnego dnia będziemy podróżować nimi równie często, jak dziś pociągami.

Z twarzy Margaret wyczytał, że bardzo w to wątpi, a gdyby to, co powiedział, miało okazać się prawdą, byłaby przerażona.

Samolot wzniósł się w powietrze lecąc wyznaczoną trasą. Porucznik Finger przechylił się i zrzucił na ziemię papierową torebkę. Kiedy spadła, jej zawartość wybuchła, wznosząc wielki obłok pyłu.

- Oto jak można atakować wroga materiałami wybuchowymi - objaśnił człowiek - megafon. - Pan Paulhan

zapewnia, że jego samolot jest w stanie unieść trzysta funtów takich substancji. - W tłumie rozległy się brawa.

Pilot zawrócił. Finger wyrzucił jeszcze trzy torebki. Publiczność zamilkła. Mack uświadomił sobie, że gdyby samolot zamiast ładunku z kredowym pyłem zrzucił prawdziwe bomby, niewiele pozostałoby z tego miejsca.

- Pięćdziesiąt dolarów? - zaproponował Mack.

- Sto - odparł Paulhan. Był miłym mężczyzną liczącym sobie koło dwudziestu pięciu lat. Jego żona Celeste oraz mechanicy Didier i Edouard stali tuż za nim.

- Zgoda - powiedział Mack i zaczął odliczać pieniądze.

- Czy to na pewno bezpieczne? - zapytała Margaret.

- Ależ tak. Wczoraj latałem z monsieur Hearstem. I jeszcze żyje - powiedział Paulhan. - Proszę przypiąć się pasami, monsieur Chance.

Wszystko to stało się zbyt szybko, aby Mack zdążył poczuć lęk. Zostawił swoją czapkę Margaret, zatrzymał jednak gogle. Mechanicy zakręcili korbą. Silnik zaskoczył i kruche skrzydła zadrżały, unosząc samolot w powietrze. Żołądek podszedł Mackowi do gardła.

Popatrzył na zgromadzonych ludzi, którzy teraz maleli w oczach. Paulhan skierował samolot na zachód, ku oceanowi. Trzymając się mocno obiema rękoma, Mack poczuł ogarniający go lęk. Ale jednocześnie był podniecony: „Co za niezwykle uczucie. Tak muszą czuć się aniołowie.”

Lecieli nad farmami, domami i drogami, w zawrotnym tempie zbliżając się do migotliwego oceanu. Mack po raz pierwszy oglądał niebo i ziemię z tak niecodziennej perspektywy. Wszystko jednak następowało tak szybko, że nie miał czasu zastanawiać się nad tym, co czuł - mógł to jedynie przeżywać.

- Dwa tysiące stóp - oznajmił Paulhan, przekrzykując wiatr. Kiedy samolot minął linię brzegu, Mack, zaciskając

dłonie tak mocno, że aż zbieleły mu palce, popatrzył w dół. Doznał nowego, oszałamiającego uczucia. Ocean wydał mu się nagle niczym więcej jak tylko nieregularnym wzorem białych fal rozrzuconych po ciemnoniebieskiej wodzie.

Paulhan skręcił na południe i zniżył lot, co u Macka wywołało kolejny skurcz żołądka. Przelecieli jakieś pięćdziesiąt stóp nad łodzią rybacką, odpowiadając na przyjazne pozdrowienia załogi. Kiedy samolot wrócił nad ląd, Mack mógł przyrzeć się panoramie kalifornijskiego wybrzeża: plażom, lasom i wyglądającym jak zabawki budynkom. Przypomniała mu się chwila, kiedy schodził z gór Sierry: wtedy też niespodziewanie ujrzał przed oczami ten sam wspaniały, zapierający dech w piersi widok.

Paulhan rzucił okiem na podnieconą twarz pasażera, po czym ponownie skupił się na sterowaniu samolotem.

- To było najbardziej niezwykle doświadczenie w moim życiu, Margaret - powiedział Mack, obejmując ją ramieniem i przepychając się przez tłum. Wciąż przemarznięty, chciał teraz napić się kawy.

- Czy nie myślałeś o tym, że możesz wypaść, albo że samolot może się rozbić?

- Oczywiście, przez cały czas. Ale było mi wszystko jedno... Przechodzili właśnie pomiędzy dwoma namiotami. Mack nagle cofnął rękę, którą obejmował Margaret.

- Co się stało?

- Zobaczyłem kogoś znajomego - odparł marszcząc brwi.

- Poczekaj chwilę. - Przepchnął się między ludźmi ku wysokiemu chłopcu, przyglądającemu się rozłożonym na ladzie kramu pamiątkom. Ten jasnowłosy, przystojny chłopak miał cerę ciemniejszą niż Carla, ale bez wątpienia były to jej rysy twarzy.

- Jim? - wykrzyknął Mack, czując, że serce wali mu jak młotem. Chłopiec odwrócił się i popatrzył na niego. Przez

jego twarz przemknął jakiś dziwny cień. Zaskoczenie? Zmieszanie? Może strach?

- Do diabła, zejdź mi z drogi. - Jakiś gruby jegomość odepchnął Macka, przesłaniając mu na chwilę widok chłopca.

Zanim Mack zdołał się z powrotem przepchnąć przez tłum, upłynęło z dziesięć sekund.

- Gdzie poszedł ten chłopak, który stał tutaj? - zwrócił się do kramarza. Sprzedawca wskazał przejście między dwoma straganami. Jednakże nikogo już tam nie było.

Tak szybko, jak tylko mógł, Jim pokuśtykał między ławkami dla publiczności. Co chwilę oglądał się za siebie, a w jego ciemnobłękitnych oczach malowała się panika.

- Uważaj, gdzie idziesz - usłyszał. - Nie tarasuj przejścia.

Nie miał pewności, nie miał żadnej pewności. Widział tę twarz tylko przez moment. Ale ten siwowłosy mężczyzna zawołał go po imieniu. Oczywiście, wielu Jimów chodziło po tym świecie, nie miał jednak zamiaru stać w miejscu i pozwolić się złapać. Nawet jeśli był to jego ojciec, nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Z trudem łapiąc oddech, dopadł swojego miejsca i chwycił starego włóczęgę.

- Chodźmy stąd, Jocker.

- A to co znowu?

- Chodźmy stąd natychmiast. Strasznie boli mnie żołądek. Tak boli, że chyba zaraz umrę. Musimy złapać najbliższy pociąg i wrócić do Pasadeny.

Jocker nie protestował.

Festyn stracił dla Macka cały swój urok. Uzmysłowiwszy sobie, co się stało, Margaret uznała, że najlepiej będzie zostawić Macka na jakiś czas samego.

- Odwiozę cię do hotelu - powiedział Mack. - Muszę jeszcze zobaczyć się z kilkoma osobami, zanim wrócimy do Riverside. Wiem, że to był mój syn. - Usiadł za kierownicą.



Pogodził się z myślą, że prawdopodobnie to Fairbanks spłodził Jima, ale mimo wszystko Jim był jego synem.

Szeryf, z którym rozmawiał późnym popołudniem, ożywił się usłyszawszy nazwisko Macka. Człowiek ów zachowywał się o wiele sympatyczniej niż policjanci z San Francisco, ale jednak spotkanie z nim nie podniosło Macka na duchu.

- Tak, zgadzam się z panem, że ucieczka to dobry znak rozpoznawczy. Ale jeśli ten chłopiec nie chce zostać odnaleziony? Jeśli popełnił jakieś przestępstwo i woli się ukrywać? To przecież możliwe. Zrobimy, co w naszej mocy, proszę jednak nie oczekiwać cudów.

Mimo to Mack postanowił nie poddawać się tak łatwo. Zadzwoił do agencji Pinkertona i zostawił wiadomość dla Flyshacka. Następnie zatelegrafował do Alexa Mullera, rozkazując mu, by jeszcze raz wydrukował tysiąc egzemplarzy starego plakatu z podobizną Jima.

## Rozdział 72.

Mosiężne słońce z promienistymi ramionami zwieńczało żelazną bramę.

Mack i Margaret jechali czterokonnym powozem. Długie żelazne ogrodzenie rzucało cień na zakurzoną drogę.

- Klasztor Słońca Świata - Mack nie potrafił ukryć niesmaku. Końcem bata dotknął zamykającej bramę sztaby. - Najwidoczniej nie wszyscy są tu mile widziani.

- To niezwykle, jak na kościół.

- To nie jest prawdziwy kościół. Chociaż, o ile wiem, odprawia się tu co tydzień nabożeństwa. Tam, w tym ośmiokątnym budynku. - Słońce padało teraz na fronton budowli i wykuty w zboczu wzgórza taras. Pomalowano go na białe i różowe - barwy kojarzące się ze słońcem.

Do klasztoru szło się od bramy zakurzoną drogą, wijącą się wśród porośniętego trawą stoku. Okna wychodziły na wszystkie strony świata, jak lustra odbijając promienie słońca. Dwie kobiety w białych habitach, filigranowe jak lalki, wyszły z budynku i ruszyły ścieżką ku stojącym nie opodal domkom. Cała posiadłość była bardzo dobrze utrzymana. Sześciu ogrodników uwijało się wśród rabat białych azalii i kęp jakiegoś innego kwiecica.

- Członkowie zakonu sprzedają wiele dziwnych przedmiotów - powiedział Mack. - Uzdrawiające amulety i tym podobne rzeczy. Zarabiają tysiące dolarów na przybyszach oczarowanych retoryką mojego dawnego wspólnika. To on sprawuje tu władzę. Nazywa siebie „Bratem Paulem”. Pomysł na zwieńczenie bramy wziął z San Solaro.

- Uważasz, że nie wierzy on szczerze w to, co robi?

- Oczywiście. Jedyłą rzeczą, w jaką szczerze wierzy Wyatt, jest zarabianie pieniędzy.

- Chyba nie jesteś najlepszego zdania o jego zakonie, prawda?

- Słońce może sprawić, że ludzie będą czuli się lepiej. Czasem potrafi nawet zwalczyć chorobę. Ale to nie znaczy, że należy wierzyć w te wszystkie bzdury. Wyatt to naciągacz.

Gwizdnął na konie i powóz ruszył szybciej, a spod kół trysnęły fontanny żwiru.

Na wzgórzu obok ośmiokątnego budynku młody ogrodnik usłyszał hałas przejeżdżającego powozu. Klęczał właśnie, wyrywając chwasty z rabaty, gdzie kiedyś, gdy robi się ciepło, miały zakwitnąć gardenie. Jim podniósł głowę i popatrzył na odjeżdżającą bryczkę, w której siedzieli jakiś mężczyzna i kobieta. Nie było w tym nic dziwnego - wielu ludzi przyjeżdżało tutaj, by popatrzeć na klasztor. Nawet towarzystwa turystyczne pokazując gościom Pasadenę zawsze włączały w program wycieczki przejażdżkę przez tę okolicę.

Słońce zaszło poza krawędź kanionu i powiało nagle zimowym chłodem. Jim wzdrygnął się, wsunął bawełniane robocze rękawiczki do kieszeni dzinsów i pomaszerował ku chatom.

Pośród eukaliptusowego gaju stało czternaście domków. W pobliżu znajdowały się też stajnia, stodoła oraz mała stołówka. Tutejszy kucharz przyrządzał naprawdę wspaniałe jedzenie. To, co robił jawnie, doczekało się licznych pochwał przełożonego klasztoru, natomiast jego potajemne działania wywoływały zachwyt członków zakonu. W Słonecznej diecie kalifornijskiej Brat Paul napisał, że najlepszym śniadaniem jest miska kaszy kukurydzianej i chłodna źródłana lub studzienna woda. Na obiad i kolację najbardziej nadawały się warzywa i owoce rosnące w Central Valley, woda oraz, jako specjalny dodatek, pomarańcza lub grejpfrut. Jim lubił pomarańcze, ale reszta tej diety przyprawiała go o mdłości. W stołówce jednak nieoficjalnie otrzymywał bardziej solidne posiłki: smażone steki, panierowane kotlety, gotowane na twardo jajka oraz biszkopty. Normalne, zdrowe jedzenie.

Przełożony klasztoru zajmował całe górne piętro ośmiokątnego budynku, które często w nocy oświetlały rzęsiście elektryczne lampy. Kiedyś, nie mogąc spać, Jim stwierdził, że paliły się one aż do wpół do piątej rano. Podeszedł bliżej i zaczął nasłuchiwać. Spoza zamkniętych okiennic usłyszał chichoty kobiet i śmiechy mężczyzn.

Nie miał wątpliwości, co tam się dzieje: bardzo wcześnie nauczył się wielu rzeczy podróżując z Jockerem. Zastanawiał się, czy takie postępowanie nie jest trochę niewłaściwe jak na klasztor. Ale skoro nie przeszkadzało to członkom zakonu, którzy przyjeżdżali tu raz na tydzień, czemu miałyby przeszkadzać jemu?

Jego znajomość ośmiokątnego budynku ograniczała się do parteru. Nigdy nie był na górze. Ani też nie miał ochoty tam się wybierać. Brat Paul był ponurym, często wpadającym w zły nastrój człowiekiem. Jocker wspomniał kiedyś Jimowi, że przełożony klasztoru ma całą skrzynkę opium.

- Pali je w fajce. Nigdy nie skuś się na pociągnięcie tego dymu! Zabiłoby cię to szybciej, niż zdążyłbyś się obejrzeć.

Dopóki jednak Brat Paul płacił mu przyzwoicie, Jim nie zamierzał się przejmować jego poczynaniami.

Sala spotkań zajmowała połowę parteru budynku, a resztę - biura Brata Paula oraz pokoje dla jego gości. Jeden z gabinetów należał do Elihu Flintmana, starego prawnika, który mieszkał niegdyś w pobliżu Coviny. Przybył on do klasztoru na skutek nalegań żony i zajmował się tu rachunkami. Należał do rządzącej zakonem Rady Starszych. Narzekał jednak, że tak naprawdę Rada ta nie posiada żadnej faktycznej władzy. Żona Flintmana hodowała róże. Jim od czasu do czasu wykonywał jakieś drobne prace w jej ogrodzie. Płacił mu za to Flintman, który bardzo dokładnie sprawdzał, czy praca została należycie wykonana. Wkrótce odkrył on zamiłowanie Jima do liczenia. Kiedy miał szczególnie dużo zajęć, przyprowadzał

Jim do swego biura i kazał mu sumować długie kolumny liczb. Jim lubił to zajęcie, pomimo że Flintman miał dość przykry charakter.

Idąc ścieżką zobaczył, że Jocker wsadza w ziemię dookoła ich domku małe gałązki. Jocker nie był zbyt dobrym ogrodnikiem: poruszał się wolno i trudno mu było się schylać. Jim wielokrotnie musiał kończyć zaczęta przez niego prace, ale nie narzekał na to.

Jocker wyprostował się i z westchnieniem oparł się o pień eukaliptusa.

- Jestem zmęczony.

- Umyj się więc i przygotuj do kolacji. Chodź, wesprzesz się na moim ramieniu. - Jim podtrzymując starca pomógł mu dojść do domku.

Następnej soboty Jim i Jocker pojechali do Pasadeny, by kupić kilka worków nawozu. Jim, korzystając z okazji, zajrzał do biblioteki publicznej. Czekając na niego przy naładowanym wozie, Jocker zwrócił uwagę na plakat przypięty do słupa telegraficznego. Podeszedł, by go przeczytać. A potem rozejrzał się ostrożnie po zakurzonej ulicy. Właśnie przejeżdżał obok jakiś skrzypiący wóz. Gdy tylko zniknął za zakrętem, Jocker zerwał plakat.

Wracając do klasztoru Jim wiozł ze sobą książki Marka Twaina, Dickensa i Jamesa Fenimore'a Coopera. Jocker kręcił się niespokojnie. Chrząkał kilka razy, zanim w końcu powiedział:

- Na słupie telegraficznym znalazłem coś, co powinieneś zobaczyć - podał mu plakat. - Nie wiem, po co napisali o tym znamieniu, ale z pewnością chodzi o ciebie, prawda?

Jim zgniótł papier w kulkę i wyrzucił wpatrzony w drogę przed sobą. Ścisnął lejce obiema rękoma tak mocno, że aż pobielały mu kostki palców. Jocker obserwował go przez chwilę.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego, co? Masz kogoś, kto o tobie myśli. Kogoś, kogo nie chcesz znać.

Jim nie odpowiedział.

- Założę się, że widziałeś tego kogoś podczas pokazu lotniczego. Jestem pewien, że wcale nie dokuczał ci wtedy ból brzucha...

- Jocker... - zaczął Jim ostrzegawczym tonem.

- Kto to jest, Jim? Krewny? - nie ustępował starzec. - Czy masz gdzieś krewnych, tak jak to zawsze podejrzewałem?

- Nie pytaj mnie o to - szepnął Jim, patrząc prosto przed siebie. - Jeśli jesteś moim przyjacielem, nie pytaj.

Jocker popatrzył na niego, w zamyśleniu przygryzając wargę.

- Jestem nim. I nie będę pytał. Już wcześniej przyszło mi do głowy, że o coś takiego poprosisz. - Sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął z niej jeszcze dwa plakaty. - Właśnie dlatego zerwałem wszystkie, jakie tylko mogłem znaleźć, zanim wróciłeś z biblioteki.

Stojąc na peronie, Margaret serdecznie uścisnęła Macka.

- Miałam wspaniały urlop. Dziękuję. - Dotknęła dłonią jego twarzy. - Szczególnie cudowna była pierwsza noc.

Mack odwrócił wzrok.

- Byłeś taki czarujący przez pierwsze dwa dni... - powiedziała nagle. - - Ale potem...

- Potem zobaczyłem mojego syna. Ujrzałem go i straciłem z oczu. I wiem, że jeśli nawet Pinkerton podwoi swoje wysiłki, nadal nikt nie zdoła go odnaleźć...

- Proszę wsiadać, panienko - powiedział konduktor stając na stopniach wagonu.

- Już idę. Mack... Czy nie wybrałbyś się wkrótce na północ?

- Powiedziałem Olderowi, że uczynię to, gdy tylko Ruef znajdzie się w San Quentin.

- Możesz na to czekać całe lata. Czy nie miałbyś ochoty zobaczyć się z panem Andersonem?

- Chyba miałbym - odparł, wzruszając ramionami i po bratersku całując ją w policzek. - Pomyślę o tym.

Margaret z uwagą wpatrywała się w jego twarz. Oczy Macka znowu były martwe.

- Nie obchodzi mnie, z jakiego powodu wyjechałeś. Pomyślałam po prostu, że San Francisco mogłoby stanowić dla ciebie miłą odmianę. Nie można spędzić całego życia rozpamiętując swoje błędy.

- Można, o ile były dostatecznie wielkie.

Kiedy pociąg Daylight Limited odjeżdżał, Margaret patrzyła przez okno, jak Mack stoi nieruchomo na peronie. Zapamiętała jego ściągniętą bólem twarz.

## Rozdział 73.

Ubrana w dżinsy i czerwoną bluzę dziewczyna mocno spięła ostrogami ogiera, podskoczywszy w siodle, kiedy za jej plecami rozległ się odgłos wystrzału. Z przerażeniem zerknęła przez ramię. Zbliżało się do niej ośmiu jeźdźców - wyjętych spod prawa rzezimieszków. Ich przywódca nosił kowbojski kapelusz z Montany, którego szerokie rondo przesłaniało mu część twarzy. Drugą jej część skrywała zielona chusta.

Grupa uzbrojonych mężczyzn goniła dziewczynę połą drogą u stóp wzgórza. Przywódca trzymał cugle w zębach, prowadząc czarną klacz kolanami i strzelając raz po raz z dwóch posrebrzanych pistoletów Smith & Wesson kaliber 44. Inni bandyci także strzelali: z luf ich broni unosiły się smużki białego dymu.

Jakimś cudem ich kule nie zraniły ani dziewczyny, ani konia. Spoglądając dookoła przerażonym wzrokiem wciąż poganiała ona wierzchowca, ale teraz przywódcę bandy dzieliło od niej zaledwie dwadzieścia stóp. Nadal strzelał do niej bez przerwy, jakby nigdy nie miało mu zabraknąć amunicji.

Nagle po prawej stronie dziewczyna dojrzała samotnego jeźdźca w wysokim kowbojskim kapeluszu. Jednym rzutem oka oceniwszy sytuację, człowiek ów sięgnął po swojego kolta peacemakera.

- Och, Bill, pomóż mi, pomóż! - krzyknęła dziewczyna.

Samotny jeździec skierował konia w jej stronę. Podobnie jak przywódca bandy trzymając wodze zębami, wydobył z kabury drugiego peacemakera. Lufą rewolweru zsunął kapelusz na plecy. Słońce oświetliło jego twarz. W jego spojrzeniu wyczytać można było odwagę i waleczność.

Narażając się na uderzenia nisko zwieszonych gałęzi, dziewczyna i jej prześladowcy oraz człowiek, który chciał ją ocalić, wjechali pomiędzy rosnące przy drodze drzewa.



Samotny jeździec postrzelił dwóch bandytów, którzy z rozdzierającym krzykiem zwalili się z koni na ziemię. Na ich koszulach wykwitły czerwone plamy krwi. Przywódca bandy rzucił wściekłe spojrzenie na rannych towarzyszy, z których jeden podniósł się jeszcze na chwilę, by wkrótce z powrotem opaść w pył drogi.

Ukryci nieco dalej w cieniu ludzie poczęli wołać i machać rękoma, ponagłając jeźdźców. Stojący pod grubym konarem rozłożystego drzewa kamerzysta nerwowo ścisnął wielkie, skrzypiące pudło mutographa. Aparaty te były hałaśliwe: wydawały z siebie dźwięk przypominający skrzypienie zepsutej maszynki do mięsa.

Jakiś mężczyzna w jeździeckich bryczesach nie odrywając od ust megafonu, wołał:

- Wczuj się w tę rolę, Dora. Twoja twarz ma się rozjaśnić nadzieją. Bill przybywa, by cię uratować...

Dora ściągnęła wodze ogiera. Broncho Bill dojechał do stóp wzgórza. Jego rewolwer ział ogniem. Kolejny bandyta spadł z konia, ciężko uderzając o ziemię i klnąc.

- Niech nikt się nie ogląda. Wszystko z nim w porządku. Jedźcie dalej - krzyknął do megafonu reżyser.

Mack stanął na wysokim stołku i uchwyciwszy się wiszącej ponad jego głową gałęzi, wyteżył wzrok.

- Wszystko w porządku - krzyknął reżyser, kiedy konie przegalopowały przez zagajnik. W połowie wzgórza, po prawej stronie Macka, drugi kamerzysta zatrzymał aparat. Ludzie wokół wołali coś w podnieceniu. Ujęcie udało się doskonale.

Dwadzieścia jardów poza zasięgiem kamery ogier Dory niespodziewanie wierzgnął tylnymi kopytami. Aktorka przeleciała nad głową konia i upadła na drogę. Broncho Bill wciąż strzelał, odwrócony w inną stronę.

Reżyser zerwał się z miejsca.

- O, Chryste! Przerwij to ujęcie! Bill, Dora spadła z konia. Bandyty ściągnęli wodze swoich wierzchowców. Gilbert Anderson podjechał do aktorki. Charakteryzatorki, kamerzysta i reżyser pobiegli za nim.

Mack zdjawszy okulary także pośpieszył ich śladem. Dokuczał mu silny, niemal oślepiający ból głowy, przyczyną którego był najnowszy raport Flyshacka - nie dowiedziano się absolutnie niczego nowego. Nie zauważył, że przywódca bandytów nagle zatrzymał konia na drodze i spod runda kapelusza zerknął przerażonym wzrokiem na gościa.

Dora leżała wśród wysokich chwastów. Schowawszy do kabury posrebrzane rewolwery, z których wystrzelał już cały zapas ślepych naboji, przywódca przestępców zawrócił swą czarną klacz i oddalił się od zebranej przy aktorce grupy.

Dora usiadła, masując nogę. Anderson zdjął jej but i delikatnie obmacywał kolano. A potem z westchnieniem powiedział:

- Przykro mi, że się zraniłaś. Będziemy musieli powtórzyć to ujęcie.

- Nic mi nie jest, mogę jechać...

- Nie ma takiej potrzeby. Odpocznij.

- Buster - krzyknął Anderson. - Weź powóz i jedź do Niles po doktora Clabaugha. I niech ktoś z was przyniesie parasol, żeby Dora nie leżała na słońcu.

„Essanay” kręciło film na równinie w pobliżu Niles Canyon, dwie mile od studia, które od miasta dzieliły kolejne cztery mile. Był marcowy poranek 1910 roku. Tydzień wcześniej Mack powrócił do swego domu przy Greenwich Street, a dziś udał się do Niles. Wyjechał tuż po wschodzie słońca i podróż ta zabrała mu ponad godzinę.

Szedł teraz razem z Andersonem drogą wśród drzew.

- Mamy cholernego pecha, że ten wypadek zdarzył się akurat w dniu wizyty człowieka finansującego nasz film - powiedział Anderson.

- Co ma pan zamiar teraz zrobić, Bill? - Wszyscy tak go nazywali, a on sam nie miał nic przeciwko temu, lubił bowiem utożsamiać się z kreowaną przez siebie postacią kowboja. Trzy poprzednie filmy o Broncho Billu okazały się kinowymi przebojami i cały kraj domagał się kontynuowania tematu.

- Nie wiem jeszcze. Muszę najpierw dowiedzieć się, czy Dora będzie mogła wrócić do pracy. Obawiam się, że nie. Chyba złamała nogę.

Wczesnym popołudniem, wciąż cierpiąc na silny ból głowy, Mack oczekiwał na decyzję lekarza w biurze Andersona, w studiu „Essanay”. Studio było duże, ale prymitywne. Miało tylko jedną wielką drewnianą scenę i przeszklony dach. Dookoła sceny wzniesiono kilka budynków w kalifornijskim stylu, z których największy, umeblowany tanimi sprzętami, stanowił równocześnie gabinet i mieszkanie Andersona. Przez okno Mack zobaczył trzy krowy pasące się nie opodal za drucianym ogrodzeniem.

Wciąż ubrany w kostium kowboja Anderson ciężko opadł na krzesło.

- Złamana. Dora nie będzie grać. Co, u diabła, mam teraz robić? Musimy skończyć to ujęcie najdalej w ciągu trzech dni. Jeśli nie będę z tym gotów do piątku, Georges Spoor obedrze mnie ze skóry.

- Nie możesz zastąpić tej dziewczyny kimś innym?

- Mogę, ale dopiero w przyszłym tygodniu. A potrzebna jest mi jutro rano. Mack bębnił palcami o rondo leżące na kolanach kapelusza.

- Czy ta nowa dziewczyna musi mieć doświadczenie?

- Żeby tylko potrafiła oddychać i uśmiechać się siedząc w siodle. Potrzebujemy jej wyłącznie do dokończenia tego ujęcia oraz do jednej sceny bójki w saloonie.

- Znam pewną dziewczynę z San Francisco. Nie jest aktorką, ale jest naprawdę piękna. Uśmiecha się jak anioł. Reżyser z „Biographu” w Los Angeles wziął ją za gwiazdę filmową.

- Któż był tym reżyserem?

- Griffith - przypomniał sobie z trudem Mack.

- Cóż, D.W. jest koneserem, jeśli chodzi o damy. Skoro mu się spodobała, musi być naprawdę dobra. Możesz ją tu przywieźć jutro rano?

- Spróbuję.

- Zaczynamy o siódmej trzydzieści.

- Bill, to długa podróż. Nie wyśpi się.

- Ma zagrać w filmie, czy nie? A więc wpół do ósmej.

Hellburner Johnson usiadł na skraju sceny z posrebrzanymi rewolwerami na kolanach. Zza ściany dobiegały go jakieś krzyki i stukoty. Pewien aktor komediowy, z którym „Essanay” podpisało kontrakt, kręcił właśnie film pod tytułem Noc poza domem.

Johnson otworzył pudełko ze ślepymi nabojami i naładował jeden z rewolwerów. Nieme filmy bawiły go. Jako przywódca bandytów wystrzelił przynajmniej trzydzieści czy czterdzieści razy z każdego pistoletu podczas tego ujęcia.

Cieszył się, że może chwilę posiedzieć w spokoju. Miał już pięćdziesiąt siedem lat i taka szaleńcza jazda bardzo go męczyła. Czuł się niemal tak wyczerpany jak wtedy, kiedy przywieziono go do szpitala w Panamie po tym, gdy nabawił się dziwnej gorączki i skręcającego kiszki zatrucia. Choroba trwała przeszło trzy tygodnie i bez przerwy śniły mu się jakieś koszmary.

A jeśli już mowa o złych snach: pracując dla Gila Andersona w tej zapadłej dziurze, był absolutnie pewien, że nigdy nie natknie się tu na swojego współnika.

Słyszając jadące drogą auto znieruchomiał, nasuwając kapelusz na czoło tak mocno, że rondo niemal dotknęło nosa. Kiedy silnik packarda umilkł w oddali, z powrotem umieścił kapelusz na swoim miejscu.

Drzwi za sceną otworzyły się i ukazał się w nich niski, ciemnooki młody człowiek o kręconych włosach.

- Ben Turpin?

- Nie ma go tutaj - odparł Johnson.

- A panna Purviance?

- Nie widziałem jej. Mężczyzna zmarszczył nos jak królik.

- Gorąco dziś, co, panie Johnson?

- Jak cholera, panie Chaplin.

- No cóż, mimo to trzeba grać dalej. - Jeszcze jedno zmarszczenie nosa i drzwi zamknęły się.

Zabawny facet. Ale był naprawdę dobry w tym, co robił. Zatopiony w myślach Johnson zabrał się z powrotem do ładowania rewolweru.

Packard kołysał się i podskakiwał na drodze wiodącej z Hayward do Niles. Dziki królik przebiegł przez drogę tuż przed maską samochodu i Mack gwałtownie skrzył kierownicą. Zaskoczona Margaret krzyknęła.

- Uważaj, bo zemdleję ze strachu.

Mack nie odpowiedział, utkwivszy ponure spojrzenie w drodze przed sobą. Ponad wzgórzami rozciągało się jasne, przejrzyste niebo, w koronach drzew zaczynały się budzić ptaki. Przez większą część nocy nie spał, przekonując Margaret do swojego pomysłu. Kiedy w końcu zgodziła się, natychmiast kazał jej wsiadać do samochodu. Opuścili San Francisco na długo przed świtem.

- Mack, jestem taka zdenerwowana...

- Uspokój się. Anderson tobą pokieruje. To nie jest żadna wielka sztuka... Zawsze mi mówiłaś, że nie chcesz przez całe życie prowadzić francuskiej restauracji. Wziąłem te słowa na poważnie.

- Dobrze, zrobię co będzie w mojej mocy. - Nerwowym gestem przygładziła włosy. - Przynajmniej znowu czymś się zainteresowałeś.

- Masz rację - uśmiechnął się.

Samochodem zarzuciło. Margaret krzyknęła, Mack natomiast skręcił gwałtownie, zaledwie o kilka cali mijając czerwoną krowę, która przeżuwając trawę leżała na środku drogi.

Zanim dojechali do Niles, Margaret zdołała się opanować. Wysiadła z packarda z chłodną elegancją księżniczki i przywitała się z podekscytowanym reżyserem, Van Zant Morganem. „To nie jest jego prawdziwe nazwisko - powiedział jej wcześniej Mack. Naprawdę nazywa się Sid Morgenstern.” Uśmiechnęła się do niego olśniewająco.

- Och, mój Boże, ona jest wspaniała - wykrzyknął Morgan z entuzjazmem.

O wpół do ósmej zabrano Margaret na plan filmowy. Stolarze i malarze skończyli właśnie ustawiać dekoracje: frontową ścianę budynku z fragmentem dachu, w całości wykonaną z płótna i desek. Kamerzyści instalowali wielki mutograf, podczas gdy Morgan, sprawdzając, jak padają promienie słoneczne, rozstawiał aktorów. Margaret siedziała nieruchomo na płóciennym krześle, czekając aż charakteryzatorka nałoży na jej twarz puder. Ubrana była w suknię z wysokim kołnierzem i bufiastymi rękawami. Stojąc z boku, Mack i Anderson obserwowali, jak we włosy Margaret wpięto wielką kokardę. Anderson ubrany był już w kostium Broncho Billa i uzbrojony w sześciostrzałowy rewolwer.

- Jestem twoim dłużnikiem, Mack. To piękna dziewczyna. Ma w sobie jakąś urzekającą świeżość. Czym się zajmuje?

Mack przeczyścił okulary białą chusteczką.

- Prowadzi mały interes rodzinny.

- Mam nadzieję, że znajdzie kogoś, kto ją w tym zastąpi. Chciałbym, by jeszcze kiedyś u mnie zagrała.

- Jeszcze nie widziałeś, jak gra, Bill.

- Ale widziałem jej uśmiech. Hej, Morgan... Tu jest za dużo tego słońca. - Ten nieładny mężczyzna o haczykowatym nosie i zezowatych oczach stał się w ostatnich miesiącach gwiazdą filmową i bożyszczem wielu kobiet.

Mack wyciągnął z kieszeni fajkę i rozejrzał się dookoła, miał bowiem wrażenie, że ktoś go obserwuje. Jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem aktora stojącego w chłodnym, porannym cieniu pod drzewem. Natychmiast zauważył jego cytrynową chustę, zielone, zmrużone oczy i siwe włosy...

- Hugh, to ty?

Nie okazując żadnych uczuć, Johnson podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- Jak się masz, Mack?

Wymienili uścisk dłoni i Mack cofnął się o krok, wciąż bezgranicznie zdumiony.

- Cóż, u licha, tutaj robisz?

- Próbuję zarabiać na życie.

- Daj spokój, przecież nie potrzebujesz pieniędzy.

- W takim razie próbuję wypełnić czymś czas. Gram w tym filmie rolę, jaką grałem niegdyś w życiu, w Teksasie.

- Jak się tu znalazłeś?

- Odpowiedziałem na ogłoszenie. Widziałeś resztę naszej bandy? Naprawdę niezwykli ludzie. Na przykład Jaspersen, to prawdziwy geniusz. Dwa wyroki odsiedziane w stanowym więzieniu w Arizonie za napady na pociąg. Albo ta para - skinął na dwóch aktorów stojących blisko siebie i szepczących

jak kochankowie. Od czasu do czasu ukradkiem ściskali się za ręce. - Zabawni, co? Wychowałem się na Zachodzie, a filmy takie jak ten to wszystko, co po nim pozostało.

- Wyglądasz świetnie, H. B.

- Teraz już tak, ale w Panamie omal nie zabiła mnie gorączka tropikalna. - W kilku zdaniach opowiedział o tym, jak pracował przy budowie kanału. - Widzę, że lepiej się czujesz niż wtedy, kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni. Czy odnaleziono Jima?

- Jeszcze nie. Ale wiem, że żyje. Widziałem go. - Mack opisał mu swoje spotkanie z synem.

- Jest mi naprawdę przykro, Mack. Żałuję, że opuściłem cię wtedy. Złość podsuwa nam czasem niemądre pomysły. Zbyt długo żyłem samotnie. Sądzę, że trzeba mi żony, która nauczyłaby mnie dobrych manier.

Mack usłyszał w tych słowach przebaczenie dla siebie i odetchnął z ulgą. Usiadłszy w cieniu obsypanego pakami drzewa zajął się nabijaniem fajki.

- Powinienem cię przeprosić. Zachowywałem się wówczas jak szaleniec.

- Cóż, przeżyłeś ogromny wstrząs.

- To niczego nie usprawiedliwia. Jestem zaskoczony, że w ogóle chcesz ze mną rozmawiać.

- Do diabła, jesteśmy czymś więcej niż tylko współnikami. Przyjaźnimy się.

- Bardzo dobrze to wyraziłeś. Co myślisz o naszej aktorce?

- Wspaniała - oświadczył Johnson. - A przy tym ta praca cieszy się nieco większym szacunkiem niż to, co robiła dotąd. Ale niedużo większym - przyznał.

Mack uśmiechnął się.

- Wróciłem na jakiś czas do San Francisco. Odwiedź mnie, kiedy Anderson pozwoli wam w piątek zejść z planu.



- Czemu nie - odparł Johnson, odwracając poczerwieniałą od chłodu twarz. - Dziękuję. - Mimo lakonicznej odpowiedzi nie potrafił ukryć radości, jaką sprawiło mu to zaproszenie.

Tydzień później, o zmierzchu, Mack i Johnson wyszli z „Fairmont Hotel”. Mack z rozkoszą wciągnął w płuca słone, świeże powietrze znad oceanu. Czuł się doskonale. Dwa kufle piwa, półmisek ostryg i obecność starego przyjaciela poprawiły mu nastrój.

Wynajęli długi, czarny, turystyczny samochód delannay belleville, z błyszczącymi reflektorami, który zakręcał właśnie na półkolisty podjazd pod hotelem. Granitowe mury „Fairmont Hotel” ocalały z pożaru, jego wnętrze zaś odbudowano z wielkim przepychem. Hotel otwarto uroczyście wiosną 1907 roku.

Skierowali się na północ w stronę Sacramento Street. Johnson miał na sobie elegancki garnitur, nie potrafił jednak rozstać się ze swoją nieodłączną chustą - tym razem białą, jedwabną. Mimo kalekiej nogi, niemal nie utykał.

- Miałeś jakieś wieści od Nellie?

- Za miesiąc wraca z Europy do domu. Ma nowego wydawcę - Scribnera. Właśnie ukazała się jej trzecia powieść.

- Nie wiedziałem o tym. Muszę ją przeczytać.

- Bardzo się różni od poprzednich. Jest bardzo zabawna... Tak jak książki Marka Twaina. Jeden z krytyków nazwał ją amerykańskim geniuszem. Słyszałem, że Walter Fairbanks i jego poplecznicy mieliby ochotę ją ukrzyżować.

- Nie dziwi mnie to. Nieźle zalazła im za skórę. Ale tak naprawdę, nasza Nellie wciąż pozostała małą dziewczynką.

Skreśli w Sacramento Street i zatrzymali się przed ruinami domu Macka. Johnson powoli przeszedł przez coś, co było niegdyś frontowym podwórzem. Kopnął kamień, spod którego wyskoczył duży szczur.

- Masz zamiar odbudować ten dom?

- Architekci sporządzili dla mnie plany odbudowy. Tuż po trzęsieniu ziemi. - Mieszkańcy San Francisco mieli teraz nowy kalendarz, według którego dzielili czas na epokę przed i po trzęsieniu ziemi. - Zamknąłem je na razie w szafie.

- Może powinieneś do nich sięgnąć. To miejsce wygląda jak pobożowisko.

- Otrzymuję liczne listy od sąsiadów, którzy uważają tak samo. Johnson zdmuchnął pył z kawałka marmuru i usiadł na nim.

- Cieszę się, że Margaret gra w filmie - powiedział, skręcając papierosa. - To robi dobrze nie tylko jej, ale i tobie. Powiedziała mi, że dzięki tej sprawie powróciłeś do normalnego życia. Zbyt długo już przebywałeś w mrokach rozpacz. Broń Boże nie winię cię za to, ale masz przecież tak dużo do zaoferowania innym. Nie możesz przez resztę życia kryć się przed ludźmi.

Mack także usiadł. Po raz pierwszy nie buntował się przeciw temu, co mówił Johnson. Może po prostu był zbyt zmęczony i zrezygnowany po wstrząsach, jakie przeżył ostatnio?

Johnson potarł zapalką o spodnie i zapalił skręconego przez siebie papierosa.

- Mogę zrozumieć, czemu tak bardzo cię to zraniło. Gdybym kiedykolwiek znalazł odpowiednią kobietę i miał z nią syna, kochałbym go z pewnością równie mocno, jak ty kochasz Jima.

- Jim nie jest...

Wśród gruzów zaszumiał wiatr. Elektryczne lampy rozświetlały okna w odbudowanych już domach na Nob Hill. W ruinach słychać było popiskiwanie szczurów.

- Nie jest co? Nie jest gotów wrócić?

- Pogodziłem się już z tą możliwością. Widzisz, jestem absolutnie pewien, że widziałem Jima na pokazie lotniczym, a

to oznacza... - Mack pochylił się i potarł czoło z taką siłą, że aż poczuł ból. - To znaczy, że on całkowicie odwrócił się ode mnie. Uciekł po raz drugi. Nie chce, bym go znalazł, i prawdopodobnie odmówiłby powrotu do domu.

- Dajmy temu spokój - powiedział Johnson, widząc cierpienie przyjaciela. - Może po tych niepowodzeniach będziesz miał trochę szczęścia...

Mack potrząsnął głową.

- Pomyśl o tych wszystkich poszukiwaniach, które przedsięwziąłem. Policja, Pinkerton, tysiące plakatów... i ponad czterdzieści fałszywych sygnałów. Nic więcej. Poza tym dwudziestego ósmego września Jim skończy dwanaście lat. Urósł. Wiele się zmieniło od czasu, gdy uciekł. Być może zasmakowało mu życie z dala ode mnie. Może przyjął inne nazwisko? W ten sposób całkowicie zatarłby za sobą ślady. Jedynym pewnym znakiem byłaby wtedy jego kaleka noga. Ale kto wie, czy przez ten czas nie nauczył się chodzić nie kulejąc? Tobie się to udało - zerknął na przyjaciela. - Cóż zresztą te teorie mają za znaczenie? Przecież najprawdopodobniej nigdy więcej już go nie zobaczę.

Johnson milczał przez chwilę.

- Obawiam się, że masz rację - westchnął. - To zupełnie prawdopodobne, choć ciężkie do zniesienia. Nie wolno ci się jednak załamywać. Musisz żyć własnym życiem i robić to, co do ciebie należy.

Mack popatrzył na niego swymi orzechowymi oczyma.

- Co takiego mam robić, według ciebie?

- Po pierwsze, zająć się wyborami, które mają nastąpić jesienią. Ten prawnik, Hiram Johnson - cóż za piękne nazwisko - będzie kandydatem na gubernatora, wystawionym przez ruch reformatorski.

- To nic nowego.

- Nie, ale czymś nowym jest to, co wyczytałem w dzisiejszym „Examinerze”.

SP oświadczyła, że zrobi wszystko, by zapobiec wybraniu Johnsona. A to znaczy, że puści w ruch całą swoją machinę, aby zwycięzcą został jej własny kandydat. - Johnson zagryzł wargi i wypuścił dym nosem. - Wiedz zaś, że tego kandydata ma poprowadzić do wygranej twój ukochany Walter.

- Nie żartujesz?

- Ani trochę - zachichotał Johnson. - Widzę, iż cię to poruszyło. To będzie niezła walka. Przez czterdzieści lat Kalifornia dość się wycierpiała przez linie kolejowe i wielu ludzi ma ich serdecznie dosyć. „Examiner” twierdzi, że dla SP jest to walka o życie.

Mack podszedł do zrujnowanej bramy. Zimny wiatr rozwiewał mu włosy. Miał takie uczucie, jakby budził się z głębokiego snu.

- Być może masz rację, Hugh. Może powinienem wypełznąć już z mojej nory i spróbować dać prztyczka w nos Walterowi i całej tej bandzie, dla której pracuje.

- Na pewno tak - zgodził się Johnson, podchodząc i obejmując przyjaciela. - Nic tak nie pobudza ludzi do działania jak nienawiść.

Wróciwszy na Greenwich Street, Mack wziął gorącą kąpiel, założył szlafrok i zapalił światło przy swoim ulubionym fotelu w pokoju, którego używał jako biblioteki. O wpół do czwartej nad ranem skończył czytać po raz drugi powieść Nellie.

Głównym bohaterem Milionów Huntworthy'ego był Clemons Parsifal Huntworthy, założyciel i dyrektor pewnej linii kolejowej w nie określonym bliżej zachodnim stanie nad Pacyfikiem. Postać tę przedstawiono i oceniono w sposób bezlitosny i szyderczy.

Nellie podzieliła książkę na dwie części. W pierwszej, kiedy linia kolejowa była jeszcze w budowie, Huntworthy kłamał, kradł i oszukiwał wszystkich, począwszy od swoich współników aż po prezydenta Lincolna. Następnie udało mu się kupić sobie fotel w senacie Stanów Zjednoczonych. Na dzień przed wyjazdem do Waszyngtonu po raz kolejny pokłócił się ze swoją żoną Asphodel.

Asphodel Huntworthy była niepiśmienną kobietą, praczką. Prała niegdyś bieliznę Huntworthy'ego, kiedy był on jeszcze zbyt biedny, aby wynająć do tego jakiegoś Chińczyka. Opis ich kłótni, podczas której bohater książki ordynarnie wyzywał żonę, zajmował aż dwie i pół strony i kończył się śmiercią Huntworthy'ego na atak serca.

Druga część powieści poświęcona była wysiłkom i staraniom Asphodel, by stać się damą i należeć do najlepszego towarzystwa San Francisco. Opowiadała o jej małżeństwie z młodym plastykiem z Nowego Jorku, młodszym od niej o dwadzieścia osiem lat Wallisem Flummerfeltem, który przybył na Zachód, aby przebudować jej rezydencję. Młodzieniec ów był czuły i czarujący tak długo, dopóki nie zdobył ręki Asphodel. Potem jednak okazał się równie nieuczciwy jak jej pierwszy mąż. Dzięki oszustwom wkrótce stał się właścicielem odziedziczonych przez żonę linii kolejowych. Asphodel skończyła tak jak zaczynała: z rękami zanurzonymi w balii, w zapomnianym przez Boga i ludzi miasteczku Try Again w Kalifornii.

Powieść ta rozwścieczyła Eda Huntingtona, czemu dał wyraz w gniewnym liście, przesłanym Mackowi. Był zły, że ktoś przypomina światu historię Marka Hopkinsa i małżeństwo, jakie zawarła wdowa po nim.

Mackowi powieść bardzo się podobała, zachwycała go też bezkompromisowość Nellie. Ogromnie pragnął znowu ją zobaczyć i porozmawiać z nią.

Chciał powiedzieć jej, co naprawdę czuje do swojego syna, że stracił resztę nadziei, gdy dowiedział się, że Jim żyje gdzieś i po prostu nie chce mieć z nim nic wspólnego. Miał ochotę zwierzyć się jej, że mimo wszystko uczynił pierwszy krok, by powrócić do normalnego życia. Pragnął też powiedzieć, jak bardzo ją kocha.

## Rozdział 74.

W pewien kwietniowy wtorek w apartamencie Olympic Club spotkało się przy obiedzie czterech mężczyzn: Mack, Rudolph Spreckels, Fremont Older i Dorian Stimson, który przyjechał na tę okazję z Los Angeles. Stimson omal nie wylał na siebie zupy, kiedy Mack powiedział mu, czemu został zaproszony.

- Panie Chance... Mack... cóż za wspaniała wiadomość. Nie potrafię wprost wyrazić, jak bardzo się cieszę, że pan do nas dołączył. To znacznie zwiększy szanse naszego kandydata Hiram Johnsona. A plan mamy przecież nie byle jaki: odebrać liniom kolejowym ich polityczne wpływy.

Spreckels zaczął klaskać w dłonie.

- W całej rozciągłości zgadzam się na taki program - oświadczył Mack. - Dam wam na jego realizację tyle pieniędzy, ile tylko będę mógł.

- Czy zaangażujesz się także osobiście w naszą kampanię? - spytał Older.

- Tak.

- To najlepsza wiadomość ze wszystkich - oświadczył redaktor. - Potrzebujemy cię. Walka nie będzie łatwa. Linie kolejowe wiedzą, do czego zmierzamy...

- Dla linii kolejowych wygrana jest ostatnią szansą przeżycia - powiedział z przekonaniem Dorian Stimson.

Sala konferencyjna Southern Pacific mieściła się na trzecim piętrze tymczasowego biura na rogu Market Street i Powell. Istniały już wprawdzie plany nowego, wielkiego biurowca firmy, ale jego budowa jeszcze się nie zaczęła.

Naturalnej wielkości portret Collisa Huntingtona zajmował honorowe miejsce na ścianie. Oczy starego oszusta śledziły osiemnastu ponurych mężczyzn odpowiedzialnych za kampanię wyborczą SP, siedzących przy długim drewnianym stole. Spojrzenia ich wszystkich, włączając w to siedzącego u

szczytu stołu przewodniczącego, skupione były na Walterze Fairbanksie.

Spotkaniu przewodniczył William Herrin, jedyny prawnik kolei cieszący się autorytetem większym od Fairbanka. Herrin był dziwnym człowiekiem: nigdy się nie uśmiechał, co wcale nie oznaczało, że odnosił się do ludzi nieprzyjaźnie - po prostu zawsze zachowywał się wobec nich nieco sztywno i formalnie.

- W imieniu całej rady, Walterze, chcę powiedzieć ci, że szanujemy cię jako współpracownika i cenimy jako przyjaciela. Kierowałeś przedsięwzięciami naszego stanowego i lokalnego biura niemal od chwili, kiedy zostałeś pracownikiem SP. Doceniamy twoje wysiłki i sukcesy. Obawiam się jednak, że obecnie nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. Musimy podjąć naprawdę desperacką walkę o kierowanie naszym stanem. Linie kolejowe przyniosły Kalifornii dużo dobrego: rozwinęły przemysł i rolnictwo, poprawiły byt zwykłych obywateli i uratowały tysiące osad, które bez nas dawno by już opustoszały. Ale są pewni ludzie - Żydzi, wściekli dziennikarze, bogacze, co zdradzili swoją klasę - którzy nie chcą uznać tych faktów. Pragną odebrać nam nasze wpływy, odsunąć nas od rządzenia stanem. Stajemy więc przed koniecznością walki. Ciebie, pośrednio, także to dotyczy.

Fairbanks zamrugał swymi stalowoszarymi oczyma. Nie był człowiekiem, którego łatwo było zaniepokoić, ale tym razem czuł się bardzo niepewnie. W głębi czaszki poczuł znajomy ból.

- Rozumiem, Bill.

- Mam nadzieję. Nie możemy pozwolić, by ten kryzys nas zniszczył. Żywimy jednak do ciebie ogromne zaufanie.



„Ogromne zaufanie! Jeśli mi się nie uda, żywcem obedrzą mnie ze skóry. Znam wasze metody” - pomyślał Fairbanks.

- Musisz rzucić wyzwanie Hiramowi Johnsonowi i całej tej bandzie reformatorów. Johnson jest niebezpiecznym człowiekiem. Przez osiem lat bronił przed sądem San Francisco członków związków zawodowych. Był jednym z tych, którzy doprowadzili do postawienia Ruefa w stan oskarżenia. Znasz zapewne człowieka, którego demokraci chcą wystawić jako swojego kandydata: Theodore'a Bella z Napy? Nie lubimy go, ale będziemy go popierać przeciwko Johnsonowi. Na tym, w gruncie rzeczy, polega nasz program. Chcemy, byś się tym zajął. Od tego zależy nasza przyszłość. Twoja, Walterze, także.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, Bill...

- Johnson i jego banda muszą przegrać listopadowe wybory. Muszą! Żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w grę.

## Rozdział 75.

Kawalkada limuzyn skrzyła na podjazd przed odbudowanym już „Palace Hotel”. Ubrojeni w aparaty fotograficzne dziennikarze rzucili się, by sfotografować przybywających na bal ludzi.

Mack przyjechał o wpół do dziewiątej. Nie miał ochoty na bal, ale nie mógł zlekceważyć tej imprezy. Gdy tylko wysiadł z wynajętej limuzyny, natychmiast obstąpili go reporterzy.

Mack miał na sobie smoking z czarnymi jedwabnymi lampasami oraz piękny biały jedwabny krawat i białą koszulę. Na głowę włożył wysoki cylinder. W dłoniach w białych jedwabnych rękawiczkach trzymał laskę, na ramiona zaś opadał mu biały jedwabny szal. Z siwymi włosami wyglądał elegancko i dostojnie, ale czuł się jak głupiec.

- Bądź tutaj o jedenastej - zwrócił się do szofera i samochód odjechał. Tuż za nim wysiadało z limuzyny małżeństwo w średnim wieku. Był to Mike de

Young z żoną - redaktor „Chronicle”, postawny Niemiec żydowskiego pochodzenia, cieszący się w mieście licznymi wpływami. Obaj z Mackiem nie przepadali za sobą nawzajem, choć ostatnio redaktor zaczął traktować Chance'a nieco serdeczniej niż w przeszłości. Gazeta Hearsta nadal cieszyła się w San Francisco znacznym powodzeniem, chociaż sam Willie od dawna nie mieszkał już w tym mieście. To powodowało, że de Young był uprzedzony do wszystkich przyjaciół swego konkurenta. Rozmawiał jednak z Mackiem tak, jakby obaj należeli do małego ekskluzywnego klubu, do którego wstęp mają jedynie wybrani.

- To miło z twojej strony, że przybyłeś tutaj - powiedział, muskając wypomadowany wąsik.

- Ufundowane przez ciebie muzeum sztuki zasługuje na poparcie wszystkich - odparł Mack, kłaniając się jednocześnie

żonie de Younga, kiedy wszyscy troje skierowali się do drzwi hotelu.

- Cieszę się, że myślisz w ten sposób, ponieważ ogromnie potrzebujemy nowego budynku - odrzekł de Young. - W tym ceglany baraku, ofiarowanym przez Midwinter Fair, nasze zbiory wkrótce zniszczą. Potrzeby są tak duże, że przyjmujemy dotację nawet od przyjaciół Hearsta - uśmiechnął się.

- Mylisz się co do mnie, Mike. Czytam twoją gazetę równie często jak „Examinera”. Wyznaję starą zasadę, że należy zawsze wysłuchać racji dwóch stron.

- A co z wyborami? Czy tu też rację mają dwie strony?

- Nie. Tylko jedna. Ta postępująca.

- A więc, co do tego, nie ma różnicy zdań.. Cieszę się, że jesteś z nami.

Z sali balowej dobiegała muzyka orkiestry Ballenberga, która grała melodię Shine On Harvest Moon. Mack przeszedł przez foyer do szatni, gdzie zostawił kapelusz, laskę i rękawiczki. Chowając do kieszeni numerek, zauważył schodzącą po schodach parę. Walter i Carla. Carla miała na sobie brzoskwiniową atlasową suknię z koronkowym dekoltem, pasującą raczej młodej dziewczynie niż kobiecie w jej wieku. We włosy wpiętą miała oryginalną ozdobę z piór i Mack pomyślał sobie, ileż to ptaków postradało życie, by przystroić jego byłą żonę na ten bal.

Carla schodziła po schodach, ani na chwilę nie puszczając poręczy. Walter rozglądał się nerwowo po holu, co chwilę rzucając jej uważne spojrzenie. „Jest śmiertelnie wystraszony, że Carla zaraz popełni jakąś gafę” - pomyślał Mack.

Rzeczywiście, niewiele brakowało, by coś takiego nastąpiło, kiedy Carla poślizgnęła się w swych srebrnych pantofelkach. Gdyby mąż jej nie podtrzymał, runęłaby jak

długa. Małżonkowie wymienili kilka ostrych słów. Carla poczerwieniała, potrzęsnęła głową i wyrwała mężowi rękę.

- Walterze, Carlo... Dobry wieczór. Słyszałem, że mieszkacie w tym hotelu. Fairbanks musnął swój mały wąsik.

- Tylko wtedy, gdy nie jesteśmy w Burlingame. - Rozejrzał się niespokojnie ponad ramieniem Macka.

„Jest napięty jak struna” - pomyślał Mack i w jakiś perwersyjny sposób sprawiło mu to przyjemność.

Carla rozsiewała wokół siebie woń drogich perfum. Zaczęła coś mówić, kiedy nagle podeszła do niej jakaś dama i zabrała ją ze sobą.

- Carlo, najdroższa, chodź, poznasz Cloudsleya Ballantyne'a, tego malarza - powiedziała. Carla poszła za nią i już po chwili witała się z młodym mężczyzną o uduchowionej twarzy i brązowych włosach przedzielonych pośrodku przedziałkiem i zaczesanych na skronie.

- Jestem zaskoczony, Walterze, widząc cię tutaj - powiedział Mack. - Sądziłem, że będziesz się trzymał z dala od miasta, zagrzewając do walki swój rozrzucony po całym hrabstwie elektorat.

Fairbanks wyjął papierosa ze srebrnej papierošnicy. Czynność ta zabrała mu więcej czasu, niż było to konieczne. Szkarłatny rumieniec pojawił się na jego zazwyczaj bladej twarzy.

- Każdemu należy się przynajmniej dzień odpoczynku. Zresztą, nie będziemy mieć większego kłopotu z pokonaniem twojej bandy.

Znowu był tym samym antypatycznym zarozumialcem co zawsze. Boże, jakże Mack nim pogardzał. Miał ochotę zrewanżować mu się równie kąśliwą uwagą.

- Nie bądź tak pewny siebie. Przypomnij sobie, jak skończył się mecz polo albo nasz wyścig samochodowy.

Fairbanks upuścił płonąca zapalną na dywan. Zadeptał ją szybko i zniżywszy głos, wysyczał:

- Ty, sukiny! Nie zmieniłeś się. Jesteś zwykłym śmieciem. Już tego pierwszego dnia nad strumieniem Hellman powinien być wpakować ci kulę w brzuch.

Mack uśmiechnął się szeroko.

- Czegóż, u licha, chcesz ode mnie, Walterze? Żeby w ogóle z tobą nie walczył? Gdybym nie stawał ci na drodze, nie ryzykowałbyś przegranej, co? Ale nie mam zamiaru sprawić ci tej przyjemności. Szczególnie teraz, kiedy chodzi o coś wielkiego. Bądź przygotowany na kolejną porażkę.

Fairbanks zapalił następną zapalną. W jego oczach pojawił się dziwny błysk. Czyżby obawiał się, że Mack może mieć rację?

„Po co, do diabła, z nim rozmawiam? Przecież przez to zniechęci mnie tylko jeszcze bardziej.”

W tej samej chwili wpadła między nich zarumieniona Carla.

- Cóż to za elegancki młody człowiek - zawołała. - I taki utalentowany. - Przetarła oczy i dotknęła rękawa smokingu Macka. Jakież to urocze. Mój obecny mąż i mój były mąż... - roześmiała się.

Puściła do Macka oko sprawiając, że poczerwieniał, i potrząsnęła głową, rozsiewając wokół siebie jeszcze silniejszą woń perfum. Czyżby się w nich kąpała?

Fairbanks chciał coś powiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta, Carla objęła Macka za szyję i dotknęła wargami jego ust. Poczul silny zapach mocnej whisky. Próbował się cofnąć, gdy tymczasem Fairbanks odciągał Carle, ściskając jej nadgarstek.

- Na litość boską, nie rób z siebie pośmiewiska.

- Ależ kochanie, ja tylko chcę przywitać się z moim byłym...

Walter zmusił żonę, by ujęła go pod ramię, i zdecydowanym krokiem poprowadził ją w stronę sali balowej. Pomimo że cała ta scena miała miejsce w kącie holu, Mack dostrzegł, że liczni goście obrzucają Fairbanksów zaskoczonymi spojrzeniami. Prawnik jeszcze silniej przycisnął ramię żony do swego boku, kierując się ku jasno oświetlonym drzwiom.

Carla odwróciła się na moment. To, co Mack dostrzegł w jej zamglonym wzroku, zaskoczyło go i zasmuciło: tęsknota. Ta sama tęsknota, jaką miała w oczach owej nocy, gdy Swampy leżał umierający.

Przeszedł pomiędzy rozstawionymi wokół tanecznego parkietu stolikami i zatrzymał się przy wielkim stole, gdzie honory pana domu pełnił Adolph Spreckels i jego żona Alma. Starszy brat Rudy'ego był sztywny i oficjalny, ale Mack lubił ogromnie Alnę: ładną, energiczną, pulchną kobietę, młodszą o dwadzieścia cztery lata od swego męża. Zanim w 1907 roku poślubiła mającego wówczas pięćdziesiąt lat Adolpha, była po prostu Alną de Bretteville, pozującą artystom modelką o niepewnym pochodzeniu, choć twierdziła, że jej przodkowie wywodzą się z francuskiej i duńskiej szlachty. Otwarcie mówiła o tym, że dziewictwa pozbawił ją we wczesnej młodości pewien górnik z Klondike, jednak udało się jej postawić tego sukinsyna przed sądem i otrzymać odszkodowanie w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Powszechnie uważano, że to ona pozowała do ustawionego przy Union Square pomnika Winget Victory, Alma zaś nie zaprzeczała temu.

Małżeństwo z Adolphem Spreckelsem przeniosło ją z dnia na dzień w najlepsze sfery w San Francisco. Była najmłodszą w mieście grande dame i co wtorek jadła w „St. Francis” lunch w swoim własnym małym kółku znajomych. Interesowała się sztuką i miała w planach założenie kolejnego muzeum,

współzawodnicząc w tym względzie z Mike'em de Youngiem. Rywalizacja ta czasami przybierała czasem ostre formy i tego wieczoru Spreckelsowie zajęli miejsce tak daleko od de Youngów, jak tylko było to możliwe.

Mack znał Almę z widzenia jeszcze z czasów, zanim wyszła za męża. Wejście do najlepszego towarzystwa wcale jej nie zmieniło. Nadal miała głęboki, gardłowy głos, wyrażała się dosadnie i zachowała niektóre z dawnych nawyków.

- Na litość boską, Mack! Czy naprawdę nie masz zamiaru poprosić mnie do tańca? - zapytała, gdy tylko znalazł się przy ich stole.

- Byłoby lepiej, gdybyś darowała mi ten zaszczyt - uśmiechnął się w odpowiedzi. Goście zaśmiali się, ale Alma nie ustąpiła. Adolph zacisnął usta, co w jego pojęciu miało oznaczać, iż to, co robi żona, jest mu obojętne.

Mack podał jej rękę.

- Dziękuję, mój drogi - powiedziała głośno Alma, kiedy prowadził ją na parkiet. Orkiestra grała walca. - Niektórzy z przyjaciół Adolpha to pieprzone sztywniaki. - Kilka tańczących w pobliżu par zerknęło w ich kierunku, ale Alma nie przejęła się tym ani trochę. - Powiedz mi, mój drogi, czemu nikogo nie zabrałeś ze sobą, idąc tu dzisiaj?

- Chciałem zaprosić Margaret, ale jest zajęta kręceniem następnego filmu o Broncho Billu.

- Och, z pewnością wiele kobiet chętnie przyjęłoby twoje zaproszenie. Ja sama należałabym do nich, gdyby nie to, że jestem lojalną żoną drogiego Ade'a.

Do ich uszu dobiegły nagle odgłosy jakiegoś zamieszania. Muzyka urwała się nagle i zapadła cisza. Alma wspięła się na palce.

- Och, mój Boże! Carla Fairbanks upadła!

Mack dostrzegł, że jego była żona została sama na środku parkietu - tańczące obok pary odsunęły się pośpiesznie. Długa

spódnica zadarła się jej ponad kolana, odsłaniając pantalony i białą atlasową halkę. Jej partner, Cloudsley Ballantyne, stał zaskoczony z opuszczonymi rękami.

- Pomóż jej, na litość boską - warknął jakiś mężczyzna, patrząc na malarza. Carla chwyciła dłoń Ballantyne'a, usiłując wstać, straciła jednak równowagę i ponownie osunęła się na parkiet. Mack miał ochotę zapaść się pod ziemię, obserwując tę niesmaczną scenę. Spojrzenia wszystkich zebranych utkwione były w Carli.

- Mój Boże, jakież to okropne - powiedziała Alma dźwięcznym głosem. - Znowu jest pijana.

Fairbanks pośpiesznie wszedł do apartamentu hotelowego, zapalając elektryczne lampy osłonięte kryształowymi żyrandolami w kształcie kiści winogron. Carla pokuśtykała przez pokój i niedbałym gestem zrzuciła z ramion futro. Stojący na kominku złoty zegar o nóżkach jak szpony ptaka wskazywał dziesięć po trzeciej.

Fairbanks zdjął marynarkę i rozluźnił biały krawat. Rozpinając koszulę, szarpnął ją tak gwałtownie, że dwa guziki oderwały się od niej i potoczyły po dywanie. Carla otworzyła drzwi sypialni i zapaliła światło.

Dłoń prawnika drżała, kiedy próbował otworzyć srebrną papierośnicę. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwiczek barku i brzęk szkła, wbiegł do sypialni.

Odepchnął Carłę i z hukiem zamknął barek.

- Wypiłaś już dość! - zawołał. - Zejdź mi z drogi.

- Powiedziałem, że masz dość, Carlo.

- To ty tak uważasz.

Próbowała go odsunąć, on jednak zasłonił barek własnym ciałem, chwytając ją za ręce. Szminka na jej ustach rozmazała się, tworząc czerwoną smugę na policzku.

- Usiądź! - polecił Fairbanks, puszczając ją.



Tracąc równowagę Carla opadła na podwójne łoże, po czym z cichym westchnieniem zsunęła się zeń na podłogę. Walter stanął nad nią jak rozgniewany ojciec.

- Przekroczyłaś granicę mojej cierpliwości, zachowując się w ten sposób. Przez cały wieczór zalecałaś się do tego głupkowatego malarzyny, który nawet nie potrafił podnieść cię z parkietu.

- Z pewnością bardziej zasługuje on na miano mężczyzny niż ty - oświadczyła, uśmiechając się wyzywająco.

- Wiesz to z własnego doświadczenia, co?

- Widzę, że jesteś w parszywym nastroju, mój drogi. Odpieprz się. Nudzisz mnie.

Z trudem podniosła się i przeszła z powrotem do salonu. Fairbanks zauważył na jej brzoskwiniowej sukni wielkie plamy. Cóż takiego na sobie wylała? I przy kim? Ruszył za nią. Carla sięgnęła po jeden ze swych srebrnych pantofelków i zamierzyła się, próbując uderzyć go obcasem. Mąż wyrwał jej but i rzucił go za siebie, tłukąc przy tym szybę w wychodzącym na Market Street oknie. Aksamitne portiery zakołysały się lekko.

- Uważaj, Carlo! - wysyczał wściekłym głosem. - Do cholery, nie odwracaj się do mnie plecami! Nie pozwolę, byś nadal wystawiała mnie na pośmiewisko. Zrobiłaś z siebie przedstawienie. Na balu było wielu wpływowych ludzi, mających wiele do powiedzenia podczas zbliżających się wyborów. Po raz ostatni najadłem się przez ciebie takiego wstydu. Taka sytuacja nie może się więcej powtórzyć!

- No, proszę - zachichotała Carla. - Rzadko widuję cię tak podnieconego. Szczególnie w łóżku.

Fairbanks popchnął ją tak, że opadła na turecką kanapę. Ku jego zdumieniu Carla zaczęła się śmiać jeszcze głośniej.

- Ostrzegam cię: lepiej nie rób nic, co mogłoby mnie ośmieszyć, bo słono za to zapłacisz.

- Och, czyżbyś się bał? Drogi, mały Walter, nie koronowany książę Kalifornii, taki przerażony.

- Moja przyszłość zależy od tej kampanii - krzyknął. - Nie tylko moja praca, ale także reputacja.

- A więc to dlatego jesteś taki przestraszony, mój drogi? - śmiała się nadal. - Boisz się przegrać z Mackiem?

Umilkła nagle i w pokoju zapadła cisza. Na Market Street rozległ się klakson jakiegoś samochodu. Gdzieś w oddali, na wodach zatoki, zadźwięczał dzwonek promu. Fairbanks pogroził żonie palcem, ale nawet jemu samemu gest ten wydał się raczej śmieszny niż groźny.

- Przemyśl sobie to, co powiedziałem, bo inaczej pożałujesz.

- Nie wiem, po co tu jeszcze jestem - odparła, sięgając po leżące na ziemi futro.

- Dokąd się wybierasz? Z powrotem do niego?

- Być może. Czemu nie? Jest o wiele bardziej atrakcyjnym mężczyzną niż ty. Pokonywał cię już wielokrotnie. Wychowywał nawet twojego syna.

- Mojego...?!

Fairbanks ze zdumienia otworzył usta. Wypomadowane włosy uniosły mu się nagle nad czołem. Przypominał w tej chwili dziecko, które zgubiło się w ciemnym lesie.

Carla oparła się o wyklejoną jasną tapetą ścianę. Jedynie jej falująca pierś świadczyła o tym, że jest zdenerwowana. Starannie i precyzyjnie wymierzyła kolejny cios.

- Tak. Dobrze słyszałeś, twojego syna. Mack nie jest ojcem Jima. Ty nim jesteś. Spłodziłeś go w Nowy Rok w Pasadenie. Potem ja narobiłam zamieszania z datami. Jestem w tym niezła. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Chciałam jednak, by to Mack go wychowywał. Wiedziałam, że będzie lepszym ojcem od ciebie.

- Lepszym? Chłopak uciekł od niego! Całe miasto o tym wie.

- Cóż... nie wszystko potoczyło się po mojej myśli. Ale to niczego nie zmienia. Byłam jego matką i do mnie należał wybór, jak postąpić. No i podjęłam decyzję. Jeszcze raz przegrałeś w konkurencji z Mackiem, Walterze.

- Ty, dziwko! - Fairbanks chwycił ją za ramiona i potrząsnął mocno. - Ty przekłeta, parszywa dziwko! - Popchnął ją na ścianę tak silnie, że uderzyła w nią i z jękiem upadła.

Widząc przed sobą zaciśnięte pięści męża, Carla próbowała wstać, wspierając się o blat biurka. Mały mebel nie wytrzymał jednak jej ciężaru i przewrócił się. Z kałamarza chlusnął atrament, tworząc na ścianie czarne plamy. Pióra potoczyły się po podłodze, a kremowe koperty i papier listowy ozdobiony hotelowym nadrukiem pofrunęły we wszystkie strony.

- Zabiłbym cię, ale nie jesteś tego warta - powiedział Fairbanks drżącym głosem. Sięgnął po płaszcz i kapelusz i wyszedł trzaskając drzwiami.

O wpół do piątej po południu następnego dnia Gaspar Ludlow zapukał cicho do drzwi gabinetu.

Ludlow pracował w departamencie prawnym SP. Był lizusem, z zawsze przylepionym do ust uśmiechem, absolwentem wydziału handlowego na uniwersytecie w Berkeley. W biurze linii kolejowych pracował od trzech lat. Podczas poprzedniego Święta Dziękczynienia zasłużył sobie na awans, ofiarowując swojemu bezpośredniemu przełożonemu w prezencie książkę Lincolna Steffensa. Sprawił tym wielką radość szefowi, który natychmiast zaproponował mu wyższe stanowisko.

- Proszę wejść.

Fairbanks pracował w samej koszuli, pisząc coś na wielkich, żółtych arkuszach papieru. Urzędnik nie przywykł do oglądania swego szefa bez marynarki, ani też nigdy dotąd nie widział go zajętego czynnościami tak przyziemnymi, wymagającymi użycia ołówka. Fairbanks nigdy też nie pojawiał się w biurze przed wpół do dziesiątej.

Kilku urzędników powiedziało Ludlowowi, że szef wygląda na chorego. I w istocie - był bardzo blady, a kiedy wręczał podwładnemu żółty arkusz, drżały mu ręce.

- Oto opis zbiegłego chłopca. Najlepszy, jaki potrafiłem zdobyć. Nie wiem, jakie nazwisko mógł przybrać, ale jest bardzo podobny do pani Fairbanks. Kuleje na lewą nogę. Powinien mieć teraz około dwunastu lat. Uciekł z San Francisco zaraz po trzęsieniu ziemi. Być może nie żyje. Albo opuścił ten stan. Jeśli jednak żadna z tych rzeczy nie miała miejsca, muszę go odnaleźć - z przyczyn osobistych. Wyślij ten opis do wszystkich szeryfów w Kalifornii i wszystkich zaprzyjaźnionych z nami posterunków policji.

Ludlow uznał to polecenie za nieco dziwne. Ale przecież nikt nie ryzykowałby wyrzucenia z pracy w SP za sprzeciwienie się poleceniu przełożonego.

- Przez te wszystkie lata wydaliśmy dość pieniędzy, by zagwarantować sobie przychyłność policji, sir. Jestem pewien, że możemy spodziewać się niezłych rezultatów.

Fairbanks popatrzył na niego zmęczonym wzrokiem, jakby dając do zrozumienia, że on sam niczego nie jest już pewien.

## Rozdział 76.

Ostatni czwartek września był parny i gorący. Elihu Flintman wracał powozem z Coviny. Nie odpowiadali mu ci nowocześni autorzy, podobnie jak inni modernistyczni twórcy. Pomimo upału miał na sobie jednorzędowy czarny garnitur, czarny krawat i pilśniowy kapelusz. W stroju tym bardziej wyglądał na księdza niż większość autentycznych księży.

Jak tysiące innych ludzi Flintman przybył do Kalifornii ze Środkowego Zachodu. Po przeżytych ataku serca przeszedł na emeryturę, opuszczając fotel wiceprezesa Merchants and Farmers Bank w Xenii, w Ohio. Krzaczaste brwi i wielka rozłożysta broda sprawiały, że wyglądem bardzo przypominał Charlesa Dickensa, szczególnie z portretów przedstawiających go en face. Z usposobienia podobny był jednak do Scrooge'a (Ebenezer Scrooge - skąpiec z Opowieści wigilijnej Ch. Dickensa.).

Przed ośmiokątnym budynkiem stał powóz jakiegoś gościa. Flintman ustawił swój powóz obok, jak zwykle dostrzegając armię ogrodników uwijającą się wśród grządek. W duchu pogardzał Zakonem Słońca Świata. Drażniła go ekstrawagancja i pretensjonalność jego członków oraz ich zamiłowanie do białych kwiatów i malowanych na żółto sal.

Żona Flintmana, Winona, uwielbiała jednakże to miejsce. Przepadła również za przywódcą sekty, którego sam Flintman uważał w głębi duszy za oszusta lub człowieka niespełna rozumu. Elihu Flintman, choć nigdy nie poddawał się urokowi żadnego człowieka, zawsze robił to, co mu kazała Winona. Czasem niechętnie, ale jednak robił. Ulegając prośbom żony, prowadził więc bezinteresownie księgi rachunkowe zakonu.

Flintman był pierwszym wykwalifikowanym księgowym zajmującym się finansami klasztoru. Brat Paul nie chciał go, ale demokratycznie wybrana Rada Starszych uznała, że jest to

światny pomysł, i nalegała, by go zatrudnić. Wcześniej księgi zakonu prowadził sam jego przełożony. Przekopując się przez chaotycznie wypełniane cyframi rubryki, Flintman zrozumiał przyczynę oporów Brata Paula. Nie potrzebował dużo czasu, by natrafić na ślady oszustw. Był pewien, że przełożony ukradł mnóstwo pieniędzy ze składek wpłacanych na potrzeby zakonu. Flintman czekał, aż w ręce wpadnie mu ostateczny dowód, po czym miał zamiar zapoznać z całą sprawą Radę Starszych i - szczególnie - Winonę.

Minął odkrytą werandę i podszedł do wykonanych z matowego szkła frontowych drzwi. Wszystkie pokoje na parterze ośmiokątnego budynku położone były wokół głównego holu, co pozwalało dostać się do każdego z nich bez konieczności przechodzenia przez inne pomieszczenia. Dom urządzono w typowym późnowiktonańskim stylu: niemal każdy cal przestrzeni wypełniały ciężkie meble i palmy w donicach. Na ścianach zawieszono słoneczne kalifornijskie pejzaże namalowane przez nieznanego twórcę, którego wynajął w tym celu przełożony zakonu. Pośród tych licznych bezwartościowych obrazków umieszczono metalowe emblematy zakonu.

Drzwi wiodące do sali, gdzie odbywały się narady, były otwarte na oścież. Flintman zauważył przez nie siedzącą za stołem siostrę Rowenę. Miała właśnie klientów: dwoje dobrze ubranych emerytów, na których pomarszczonych twarzach malowała się nadzieja. Flintman współczuł im gorąco widząc, jak siostra Rowena, młoda i brązowa od słonecznej opalenizny, rozwija przed nimi pięciocalowej szerokości pasek płótna.

- Oto solarny pas długowieczności. Ich wytwarzaniem zajmuje się sam przełożony zakonu. Zauważcie, że składa się on z ośmiu elementów, podobnie jak ośmiokątny kształt ma nasz klasztor. Każdy element zawiera w sobie uzdrawiającą

moc słońca, ukrytą w przypominających plaster miodu komórkach. Kiedy nosi się ten pas, energia stopniowo przenika w głąb ciała. Zgodzicie się państwo ze mną, że cena, o którą pytaliście - trzysta dolarów - jest naprawdę niska, jeśli weźmie się pod uwagę, że dzięki temu pasowi wyleczyć można wiele chorób. Wydaliśmy nawet broszurę ze wspomnieniami naszych ciężko chorych pacjentów, którzy używając tego przedmiotu całkowicie powrócili do zdrowia.

Stare, pomarszczone ręce wyciągnęły się chciwie po cudotwórczy przedmiot. Siostra Rowena popatrzyła w stronę drzwi czując, że jest obserwowana. Flintman oddalił się pośpiesznie. Nie miał wątpliwości co do tego, że pas jest bezwartościowy, a chorzy ludzie są oszukiwani.

Otworzył drzwi swego biura, w którym czekał już jego pomocnik. Wpadające przez okno słońce nadawało włosom chłopca barwę lśniącego złota. Wśród piętrzących się rachunków i pokwitowań leżało jego chińskie liczydło ozdobione malowanymi smokami.

- Dzień dobry, Jimie David.

- Dzień dobry, panie Flintman.

Księgowy powiesił kapelusz i usiadł za biurkiem. Sięgnął po wielką księgę rachunkową, niespodziewanie odsłaniając ukryte pod nią trzy groszowe powieści w kolorowych okładkach. Jim zachmurzył się.

- Nie w tym biurze, Jimie David - powiedział Flintman wrzucając książeczki do kubła na śmieci.

- Ależ to dobre powieści... - zaczął chłopiec.

- Nie, to śmieci. Szczególnie ta o chłopcach, którzy zdobyli miliony dzięki temu, że pewnego dnia na Fifth Avenue wiatr zwał pewnemu jegomościowi z głowy kapelusz. Odnieśli mu go i wtedy okazało się, że ów człowiek jest jednym z najbogatszych ludzi w Nowym Jorku. A ponieważ był bezdzietny, nagle ogarnęła go niczym

niewytłumaczalna żądza, by podzielić się swym majątkiem z ubogimi ulicznikami. To śmieci - powtórzył Flintman. - Czym zajmowałeś się dziś rano?

- Sprawdziałem depozyty bankowe. Znalazłem kolejną pomyłkę.

- Pokaż mi ją.

Jim otworzył księgę na właściwej stronie.

- Dodatkowe zero przy cotygodniowej wpłacie na konto Brata Paula. Z tysiąca ośmiuset dolarów zrobiło ich się nagle osiemnaście tysięcy.

- To już drugi taki błąd w ciągu ostatnich miesięcy - Flintman gniewnie zamknął księgę. - Powiem mu, że musi bardziej uważać. Czy jest gdzieś tutaj?

- Nie, proszę pana. Wybrał się na konną przejażdżkę. Wróci późnym popołudniem, jak twierdzi siostra Beatrice. Będzie pan musiał poczekać i złożyć mu wizytę na piętrze.

- Dziś jestem zajęty. Poza tym nigdy nie wchodzę na górę. Jestem księgowym, a nie jego służącym. - Cały klasztor aż trząsał się od plotek na temat tego, co działo się w prywatnym apartamencie Brata Paula. Flintman nigdy tam nie chodził, ale teraz pomyślał, że może jednak powinien przekonać się, ile jest w tym prawdy. Szczególnie teraz, kiedy Winona zaczęła przebąkiwać o konieczności dokonania zmian w ich testamencie, by umieścić w nim olbrzymi zapis na rzecz klasztoru. - Porozmawiam z nim, gdy tylko będę mógł, mój chłopcze. Ale to nic nie da. Roześmieje się i powie mi, że to tylko pomyłka. Zwykła pomyłka. Jednak wielu uczciwych i porządnych ludzi w klasztorze ma już dość pomyłek Brata Paula. - Mocno zacisnął usta. - Świetnie radzisz sobie z liczeniem, Jimie David. I jesteś bardzo pracowity. Będę rad mogąc co tydzień wypożyczać cię do pomocy od pana Sprue.

- Dobrze, proszę pana. Surowa twarz księgowego złagodniała na chwilę.



- Czy Sprue jest twoim ojczymem?
- Nie. Po prostu się mną opiekuje.
- Czy nie masz żadnej rodziny w Kalifornii? Matki?
- Nigdy jej nie znałem.
- A ojca?

Jim spuścił oczy i zerknął na książki wyrzucone do kubła na śmieci. Za wszelką cenę próbował ukryć ból, jaki sprawiło mu to pytanie.

- Kiedyś go miałem, ale teraz już nie. Rzekłszy to wrócił do przerwanej pracy.

Pierwszego października o wpół do piątej po południu długi, lśniący samochód o przesłoniętych firankami oknach wjechał przez bramę klasztorną. Kiedy czarne auto wspięło się na szczyt wzgórza, obleczona w perłowoszarą rękawiczkę dłoń odsłoniła jedno z okien. Walter Fairbanks zerknął na ośmiokątny kremowy budynek. Wiele słyszał o tym miejscu.

- Nie wiem, jak dużo czasu mi to zabierze, Sanchez - powiedział do kierowcy, kiedy samochód się zatrzymał. - Zawróć i czekaj.

- Dobrze, proszę pana - odparł kierowca, otwierając przed nim drzwi. Fairbanks wysiadł i nerwowo rozejrzał się wokół. Dostrzegł kilku ogrodników, liczne rabaty i rząd domków oddalonych nieco od głównego budynku. Skierował się w stronę wejścia.

Oczekiwał wewnątrz budynku egzotycznych mebli, ale te, jakie zobaczył, były zupełnie zwyczajne. Natomiast młoda kobieta, której podał swą wizytówkę, z całą pewnością zwyczajna nie była. Miała muskularne ciało, mocno opaloną skórę i wielkie krągłe piersi. Poprosiła, by poczekał, po czym udała się na górę. Po kilku minutach zszedł do niego sam Wyatt Paul.

Jego płócienny garnitur i koloratka lśniły śnieżną bielą, a dłoń, którą podał Fairbanksowi, była starannie

wypielegnowana. Niemal zupełnie siwe już włosy zaczesane miał nad skroniami tak, że sterczały jak rogi przy hełmie wikinga. Jego błękitne, przejrzyste oczy były niespokojne i rozbiegane.

- Miło mi pana widzieć, panie Fairbanks. To doprawdy bardzo uprzejmie, że zechciał pan przebyć całą tę drogę z Pasadeny.

- Nalegał pan na to podczas naszej telefonicznej rozmowy, panie Paul.

- To szczególna sprawa. Uważałem, że najlepiej będzie załatwić ją z panem osobiście.

- Bardzo rozsądnie - stwierdził krótko Fairbanks.

- A tak przy okazji: członkowie naszej wspólnoty nazywają mnie „bratem”, nie panem. - Wyatt poklepał po ramieniu stojącą obok dziewczynę. - Dziękuję, sestro Helen. Zawołam cię, jeżeli nasz gość będzie czegokolwiek potrzebował.

Spojrzenie, jakie młoda dziewczyna odchodząc rzuciła Fairbanksowi, świadczyło wymownie, że chętnie spełni każde życzenie gościa.

- Pokażę panu teraz nasze sanktuarium. Muszę powiedzieć, panie Fairbanks, że wygląda pan tak, jakby miał pan za sobą ciężki dzień.

- Spotkałem się dziś przy śniadaniu z M and M - Merchants and Manufactures Association. Rozmawialiśmy o katastrofie.

- Katastrofie?

- Nic pan nie wie? Dziś wczesnym rankiem wysadzono w powietrze budynek „Timesa”. Jeszcze nie wiadomo, jak wielu jest rannych i zabitych, ale na pewno nie mniej niż dwudziestu - rozerwanych na strzępy, spalonych żywcem...

- To straszne. Któż to uczynił?

- Generał Otis oskarża strajkujących robotników ze Związku Metalowców.

- Nie wiedziałem nawet, że był jakiś strajk.

- Największy w historii miasta. Od czerwca wzięło w nim już udział półtora tysiąca ludzi.

- Żyjemy tu bardzo oddaleni od spraw świata doczesnego.

- Dla nas to sprawa życia lub śmierci - powiedział Fairbanks. - Przywódcy związków zawodowych z San Francisco angażują profesjonalnych agitatorów, a rezultatem tego są anarchia i morderstwa. Otis uważa ruch związkowy za największą zbrodnię naszego wieku. Przed płonącym budynkiem swojej redakcji poprzysiągł, że weźmie za to odwet na związkach.

- Mam nadzieję, że mu się powiedzie. Tędy proszę.

Ujęty uprzejmością Wyatta Fairbanks ruszył za nim przez okragły hol. Wyatt otworzył rzeźbione drzwi i wprowadził gościa do sali, gdzie centralne miejsce zajmował ołtarz otoczony półkolistymi rzędami ławek. U sufitu wisiało na linach wielkie, metalowe słońce.

- Oto miejsce, gdzie wykładam podstawy naszej solarnej medycyny, fizycznego i duchowego zdrowia. A tak przy okazji: chyba zostanie pan na noc, prawda? Na górze mamy piękny pokój gościnny.

- Niestety nie mogę, panie... Bracie Paul.

- Odrzuca pan moje zaproszenie? - W błękitnych oczach Wyatta pojawił się dziwny, opalizujący błysk. - Robi się już późno, a droga powrotna do miasta jest bardzo długa...

- Niestety, dziś właśnie odbywa się wiec poparcia dla Hiram Johnsona. Ma przemawiać ta radykalna pisarka, Nell Ross. Muszę jej posłuchać. Chcę wiedzieć, jakimi oszczerstwami obrzuci Bella, żebym mógł go bronić. Przykro mi, ale to obowiązek, którego nie mogę uniknąć.

- Szkoda - powiedział najwyraźniej poirytowany Wyatt. -  
Moje wieczorne... hm... spotkania z siostrami zakonnymi są  
doprawdy interesujące. - Umilkł na chwilę. - Mają charakter  
całkowicie prywatny.

Fairbanks zrozumiał, co Brat Paul ma na myśli. Chętnie  
użyłby nieco dyskretnej rozrywki po wszystkich tych  
tygodniach, kiedy w imieniu SP podróżował od miasta do  
miasta spotykając się z przedsiębiorcami i farmerami,  
przekonując ich do swoich racji i zebrząc o pieniądze na  
kampanię wyborczą. Nie mógł sobie jednak pozwolić na  
odpoczynek.

- Dziękuję, Bracie Paul. Naprawdę muszę wracać.  
Przemówienie panny Ross zaczyna się o wpół do dziewiątej.

- Czek nie będzie gotów wcześniej niż na dziewiątą -  
powiedział ostrym tonem Wyatt. Fairbanks poczuł się złapany  
w pułapkę. - Może pan zadzwonić do Los Angeles i poprosić,  
by ktoś inny poszedł na wiec i posłuchał tej kobiety.

- Oczywiście, ma pan rację.

Brat Paul stał się na powrót uprzejmy. Objął Fairbanka,  
co wydało się prawnikowi nieco zbyt poufałym gestem.

- W porządku. Możemy więc napić się teraz czegoś w  
moim apartamencie. A może chce pan najpierw odpocząć i  
umyć się?

Fairbanks czuł się oszołomiony. Co by się stało, gdyby  
wzgardził pieniędzmi od Wyatta i Rada Nadzorcza by się o  
tym dowiedziała? Miał wrażenie, jakby stał nad przepaścią.  
To właśnie dlatego tak wytrwale jeździł od miasta do miasta  
powtarzając wciąż te same argumenty podczas wystąpień w  
lokalnych remizach, śpiąc po trzy, cztery godziny na dobę i  
jedząc twarde bułki popijane czarną kawą, która niszczyła mu  
żołądek. Musiał wygrać. Inaczej zginie. Tym razem absolutnie  
nie mógł pozwolić sobie na przegraną.

Brat Paul patrzył na niego, czekając na odpowiedź. .

- To miło z pańskiej strony. Zadzwońię do Los Angeles, a potem trochę odpocznę. Miałem bardzo męczący dzień.

Ku swemu zaskoczeniu Fairbanks zasnął i nie była to wcale krótka drzemka. Obudziwszy się stwierdził, że leży całkowicie ubrany na wielkim łóżu w wiktoriańskiej sypialni na piętrze. Pośpiesznie zerknął na zegarek. Było pięć minut po dziewiątej. Za oknami panowała już ciemność. Stanąwszy przed lustrem, przyczesał włosy i poprawił krawat. Gdzieś z oddali do jego uszu dobiegała muzyka oraz kobiecy głos, śpiewający jakąś piosenkę. Klasztorne sale były wyposażone w stare lampy gazowe, których nie wymieniono na elektryczne. Idąc za dźwiękami muzyki, Fairbanks dotarł do podwójnych drzwi na tyłach budynku, ponad salą sanktuarium. Zapukał. Uprzejmy głos Wyatta zaprosił go do środka. Fairbanks ponownie poczuł znajome drżenie. Pociły mu się dłonie.

Apartament Wyatta był obszerny, ale zatłoczony ciemnymi meblami. Brat Paul leżał na skórzanej sofie, ubrany jedynie w białe spodnie. Jego pozbawiona włosów klatka piersiowa była zapadnięta i spalona słońcem. Tuż obok siedziała siostra Helen. Zamiast sukni miała teraz na sobie biały szlafrok, którego poły rozsuwały się kusząco. Wyatt wsunął jej dłoń za dekolt, od niechcienia szczypiąc i miętosząc wielki, jędrny biust.

- Dobry wieczór, Fairbanks. - Brat Paul musiał mówić głośno, by przekrzyczeć metaliczne dźwięki muzyki, wydobywające się z tuby wielkiego gramofonu. Fairbanks dostrzegł cztery ciemnozielone butelki stojące na białym dywaniku. Dwie z nich były już puste. - Proszę tu przyjść i nalać sobie kieliszek - powiedział Wyatt. - Czy jest już dziewiąta?

- Nawet nieco później. - Fairbanks stanął na białym dywanie i popatrzył w dół. Dotykał stopą wypchanej głowy

niedźwiedzia polarnego. Wielki pysk zwierzęcia był otwarty, a szklane oczy lśniły w świetle lamp.

Widząc zmieszanie gościa, Wyatt roześmiał się.

- Jest pan wciąż podenerwowany. Sądzę, że nie wypoczął pan właściwie. Odrobina wina na pewno dobrze panu zrobi.

Fairbanks dostrzegł kolejne szczegóły: niedopałki grubych cygar w kryształowej popielniczce oraz resztki po soczystych befsztykach na stojącym obok stoliku. Uśmiechnął się rozbawiony. Zanim zasnął, przejrzał w gościnnym pokoju egzemplarz Słonecznej diety kalifornijskiej.

Znajdująca się w końcu pokoju kotara rozchyliła się i do środka weszła jeszcze jedna kobieta. Była niska, a jej bezmyślną twarz okalały złote loki. Miała na sobie jedynie niedbale zarzucony, rozpięty szlafrok. Fairbanksowi aż zabrakło tchu.

Wyatt sięgnął po korkociąg, by otworzyć kolejną butelkę wina.

- Jest naprawdę niezłe - powiedział, podając prawnikowi srebrny puchar. Ku zaskoczeniu Fairbanksa wino okazało się zdumiewająco smaczne.

- Świetne. Co to jest?

- Vin Mariani. Zawiera specjalny ekstrakt z liści koki. Pewien młody Korsykanin produkuje je i rozsyła po całym świecie. Otrzymuje zamówienia od H. G. Wellsa, Rodina, rosyjskiego cara i księcia Walii. Podobno nawet papież uhonorował go złotym medalem. - Wyatt napełnił kieliszki obu sióstr, które poczęły pić siorbiąc głośno.

A więc nie było to zwykłe wino. Zawierało narkotyk. Fairbanks usiadł na brzegu pluszowego fotela. Miał ochotę rzucić się na nowo przybyłą dziewczynę i posiąść ją na oczach pozostałej dwójki. Na myśl o tym ogarnęło go poczucie winy. Nie dlatego że był żonaty - wierność wobec Carli nic dla niego

nie znaczyła - nie lubił jednak tak ulegać uczuciom. Opanował pożądanie, czując w jądrach gwałtowny ból.

- Bracie Paul, naprawdę nie chciałbym okazać się niewdzięcznym gościem...

- Rozumiem. Musi pan jechać. Nie wiedziałem, że minęła już umówiona godzina. Kiedy jest się w takim miłym towarzystwie, czas upływa niepostrzeżenie. - Rozsunął szlafrok, który miała na sobie siostra Helen. Fairbanks zobaczył jej silne, opalone nogi. Zobaczył też znacznie więcej... - Proszę spojrzeć na ich ciała, panie Fairbanks. Złote ciała. Kalifornijskie ciała. Prężne i napełnione energią przez uzdrawiające słońce.

Fairbanks uświadomił sobie nagle, że boi się tego mrocznego pokoju, słodkiego, ciężkiego wina oraz tych ludzi o rozmarzonych oczach. Pragnął zostać tutaj, żeby zapomnieć o wszystkich zmartwieniach i obowiązkach, ale inna część jego osobowości sprzeciwiała się temu. Wyatt wydawał mu się jakimś szaleńcem.

- Ogromnie doceniam to, że chce pan wesprzeć naszą kampanię wyborczą... - zaczął, próbując sprowadzić rozmowę na interesujący dla siebie temat.

- Jestem po właściwej stronie - oświadczył Wyatt. - Po stronie wolnej konkurencji, na której opiera się dobrobyt Kalifornii. Ten tak zwany ruch postępowy chce wprowadzić tu restrykcyjne prawa i ograniczyć wolny rynek... - Przechylił srebrny puchar i napił się wina, wsuwając jednocześnie rękę pomiędzy rozchylone nogi siostry Helen. Dziewczyna zachichotała. Druga z kobiet podeszła do gramofonu, który przestał już grać i podniosła igłę znad płyty. Po chwili zniknęła za kotarą.

Fairbanks wstał, czując w skroniach gwałtowne pulsowanie krwi. Szumiało mu w głowie.

- Bracie Paul...

- W porządku. Ale popełnia pan błąd. - Wyatt otworzył drzwiczki niewielkiego sekretarzyka stojącego w głębi pokoju i wyjął czek. Wręczył go Fairbanksowi. „Do diabła, prawdopodobnie miał to gotowe już po południu. Każąc mi czekać, chciał po prostu pokazać, że ma nade mną władzę.”

- Trzydzieści tysięcy dolarów z mojego konta osobistego - powiedział Wyatt. - Ale ma to być datek anonimowy, rozumie pan?

- Doskonale. - Fairbanks złożył czek i schował go do kieszeni. - To dla nas ogromna pomoc.

- Ja myślę - w głosie Wyatta dała się słyszeć pijacka chrypka. Stojąc naprzeciwko prawnika, wachlował się jakimś wyjętym z sekretarzyka wycinkiem prasowym. - Nie chciałbym, żeby wybory wygrał któryś z tych sukinsynów z przeciwnego obozu. - Wskazał na trzymany w ręku papier.

Fairbanks zerknął na wycinek. U góry kolumny Mack i Hiram Johnson uśmiechali się, wpatrzeni w obiektyw aparatu fotograficznego. Umieszczony pod spodem napis głosił: „J. M. Chance popiera postępowego kandydata.”

Dłonie Fairbankasa ponownie pokryły się potem.

- Zna pan Macklina Chance?

- Aż nazbyt dobrze. Dwadzieścia lat temu za pomocą oszustwa pozbawił mnie praw do terenów naftowych, które stanowiły naszą wspólną własność. Poza tym ukradł coś jeszcze, co do mnie należało: kobietę. - Wyatt otarł ślinę z kącików ust.

Fairbanks zeszywniał. W jego głowie zrodziło się straszne podejrzenie.

- Czy znam tę kobietę?

Wyatt popatrzył na niego, po czym, wzruszywszy ramionami, odwrócił wzrok.

- Och, nie sądzę. - Na jego wargach pojawił się lekki uśmiezek. - Nieważne zresztą, kto to był. Liczyło się jedynie



to, co do niej czułem. Chciałem ją pieprzyć przez resztę mojego życia, a on mi ją zabrał. To właśnie dlatego chętnie posłałbym Macklina Chance'a na wieczny odpoczynek. Niestety, prawo nie lubi morderców, dlatego też skazany jestem na walkę z nim za pomocą pieniędzy.

- Chance ma mnóstwo wrogów w Kalifornii - powiedział ostrożnie Fairbanks.

Wyatt pogładził siostrę Helen po odsłoniętym udzie.

- Ale żaden z nich nie życzy mi aż tak źle jak ja - powiedział. - Absolutnie żaden.

Fairbanksa ogarnęła radość. Cieszył się, że spotkał kogoś, kto nienawidził Macka jeszcze bardziej niż on sam. Nienawidził go do tego stopnia, że pragnął go zabić.

- Jeszcze raz dziękuję za gościnność, Bracie Paul.

Wyatt wzruszył ramionami.

- Nie bardzo pan z niej skorzystał. To wstyd zachowywać się zawsze tak poprawnie...

- Musimy wygrać te wybory.

- Tak, musimy. Wybacz pan, że nie odprowadzę go do drzwi?

- Oczywiście, nie ma potrzeby.

W holu Fairbanks niespodziewanie stanął oko w oko z jakimś brodatym mężczyzną, trzymającym w ręku gazetę.

Człowiek ów wyglądał na rozżłoszczonego, ale prawnik pomyślał, że nie ma to żadnego związku z jego osobą. Po chwili uświadomił sobie, że przez uchylone drzwi mógł on dostrzec rozebranego Brata Paula i siedzącą obok siostrę Helen.

Nieznajomy rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, po czym odwrócił się i odszedł pośpiesznie. Gdy Fairbanks zszedł na dół, nikogo już tam nie było.

Wsiadł do samochodu i obudził chrapiącego na przednim siedzeniu szofera. Z oddali, zza okiennych szyb i pluszowych

zasłon dobiegła go śpiewana sopranem pieśń. A potem rozległ się głośny śmiech kobiety. Walter Fairbanks z ulgą opadł na siedzenie.

- Wynosimy się stąd, Sanchez. I to szybko.

## Rozdział 77.

Turkotała kamera. Szczupła amazonka galopowała wzdłuż Niles Canyon. Pęd powietrza łopotał jej spódnicą i targał kasztanowe włosy, które niespodziewanie odłączyły się od głowy i poszybowały w rosnące obok ścieżki chwasty.

- Stop! Zatrzymać to - wrzasnął Van Zant Morgan, ciskając o ziemię tropikalnym hełmem. - Czy charakteryzاتور nie może zrobić porządku z tą peruką?

Ubrany w suknię młody mężczyzna ściągnął wodze konia. Anderson, który miał w ostatnim momencie pojawić się na planie i zagrać w końcowym ujęciu, poklepał szyję swego białego wierzchowca. Nie robił wrażenia zmartwionego, choć reżyser złościł się jak dziecko, któremu odebrano zabawkę.

Mack siedział w cieniu na drewnianej skrzynce, tuż obok Margaret, której płócienne krzesło miało z tyłu wymalowany napis: MARGARET LESLIE. Jej suknia do złudzenia przypominała tę, jaką miał na sobie jeździec w peruce.

- Jak idzie kampania wyborcza, Mack?

- Mamy większe poparcie na południu niż na północy. Przypuszczam, że dzieje się tak dlatego, że ruch postępowy tworzą przede wszystkim republikanie i protestanci, a tacy właśnie ludzie przeważają na południu. San Francisco jest bardziej zróżnicowane. Mamy też wielu zwolenników w Central Valley. Przewiduję tam duże zwycięstwo.

- Jeździłeś z Hiramem Johnsonem?

- Tak, i jutro znów ruszamy w kolejną podróż. Dzisiaj miałem wolne popołudnie, wobec czego postanowiłem przyjrzeć się temu, w co zainwestowałem pieniądze, i odwiedzić moją ulubioną aktorkę. Jak ona się miewa?

- Codziennie kładzie się spać już o ósmej wieczór. To ciężka praca.

- To coś nowego - Mack wskazał na białe litery wymalowane na oparciu krzesła.

- Pomysł Billa. To on wymyślił mi to nazwisko.  
- Podoba mi się.  
- Mnie też. Bill zapewnia, że pannę Leslie czeka wielka kariera.

- Ja również tak myślę.

Ostatnie słowa wypowiedział cicho, jakby w zamyśleniu. Niespodziewanie ogarnął go smutek. Może miała na to wpływ pora roku - późny październik? Albo też to zachód słońca wprowadził go w taki nastrój? Van Zant Morgan zaklaskał w dłonie.

- Pośpieszcie się, inaczej będziecie musieli grać w ciemnościach.

- Skończyłam w nocy czytać nową powieść Nellie Ross - powiedziała Margaret. - Jest cudowna.

- Właściciele linii kolejowych są chyba innego zdania. - Na wzmiankę o Nellie Mack ożywił się.

- Gdzie ona jest? Nadal prowadzi kampanię wyborczą?

- Chyba już z tym skończyła. Sądzę, że wróciła do Carmel.

- Widziałeś się z nią?

- Myślałem o niej. I to często. Ale nie mogłem się na to zdobyć.

- Jednak powinienes - położyła dłoń na jego ramieniu. - Pozwól, że wyznam ci, panie Chance, że od pierwszej chwili, kiedy cię pokochałam... - opuściła głowę ścisząc głos - wiedziałam, że jest to uczucie beznadziejne, ponieważ w twoim życiu nie będzie nigdy innej kobiety prócz Nellie.

- Cóż za wyznanie, Margaret.

- Chyba cię nie zaskoczyło? Sam dobrze wiesz, co czułam do ciebie przez te wszystkie lata.

- Owszem - przyznał zakłopotany. - Ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to przez długi czas robiłem wszystko, co w mojej mocy, by trzymać Nellie z dala od siebie.

- A czy wiesz dlaczego?

- Och, z wielu przyczyn. Przyświecały nam zupełnie inne idee. Nigdy nie potrafiliśmy się zgodzić co do najważniejszych rzeczy. Nellie nieraz oskarżała mnie o przerost ambicji. A ja mógłbym powiedzieć to samo o niej.

- Wygląda na to, że przemawia przez ciebie męska duma.

- A teraz...

- Proszę, daj mi dokończyć. Duma jest zabójcza. Nie powinniśmy pozwolić, by nami zawładnęła. Czas płynie zbyt szybko. Popatrz na ten przepiękny dzień - już prawie się kończy. Podobnie jak obecny rok. Jesień przypomina mi, że nie jestem już taka młoda jak niegdyś. Ani ty, mój drogi. Nie trać reszty swego życia tylko z powodu dumy.

- Masz rację, Margaret. Jestem gotów to przyznać bijąc się w piersi. Wielokrotnie postępowałem głupio, szczególnie jeśli chodzi o moje spory z Nellie. Podziwiałem i szanowałem jej pracę, ale nie byłem pewien, czy rzeczywiście kobieta powinna pisać powieści.

- A cóż lepszego może mieć do roboty? Rodzić i wychowywać dzieci? Nie rozumiem cię. Nie potrafiłeś zaakceptować tego, że chciała zrobić karierę, choć mnie samą zachęciłeś do pracy w filmie. Czemu traktowałeś nas tak odmiennie? Czy dlatego, że uznałeś, iż Nellie powinna wyjść za ciebie?

Słyszając to oskarżenie, Mack poczerwieniał.

- Zachęciłem cię do robienia kariery pod wpływem nagłego impulsu. Zainwestowałem pieniądze w „Essanay”, a oni potrzebowali aktorki.

- I tylko dlatego moje życie zmieniło się na zawsze? Na skutek twojego nagłego impulsu? Ależ ty umiesz odbierać człowiekowi złudzenia. - W jej głosie zabrzmiało szyderstwo.  
- Nie traktuj tego tak serio - dodała po chwili. - Nie jestem nieszczęśliwa.

- Mam nadzieję. Idzie ci wspaniale.

- Owszem. Bill niemal przekonał mnie, że mogę teraz sprzedać „Maison”. Ale rozmawialiśmy o J. M. Chansie... Zapomnij o kłótniach z Nellie, o różnicach między wami. Uwierz, że nie tylko twój punkt widzenia jest słuszny. Pojedź do niej.

- Tylko że ona po raz kolejny odrzuci moje oświadczenia.

- Może nie.

Na jego twarzy malował się sceptycyzm, ale w głębi duszy bardzo chciał uwierzyć w to, co mówiła Margaret.

- Dawniej zdarzało ci się zmieniać swoje poglądy. Spróbuj uczynić to jeszcze raz - tym razem w odniesieniu do Nellie. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że i ona mogła zmienić się przez te lata? Sprawdź, czy tak się stało. Chyba, że jesteś zbyt dumny, by to uczynić...

- Prosimy na plan, panno Leslie - zawołał przez megafon asystent Morgana. Mack popatrzył na kobietę, która wyznała mu miłość tak spokojnie i naturalnie,

jakby wypowiadała się na temat smaku czarnej kawy. Nigdy dotąd nie powiedziała mu tego wprost, nawet podczas ich wspólnej nocy w Redondo Lodge. Jej wyznanie wywołało w nim nowe poczucie winy. Margaret była kimś wyjątkowym i zasługiwała na mężczyznę, który potrafiłby odwzajemnić jej uczucie. Ale on nie mógł tego uczynić, ona zaś o tym wiedziała.

Wyłaczające wzgórza słońce bladło coraz bardziej. Anderson podszedł do nich, prowadząc konia.

- Jesteśmy gotowi - powiedział przeproszającym tonem, domyśliwszy się, że przeszkodził im w rozmowie.

Margaret wstała i dotknęła ręką policzka Macka.

- Być może kiedyś zraziłeś ją do siebie swoim postępowaniem. Ale możesz to naprawić. Jeśli nie potrafisz zmienić się dla kogoś, kogo kochasz, znaczy to, że jesteś

skończonym głupcem. Ja dla ciebie zmieniałabym się całkowicie, gdybyś tylko kiwnął palcem. Gdybyś chciał, ubierałabym się w łaachmany lub wspięłabym się podczas zamieci śnieżnej na Mount Shasta. Zrobiłabym wszystko - na tym właśnie polega miłość.

Pocałowała go lekko w usta, po czym, uniósłszy kraj sukni, skierowała się w stronę swego zdumionego pracodawcy.

Przejechali przez San Joaquin i wkrótce czerwony locomobile dotarł do Montecy. O ile Mack dobrze pamiętał, SP nazwała tak tę stację od znajdującej się w sąsiedztwie mleczarni.

Wyjeżdżając z miasta minęli wielką tablicę z plakatem: „ZBUDŹ SIĘ, KALIFORNIO! GŁOSUJ NA POSTĘP.” Zwolennicy Johnsona rozwiesili podobne hasła w całym stanie.

Spoceni i zakurzeni wysiedli z nie osłoniętego przed upałem i kurzem locomobile'a. Ani Mack, ani Hiram Johnson, ani nawet szofer nie dbali jednak o niewygodę podróży - wiedzieli, że zbliża się decydująca faza kampanii wyborczej, od której zależeć miało ich zwycięstwo, i to dodawało im siłę.

Zatrzymawszy się w centrum miasta, przystąpili do działania. Mack i kierowca zaczęli chodzić ulicami, dzwoniąc krowimi dzwonkami i wołając:

- Chodźcie posłuchać Hiram Johnsona, Teddy'ego Roosevelta Zachodu, waszego następnego gubernatora. Posłuchajcie przez dziesięć minut naszego kandydata. Będzie przemawiał obok tego wielkiego czerwonego locomobile'a, zaparkowanego przed składem z artykułami żelaznymi.

Czterdziestoczteroletni energiczny i ambitny Johnson przy każdej takiej okazji dawał prawdziwe przedstawienie. Zdejmował marynarkę i druciane okulary, rozluźniał krawat, podwijał rękawy koszuli, po czym wskakiwał na tylne

siedzenie kabrioletu i stamtąd dopiero zaczynał przemówienie. Było ono równie ogniste niezależnie od tego, czy miał tylko dwóch, czy też dwustu słuchaczy.

Tego dnia zebrało się wokół nich trzydziestu pięciu ludzi. Mack usiadł na ocienionej ławce przed sklepem, przeglądając wydanie „Stockton Trumpet” z poprzedniego dnia. Wiedział, że Johnson umie swoją mowę na pamięć.

- Drodzy przyjaciele! Pragniemy zapewnić Kalifornii uczciwy rząd. Chcemy wyrzucić kupców ze świątyni. Dokonamy tego, o ile wybory wygrają godni zaufania ludzie, którzy zechcą przeprowadzić trzy podstawowe reformy.

Nagle Mack zobaczył wśród zgromadzonych znajomą twarz Diego Marqueza.

- Po pierwsze, wprowadzą poprawki do prawa stanowego, dzięki czemu mieszkańcy Kalifornii rzeczywiście dostaną władzę w swoje ręce. Będziecie wówczas mogli ustanawiać nowe przepisy i zmieniać złe. Żaden siedzący w kieszeni SP parlamentarzysta z Sacramento nie będzie mógł wam w tym przeszkodzić.

Kilku farmerów zaczęło bić brawo. Mack nie odrywał oczu od Marqueza. Były ksiądz nosił grube okulary, a długa broda zakrywała mu prawie całą pierś. Widać było, że od dawna się już nie czesał. Na czole i policzku miał sińce: widocznie komuś nie spodobały się głoszone przezeń poglądy.

- Po drugie, sprawa referendum, które pozwoliłoby naszym obywatelom postawić tamę korupcji i zapobiec uchwalaniu złych praw. Rząd w Sacramento musiałby liczyć się z opinią ogółu, a prawnicy, którzy bezwstydnie przedkładają osobiste interesy nad dobro obywateli, straciliby swe wpływy. Po trzecie i ostatnie: odwoływanie urzędników. Jeśli wszystko inne zawiedzie i jeśli przekupieni przez Southern Pacific ludzie nie będą chcieli słuchać woli narodu, wy, moi przyjaciele, będziecie mogli usunąć ich ze stanowisk.



Oto trzy filary naszej platformy wyborczej. Proszę was, byście na nie głosowali. Głosowali na mnie i nową erę uczciwych rządów w Kalifornii.

Kończący przemówienie płomienny apel poruszył zebranych: rozległy się długie, rześiste brawa. Mack odwrócił wzrok od mówcy i ponownie popatrzył na zebrany wokół niego tłum. Marquez gdzieś zniknął. Chętnie porozmawiałby z byłym duchownym, ale brakowało czasu, by go szukać. Przed zapadnięciem zmroku mieli przed sobą jeszcze jeden postój w Salidzie.

Tłum począł z wolna rzędnąć. Johnson wysiadł z samochodu i ścisnął podawane mu dłonie, Mack zaś pośpiesznie przejrzał gazetę do końca. Jego uwagę przykuło otoczone ramką ogłoszenie o wiecu w San Francisco. Dostrzegł wypisane tłustą czcionką nazwisko Nellie. Sprawdził datę.

- Opuszczę cię na parę dni, Hiram - powiedział Johnsonowi, kiedy znów jechali piaszczystą drogą. - Muszę wrócić do miasta. To bardzo ważne.

Nie mógł znaleźć siedzącego miejsca. W sali, gdzie miał odbyć się wiec, zebrały się setki ludzi. Wielu z nich tłoczyło się pod ścianami. Przed wielkim portretem Johnsona, sfotografowanego, kiedy w triumfalnym geście unosił do góry ręce, stała Nellie, z pasją przemawiając do zebranych.

- Za czasów prezydentury Abrahama Lincolna pierwszym sekretarzem wojny, jeszcze przed Stantonem, był Simon Cameron, wpływowy polityk z Pensylwanii. Kiedyś zapytano go o jego definicję uczciwego polityka. „To proste - odparł. - Przekupiony pozostaje lojalny wobec tych, którzy dali mu łapówkę.”

Rozległy się śmiechy.

- Drodzy przyjaciele - ciągnęła Nellie. - Kalifornia już od kilkudziesięciu lat narażona jest na plagę takich „uczciwych”

polityków. Chcemy zmienić to przez reformę prawa i ustalenie nowych zasad odwoływania urzędników. W dalszej kolejności chcemy walczyć o to, co stanowi nasze wspólne dobro: o ochronę przyrody, reformę szpitali i więzień, o zaprzestanie nielegalnego zatrudniania dzieci. Pragniemy, by senatorów wybierano w wyborach bezpośrednich, żeby nie mianowały ich partie polityczne, których przywódcy działają często w zмовie z SP. Żądamy też wprowadzenia minimalnych stawek dla pracujących kobiet.

Zebrani słuchali słów Nellie uważnie i w skupieniu.

- Jako kobiecie nie wolno mi głosować na Hiram Johnsona ani na żadnego innego kandydata. Prawo to uważam za skandal, jeśli nie wręcz za przestępstwo. - Gdzieś z końca sali odezwały się niechętne pomruki. Nellie uniosła głowę. - Powtarzam: przestępstwo. Ale pewnego dnia wygramy także bitwę o prawa wyborcze dla kobiet.

Jakiś siedzący w pierwszym rzędzie mężczyzna parsknął ironicznie i jakby stanowiło to sygnał dla innych, cała sala wybuchnęła nagle śmiechem. Nellie tupnęła nogą. Pomimo panującego hałasu jej następne słowa usłyszano nawet w najodleglejszych rzędach.

- Tak, wygramy tę bitwę, panowie. Zapiszemy w konstytucji nasze prawo do głosowania, niezależnie od tego, czy wam się to podoba, czy nie. Ale na razie najważniejsze są wybory, które odbędą się ósmego listopada. Dość już władzy linii kolejowych i przekupionych przez nie „uczciwych” polityków, którzy dla własnych korzyści manipulują rządem. Po czterdziestu latach czas już skończyć z tą despotyczną władzą. W dzień po wyborach Kalifornia znowu należeć będzie do was, do mnie i do wszystkich innych ludzi. Dzięki Bogu. Jestem wam wdzięczna, że zechcieliście przybyć na ten wiec. Dobranoc.

Na chwilę zapadła cisza, po czym sala rozbrzmiała gromkimi brawami. Mack klaskał tak mocno, że aż rozboleły go dłonie. Jego twarz jaśniała dumą i miłością.

Część zebranych podeszła do Nellie, by uścisnąć jej rękę i pogratulować wystąpienia. Głos zabrali teraz dwaj lokalni kandydaci, których przemówieniom brakowało jednak pasji Nellie. Mack postanowił zostać do końca. Uznał, że najwyższy czas porozmawiać z Nellie.

Po ostatnim przemówieniu wynajęta orkiestra zagrała marsza. Mack przepchnął się przez rozentuzjasmowany tłum. Wszedł po schodach na podium i rozejrzał się.

Zobaczył Nellie przy wyjściu. Trzymała pod rękę jakiegoś nieznanego mu, elegancko ubranego człowieka. Był znacznie od niej starszy, łysy i mocno opalony, a na szyi miał kosztowny jedwabny szalik, równie biały jak jego wielkie wąsy.

Oczy Nellie lśniły. Objęła mężczyznę za szyję, pocałowała go i uścisnęła. Wyszli objęci, szepcząc coś do siebie jak para kochanków. Ugodzony tym boleśnie Mack odwrócił się i zszedł z podium.

Piątego listopada, w ostatnią sobotę przed wyborami, Wyatt siedział naprzeciwko Rady Starszych swojego klasztoru.

Było to specjalne spotkanie, na które władze zakonu zaprosiły wszystkich jego członków - Elihu Flintman osobiście telefonicznie sprawdził, czy każdy z nich otrzymał zaproszenie. Tak więc o dziesiątej rano Wyatt spotkał się w sanktuarium z całym zarządem i dwustu siedemdziesięcioma wiernymi.

Z wyzywającym wyrazem twarzy usiadł na wysokim krześle na honorowym miejscu za stołem. Przez wysokie okna do wnętrza wpadało słoneczne światło. Wyatt wodził oczyma po zebranych. „Cóż za głupi, łatwowierny motłoch” -

pomyślał. Wśród przybyłych byli farmerzy z Indiany, którzy dopiero niedawno osiedli w Kalifornii, i ich skóra wciąż jeszcze była czerwona od świeżej opalenizny. Jego spojrzenie zatrzymało się na siedzącej sztywno brzydkiej kobiecie o pomarszczonej, surowej twarzy. Jakże ich wszystkich nienawidził, jakże pogardzał nimi za ich naiwność.

A jednak zauważył, że tego ranka członkowie zakonu zachowują się inaczej niż zwykle. Na twarzach, które niegdyś tchnęły sympatią i oddaniem dla Wyatta, teraz pojawił się wyraz niesmaku, a nawet nienawiści. Była to nienawiść infantylnych, prymitywnych ludzi, którzy nagle uświadomili sobie, że są oszukiwani...

Flintman wystąpił z oskarżeniem, pokazując wszystkim czek bankowy, pomięty i zniszczony, jakby wyjęto go z kubła na śmieci.

- Chciałbym zwrócić pana uwagę na tę trzydziestotysięczną dotację, panie Paul.

- Proszę się do mnie zwracać „Bracie Paul”.

Księgowy puścił tę prośbę mimo uszu.

- Dał pan te pieniądze na kampanię wyborczą demokratów, popierających kandydaturę Theodore'a Bella. Bank, który zrealizował ten czek, zwrócił mi uwagę na pewną nieprawidłowość.

- Jaką nieprawidłowość, na litość boską? - Dojdziemy do tego.

- Nie mieli prawa tego czynić, Flintman. Operacje bankowe są tajne.

- Owszem, banki zachowują dyskrecję co do zawieranych przez nie transakcji. Ale ich urzędnicy wolą czasem być posłuszni wyższemu prawu...

- Co za gówno - powiedział Wyatt pod nosem, ale mimo to siedzący w najbliższych rzędach ludzie usłyszeli go.

- Zwrócili uwagę na tę wypłatę, ponieważ jest ona niezgodna z prawem. Wyatt zerwał się z miejsca.

- Co to znaczy niezgodna z prawem? - wrzasnął. Po jego czarownym uroku nie pozostał nawet ślad. Flintman pokazał mu ów unieważniony czek już o czwartej po południu poprzedniego dnia i Wyatt nie spał przez to całą noc. - Dlaczego, pytam? Te pieniądze pochodziły z mego prywatnego konta.

- To nieprawda. Kłamie pan. Rachunek, na który wystawił pan czek, nie jest pańskim prywatnym kontem, lecz kontem całego zakonu. To właśnie dlatego bank zwrócił na to uwagę. Oskarżam pana o defraudowanie poważnych funduszy na swoje prywatne cele. To poważna malwersacja. Nie wszyscy z nas życzą sobie, by wygrał kandydat SP.

- Nie! - rozległy się liczne głosy. - To banda łotrów!

Wyatt rozejrzył się po sali. Chryste, jakimż niesmakiem napawały go te głupie gęby. Siedząca w drugim rzędzie Winona Flintman przyglądała mu się tak, jakby nagle zobaczyła przed sobą żmiję. Żałował, że nie ma przy sobie pistoletu, by strzelić jej prosto w oczy.

- Chcecie mi dyktować, czyją kampanię wyborczą mam wspierać, a czyją nie? - Wyatt uderzył pięścią w stół.

Flintman cofnął się o krok, ale nie dał za wygraną.

- W tym wypadku tak. Nie wiem, jaki cel panu przyświecał. I nic mnie to nie obchodzi. Stwierdzam po prostu fakt, że użył pan pieniędzy zakonu tak, jakby należały do pana.

- To ja jestem zakonem. Wy wszyscy jesteście niczym! - krzyczał, tracąc panowanie nad sobą.

Niechętnie spojrzenia powiedziały mu, że przesadził. Zadowolony z wybuchu Wyatta Flintman uśmiechnął się.

- Pańskie opinie nie mają tu żadnego znaczenia. Nie jest pan naszym władcą, choć być może daliśmy panu taką iluzję.

Srodze zawiódł pan nasze zaufanie i złamał głoszone przez siebie zasady wiary.

Dopiero teraz Wyatt w pełni uświadomił sobie, jak niekorzystnie dla niego potoczyły się sprawy. Ten brodaty stary cap zasługiwał na to, żeby go zabić. Ponownie opanował go gniew. Oczywiście nie dopuści do tego, by wygrali, nie może do tego dopuścić. Ruszył do ataku.

- Wasze zaufanie? A cóż wy macie z tym wspólnego? Kogóż ma pan na myśli, używając słowa „my”, na litość boską? To ja, ja osobiście, stworzyłem zasady, na jakich opiera się ten zakon. Wy nie mieliście wtedy nic do gadania. Podobnie jak nie macie i teraz.

- Nie, proszę pana. Te zasady zostały przeanalizowane przez prawników. Obowiązywały wszystkich bez wyjątku. Na szczególną uwagę zasługuje klauzula, która mówi, że członkowie zakonu powinni odznaczać się wyjątkową moralnością. Pan nie zastosował się do tego nakazu. Fałszował pan zapisy w księgach rachunkowych. A także urządzał rozpustne orgie, czego byłem naocznym świadkiem.

Twarz Wyatta rozjaśnił nagle niespodziewany uśmiech.

- Elihu, przyjacielu. Jak możesz opowiadać takie okropne rzeczy...

- Jest pan parszywym draniem! - Flintman uniósł drżącą dłoń i wymierzył w Paula wskazujący palec. - Dziwkarzem, oszustem i defraudantem.

Winona Flintman ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Przez salę przeszedł złowrogi szmer. Wyatt stał bezradny. W jego uszach rozległo się ostrzegawcze dzwonięcie.

- Jutro w południe - powiedział Flintman - Rada Starszych zwolni pana z pełnienia funkcji przełożonego zakonu. Nie ma pan już wyznawców ani swego zakonu, nie będzie miał pan też żadnego dostępu do pieniędzy złożonych na klasztornej koncie. Nie ukradnie nam już pan ani grosza.

Wyatt podskoczył jak oparzony, rzucając się ku księgowemu.

- Skręć ci parszywy kark, ty sukinsynu! - wrzasnął.

Flintman krzyknął, odpychając dłonie Wyatta od swojego gardła. Zapominając o tym, że stoi na podwyższeniu, cofnął się i straciwszy równowagę, upadł ciężko na podłogę. Głową uderzył o krzesło. Winona Flintman zerwała się z miejsca.

- Mój mąż ma słabe serce! - zawołała.

Członkowie zakonu otoczyli Wyatta, który próbował wyrwać się im, ale nie dał rady.

- Trzymajcie go, do diabła - wołali ludzie z dalszych rzędów.

Wyatt dał za wygraną. Nagle rozległ się głos jednego z członków Rady Starszych.

- Zostawcie go w spokoju, Jephtha, Donald, Cleve. Puśćcie go. Został już dostatecznie ukarany.

Purpurowy ze złości Wyatt odgarnął włosy z czoła. Trzymający go mężczyźni pognietli mu biały garnitur i zerwali z szyi koloratkę.

Elihu Flintman kuśtykając zbliżył się do Wyatta. Z rany na czole sączyła mu się krew. .

- Ma pan dwadzieścia cztery godziny na to, żeby się stąd wynieść. I nie wolno panu zabrać z klasztoru nic prócz swego ubrania. Inaczej wezwiemy szeryfa i zażądamy, by pana aresztował.

W niedzielę Elihu Flintman i Jim od pierwszej w południe aż do zapadnięcia zmroku pracowicie sprawdzali księgi rachunkowe zakonu. Flintman dyktował kolejne sumy wpływów i wydatków, Jim zaś zapisywał je w odpowiednich rubrykach.

Flintman był zadowolony ze sposobu, w jaki udało mu się zdemaskować oszustwa Wyatta, choć dobry humor zakłócił mu nieco ból serca oraz niepokój o Winonę. Po owym

burzliwym zebraniu, kiedy to Wyatt okazał się nie tylko złodziejem, ale i miotającym groźby i przekleństwa ordynusem, Winona Flintman załamała się nerwowo. Mąż zawiózł ją do szpitala, gdzie stwierdzono u niej głęboką depresję.

Jim pracował w milczeniu, dokładnie wykonując polecenia i nie zadając żadnych pytań. Nie uczestniczył w ostatnim zebraniu, ale wiedział, że członkowie Rady Starszych oraz ludzie przysłani przez szeryfa dokładnie o dwunastej pięć tego dnia wyprowadzili Brata Paula poza granice klasztornych posiadłości. Jim poczuł ulgę, gdyż Brat Paul zawsze nieco go przerażał. Miał jednak nadzieję, że zarówno on, jak i Jocker, nie zostaną bez pracy.

Około ósmej wieczór, kiedy zaczynał już dyskretnie ziewać i zastanawiać się, czy wypada wspomnieć Flintmanowi o kolacji, usłyszał na werandzie czyjeś lekkie kroki. W chwilę później cichy trzask obwieścił im, że ktoś otworzył, a potem szybko zamknął frontowe drzwi. Flintman uniósł wzrok.

- Zobacz, kto to - poleciał.

Jim posłusznie wyszedł z biura. Siostra Rowena, siostra Helen i kilka innych kobiet spakowało się i opuściło klasztor już sobotniej nocy. Czyżby któraś z nich wróciła po jakąś zapomnianą rzecz? Pokuśtykał przez główny hol i zbliżył się do schodów. Nagle zabrakło mu tchu w piersiach. Na podeście zobaczył Brata Paula.

- Panie Flintman! - krzyknął.

- Ty mały sukinsynu!

Jim odskoczył do tyłu, dłonie Brata Paula zacisnęły się na jego gardle. Elihu Flintman wyjrzał z gabinetu.

- Co pan tu robi? - zapytał gniewnie. - Ma pan ochotę do listy swoich przestępstw dołączyć także włamanie? - Mówiąc to, wbiegł na schody i chwycił Wyatta za ramię. Widać było,



że wymagało to od niego dużego wysiłku. - Proszę się stąd natychmiast wynieść. Jim, dzwoń po szeryfa.

W tej samej chwili Brat Paul wymierzył mu cios w brzuch. Flintman zsunął się trzy schody niżej, z trudem łapiąc oddech. Jim uwolnił się z uścisku napastnika i skoczył ku księgowemu.

- Zraniłeś go - krzyknął, odwracając się z zaciśniętymi pięściami do Wyatta. Próbował chwycić go za ramię, on jednak uderzył go z całej siły w twarz.

Cios rozciął Jimowi wargę. Chłopak splunął krwią, której kilka kropel opryskało sweter przełożonego zakonu. Musiało to srodze rozwścieczyć Brata Paula, ponieważ chwycił go za włosy i kopnąwszy mocno między nogi, zepchnął ze schodów.

Jim upadł ciężko na podłogę holu. Wyatt ruszył ku niemu, ale w połowie drogi zatrzymał go Flintman.

- Ty potworze... - zaczął. Nie zdołał jednak powiedzieć nic więcej, ponieważ pięść Wyatta uderzyła go prosto w splot słoneczny. Dławiąc się z braku powietrza, księgowy chwycił się poręczy. Jego oczy zaszyły mgłą. Upadł na schody jak porzucona przez dziecko szmaciana lalka.

Rozwścieczony Wyatt doznał nagłego uczucia triumfu. Zszedł na dół i na chwilę przystanął nad leżącym bezwładnie Jimem.

Dawniej ten chłopiec z niczym mu się nie kojarzył. Ale teraz nie miał żadnych wątpliwości: to musiał być syn Carli. Byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Uśmiech triumfu zniknął z warg Wyatta. Z całej siły kopnął chłopaka w głowę. Z ust Jima wydobył się cichy jęk. Wyatt podszedł do wysokiego okna i z grymasem złości na twarzy zerwał zeń zasłonę. Zbliżył jej kraj do gazowej lampy i cierpliwie poczekał, aż zajmie się ogniem.

Jocker Sprue mimo chłodu siedział w ciemnościach przed swoim domkiem, kiedy od strony głównego budynku

dostrzegł łunę. Krzyknął na dwóch innych znajdujących się w pobliżu ogrodników, po czym zaczął biec w stronę klasztoru. Dotarł tam znacznie szybciej, niż można się było tego spodziewać po chorym na artretyzm człowieku w jego latach. Ogień ogarnął już cały hol. Flintman wciąż leżał na schodach. Orodnicy wyciągnęli bezwładne ciało księgowego na zewnątrz, po czym zajęli się Jimem. W miejscu, gdzie spoczywała jego głowa, zdążyła się już utworzyć kałuża krwi.

O dziewiątej wieczorem ogień rozprzestrzenił się na cały klasztor. Patrząc na strzelające w niebo fontanny iskier, stary Jocker zadrżał, szepcząc bezmyślnie, że blask tego ognia jest jasny jak słońce.

## Rozdział 78.

Carla wyszła z przyjęcia o wpół do drugiej. Czy zresztą można to było nazwać przyjęciem? Raczej stypą. Wypiła dwie butelki wina i połowę trzeciej, a mimo to wciąż czuła się przygnębiona.

Od jedenastej wieczorem Walter ledwie się do niej odzywał. Siedział wpatrzony w liczby pojawiające się na wiszącej na ścianie tablicy. Kiedy telefonicznie przekazano wyniki z St. Francis, zastygł z pełną szklanką w ręku z miną zbitego psa. O wpół do pierwszej wymknął się na chwilę do toalety, a kiedy wrócił, Johnson nadal miał przewagę dwudziestu tysięcy głosów.

Carla skierowała się do wyjścia na Post Street, ale zatrzymał ją szum deszczu. Padało od wielu godzin i rynsztoki przy chodnikach zdążyły już zamienić się w rwące strumienie. Ujrzała światła reflektorów. Najnowszy czarny pope-toledo Waltera podjechał pod wejście.

Kiedy znalazła się w samochodzie, kierowca zawrócił i ruszył na zachód przez Post Street, po czym skręcił na południe w ulicę Mason. Deszcz bębnił o metalowy dach samochodu, a zalewające szyby strugi wody przypominały wodospad. Carla odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Walter zawiódł SP. Co będzie dalej?

Samochód zwolnił przy skrzyżowaniu O'Farrell i Carla otworzyła oczy. Na ścianie pobliskiego budynku zobaczyła dwa wielkie, mokre od deszczu plakaty. Jeden z nich reklamował jakiś film. Wielkie zdjęcie przedstawiało strzelającego z rewolweru kowboja. W rogu znajdował się owalny portret młodej kobiety o kasztanowych włosach i ujmującym uśmiechu.

„ESSANAY" PRZEDSTAWIA:

„Odwaga Broncho Billa"

Nowa amerykańska „najśłodsza twarz Zachodu"

## MARGARET LESLIE

Uwagę Carli przyciągnął jednak drugi plakat: GŁOSUJCIE NA HIRAMA JOHNSONA. Ktoś, komu nie podobało się to hasło, zniszczył afisz, zrywając długi pas papieru z fotografii nowego gubernatora.

- Zatrzymaj się, Haines.

- Pani Fairbanks...

- Powiedziałam, żebyś się tu zatrzymał.

- Niestety, proszę pani, ale mam polecenie zawieźć panią prosto z przyjęcia do „Palace Hotel”.

- Niech cię diabli! - krzyknęła Carla, chwytając za klamkę. - Też mi przyjęcie. Pieprzona stypa po politycznej śmierci... Natarła na drzwi całym ciężarem ciała i niespodziewanie klamka ustąpiła. Niewiele brakowało, by Carla wypadła na jezdnię. Tryskające spod kół fontanny wody chlusnęły na futro. Nie zważając na protesty kierowcy, podbiegła do plakatu. Deszcz moczył jej suknię, niszczył starannie upiętą fryzurę i rozmazywał makijaż. Chwiejąc się na nogach, przystanąła przed portretem Hiram Johnsona, napluła nań, po czym zaczęła drapać go paznokciami. - Szczam na ciebie, Johnson, przeklęty, pobożny hipokryto! Szczam na ciebie i na tę całą praworządną bandę...

- Proszę przestać - od strony ulicy dobiegł ją jakiś męski głos. W chwilę później usłyszała ostrzegawczy krzyk szofera. Kierowca szedł ku niej, oświetlony snopem światła z samochodowych reflektorów. Jego piękna liberia zdążyła już nasiąknąć wodą.

Carla z jeszcze większą gwałtownością poczęła zdzierać plakat. Złamała dwa paznokcie, ale to nie zmniejszyło jej zapału. Nagle znalazła się w powodzi jasnego światła.

- Proszę nie świecić mi w oczy - wrzasnęła.

Światło jednak nie zgasło. Poza jego kręgiem Carla dostrzegła młodego policjanta.

- Nie wiem, kim pani jest, ale nie wolno niszczyć plakatów wyborczych. Nawet jeśli jest już po wyborach. Muszę zatrzymać panią i...

Carla plunęła mu w twarz.

Policjant zamrugał oczyma i otarł rękawem policzek.

- Proszę mnie posłuchać... - zaczął, chwytając ją za ramię.

Drugą, wolną ręką, Carla dosięgła twarzy młodego człowieka, zostawiając na niej trzy głębokie bruzdy po paznokciach. Policjant zaklął i sięgnął po gwizdek.

Błagając żonę swego pracodawcy o spokój, szofer próbował rozdzielić Carlę i młodego stróża prawa, ale było już na to za późno. Policjant był wściekły, Carla zaś zupełnie straciła panowanie nad sobą. Nagle rozległy się pośpieszne kroki.

- Frank - zawołał policjant, jedną ręką wykręcając ramię Carli, a drugą trzymając się za policzek. - Na litość boską, pomóż mi z tą dziwką.

Drugi z policjantów, starszy i potężniej zbudowany, pchnął Carlę pod ścianę. Plunęła także na niego i próbowała kopnąć go między nogi, szybko jednak została obezwładniona. Nowo przybyły policjant zrobił to sprawnie i bez wysiłku, spoglądając na nią beznamiętnym wzrokiem. Oczy Carli zaszyły mgłą. W ręku policjanta błysnął jakiś metalowy przedmiot i po chwili rozległ się cichy trzask.

Z trudem utrzymując się na nogach, szerzej otworzyła oczy. W świetle samochodowych reflektorów ujrzała lśniąca na nadgarstkach diamentową bransoletkę. Obok niej znajdowało się teraz kółko kajdanków, połączone łańcuchem z drugim, zapiętym na ręce starszego policjanta.

- Wiem, kto to jest, Tommy - powiedział. - Zabierzemy ją stąd, a potem spróbujemy znaleźć jej męża.

Słowa te zabrzmiały w głowie Carli jak dzwonek alarmowy. Popatrzyła na policjantów wzrokiem schwytanego w sidła zwierzęcia.

O trzeciej dwadzieścia w nocy Fairbanks pchnął drzwi posterunku policji na rogu Fillmore i Bush, ciągnąc za sobą Carłę.

Przestraszył się widząc dwa czarne fordy zaparkowane jeden za drugim przy krawężniku, próbując się jednak uśmiechać, sprowadził żonę z ganku.

Z pierwszego samochodu wysiedli dwaj mężczyźni. Wkrótce dołączył do nich jeszcze jeden. Najszybszy z nich, którego twarz przesłaniało rondo kapelusza, błyskawicznie wyciągnął spod płaszcza aparat fotograficzny i zrobił Fairbanksowi zdjęcie.

- Jestem z „Examinera”, panie Fairbanks. Chciałbym zapytać...

Prawnik odepchnął go z całej siły, tak że reporter zatoczył się na maskę samochodu.

Fairbanks wyszedł z wielkiej łazienki w ich apartamencie w „Palace Hotel”. Unoszące się znad wanny kłęby pary delikatną mgiełką pokryły lustro i złote krany.

Minął sypialnię i wszedł do salonu. Carla siedziała na kanapie w zabłoconej sukni, lekko kołysząc głową. Z półotwartymi ustami zdawała się nucić bezgłośnie jakąś melodię.

- Wstań! - Fairbanks z trudem powstrzymywał się, żeby jej nie uderzyć. Carla chyba wiedziała o tym, bo nie sprzeciwiała mu się. Fairbanks zaprowadził ją do wanny i wskazał przygotowaną kąpiel. - Zdejmij ubranie i umyj się - polecił.

Carla popatrzyła na niego smutnym, niewidzącym wzrokiem. Powieki miała czarne od rozmazanego makijażu,

co nadawało jej wygląd zmartwionego klauna. Pochyliwszy głowę, zamknęła za sobą drzwi łazienki.

Krople deszczu wpadały przez otwarte okno i spływały mu po twarzy. W łóżku Carla mamrotała coś przez sen. Fairbanks siedział w fotelu. Wpatrując się w ciemność, próbował wyobrazić sobie, co go teraz czeka. Nie mógł zasnąć, czuł gwałtowne skurcze żołądka. Carla zrzuciła na podłogę poduszkę, znowu coś mamrocząc.

Fairbanks obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

- Co mówiłaś?

Nieprzytomnie potrząsnęła głową i powtórzyła wcześniej wypowiedziane słowo. Prawnik podszedł bliżej i pochylił się nad nią. Podniecona czymś, co jej się śniło, rzuciła się z boku na bok, szarpiąc atłasową koszulę nocną. Tym razem usłyszał wyraźnie, co mówiła:

- Mack, Mack!

Delikatnie przesunęła językiem po wargach. Wygięła lekko biodra i powiodła dłońmi w dół swego otyłego brzucha. Jęknęła, jakby czując nagłą rozkosz. Fairbanks mógł się tylko domyślać, co jej się śniło.

Podszedł boszo do okna i zapatrzył się w deszczową czerń zupełnie pustej Market Street. Słyszał, jak Carla szepcze coś przez sen unosząc i opuszczając biodra. Miał ochotę ją zabić.

Hiram Johnson wygrał wybory stosunkiem głosów sto siedemdziesiąt siedem tysięcy do stu pięćdziesięciu pięciu tysięcy. Najwięcej wyborców głosowało na niego w protestanckiej Południowej Kalifornii.

Podczas uroczystości w San Francisco Mack pił i tańczył z Margaret aż do rana, po czym zawiózł ją na Nob Hill. Pokazał jej posesję, na której stał kiedyś jego dom. Była teraz pusta i opuszczona, gdzieniegdzie tylko rosły na niej rachityczne drzewka.

- Mimo wszystko nie mam jednak zamiaru odbudowywać tego domu.

Przy Greenwich Street przyrządził śniadanie. Margaret zapytała go, czy widział się już z Nellie. Powiedział jej, że Nellie ma teraz nowego kochanka.

- Jesteś pewien?

- Widziałem go. Czy chcesz trochę szampana do tych jajek?

Fairbanks, jak człowiek, który usłyszał, że wydano na niego wyrok śmierci, snuł się bez celu z kąta w kąt przez resztę tygodnia. W poniedziałek o dziesiątej rano musiał jednak udać się do swego biura.

Był szary, mglisty poranek. W świetle gazowych latarni twarz prawnika wyglądała jeszcze bladziej.

- Tak mi przykro, Walterze... - zaczął Herrin.

- Daj spokój, Bill. Wiem, że potrzebujecie kozła ofiarnego.

- Nie ma potrzeby tak się unosić - powiedział ktoś inny. - Bardzo dokładnie wyjaśnialiśmy ci, jakie będą konsekwencje przegranej.

Herrin odchrząknął.

- Twoja żona została aresztowana, o czym napisały dzisiaj wszystkie gazety. To czyni naszą decyzję jeszcze bardziej konieczną.

Szare oczy Fairbanksa zalśniły gniewem. Podniósł się z miejsca, starając się robić dobrą minę do złej gry.

- Czy koniecznie musimy przedłużać tę dyskusję? Złożę na wasze ręce rezygnację z zajmowanego stanowiska.

- W takim razie - odezwał się zaskakująco łagodnie Herrin - kontynuowanie tego spotkania nie ma sensu. Dziękuję ci za zrozumienie, Walterze.

- Nie ma za co - odparł Fairbanks z nagłą goryczą.



Wymaszerował z sali jak posłuszny rozkazom żołnierz, choć nie zdołał zapanować nad sobą na tyle, by nie trzasnąć drzwiami. Jednak gdy tylko znalazł się na zewnątrz, pochylił głowę i zasłonił oczy. Usłyszał szelest spódnicy przechodzącej korytarzem sekretarki. Musiała dostrzec jego rozpacz, ale było mu to całkowicie obojętne.

Gaspar Ludlow zastał swojego szefa siedzącego za biurkiem, z głową wspartą na dłoniach.

- Plotki rozeszły się już po całym biurze, sir. Do cholery, to naprawdę nieuczciwe.

Fairbanks powoli opuścił ręce.

- Cóż za lojalność - powiedział z przekąsem. Wiedział, że ten nędzny pochlebca podlizuje się wszystkim, żeby dostać po nim stanowisko.

Nerwowym gestem Ludlow wyjął z kieszeni małą żółtą karteczkę.

- Mam dla pana przynajmniej jedną dobrą wiadomość. - Fairbanks popatrzył na niego niewidzącym wzrokiem. - Jedna z sekt na południu wyrzuciła w czasie weekendu swego przełożonego. Człowiek ten jednak wrócił i z zemsty spalił budynek klasztorny. Tamtejszy księgowy zmarł na atak serca, próbując mu przeszkodzić, natomiast młody ogrodnik, Jim David, został przy tej okazji ciężko ranny. Przebywa w miejscowym szpitalu. Otrzymaliśmy szczegółowe dane od policji w Pasadenie. Przesłuchiwali owego ogrodnika i jeden z oficerów przypomniał sobie rysopis, jaki rozesłaliśmy...

Fairbanks nie spuszczał z niego wzroku. Ludlow podsunął mu żółtą karteczkę.

- Ten młody człowiek w szpitalu odpowiada naszemu opisowi, sir. Ma jasne włosy, błękitne oczy i utyka na lewą nogę.

Jeszcze przez kilkanaście sekund prawnik siedział w bezruchu, obiema rękoma trzymając żółty świstek. Przeczytał

go dwukrotnie, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu i postukał w widełki.

- Eunice? Eunice, odezwij się, do cholery. Ponieważ w słuchawce panowała głucha cisza, nie przestawał naciskać widełek. Ludlow przerwał mu tę czynność, by powiedzieć, co jeszcze przekazali mu telefonicznie policjanci z Pasadeny. Otóż oficer, który domyślił się, że ranny ogrodnik jest tą samą osobą, co człowiek poszukiwany przez SP, miesiąc wcześniej otrzymał podobny rysopis z agencji detektywistycznej Pinkertona. Zlekceważył go jednak i wyrzucił do śmieci.

- Eunice? Gdzie się, u diabła, podziewasz? Tu Fairbanks. Zadzwoń do głównej kasy biletowej. Zarezerwuj mi na jutro miejsce w „Daylight Limited” do Los Angeles.

Pociąg mknął po szynach, pozostawiając za sobą niebieskie wybrzeże. Fairbanks oparł czoło o chłodną szybę i zapatrzył się na góry. Dawno temu studiował nauki Darwina, a ostatnio sięgnął po książki pisarza - socjalisty, Jacka Londona. Z owych lektur, ze sposobu, w jaki go wychowano, oraz z długiego przebywania wśród ważnych i wpływowych osobistości Kalifornii wyciągnął wnioski, jak powinien żyć. To miejsce, Kalifornia, potrzebowało ludzi, którzy objęliby je we władanie. Ten piękny stan rzucił mu wyzwanie. Rozumiał ludzi takich jak Cholly Crocker, którzy karczowali drzewa, orali ziemię i kruszyli skały, by zbudować SP, przekonując wszystkich, że są potężni jak sam Bóg. Fairbanks, podobnie jak Crocker, także odczuwał potrzebę bycia panem tej krainy. Ale mimo wszystkich wysiłków przegrał. A kiedy to się stało, wykopano go za drzwi jak ulicznego włóczęgę. Stojąc w słonecznym blasku z czołem przyciśniętym do chłodnego okna Fairbanks zrozumiał, że ma tylko jedną szansę na to, by powetować sobie tę ogromną stratę i odzyskać dobre samopoczucie. Tylko jedną szansę.

## Rozdział 79.

Tędy, proszę pana - pielęgniarzka wskazała stojące w kącie łóżko.

Fairbanks zdjął kapelusz i ruszył szybko przez szpitalną salę. Mimo pomalowanych na biało ścian i wielkich łukowych okien, przez które wpadało do środka świeże powietrze, czuł nieprzyjemny odór: zatechłą woń ubrań, krwi i środków odkażających.

Na ustawionym w rogu łóżku leżała Carla. Młodsza, szczuplejsza, ale o tych samych rysach twarzy i tych samych jasnozłoty włosach.

Chłopiec, jak obliczył Fairbanks, musiał mieć koło dwunastu lat, ale ze względu na szerokie ramiona i dojrzałą twarz wyglądał na czternaście lub piętnaście. Głowę owiniętą miał bandażem.

Fairbanks postukał laską w metalową poręcz łóżka.

- Dzień dobry. Jesteś Jim David, prawda?

Chłopiec odłożył trzymaną w ręku groszową powieść i podciągnął pod brodę koc, jakby chcąc zasłonić ordynarną nocną koszulę, którą miał na sobie. Jego oczy były tak wielkie i błękitne jak oczy Carli. Fairbanks zaniemówił ze wzruszenia. Zanim opuścił miasto, podniecony powiedział żonie, jak prawdopodobnie nazywa się teraz jej syn, i wspomniał o Pasadenie. Ku jego zdziwieniu Carla omal nie oszalała ze wzruszenia. Płacząc błagała go, by zatelefonował natychmiast, gdy tylko dowie się, czy ów chłopak rzeczywiście jest ich synem. Poruszyło go to tak mocno, jak nie dotąd w życiu. Przytulił ją i uspokajał, obiecując, że zadzwoni.

Chłopak nie odpowiedział na zadane mu pytanie.

- Kim pan jest?

- Walter Fairbanks III. Jestem prawnikiem. - Słowa te wypowiedział całkiem machinalnie. Gdyby ich nie dodał, wydawałoby mu się, że nie przedstawił się w pełni. -

Przyjechałem tu z San Francisco, by zobaczyć się z tobą w pewnej prywatnej sprawie. Wskazał ręką wsuniętą pod łożko stołek. - Mogę usiąść?

- Proszę - odparł Jim.

Stołek był niski i gdy Fairbanks usiadł, jego wzrok znalazł się teraz na wysokości bioder chłopca.

Jakiś pacjent z innego łożka zawołał błagalnie:

- Siostró, siostró! Proszę o basen. Ale szybko. Fairbanks uważnie popatrzył na syna.

- Znałem klasztor w Pasadenie i wiem, że podpalił go ten sam człowiek, który go założył. Współczuję ci, że zostałeś ranny...

Jim wzruszył ramionami.

- Przez trzy dni piekielnie bolała mnie głowa, ale teraz już przeszło. W poniedziałek mają mi zdjąć szwy. Potem będę mógł wrócić z Jockerem do domu.

- Kto to jest Jocker?

- Przyjaciel. Opiekuje się mną. - Jim popatrzył na gościa, oczekując wyjaśnienia, czemu przejechał on taki szmat drogi, by się z nim spotkać.

Fairbanks nie odrywał wzroku od błękitnych oczu chłopca. Były to oczy dorosłego człowieka, doświadczonego, rozsądnego. Nie mógł się nadziwić, że spłodził to dziecko.

- W księdze szpitalnej zapisano, że nazywasz się James David, ale twoje prawdziwe nazwisko brzmi James O. Chance, prawda?

W oczach chłopca pojawił się stalowy błysk.

- Kim pan jest? Po co pan tu przyjechał?

Fairbanks wyciągnął do niego dłoń w szarej rękawiczce. Na jego wąsach pojawiło się kilka kropel potu.

- Bardzo trudno odpowiedzieć mi na to pytanie. Widzisz...

Nie potrafił ubrać w słowa tego, co czuł. Nie miał w sobie takiego uroku jak ten sukinsyn Chance. Rozmawiając z własnym synem czuł się skrepowany i zakłopotany.

Na twarzy Jima odmalowała się niechęć.

- Niech pan odpowie na moje pytanie.

- Jestem... - Fairbanks odchrząknął jak mówca przygotowujący się do zabrania głosu na wiecu. - Jestem twoim prawdziwym ojcem.

Na długą chwilę zapadła całkowita cisza.

- Siostró, siostró! Skończyłem już z tym basenem.

Jim ścisnął w rękę książkę tak mocno, że aż pobiełały mu kostki palców.

- Co pan powiedział?

- Wiem, że trudno ci zrozumieć te niuanse... W oczach chłopca pojawiły się łzy złości.

- Proszę nie używać słów, których nie rozumiem.

- Przepraszam, bardzo przepraszam. - Fairbanks poczerwieniał, a jego głos stał się piskliwy. Nerwowo poruszał ustami, próbując się uśmiechnąć. - Jestem prawnikiem, przywykłem więc do pewnych terminów... - „Chryste, wszystko zepsułem” - pomyślał. - To, co powiedziałem, jest prawdą. Jestem gotów wyjaśnić ci wszelkie okoliczności. Proszę, uwierz mi. Twoją matką jest Carla Hellman. Kiedy się urodziłeś, była żoną Jamesa Macklina Chance'a z San Francisco i Riverside. Ale Chance nie jest twoim prawdziwym... - Niedowierzające spojrzenie Jima zmieszało go jeszcze bardziej. Ściszył głos. - Proszę, daj mi szansę, bym udowodnił to, co powiedziałem. Możesz wstać z łóżka? Chciałbym, żebyś poszedł ze mną do pokoju lekarzy. Zadzwonimy do twojej matki. Porozmawiasz z nią, a ona wszystko ci wytłumaczy.

Słowa, które wypowiedział, trafiły jednak w próżnię. Chłopiec patrzył na niego z jawnym niedowierzaniem, a nawet przerażeniem. Fairbanks wyciągnął rękę, chcąc go dotknąć.

- Jim, jesteś moim synem... Na widok wyciągniętej dłoni Jim odsunął się.

- Nie rozumiem pana. I nie sędzę, bym chciał zrozumieć.  
- Fairbanks usłyszał w głosie chłopca jakąś nową nutę, jakby długo tłumione emocje znalazły nagle ujście. - Moim ojcem jest człowiek, który mnie wychowywał. J. M. Chance. Bywało, że gniewałem się na niego, ale jednak to on jest moim ojcem. Nie mogę tego zmienić, podobnie jak i pan.

Fairbanks zerwał się na nogi tak gwałtownie, że stółek, na którym siedział, przewrócił się.

- Co to za hałasy, do cholery - zawołał jakiś człowiek z nogą w gipsie.

- Uciekłeś od niego, Jim.

- A co to pana obchodzi? Być może miałem po temu powody.

- Nigdy nie wróciłeś... - Fairbanks chwycił go za rękę. - Jesteś moim synem. Macklin Chance pokonał mnie we wszystkim, ale nie wygra tam, gdzie chodzi o krew z mojej krwi i kość z mojej kości...

- Proszę stąd iść. Proszę się stąd wynieść. Fairbanks nie puścił jednak ręki chłopca.

- Do diabła, proszę iść. Pan chyba zwariował.

W stalowoszarych oczach Fairbanksa pojawił się dziwny, szaleńczy błysk.

- Och, Jim, błagam cię...

- Siostro! - zawołał chłopiec ponad ramieniem prawnika. - Siostro! „Mój syn boi się mnie. Jest przerażony. To wina Chance'a." Puścił rękę chłopca i odsunął się od łóżka.

Poprawił krawat. Rozejrzał się dookoła i zobaczył nadchodzącą pielęgniarkę.

- Nie wolno niepokoić chorych.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Fairbanks.

Unikając wzroku pielęgniarki wybiegł z sali. Z hałasem zbiegł po drewnianych schodach. Uczucie upokorzenia wywołało na jego policzkach piekący rumieniec. Opuszczał szpital pokonany.

## Rozdział 80.

Fairbanks szedł przez Three Dog Alley w chińskiej dzielnicy w pobliżu Broadwayu. Była ciemna bezksiężycowa noc. Choć należał do ludzi potrafiących znakomicie zapanować nad sobą, przez ostatnie trzy doby odchodził wprost od zmysłów, pijąc do nieprzytomności, by zapomnieć o bólu i upokorzeniu. W końcu wpadł na pomysł, który kiedy indziej nigdy nie przyszedłby mu do głowy. Pobrał z banku wielką sumę pieniędzy i za pomocą łapówek zdobył potrzebne informacje.

Właściciel jednego z saloonów skierował go do herbaciarni Hong Chow Company, największego gniazda przestępców w Los Angeles. Wielki, otyły Chińczyk o przebiegłych oczach, w którego lewym uchu błyszczał diamentowy kolczyk, zażądał sporej kwoty pieniędzy, po czym oświadczył, że Fairbanks powinien udać się do Toma Sun Lucka z Three Dog Alley.

Podczas tych poszukiwań Fairbanks przypomniał sobie o prośbie żony i zadzwonił do San Francisco. Nie zdradził jej szczegółów swej porażki w szpitalu, oświadczywszy jedynie, że chłopiec mieszka teraz w Południowej Kalifornii i nie chce wrócić do poprzedniego życia.

- Och, powiedz mi... Jak on wygląda? - zapytała.

- Świetnie - odparł i rozłączył się. „Niech cię diabli wezmą, Chance” - pomyślał.

Tak więc nie powiedział żonie wszystkiego. Nie wspominał też o trzydniowym pijaństwie ani o swoich zamiarach i planowanej wyprawie w ten zaułek piekła, zwany Three Dog Alley.

Pomimo że w Los Angeles było ciepło, włożył płaszcz, by skryć pod nim swe eleganckie ubranie. W gnieździe kryminalistów nie powinno się ujawniać własnej zamożności. Zza okien nędznych domków śledziły go skośne oczy. W



świetle pięknych papierowych lampionów rozwieszonych na ganku dwunastoletnia czy trzynastoletnia dziewczynka rozchyliła bluzkę, by pokazać małe piersi. Stara, bezzębna kobieta chwyciła go za ramię, gdy obojętnie przechodził obok.

- Wolisz chłopców?

Fairbanks minął ją bez słowa. Jakiś pies o krótkiej, zmierzwionej sierści wyskoczył zza rogu i zaczął szczekać. Prawnik kopnął go i ruszył dalej.

Przeszedł zaledwie jedną przecznicę, ale wydawało mu się, że ta droga nie ma końca. Wreszcie, skorzystawszy z pomocy jakiegoś kalekiego żebraka, odnalazł dom Toma Sun Lucka. Ponad wypisanym arabskimi cyframi numerem nad drzwiami widniały także cyfry chińskie.

Tom Sun Luck stanowił dziwną mieszaninę ras. Miał białą skórę i wschodnie rysy twarzy. Ubrany był w jedwabne kimono i okrągłą czapkę. Przywitawszy się, zaprowadził Fairbanka do piwnicy. W końcu korytarza znajdowała się kotara, którą gospodarz uchylił lekko.

- To tutaj. Płatne z góry. Fairbanks podał mu dziesięciodolarowy banknot.

- Proszę zostawić nas samych.

- Jasne. - Tom Sun Luck zniknął w ciemnościach. Fairbanks odsunął kotarę i wszedł do środka. Płomyczek małej oliwnej lampki zamigotał pod wpływem ruchu powietrza. Było to jedyne oświetlenie tego brudnego pomieszczenia.

Wyatt leżał na drewnianej ławie przykryty chińską gazetą. Miał zamknięte oczy. Ubrany był w zniszczony ciemny sweter i postrzępione spodnie. Jedną rękę wsuniętą miał pod głowę, drugą podtrzymywał długą fajkę z małym brązowym cybuchem pełnym opium. Słyszając, że ma gościa, otworzył oczy.

- Witaj, Bracie Paulu. Pamiętasz mnie? Przetkane siwizną włosy Wyatta były brudne i przetłuszczone, a jego niegdyś przystojna twarz poszarzała. Mrużąc oczy, uniósł nieco głowę.

- Pamiętam. - Jęknął i usiadł, wspierając się na łokciu. - Żadnych dotacji. Nie jestem już Bratem Paulem.

- Wiem. Znalezienie cię w tej dziurze zabrało mi sporo czasu. Przypuszczam, że bardzo brakuje ci pieniędzy.

W zamglonych oczach Wyatta błysnęło zainteresowanie. - Mam pieniądze, ale nie tyle, ile bym chciał.

- Jestem gotów ofiarować ci znaczną sumę w zamian za...  
- Fairbanks zagryzł wargi. - W zamian za pewną usługę.

- Brzmi nieźle. Ile?

- Wystarczająco dużo, byś mógł sobie kupić mnóstwo tego - Fairbanks wskazał fajkę. - Wystarczyłoby ci na długo.

- Świetnie - mruknął Wyatt. - Czego chcesz?

- Chcę...

Podobnie jak w szpitalu, tak i teraz zabrakło mu słów. Czuł się niczym egzaminowany uczeń. Milczał przez chwilę.

- Chcę się kogoś... pozbyć. Usunąć kogoś. Czy to jasne?

Wyatt popatrzył na niego uważnie, przesuwając palcami po szpakowatych włosach. Pod jego paznokciami ukazały się ciemne obwódki brudu. Fairbanks poczuł smród opium oraz jeszcze inny silniejszy odór. Ubranie Wyatta śmierdziało brudem.

- Chce pan kogoś zabić? Fairbanks z trudem przełknął ślinę.

- Tak.

- Świetnie. Czemu nie?

Prawnik ostrożnie rozchylił zasłonę. Ciemna piwnica nadal była pusta.

- Nikt nie może wiązać z tym mojego nazwiska...

- Rozumiem - powiedział Wyatt. - Za godziwą opłatę wszystko jest możliwe - uśmiechnął się do swego gościa. - O kogo chodzi?

Fairbanks wiedział, że jeśli odpowie na to pytanie, nie będzie już mógł się cofnąć. Ale co z tego? Pomysły podsuwane przez złość powinny być realizowane szybko. Byle tylko nie było później żadnych świadków. Moralna ocena tego czynu nie obchodziła Fairbanka, liczyło się jedynie jego osobiste bezpieczeństwo po dokonaniu zbrodni.

- Pytałem, o kogo chodzi.

- Powiem ci. Jestem pewien, że tym chętniej zechcesz mi pomóc.

Księga X  
ZŁOTO KALIFORNII  
1911

W 1905 roku w Chicago powstał nowy, odmienny od poprzednich, związek zawodowy. Stara A. F. of L. (American Federation of Labor - Amerykańska Federacja Pracy.) była organizacją dumnych ze swoich umiejętności, wykształconych robotników, którzy nie chcieli mieć nic wspólnego z pospolitymi, niewykwalifikowanymi pracownikami. Jednak Eugene Debs, „Big Bill” Haywood i inni socjaliści uznali, że taka duma jest niebezpieczna i szkodliwa. Rozwój związków zawodowych w rozpoczynającym się dopiero dwudziestym wieku wymagał czegoś lepszego: międzynarodowej, światowej organizacji. Nadano jej nazwę Industrial Workers of the World ( Industrial Workers of the World - Przemysłowi Robotnicy Świata.).

IWW chciała zrzeszać zarówno wykwalifikowanych, jak i niewykwalifikowanych pracowników. Wkrótce zdumieni obywatele i rozwścieczeni przedsiębiorcy usłyszeli opowieści o robotniczym rajach, który powstać miał, jeśli byłoby to konieczne, nawet poprzez sabotaż lub rewolucyjne obalenie systemu kapitalistycznego. Wizje te sformułowano w nowej retoryce, którą ktoś określił mianem „obiecane kaczki”.

Reakcja była łatwa do przewidzenia. Generał Otis nazwał nowych związkowców „zmową zbrodniczych łajdaków” oraz szydził z nich, określając mianem „wobblies” (Wobblies (ang.) - chwiejni.). To miano przyłgnęło do nich na długo.

Pod koniec pierwszego dziesięciolecia nowego wieku „wobblies” zwrócili uwagę na złote pola Kalifornii oraz miasta Central Valley, gdzie liczna napływowa ludność mogła stać się znakomitym zapleczem dla związków zawodowych. Z Missoula, Spokane, Denver i innych miejsc zaczęli przybywać związkowcy, osiedlając się w takich miejscowościach jak Bakersfield, Brawley, Stockton i Visalia.

Za każdym razem sposób ich postępowania był identyczny: agitowanie, rozbudzanie świadomości klasowej,

głoszenie robotniczej solidarności w przemówieniach na wiecach. Rzadko zachęcali wprost do wstępowania do związków. Zamiast tego podburzali ludność przeciwko miejscowym „burżujom”, nazywając ich „wyzyskiwaczami zerującymi na niewolniczej pracy”. Oczywiście, lekarstwo na to widzieli w zrzeszaniu się w związki zawodowe, ale ten cel swojej agitacji ujawniali dużo później.

Aby upewnić się, że robotnicy, którzy do nich przystąpili, nie uciekną z miasta zbyt szybko, wymyślili dla nich wielką atrakcję: „ wolność słowa ”. Była to strategia przewrotna, ponieważ wolność słowa była właśnie tym, co nienawidzące „wobblies” władze chciały znieść razem ze zlikwidowaniem związków zawodowych. Im bardziej jednak policja i władze stanowe występowały przeciwko temu przywilejowi, tym goręcej walczyły oń radykalne organizacje.

Jesienią 1910 roku działacze związkowi pojechali na Zachód, by wziąć udział w najnowszej wojnie ogłoszonej przez ich gazetę. „ Walka o wolność słowa rozpoczęta! ” - głosił tytuł na pierwszej stronie.

I tak to właśnie wyglądało. „ Wobblies” prowadzili swoją kampanię we Fresno i przez kilka miesięcy policja ich nie niepokoiła, ale potem miasto ogarnęła prawdziwą wojna. Przedsiębiorcy z Fresno doprowadzili do wydania dekretu, który mówił między innymi:

„Na mocy niniejszego dokumentu uznaje się, że postępuje nielegalnie każdy, kto zwołuje, prowadzi lub uczestniczy w jakichkolwiek zebraniach i mityngach, bądź też wygłasza publiczne mowy i wykłady oraz wszczyna debaty w miejscach publicznych w rejonie ulic Tuolumne, M, Inyo i D. ”

Ponieważ oczywiście było to niezgodne z pierwszą poprawką do konstytucji, „wobblies” ogłosili: „Walczący o wolność słowa potrzebują twojej pomocy! W jedności nasza siła! Razem ruszemy na Fresno!

## Rozdział 81.

Zaczęły padać zimowe deszcze. Dzień i noc krople wody uderzały o czerwone dachówki Villi Meditarrenan.

Szare styczniowe dni wlokły się jeden za drugim jak ponura procesja. Mack próbował pracować, ale do czegokolwiek się brał, szło mu to niesporo. Całymi godzinami siedział, wpatrując się w swoje dłonie, których kostki prześwitywały mu przez skórę. Miał ręce starego człowieka. Ten sam stary człowiek szydził z niego, ilekroć popatrzył w lustro: siwowłosy, z podkrążonymi, ukrytymi za okrągłymi szklami okularów oczyma. Coś w nim umarło. Być może nie miał już ochoty wcielać w życie swoich marzeń?

T. Fowler Haines nadal leżał w rogu jego biurka. Pewnego popołudnia Mack otworzył przewodnik i przeczytał: „Nigdy nie spotkałem miejsca, które tak dokładnie pasowałoby do moich wyobrażeń o słonecznym rajem.”

- Kłamca - westchnął Mack, zamykając książkę. Miał teraz czterdzieści dwa lata. Styczniowy deszcz 1911 roku padał nadal.

Detektyw Bill Buras złożył wizytę w Riverside.

- Burmistrz Los Angeles wynajął mnie, bym zbadał sprawę „Timesa”. Mamy ująć tych, którzy podłożyli dynamit. Wiesz, gdzie mam zamiar ich szukać, Mack? W Indianapolis, w Indianie. To kolebka Bridge and Structural Iron Workers Union. Wiem, że zawsze sprzyjałeś idei związków zawodowych, ale zapewne nie popierasz tych spośród ich członków, którzy dopuszczają się morderstw. Nie oskarżam cię o słuzenie złej sprawie, ale nie możesz zaprzeczyć, że przemoc stała się jedną z metod działania tych organizacji.

Uścisnęli sobie dłonie i Mack życzył Billowi Burnsowi powodzenia w działaniu.

Pewnego wietrznego, chłodnego dnia, kiedy wielkie chmury przesłaniały słońce, do San Solaro przybył niejaki

Yacob Steinweis z „Kalem Studios” (nazwa ta pochodziła od nazwisk założycieli: Kleine, Long i Marion), które mieściło się przy Twenty First Street w Nowym Jorku. Gość zastał Macka siedzącego na ławce w cieniu i przeglądającego jakieś plany.

Steinweis podał wizytówkę. Miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, a jego twarz promieniowała radosnym uśmiechem niewiniątka. Mack wiedział jednak, że biznesu nie prowadzi się za pomocą niewinnych uśmiechów. Steinweis musiał więc także posiadać inne cechy.

Jedną z nich, bardzo rzucającą się w oczy, był entuzjazm. Nie chciał usiąść i podczas rozmowy niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Choć prawdopodobnie wcale się o to nie starał, strojem przypominał Anglika. Miał na sobie brązowe buty z cielejącej skóry, tabaczkowy podróżny garnitur oraz dobrane doń kolorem rękawiczki i kapelusz. Widząc rozpierającą go energię, Mack przypomniał sobie, że i on kiedyś czuł się podobnie.

- Mam niemałe doświadczenie w robieniu filmów - zaczął Steinweis. - Przez trzy lata byłem prawą ręką Sida Olcotta. Pracowałem przy wielu westernach nakręconych na Jersey Palisades. Byłem u Sida asystentem reżysera... - urwał nagle, jakby zabrakło mu tchu. Z otwartych ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

- Czy coś nie w porządku, panie Steinweis?

Młodzieniec poczerwieniał, drżąc na całym ciele. Z jego gardła wydobył się jakiś nieartykułowany bełkot.

- Nie... nic - wykrztusił w końcu. Rumieniec zniknął powoli z jego twarzy. - Mam pewien niewielki problem z... - Znowu zamilkł na chwilę, jakby się dławił. - Z jankaniem się. Ten f... film, o którym mówiłem... Ben Hur - wykrztusił w końcu.

- Widziałem go - odparł Mack. - Bardzo dobry.



Steinweis był zbyt zakłopotany, by ucieszyć się z komplementu. Mackowi podobało się, że młodzieniec umie się tak otwarcie przyznawać do swej ułomności.

Jeszcze raz poprosił go, by usiadł, i tym razem Steinweis z wdzięcznością opadł na ławkę.

- Nie jest łatwo zajmować się produkcją filmów i... - znowu chwila bolesnej ciszy - ...być jednocześnie Żydem oraz jakąś. Za dużo przeszkód. Z drugiej strony stanowi to pewne wyzwanie, które warto podjąć, by udowodnić sobie, że jest się coś wartym, prawda?

- Tak, jak najbardziej. Co sprowadza pana tutaj?

- Przyjechałem do Kalifornii, ponieważ dostrzegłem tu dla siebie wielką szansę. A także dlatego, że nie chciałem do końca życia pracować dla innych. Szukam... jakiejś posiadłości, ziemi, na której mógłbym postawić „Emory Stone Studio”. To lepsze nazwisko niż Steinweis, nie uważa pan? - Młodzieniec odprężył się i mówienie nie sprawiało mu już takich trudności. - Znalazłem takie miejsce. Bardzo od... odpowiednie. Sto akrów u stóp wzgórz Hollywoodu. Idealne. Chciałbym, żeby mi je pan sprzedał, panie Chance.

- O które tereny panu chodzi?

- Pokażę panu. Specjalnie przywiozłem rysunki. - Steinweis rozwinął przyniesione ze sobą papiery. Mack założył okulary. - Przyglądałem się panu, panie Chance. Obserwowałem pana całymi tygodniami. Jest pan wielkim właścicielem ziemskim. Nie zauważy pan nawet, jak ubędzie panu te sto akrów. Proszę wyznaczyć uczciwą cenę. Zapłacę ją. Niech pan sprzeda mi ten teren pod moje studio, niech pan pozwoli, by ziścił się mój... - ponownie zmagął się chwilę ze swoim głosem - kalifornijski sen.

Mack zakończył to spotkanie, nie zobowiązując się do niczego.

- Zastanowię się i dam panu znać - oświadczył.

Steinweis uśmiechnął się i uściskał jego dłoń, ale widać było, że jest załamany.

Tydzień później dwaj dżentelmeni z Hollywood umówili się z Mackiem za pośrednictwem Alexa i złożyli mu w San Solaro wizytę. Reprezentowali organizację o nazwie Komitet Chrześcijańskich Obywateli. Byli bladzi i nijacy. Jeden z nich, Silas Ribner, nie wyjawiał, czym się zajmuje, drugi, Joe Hughes, handlował nieruchomościami.

- Jesteśmy chrześcijanami. Protestantami, panie Chance - oświadczył Hughes. - Sądzymy, że pan także. Hollywood to społeczność chrześcijańska. Nie podobają nam się ci pracujący przy filmach ludzie ze Wschodu. Nie chcemy wynajmować im pokoi, a szczególnie nie mamy ochoty na to, by osiedlili się między nami na zawsze. To dlatego utworzyliśmy naszą organizację. Doszły nas słuchy na temat pewnego nowojorskiego Żydka, który chce kupić kawałek pańskiej ziemi. Przyszliśmy prosić, aby nie sprzedawał mu pan tych terenów. Chcemy, żeby Hollywood pozostało czysto chrześcijańską społecznością.

- Przybyliście tutaj po to, by nastawić mnie przeciwko jakiemuś człowiekowi tylko dlatego, że jest Żydem? .

Ribner uniósł brwi.

- Żydem zajmującym się robieniem filmów. A to znaczy: podwójnie niebezpiecznym. Z pewnością sam pan to rozumie.

- Rozumiem tylko, że jesteście parą głupich bigotów.

- Ależ panie Chance! - wykrzyknął Hughes zrywając się z miejsca.

- Wynoście się z tego domu, zanim osobiście zrzucę was ze schodów.

Dwa dni później, o północy, Mack odebrał telefon od przebywającego w Riverside Alexa.

- Przed chwilą skontaktowały się ze mną władze Hollywood. Pamięta pan tę starą opuszczoną stodołę na parceli, którą chce kupić Steinweis? Ktoś ją podpalił.

Następnego wieczora po kolacji Mack odebrał następny telefon.

- Żydowski kochanek - powiedział jakiś nieznajomy głos i rozłączył się.

- Boże, akurat mi potrzebne jeszcze takie kłopoty - powiedział do siebie Mack.

W dawnych czasach na pewno wydałby walnę Hughesowi, Ribnerowi i innym, podobnym do nich mieszkańcom Hollywoodu. Gardził tego typu ludźmi. Przypominali mu Fairbanksa i tych wszystkich, którzy próbowali zatrzasać przed nim drzwi, kiedy po raz pierwszy, w 1887 roku, po wędrówce przez góry stanął na kalifornijskiej ziemi.

Teraz jednak sprawy miały się inaczej. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że pozostawał bez przerwy w złym nastroju. Uczucie klęski potęgowały jeszcze padające nieustannie zimowe deszcze. Stracił Jima i Nellie. Razem z nimi opuściła go także ochota do życia. Gdyby nie oddani mu i godni zaufania pomocnicy, tacy jak Alex Muller, Enrique Potter i Rhett Haverstick, straciłby prawdopodobnie także swoje miliony.

Steinweis telefonował przynajmniej raz dziennie, prosząc go o podjęcie ostatecznej decyzji. W Macku narastało zniecierpliwienie. O dziwo, kierował swoją niechęć raczej ku Steinweisowi, niż ku zarozumiałym hollywoodzkim chrześcijanom. „Wynoś się z Kalifornii, Steinweis. Wracaj do domu. Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Nie potrzebuję twoich kłopotów” - myślał.

W krótkim liście, jaki wysłał do niego na początku lutego, napisał: „Wciąż rozważam Pańską propozycję, ale jeszcze nie mogę dać ostatecznej odpowiedzi...”

Pewnego szarego lutowego popołudnia owej nie kończącej się zimy Mack wybrał się na samotną przejażdżkę. Packard podskakiwał na rozmytej deszczami drodze u stóp wzgórza. Kiedy skręcał w główną drogę do Riverside, usłyszał głośny wystrzał. „Rura wydechowa” - pomyślał. Zatrzymał się jednak i wysiadł. To, co zobaczył na żółtym lakierze, zjeżyło mu włosy na głowie. W drzwiach od strony pasażera widniała okrągła dziura po pocisku.

Wodząc wzrokiem po rosnących wokół drogi sadach zauważył kilku pracujących ludzi. Byli jednak zbyt daleko, by mógł zobaczyć ich wyraźnie. Usłyszał także tętent kopyt końskich, ale nie mógł nigdzie dojrzeć jeźdźca. Wsadził palec w dziurę. Kula przeszła drzwi na wylot. Szary, spłaszczony pocisk leżał na podłodze.

Pomyślał o Komitecie Chrześcijańskich Obywateli z Hollywood.

„Nie, to na pewno nie oni” - uznał jednak.

- Ale jak inaczej to sobie wytłumaczyć? - zapytał Hellburnera Johnsona podczas kolacji.

Johnson przyjechał pociągiem o piątej po południu. „Essanay” dało mu tygodniowy urlop na czas, kiedy Anderson udał się do Chicago na spotkanie ze Spoorem, by omówić szczegóły dystrybucji filmów o Broncho Billu. W następnej części tego cyklu Johnson miał zagrać jedną z głównych ról.

- Do diabła, Mack - powiedział Johnson. - Narobiłeś sobie w życiu mnóstwo wrogów. To mógł być każdy z nich.

Mack wy dostał z szafy swego kołta. Naoliwił go i zabierał teraz ze sobą, ilekroć opuszczał dom. Kieszenie płaszcza wypchane miał zapasową amunicją. Głos rozsądku

podpowiadał mu jednak, że broń na nic się nie zda, jeśli jakiś szalenciec będzie chciał zastrzelić go z zasadzki.

Carla rozpoznała go natychmiast. Jego twarz lśniła jak złota moneta w jasnym świetle słońca. Stał na drabinie, spryskując środkiem owadobójczym drzewko pomarańczowe.

- Zatrzymaj się tutaj - nakazała kierowcy, który posłusznie wykonał jej polecenie. - Uważaj - krzyknęła, kiedy rondo jej kapelusza omal nie dotknęło tablicy z napisem: REDLANDS CITRUS COOPERATIVE. Szofer cofnął auto.

Carla tak długo molestowała męża, aż w końcu zdradził jej, gdzie widział chłopca. Ponieważ jednak powiedział tylko, że w Pasadenie, musiała za własne pieniądze wynająć prywatnego detektywa, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Zdobycie informacji od Pasadena Police Department zabrało siedem tygodni. Jej syn był świadkiem jakiegoś przestępstwa, którego sprawca zniknął. Chłopca przesłuchiowano i zażądano, by zostawił swój nowy adres na wypadek, gdyby przestępcę ujęto i potrzebna była konfrontacja. Kiedy detektyw dotarł pod wskazany adres, okazał się on już nieaktualny. Dowiedział się jednak, że Jim oraz jego opiekun, prawdopodobnie jakiś krewny, udali się na plantację w Redlands, gdzie zawsze potrzebowano dobrych robotników. Carla ustaliła, że jej syn pracował na plantacji pomarańczy i mieszkał wraz z jakimś starym człowiekiem w nędznej wiejskiej chacie. Najwidoczniej Jim nie starał się zatrzeć za sobą śladów. Zresztą czemu miałyby to robić?

Słaby, żółty słoneczny blask oświetlił samochód. Szofer zapalił papierosa. Carla opuściła szybę od swojej strony.

Kilku robotników zauważyło długi, ciemny samochód i przyglądało mu się ciekawie, ale Jim ledwie rzucił nań okiem. Carla jednak cofnęła się w głąb auta, jakby bojąc się, że mimo woalki może zostać rozpoznana. Nie potrafiła powstrzymać spływających jej po policzkach łez.

Jakim przystojnym chłopcem był jej syn. Opalony, szczupły. Wyglądał na silnego i zdrowego. Jej serce wypełniło dawno zapomniane uczucie miłości. Chciała wiedzieć, czy wszystko u niego w porządku, czy potrafi sam o siebie zadbać...

- Pani Fairbanks? - Kierowca zgasił papierosa, patrząc na nią pytająco.

- Jeszcze chwilę - odparła.

- Woda - zawołał Jocker, ciągnąc przez sad ręczny wózek.  
- Woda, chłopcy. Kiedy robotnicy zbliżyli się do wózka, podawał im kolejno kubki napełnione

wodą. Właściciel sadu był przyzwoitym człowiekiem, dbającym o swych pracowników. To właśnie dlatego Jim nalegał, by u niego pozostali.

Było zimowe popołudnie. Promienie zamglonego słońca przenikały przez korony drzew, a ziemia i powietrze pachniały wilgocią. Gdzieś w oddali rozległ się gwizd pociągu, ale mimo to rzeczywisty świat znajdował się jak gdyby gdzieś bardzo daleko.

- Witaj, Jocker - powiedział Jim schodząc z drabiny. - Daj mi trochę wody. Opylanie drzew to ciężka, brudna robota.

Z powodu artretyzmu Jocker nie mógł pracować przy drzewkach i dawano mu inne zajęcia. Obaj z Jimem zarabiali dość, by wystarczało na przyzwoite życie. Mieli co jeść, gdzie spać i od czasu do czasu mogli pozwolić sobie na kufel piwa. Jim całkiem już wrócił do zdrowia.

Jocker podał kubki trzem mężczyznom, po czym napełnił kubek dla Jima. Nie nosił już postrzępionego stroju włóczegi, lecz schludne dżinsowe spodnie i kurtkę. Fryzjer z Redlands raz na miesiąc strzygł go za dziesięć centów. Jim bardzo na to nalegał. Podając chłopcu kubek, starzec wskazał na stojące na skraju sadu auto.

- Widziałeś ten samochód? - zapytał. Jim skinął głową. - Ktoś ze środka ciągle nam się przygląda.

Jim odwrócił się i ujrzał kobietę w wielkim kapeluszu ze złotą woalką. Napotkawszy spojrzenie chłopca, pasażerka samochodu natychmiast odsunęła się od okna.

- Jacyś turyści - powiedział, wzruszając ramionami. Zawarczał silnik i auto odjechało, zostawiając za sobą tumany kurzu.

Carla siedziała z dłońmi ciasno splecionymi na kolanach. Cieszyła się, że ma na twarzy welon, dzięki czemu szofer nie mógł dostrzec jej łez. Za wszelką cenę starała się nie wybuchnąć głośnym płaczem.

Na jakiego przystojnego mężczyznę wyrósł jej syn! Był do niej bardzo podobny. W żaden sposób nie dałoby się ukryć łączącego ich pokrewieństwa. Miała jednak nadzieję, że różni się on od niej charakterem. Gdyby i w tym ją przypominał, zrujnowałoby mu to życie.

Patrząc na niego z okna samochodu, przez chwilę miała ochotę wysiąść i przytuliwszy go do siebie, powiedzieć: „Witaj, Jimie. Jestem twoją matką.”

Ale nie zrobiła tego. Czemu miała niszczyć jego spokój?

Pod koniec lutego Margaret pojechała z San Francisco na półwysep Monterey. Na wszelki wypadek trzymała pod siedzeniem pięciostrzałowy pistolet, ale nikt jej nie zaczepił, choć raz musiała stanąć, by zmienić oponę. W Carmel dopytała się o stojący nad brzegiem morza dom Nellie.

Zastała ją przy pracy - pisarka miała na sobie pobrudzoną ołówkiem bluzkę z podwiniętymi rękawami i rozpiętym kołnierzykiem.

- Proszę mi wybaczyć tę nie zapowiedzianą wizytę - powiedziała Margaret, witając się z Nellie. - Nie ma tu telefonu, nie mogłam więc uprzedzić pani o swoim przyjeździe.

Przez chwilę Nellie wydawała się niemile zaskoczona, ale zaraz twarz jej rozchmurzyła się.

- Proszę wejść, panno Leslie. Znam panią. Widziałam pani ostatni film: Broncho Bill i sierota. Bardzo mi się podobał.

- Dziękuję, to miło z pani strony.

- Te filmy cieszą się niebywałą popularnością...

- Ameryka kocha Billa.

W domku pachniało świeżo parzoną kawą. Nellie wskazała Margaret oświetlony słońcem stół. Jego blat zasłany był kartkami papieru.

- Pisałam właśnie artykuł dla Williama Hearsta. Rzadko teraz dla niego pracuję, ale on kupuje wszystko, co napiszę. Jego redaktorzy ciągle przysyłają mi błagalne listy. Pragnę, bym znów zajęła się pisaniem do gazety. Ale ja robię to tylko od czasu do czasu.

- Jest pani sławną pisarką... Nie potrafię wyrazić, jak bardzo podobają mi się Miliony Huntworthy'ego.

- Dziękuję. - Nellie poprawiła leżące na sofie poduszki. - Proszę usiąść. - Wymieniły już powitalne grzeczności i teraz ciemne oczy Nellie z ciekawością spoczęły na gościu.

- Czy mogłybyśmy przespacerować się plażą? - spytała Margaret. - Słyszałam, że jest tu bardzo pięknie. Dotąd jednak nigdy nie miałam szczęścia odwiedzić Carmelu.

- A więc teraz ma pani okazję - powiedziała Nellie sięgając po szal. - Wciąż jednak nie wiem, co panią do mnie sprowadza, panno Leslie.

- Przyjechałam, żeby porozmawiać z panią o mężczyźnie, na którym obu nam zależy. O Macku Chansie.

Poszły na plażę tą samą drogą, którą niegdyś Nellie przemierzała z Mackiem. Tego popołudnia morze wyglądało jeszcze piękniej niż zwykle: od granatowej wody odcinały się białe grzbiety fal, migoczące w świetle słonecznym. Nellie



usiadła na kłodzie wyrzuconej na brzeg przez fale. Wsparła podbródek na dłoni i zapatrzyła się w morze. Słony wiatr targał jej proste, ciemne włosy.

- Faktycznie, panno Leslie, powinnam zacząć inaczej myśleć o Macku, ponieważ bardzo się zmienił...

- Ale to właśnie Mack zachęcił mnie do pracy w „Essanay”. Nigdy też nie uważał, że powinnam z czegokolwiek rezygnować tylko dlatego, że jestem kobietą.

Na ustach Nellie pojawił się lekki uśmiech.

- Widocznie postępuje odmiennie z różnymi ludźmi.

- Sądzę, że panią traktuje w sposób szczególny. Jest pani jedyną osobą, na której mu naprawdę zależy. Wyjąwszy syna. Ale on odszedł od niego.

- Czemu pani to robi? Czemu pani go broni?

- Ponieważ go kocham.

- Pani...

- Kocham go. Prawdopodobnie równie mocno jak pani.

- Ależ ja absolutnie nie... Urwała nagle, zasłaniając twarz dłońmi.

- Do diabła! Oczywiście, że go kocham.

Margaret uśmiechnęła się.

- A więc tym bardziej powinno pani zależeć na wyjaśnieniu wszystkich nieporozumień - powiedziała łagodnym, współczującym głosem.

- Mack nigdy nie pytał mnie o mojego gościa z Północnej Kalifornii. Odjechał przygnębiony i pełen podejrzeń.

- To człowiek impulsywny. Często robi coś bez zastanowienia. Ale czy to znaczy, że ma go pani wykreślić ze swego życia? Jeśli to pani uczyni, bardzo się na pani zawiodę.

- Widzę, że należy pani do osób wyjątkowo szczerych - Nellie zagryzła wargi. - Ja także. Czasami szczerłość może jednak bardzo zboleć.

- Oczywiście - zgodziła się Margaret. Uznała, iż Nellie jest bardzo zagubiona, niepewna siebie i że przydałby się jej jakiś wstrząs. - Wkrótce muszę odjechać. Zanim jednak opuszczę to miejsce, chcę, żeby zrozumiała pani jedną rzecz: nie jestem altruistką. Bez wahania zabrałabym pani Macka, gdybym tylko mogła mieć nadzieję, że mi się to uda. Ale wiem, że on nie odwzajemnia moich uczuć. Pogodziłam się z tym. Mack kocha tylko panią. A ludzie, którym tak bardzo na sobie zależy, powinni być razem.

- To brzmi rozsądnie. Ale nie jest mi łatwo przyznawać się do błędów.

- On mówił to samo.

- No i mamy impas. - Nellie popatrzyła na nią bezradnie.

- Z pani wyboru.

- Z mojego wyboru?

- Tak, tak właśnie uważam. Jest rok 1911, panno Ross. Minęło już sporo czasu, odkąd pani i Mack spotkaliście się po raz pierwszy. To wspaniały mężczyzna, pomimo wszystkich swoich wad, które akurat w tej chwili uważam za mało istotne. Ale żaden mężczyzna taki jak Mack nie spędzi reszty życia samotnie. W końcu znajdzie inną kobietę. Albo, co bardziej prawdopodobne, ona znajdzie jego. Będzie podziwiała go i adorowała, a jemu będzie to odpowiadać. Zmęczony samotnością odpowie na jej zaloty. Jeśli zaś poślubi kogoś innego niż pani, wyniknie z tego tragedia.

- Ale co ja mogę zrobić? - wykrzyknęła ze łzami w oczach Nellie.

- Kiedy byłam małą, panno Ross, moja rodzina mieszkała w sąsiedztwie pewnego bardzo zamożnego farmera, który zasadził w swej posiadłości wiele płaczących wierzb. Kochałam je. Zauważyłam, że nawet podczas największych burz żadna nie została powalona na ziemię przez wiatr.

Pochylały się, ale nie łamały. A kiedy ustała wichura, znów były tak samo piękne jak przedtem...

Nellie patrzyła na nią uważnie. Margaret ponownie uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do Nellie. - Dziękuję za pani uprzejmość, panno Ross. Mam nadzieję, że nie zadałam pani bólu tym, co powiedziałam.

- Nie - odparła Nellie, przenosząc wzrok na ocean i nurkujące w falach mewy. - Nie - powtórzyła, choć tym razem zabrzmiało to mniej pewnie.

Nellie długi czas siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach.

„Ona ma rację - pomyślała. - Postępowałam niewłaściwie. Liczyły się dla mnie tylko moje własne ambicje. Tak wiele mam do naprawienia...”

Margaret wysłała Mackowi do Riverside kartkę następującej treści: „Jej «kochanek» jest Jej kuzynem. To Tomas, z którym tak często jeździła do doliny Yosemite, kiedy była małą dziewczynką. Twierdzi, że mówiła Ci o nim już wiele lat temu. Jesteś idiotą, Chance. Wybaczam Ci to jednak, ponieważ Twoja głupota jest nie do uniknięcia - jesteś jednak mężczyzną. Kocham Cię. M.”

## Rozdział 82.

Jedli lunch w restauracji armeńskiej, której uprzejmy, miły właściciel nie narzucał się swoim gościom. Niewiele rozmawiali. Kampania wyborcza we Fresno wzbudzała wiele emocji w sierpniu, ale teraz nie wywoływała już takiego entuzjazmu.

W milczeniu opuścili restaurację. Marquez niósł pod pachą skrzynkę po mydle, Frank Little, przywódca Local 66 - flagę, a Gopal Mukerji - paczkę egzemplarzy The Industrial Workers, które miano rozdać pośród uczestników zebrania. O ile w ogóle ktoś przyjdzie tego lutowego dnia, by ich wysłuchać...

Mukerji był wątłym dwudziestodwuletnim mężczyzną o świetlistych oczach i miłych rysach twarzy. Pochodził z wioski w pobliżu Jullundur w Pendżabie. Mając dziewiętnaście lat przekroczył granicę kanadyjską, by szukać pracy w Kalifornii. Biegle czytał po angielsku i posiadał sporą kolekcję wypłowiałych książek, które lubił opowiadać innym, pochodzącym z tej samej co on części świata robotnikom.

Zatrzymali się w tym samym co zwykle miejscu, na rogu ulic Mariposa i I. Marquez ustawił na ziemi skrzynkę po mydle. Po trzech dniach spędzonych w areszcie oraz „kuracji wodnej” w więzieniu we Fresno rozchorował się. Zamknięto go już po raz trzeci, odkąd rozpoczęła się kampania wyborcza.

Frank Little rozwinął czerwoną flagę i wsunął ją drzewcem w otwór w rogu skrzynki. Rozejrzał się uważnie po ulicy. Kiedy mocował flagę, poły jego płaszcza rozchyliły się na chwilę, ukazując kolbę wsuniętego za pasek spodni rewolweru. Wielu „wobblies” praktykowało coś, co nazywano „biernym oporem”. Frank Little uważał, że są nie tylko tchórzami, ale i głupcami.

Gopal Mukerji nosił zniszczone spodnie i spraną, błękitną bawełnianą koszulę, na głowie zaś miał swój największy

skarbu: biały turban. Jakiś dobrze ubrany dżentelmen zatrzymał się, by rzucić im pod nogi niedopałek papierosa. Mukerji, uśmiechając się jak gdyby nigdy nic, zaproponował mu jedną ze swoich gazet. Mężczyzna uderzył w papier laską i odszedł spiesźnie, mamrocząc coś na temat anarchii. Z twarzy Mukerjia ani na chwilę nie zniknął uśmiech.

Brzęcząc dzwonkami przejechał trolejbus. Skrzyżowanie I oraz Mariposa było najbardziej ruchliwym miejscem w tym liczącym sobie dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców mieście. Otaczały je wiktoriańskie budynki, jezdnią zaś bez przerwy przejeżdżały trolejbusy, nowoczesne samochody, wiejskie wozy, rowery oraz konni jeźdźcy. „Wobblies” stanowili już w mieście widok tak dobrze znany, że budzili niewielkie zainteresowanie i większość ludzi lekceważyła lub wręcz nie dostrzegała ich obecności.

Marquez postawił nogę na skrzynce po mydle. Z dziurawego buta wystawał mu kawałek brudnej skarpetki. Jego poplamiony i wymięty czarny garnitur przypominał strój księdza, ale miał jedwabną czerwoną koszulę. W Mukerjim zaniedbany wygląd Marqueza budził niesmak. Jak większość Hindusów, sam, o ile tylko było to możliwe, kąpał się codziennie, traktując higienę osobistą niemal równie poważnie jak religię.

- Naprawdę chcesz na to wejść, Diego? - spytał Frank Little, nadal uważnie lustrując ulicę, by upewnić się, czy nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

- Oczywiście. Jeśli ja tego nie zrobię, kto mnie zastąpi? - zapytał filozoficznie. Jego policzki lśniły tak, jakby posmarowano je tłuszczem.

Chwilami Marquez miał wrażenie, że cała ich walka nie ma sensu. Jesienią pojawiło się we Fresno wielu nowych związkowców, którzy przybyli tu z Denver, Salt Lake i Chicago. Ale teraz wielu z nich odeszło. Przestraszyli się

pałek policji szeryfa Shawa, nocnych podpaleń namiotów „wobblies” na zachodnim krańcu miasta oraz artykułów drukowanych w „Morning Republican” i „Sacramento Bee”. Pisano w nich o aresztowaniach anarchistów, o patriotycznym gniewie ferujących wyroki sędziów, a także o brutalności strażników więziennych wobec aresztowanych, których trzymano jedynie o chlebie i wodzie oraz poddawano „kuracji wodnej”. Wielu towarzyszy odpracowywało swoje wyroki grabiąc liście w Courthouse Park, po czym uciekało z miasta. Innym darowano kary w zamian za obietnicę natychmiastowego opuszczenia Fresno.

Mimo wszystko Marquez nie chciał zaprzestać walki. Dwudziestego grudnia władze wydały dekret zakazujący publicznych wieców, były ksiądz postanowił jednak łamać to prawo tak długo, póki ono nie złamie jego. Co, biorąc pod uwagę męczące go dreszcze i gorączkę, mogło wkrótce nastąpić.

Staął na skrzynce. Wydało mu się nagle, że ulice zbiegają się na skrzyżowaniu pod kątem czterdziestu pięciu stopni i że zaczynają falować, powoli odsuwając się aż za linię horyzontu. Przetarł oczy i po chwili wszystko wróciło do normy. Lekki wiatr załopotał czerwoną flagą.

- Panie i panowie, zwracam się do was z czymś więcej niż tylko sprawa wolności słowa, które gwarantuje nam Konstytucja Stanów Zjednoczonych.

Całe audytorium byłego księdza składało się z jego dwóch towarzyszy oraz właściciela pobliskiego sklepu z tytoniem. Gopal Mukerji nie przestawał wymachiwać gazetami, choć nie było komu ich rozdawać. Marquez rozpoczął swoją zwykłą przemowę.

- Wojna, którą toczyliśmy, ogarnęła już całą Kalifornię. Nasza organizacja walczy o wolność słowa w San Francisco, Bakersfield, Brawley i wielu innych miejscach.

Powolał się na pierwszą poprawkę i oskarżył władze Fresno o łamanie konstytucji. Strategia organizacji zakładała, że nie zachęca się robotników wprost do wstępowania do związków zawodowych, lecz najpierw mówi się o obronie fundamentalnych wolności oraz żąda, by każdy mógł głosić swoje poglądy w miejscach publicznych. Domagano się prawa do przemawiania na ulicach, w parkach i na placach oraz zwoływania zebrań. Zarówno sama organizacja, jak i jej wrogowie, rozumieli, na czym polega ta taktyka, choć większość ludzi słuchających ulicznych przemówień nie pojmowała jej.

Marquez mówił z pasją, podkreślając swoje słowa gestami. Grono jego słuchaczy powiększyło się o jakąś wiejską kobietę o prostackiej twarzy i jej dorastającego syna oraz eleganckiego młodzieńca, przez cały czas czyszczącego zęby złotą wykałaczką. W pewnej chwili Marquez posłyszał wycie syren. Było ono jeszcze odległe, ale zbliżało się szybko.

Gopal Mukerji popatrzył na Franka Little'a, który rozchylił płaszcz tak, że teraz wszyscy już mogli dostrzec schowany pod nim pistolet.

Oczy młodego Hindusa zrobiły się okrągłe ze zdumienia, a uśmiech zniknął z jego warg. Przebywał we Fresno i brał udział w kampanii na rzecz wolności słowa dopiero od tygodnia. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się wdać w uliczną bójkę. Dżentelmen ze złotą wykałaczką ruszył w stronę sklepu z tytoniem.

- Jesteśmy spóźnieni, Rupercie - powiedziała chłopka, chwytając syna za ramię i odchodząc pośpiesznie akurat w chwili, gdy wóz policyjny wyłonił się zza rogu.

Marquez przetarł oczy opuszkami palców, wyteżając wzrok.

- Pamiętaj, Gopal, staraj się osłaniać głowę, kiedy będą cię bić.

- Pamiętam, Diego. - Hindus mówił po angielsku ze starannym akcentem swego białego nauczyciela z Jullundur.

- Będę się starał za wszelką cenę nie wpaść w ich ręce - powiedział Little. - Nie chcę znowu wracać do więzienia.

Marquez wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. - Nadal stał na skrzynce po mydle obok łopoczącej flagi. Czarny policyjny samochód z opuszczonym płóciennym dachem zatrzymał się przed nimi. Po drugiej stronie ulicy zebrał się mały tłumek.

Z wozu wysiadło pięciu policjantów w błękitnych mundurach z mosiężnymi guzikami. Serce Marqueza zaczęło bić szybciej na widok długich pałek i wysokich Czapek stróżów porządku. Poza jednym spotykał ich wszystkich już przedtem.

- Złaż, Marquez - powiedział sierżant, wymachując pałką.  
- Złamałeś dekret wydany przez władze miasta, podobnie jak uczyniłeś to we wtorek zeszłego tygodnia i jeszcze tydzień wcześniej.

Marquez nie ruszył się ze skrzynki.

- Sierżancie Lummis, żądam prawa do swobodnego przemawiania. Lummis był potężnie zbudowanym mężczyzną o dobroduszej twarzy. Słyszając oświadczenie Marqueza, westchnął.

- Jesteś aresztowany.

- Sierżancie, jeśli mogę coś powiedzieć... - zaczął uprzejmie Gopal Mukerji.

- O, widzę, że mamy tu nowego „wobblies” - odezwał się inny policjant. - W dodatku takiego, co obwiązuje sobie głowę szmatami.

- Gopal, na litość boską - szepnął Frank Little. Mukerji nie dał się jednak zbić z tropu.

- Konstytucja gwarantuje wszystkim prawo do wygłaszania swoich opinii, panowie.



- Czyżby? - zapytał sierżant Lummis, podchodząc do niego. - Nie wiedziałem, że mam do czynienia z kimś tak dystygowanym i dobrze poinformowanym jak ty. Jesteś pewnie ulicznym prawnikiem?

- Nie, sir - odparł Mukerji, nie wyczuwając sarkazmu w głosie policjanta. - Jestem Gopal Mukerji, parobek z Central Valley. To bardzo miło z pana strony, że pozwala mi pan wyjaśnić mój punkt widzenia.

- Jezu - jęknął Frank Little kryjąc się w cieniu pobliskiego sklepu. Lummis skrzywił się szyderczo.

- Ależ oczywiście, szmaciarzu. Wolno ci to robić, kiedy tylko zechcesz. - Uniósł ramię i jego pałka uderzyła prosto w twarz Mukerjia. Hindus krzyknął, z nosa trysnęła mu krew. Mimo swego wieku sierżant Lummis był szybkim i zręcznym mężczyzną, dlatego też zdążył w porę odskoczyć, by krew Mukerjia nie poplamiała mu spodni. Kolejne uderzenie pałki dosięgło byłego księdza, zrzucając go ze skrzynki po mydle.

Dwaj policjanci chwycili Marqueza i zaczęli okładać go pałkami, podczas gdy dwaj inni zajęli się Mukerjkiem. Ulica rozbrzmiewała teraz odgłosami ciosów i ludzkimi jękami. Jakiś dżentelmen stojący wśród tłumu gapiów zaczął bić brawo.

- Nie walcz z nimi - krzyknął Marquez, zakrywając rękoma głowę. W panującym hałasie nikt nie usłyszał jego wołania. Lummis kopał Mukerjia w żebra. Skryty za sklepem Frank Little schował rewolwer pod płaszcz i uciekł. Biegając ulicą długo jeszcze słyszał krzyki Hindusa i tępy dźwięk uderzających o ciało pałek.

Pochylony nad biurkiem oficer zapytał o ich nazwiska.

- John Doe, sir - uśmiechnął się grzecznie Mukerji. A Marquez odpowiedział:

- Harrison Gray Otis.

- Pewnego dnia zabiję tych pieprzonych drani - mruknął za ich plecami sierżant Lummis.

Policjanci zamknęli ich w celi razem z trzema innymi „wobblies”, którzy pytani o nazwiska przedstawili się jako Woodrow Wilson, Leland Stanford i John L. Sulli - van. Ponieważ Marquez był bez wątpienia chory, odstąpili mu jedyną w pomieszczeniu pryczę.

Mukerji skulił się w kącie. Panowie Wilson, Stanford i Sullivan byli w zdumiewająco dobrych nastrojach, zważywszy na ich opłakany stan, dwudniową głódówkę oraz złe traktowanie przez strażników. Natychmiast próbowali podnieść nowych więźniów na duchu, intonując Czerwony sztandar.

Nasz sztandar płynie ponad trony  
Niesie on zemsty grom, ludu gniew  
Przyszłości rzucając siew,  
A kolor jego jest czerwony,  
Bo na nim robotnicza krew.

- Zamknijcie gęby - zagrział sierżant Lummis. Żując koniuszek cygara zajrzał do celi i przesunął pałką po prętach kraty. - Witamy w więzieniu we Fresno, chłopcy. Większość z was była tu już wcześniej, ale mamy dziś jednego nowego. Podejdź no tu bliżej, panie szmatogłowy.

Mukerji ostrożnie spełnił polecenie. Pod jego posiniaczonym nosem zakrzepła brązowa plama krwi, a wokół prawego oka utworzyła się olbrzymia purpurowo - żółta obwódka.

- Przemawialiśmy tylko w obronie naszych praw, sir - powiedział, stając na tyle daleko, by pałka Lummisa nie mogła go dosięgnąć. - Żądamy, by traktowano nas właściwie. Chcemy się też widzieć z adwokatem.

Sierżant coraz głośniejsze uderzał pałką w kratę.

- Żądacie adwokata? W porządku, panie szmatogłowy. Powiem ci, co tu we Fresno robimy z takimi kapanymi w gorącej wodzie frajerami. Ochładzamy ich nieco za pomocą czegoś, co nazywa się tu „kuracją wodną”.

Robotnik, który przedstawił się jako Woodrow Wilson postąpił krok naprzód.

- Lummis, ojciec Marquez jest poważnie chory. Jeśli jeszcze raz oblejesz go wodą...

- To nie żaden „ojciec”, tylko przeklęty komunistyczny agitator - przerwał mu policjant. - Woda dobrze mu robi.

Woodrow Wilson szarpnął kraty.

- Zabijesz go w ten sposób.

Lummis wyciągnął dłoń i poklepał mężczyznę po policzku.

- To dobrze. Będzie o jednego „wobliego” mniej. Elmer! Zróbmy tu porządek. Zawołaj jeszcze paru chłopaków. Czas na powitanie pana szmatogłowego w więzieniu.

Rozwinięto wiszący na ścianie wąż przeciwpożarowy i strażnik odkręcił umieszczony w pobliżu drzwi zawór. Silny strumień wody zwałił Mukerjia z nóg. Trzej pozostali więźniowie skupili się wokół Marqueza, próbując ochronić go przed lodowatą kąpielą. Po chwili jednak zdali sobie sprawę, że na nic się to nie zda.

Po piętnastu minutach wszyscy aresztanci byli przemoczeni do suchej nitki. Po półgodzinnej przerwie znowu polano ich wodą. Lummis i strażnicy powtarzali ten zabieg przez całe popołudnie. Większość z nich miała długie, gumowe czarne kalosze, jako że cela nie była skanalizowana. O siódmej wieczorem zarówno korytarz, jak i wszystkie cele, były już pełne wody.

Około wpół do ósmej sierżant Lummis postanowił pójść do domu, gdzie czekała nań z kolacją żona i sześcioro dzieci.

- Nie zaprzestawajcie kuracji wodnej, chłopcy - powiedział odchodząc. - Im dłużej, tym lepiej.

Gopal Mukerji zdjął turban i schował go pod koszulę, próbując ochronić przed strugami wody. Do czoła przykleiły mu się mokre strąki włosów. Z jego twarzy dawno już zniknął radosny uśmiech. Z rosnącą wściekłością patrzył na korytarz. „Jak ludzie mogą zachowywać się tak okrutnie wobec tych, których jedyną winą jest obrona obywatelskich wolności, jakie gwarantuje konstytucja tego pięknego kraju?” - zastanawiał się.

Strażnik Elmer otworzył trzy wysokie okna w końcu korytarza i do środka wdarły się zimne podmuchy wiatru. Hindus zaczął drżeć, szcękając zębami. Za jego plecami leżał na pryczy półprzytomny Marquez.

Policjant sięgnął ponownie po wąż przeciwpożarowy.

- Jeszcze jedna kąpiel, chłopcy. Wymyjemy was do czysta. Strumień wody znów uderzył w Mukerija z taką siłą, że go przewrócił. Woodrow Wilson, Leland Stanford i John L. Sullivan kulili się w kątach celi.

- Przestańcie, mam dosyć - jęknął Stanford, kiedy dosięgły go lodowate strugi. Gopal Mukerji popatrzył na niego ze zdumieniem. Postanowił, że on sam nie okaże się takim tchórzem. Będzie walczył z tym bezprawiem i okrucieństwem. I to nie poprzez bierny opór, który - jak się okazało - jest całkowicie nieskuteczny.

Piaszczysta droga wiodła ze wschodu na zachód. Na jej wschodnim krańcu leżało Bowles, a na zachodzie dochodziła do niewielkiej wioski, ze stojącymi blisko siebie nędznymi chatami. W winnicach dookoła pracowali ludzie ubrani w słomkowe kapelusze i luźne białe bluzy.

Gopal Mukerji szedł powoli, prowadząc pod ramię Marqueza. Czarny garnitur byłego księdza lepił się od brudu. Strój Hindusa także nie był o wiele czystszy. Po twarzy byłego

księdza spływały strużki potu, a jego opuchnięte powieki mrużyły się pod wpływem słonecznego światła. Sierżant Lummis osobiście stłukł szkła jego okularów i połamał oprawkę.

Nagle pod Marquezem ugięły się nogi.

- Och, mój drogi! - wykrzyknął Mukerji, podtrzymując go. Były ksiądz okazał się jednak zbyt ciężki i pomimo pomocnego ramienia przyjaciela osunął się na drogę, prosto w pokrywający ją pył. Przerażony Mukerji usiadł obok, by rąbkami poplamionego turbanu otrzeć pot z twarzy Marqueza. Czuł bijącą od niego gorączkę.

Mukerji odwrócił się i popatrzył na widniejące w oddali chaty. Milczący robotnicy dostrzegli wędrowców, ale żaden z nich nie ruszył im na pomoc. Gopal Mukerji na nowo poczuł przypływ żalu i złości. Był samotny i opuszczony na tej okrutnej ziemi, z którą niegdyś wiązał tak wielkie nadzieje. Nie wiedział, co robić. Niespodziewanie na twarz Marqueza padł jakiś cień. Człowiek, który stał przed nim, liczył sobie około siedemdziesięciu lat, był drobny i kościsty, a po jego ciemnej, pomarszczonej twarzy i dużych zniszczonych dłoniach łatwo było poznać, że ma za sobą lata ciężkiej pracy. Zdjął słomkowy kapelusz i z ciekawością przyglądał się leżącemu mężczyźnie. - Buenos dias, senior. Soy Ramon Obregon.

- Nie rozumiem. Proszę mówić po angielsku.

- Powiedziałem, że jestem Ramon Obregon. Pilnuję tych ludzi. - Skinął w stronę pracujących w winnicy robotników. - Co mu się stało?

- Przemawiał we Fresno. Zamknięto go w więzieniu i zaaplikowano „kurację wodną”. Dwa dni temu wypuszczono nas na wolność.

- Przez dwa dni zdołaliście odejść tylko taki mały kawałek od miasta? Stąd nie ma nawet dziesięciu mil.

- Wiem, ale on nie mógł iść szybciej. Musi odpoczywać już po kilku krokach. Od dawna ma gorączkę, a teraz doszedł do tego jeszcze ból brzucha. Trawi go choroba...

- Rozumiem.

Ramon Obregon podszedł bliżej i wachlując się słomkowym kapeluszem spojrzął w rozpalone niebo.

- W tej części Central Valley jest źle widziane, jeśli robotnicy mówią za dużo. Właściwie powinni odzywać się tylko po to, by powiedzieć: „Tak, proszę pana.”

- Zdążyłem się już o tym przekonać.

Obregon dotknął czoła Marqueza.

- Chryste, jest rozpalony jak piec.

- Tak, proszę pana. Obawiam się, że jeśli szybko nie znajdziemy lekarza umrze.

- Chyba masz rację. - Stary Meksykanin rozejrzał się po równinie. - Niestety, nie ma tu lekarza, ale możemy przynajmniej położyć go w jednym z naszych baraków. To lepsze niż nic. Pomóż mi go podnieść.

Baraki oddalone były o jakąś milę od drogi. Obregon i Mukerji przeprowadzili Marqueza przez wielkie podwórze, omijając płynący jego środkiem rynsztok. Meksykanin uważnie rozejrzał się wokół. W oddali hałaśliwe pompy tłoczyły wodę do podlewania winnicy. Nieco dalej olbrzymi traktor orał pole. Jego wielkie stalowe koła pobłyskiwały w słońcu. Marquez lekko uniósł powieki. Uświadomiwszy sobie, że ktoś stara mu się pomóc, próbował samodzielnie stawiać kroki.

- Podeprzyj go mocniej - szepnął Obregon do Mukerjia. - Padron codziennie o tej porze odwiedza posiadłość. Nie może zobaczyć tu tego człowieka. Ani ciebie. Wyrzuciłby was stąd.

- Nie - powiedział Mukerji.

- Co nie?

- Powiedziałem, że nie mógłby nas stąd wyrzucić.

- Jesteś zbyt pewny siebie - stwierdził ironicznie Obregon.

- Jestem pewny. Ten człowiek jest katolickim księdzem. Świętym człowiekiem, pełnym chrześcijańskiej miłości. Uczył robotników, by pozostawali bierni i nie odpowiadali przemocą, kiedy są atakowani. Szybko uświadomiłem sobie, że się mylił. Zanim opuściliśmy Fresno, odwiedziłem naszego przyjaciela Franka Little'a. Dał mi coś.

Gopal Mukerji rozpiął dwa guziki przepoconej koszuli i Obregon ze zdumieniem dostrzegł za paskiem jego spodni mały rewolwer.

- Mam też naboje - powiedział Hindus. - Nikt nie wyrzuci stąd Diego, dopóki nie poczuje się on lepiej.

Meksykanin popatrzył na swego gościa z większym szacunkiem. Dostrzegłszy jednak w oddali tuman kurzu, przyśpieszył kroku.

- To padron Tarbox. Zanieśmy go do środka, porozmawiać możemy później. Zaciągnęli Diego Marqueza do baraku, w którym znajdowała się wynędzniała,

ciemnowłosa kobieta i dwoje bosych dzieci. Wszyscy oni przyglądali się przybyszom bez zbytniego zainteresowania. Obregon gestem nakazał kobiecie, by zamknęła drzwi. Tętent końskich kopyt stawał się coraz głośniejszy. Po oślepiającym słońcu na podwórzu, wewnątrz baraku wydawało się zupełnie ciemne i chłodne. Kobieta zamknęła drzwi od wewnątrz i usiadła na drewnianej skrzynce ozdobionej wyblakłym już i wytartym emblematem JMC.

## Rozdział 83.

Szóstego marca Fremont Older złożył wizytę przy Greenwich Street. Pod koniec lutego Mack pojechał na północ, ale zdążył już wrócić. Przyjął przyjaciela w gabinecie na parterze.

- Żadnych więcej rozpraw. Żadnych apelacji. Jutro nastąpi wielki dzień - powiedział Older. - Abe Ruef znajdzie się w końcu w San Quentin.

- Zabrało to wiele czasu.

- Owszem. Myślę, że i ty będziesz chciał udać się do więzienia stanowego, by zobaczyć, jak zamykają w nim Ruefa. Karawana wyruszy z więzienia o pierwszej.

- Jak to „karawana”?

- Zrobiła się z tego iście karnawałowa zabawa. Reporterzy wprost szaleją. Wódz jest najbardziej znanym i honorowanym więźniem, jakiego kiedykolwiek zamykano w Quentin. Nie mogą się tam na niego doczekać. Przygotowano już nawet dla niego miejsce pracy w więziennym młynie.

- Wybiorę się na tę uroczystość, jeśli tylko będę mógł - powiedział Mack. W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon i do ich uszu dobiegł stłumiony głos

Alexa Mullera.

Older postukał w poręcz fotela.

- Przekazanie Ruefa do więzienia nie jest jedyną sprawą, z jaką przybyłem. Chciałbym pomówić o otwarciu z tobą, Rudim i wszystkimi innymi z grupy reformatorów..

- Pomówić o otwarciu o czym?

- Wyrok czternastu lat więzienia, jaki dostał Ruef, może zostać skrócony do dziewięciu za dobre sprawowanie. Obecne prawo stanowe zakłada, że więzień nie może zostać wypuszczony, dopóki nie odsiedzi przynajmniej połowy kary. Zamierzam dążyć do zmiany tego prawa. Posłużę się w tym celu „Bulletinem”.



- Wprost nie chce mi się wierzyć w to, co mówisz.

- Abe Ruef został już ukarany. Jest zrujnowany. Nie ma żadnych wpływów politycznych i nigdy już ich nie odzyska. Czemu dalej go upokarzać?

- Ponieważ jest przeklętym łajdakiem, który trząsał tym miastem przez całe lata.

- Ale utoczyliśmy mu już za to krwi. Nie musimy dalej się znęcać. - Older wyjął z portfela złożoną kartkę papieru i podał ją Mackowi.

- Co to jest?

- List do redaktora gazety. Mack z trudem przeczytał rękopis.

„Trzeba być bardzo pewnym siebie, by przetrzymać innego człowieka w więzieniu. Trzeba wiedzieć z całą pewnością, że racja jest po naszej stronie, zanim odczujemy faryzeuszowską radość z upokorzenia Abe Ruefa.”

- Fremont, co to jest? Co to ma znaczyć?

- Biznes, Mack. To wszystko sprawa interesu. Byłem wczoraj w celi Ruefa i zawarłem z nim pewne porozumienie. Gdy tylko znajdzie się w więzieniu, natychmiast zacznie spisywać swoje wspomnienia. Zostaną opublikowane w „Bulletinie”.

Mack ze zdziwienia aż otworzył usta. W pierwszej chwili ogarnął go gwałtowny gniew. Miał ochotę przypomnieć Olderowi, że to z polecenia Ruefa okaleczono Jima. Po chwili jednak nastąpiła smutna refleksja: przecież Jim odszedł z własnej woli.

- A więc to właśnie interesuje twoją gazetę? - spytał gorzko. - Wyznania skazanego łapówkarza?

Older zignorował zawarty w tym pytaniu sarkazm.

- Dokładnie to.

- Dobry Boże - Mack pokręcił głową. Do drzwi zapukał Alex Muller.

- Mam na linii Jesse Tarboxa, proszę pana. To coś bardzo pilnego.

- Wybacz mi na minutę - powiedział Mack, zostawiając Fremonta Oldera samego. Gość natychmiast skorzystał z okazji, by po cichu wymknąć się z domu.

- Znalazłem ich dziś rano - powiedział Jesse Tarbox. Twarz miał zaczerwienioną od słońca, a jego koszula była mocno przeupocona. Na kolanach trzymał jeździecką szpicrutę. - Jest ich dwóch. „Wobblies”, którzy uciekli z Fresno. Jeden śmiesznie owija głowę szmatami, a drugi nazywa się Marquez. Ten w turbanie ma nabity rewolwer. W zasadzie to znalazł ich mój segundo, Keeter. - Homer Keeter stał teraz przed drzwiami biura, bez żenady drapiąc się w kroku i żując trzymaną w kąciку ust słomkę. - Staraliśmy się zachować to w tajemnicy. Bóg raczy wiedzieć, co zrobiliby ci napaleńcy wokół, gdyby ich tu znaleźli.

„Najprawdopodobniej najpierw by mnie zlinczowali” - pomyślał.

- Problem polega na tym, że ten w turbanie i z rewolwerem oświadczył, iż nie pozwoli tknąć swego towarzysza, ponieważ jest on poważnie chory. W dodatku to ksiądz, a przynajmniej za takiego się podaje. Wyobraża pan sobie coś podobnego? Żeby „wobbly” był księdzem?

Zamilkł na chwilę, słuchając głosu w słuchawce.

- Zgadza się, Marquez.

Znowu słuchał przez chwilę.

- Nie, proszę pana, nie mogę po prostu kazać im odejść. Już próbowałem. Homer Keeter westchnął. Tarbox słuchał jeszcze przez chwilę.

- Do diabła, panie Chance. To nieuczciwe. Nie mogę tego tak zostawić. Mój najlepszy brygadzysta, Obregon, zabrał ich z drogi i zaopiekował się nimi. Chętnie wyrzuciłbym Obregona z pracy, ale ma on tutaj osiemnaścioro krewnych.

„A ja boję się ich wszystkich” - dodał w duchu. Znowu słuchał w milczeniu.

- Doskonale wiem, że to moje zmartwienie, ale zupełnie nie mam pojęcia, co robić - wrzasnął. - Właśnie dlatego dzwonię do pana.

Słuchał zdenerwowany, uderzając szpicrutą o spodnie do konnej jazdy.

- W porządku, proszę pana. Nie ruszę się stąd, dopóki pan tu nie przyjedzie, ale proszę zrobić to szybko. Dobrze, proszę pana.

Jesse Tarbox gwałtownie odłożył słuchawkę tak, że zsunęła się z widełek i uderzyła o ścianę.

- Sam nie wiem, czemu pracuję dla tego sukinsyna.
- Ponieważ płaci więcej niż inni. To całkiem proste.
- Przyjedzie tu osobiście.
- Tak myślałem.
- Mniej więcej o tej właśnie porze jutro.
- Niech się lepiej pośpieszy, bo inaczej będziemy mieli w tych barakach rewolucję. Niech pan nakaze wszystkim naszym ludziom, by trzymali gęby na kłódkę. Jeśli ktokolwiek z sąsiadów dowie się, że ukrywamy na ranchu dwóch „wobblies”, będziemy mieli kłopoty.

- Do diabła, to właśnie mu powiedziałem - wybuchnął Tarbox, wymachując szpicrutą z taką siłą, że Homer Keeter aż podskoczył na krześle.

Mack popatrzył na rozkład jazdy, po czym uznał, że szybciej będzie pojechać packardem. Niestety, na południe od Stockton, gdy tylko przejechał przez hrabstwo Stanislaus, złapał gumę. Packard zatańczył na drodze i Mack ostro skrzył kierownicą, by nie wylądować w rowie. Nacisnął hamulec.

Samochód zatrzymał się, wzbijając olbrzymi tuman kurzu, który powoli rzedniał w purpurowym zmierzchu. Mack posłyszał w oddali szczekanie kojotów. Uznał, że źle zrobił,

decydując się na jazdę samochodem. Mógł teraz zmienić koło i jechać dalej albo przespacerować się na najbliższą stację i poczekać na pociąg. Nie lubił jednak czekania.

Zdjął z głowy kapelusz i odłożywszy go na siedzenie obok, oparł czoło o kierownicę. Chłodne wieczorne powietrze owiewało jego twarz. Był zmęczony wielogodzinną jazdą i głodny, nie zabrał bowiem ze sobą żadnego jedzenia. Wiedział, że o pół mili dalej znajduje się mała farma, i zastanawiał się, czy dostanie tam jeszcze o tej porze odrobinę mleka i kromkę chleba. Najpierw jednak musiał zmienić koło. Wsiadł z samochodu, zdjął płaszcz i rozluźnił krawat. Zachodzące słońce rozbłysło na moment na metalowej rękojeści jego kolta. Nieoczekiwany postój jeszcze pogorszył nastrój Macka.

Nakrętki śrub wymykały mu się ze zdrtwiałych palców.

Kiedy wreszcie dotarł do pobliskiej farmy, kupił kwaterkę mleka i pół bochenka chleba, po czym przez godzinę odpoczywał oparty o stóg siana. Ruszył w dalszą drogę, kiedy na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy.

Dojechawszy do hrabstwa Merced przekonał się, że most na rzece jest zamknięty, ponieważ załamał się, kiedy przewożono przezeń ładunek kamieni. Klnąc, nadłożył kilka mil drogi i pojechał do Snelling, gdzie znalazł barcę, która przewiozła go przez rzekę.

Było wpół do pierwszej po południu i choć zaczął się dopiero marzec, panowała upalna pogoda. W powietrzu pachniało tak, jakby był to już sierpień. Mack jechał, nie zatrzymując się już więcej. Nie przystanął nawet po to, by kupić coś do jedzenia.

W pobliżu Chowchilla w hrabstwie Madera jakiś konny policjant wyjechał niespodziewanie z bocznej drogi i pogalopował za nim, strzelając w powietrze. Mack zatrzymał się i został aresztowany za przekroczenie prędkości.

Pokazał swoje dokumenty, powołał się na przyjaciół i znajomych, którzy byli wpływowymi osobistościami w Kalifornii, ale na nic to się nie zdało. Ani urzędnik magistratu, ani policjant nigdy o nim nie słyszeli.

Pomyślał o Abe Ruefie. Jakże on poradziłby sobie w tej sytuacji? zaproponował urzędnikowi i policjantowi łapówkę w wysokości stu dolarów dla każdego i natychmiast obaj stali się dlań bardzo uprzejmi. Policjant osobiście zaprowadził go do przyzwoitej kafejki, proponując, by odpoczął trochę na bujanym fotelu na ganku. Mack powstrzymał wybuch gniewu i odmówił. O wpół do czwartej, zupełnie wyczerpany, ruszył w dalszą drogę.

Zapadał czerwony zmierzch, kiedy packard wjechał wreszcie na podwórze przed barakami. Skończył się już dzień pracy i rodziny robotników schodziły się na kolację. Bose dzieci przekomarzały się ze sobą, w piasku pełzało jakieś nagie niemowlę, a żółty kundel o zmierzwionej sierści szczekając gonił swój własny ogon. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanej ziemi i ostro przyprawionego mięsa.

Mack wysiadł z samochodu i skierował się w stronę baraków. Niektórzy z robotników rozpoznali go: kobiety uśmiechały się nieśmiało, a mężczyźni z szacunkiem pochylali głowy. Mack poczuł się zmieszany. Widocznie Tarbox żądał od tych ludzi, by właśnie z taką uniżonością odnosili się do swych pracodawców.

Wnętrze baraków urządzone skromnie, ale było w nich czysto. Przez całą długość budynków biegły wąskie korytarze. Mieszkania składały się na ogół z trzech pokoi. Ściany były świeżo pobielone, wszędzie też założono elektryczne oświetlenie.

Mack wspiał się na ganek i zobaczył stojącego przed jednym z pokoi mężczyznę w turbanie. Człowiek ów miał brązową, ciemną twarz, ale z całą pewnością nie był

Meksykaninem. Mack minął go i wszedł do środka. Widok Diego Marqueza - otyłego, brudnego i chorego - wstrząsnął nim. Mack czuł przenikliwy zapach potu, którym przesiąkła koszula byłego księdza.

Ukląkł obok pryczy i położył dłoń na czole Marqueza. Niespodziewanie w drzwiach pojawił się jakiś stary Meksykanin.

- Soy Ramon Obregon. Buenos tardes, senor.

- Chance.

- Ya se - lo he visto en fotografias.

Uścisnęli sobie dłonie. Młody Hindus zerknął ponad ramieniem Obregona. Marquez westchnął ciężko i poruszył głową. Po chwili zastygł bez ruchu, oddychając tylko głośno otwartymi ustami.

- Musi mieć bardzo wysoką gorączkę - powiedział Mack po hiszpańsku.

- Leży już tak od kilku dni - odparł Obregon. - Sądziłem, że umrze. Ale wciąż jeszcze żyje. Jest silny jak byk.

- Nie można go tak zostawić. Sprowadzę doktora.

- Dobry pomysł - powiedział Mukerji w tak doskonałej angielszczyźnie, że Mack popatrzył na niego ze zdumieniem. - Diego to wspaniały człowiek. Ale we Fresno nienawidzą go. Niemal tak bardzo, jak nienawidzą Hindusów.

- To ty go tutaj przyprowadziłeś?

- Ja, sir. - Co mu się stało?

- Został aresztowany za wygłaszanie przemówienia. W więzieniu we Fresno przez całą noc polewano nas zimną wodą. Diego już wcześniej źle się czuł. Teraz jest ciężko chory. Zabrałem go z miasta.

- Znalazłem ich na drodze i przyprowadziłem tutaj - wyjaśnił Obregon.

- Nie miałeś prawa tego robić - powiedział ostro Mack

Na twarzy Obregona pojawiło się rozczarowanie. Słyszał w przeszłości lepsze opinie o J. M. Chansie.

- Być może nie miałem prawa - odparł spokojnie - ale na pewno miałem moralny obowiązek. - Spojrzał na pracodawcę twardo i nieustępliwie.

- W porządku - poddał się Mack. - Rozumiem. Pojadę do biura Tarboxa i telefonicznie wezwę lekarza. Zależy mi jednak, by utrzymać to wszystko w tajemnicy. Nie chcę żadnych nieporozumień z okolicznymi farmerami. I tak uważają, że mam zbyt radykalne poglądy.

Na twarzy Obregona dostrzegł lekki uśmiech aprobaty.

- Rozumiem pana. Z pewnością uznali za zbyt radykalne wybudowanie dla nas porządnych baraków z drewnianymi podłogami zamiast klepiska. To nie do pomyślenia: dawać robotnikom przyzwoite kwatery zamiast szałasów. Gdyby nie był pan radykalny, pańscy ludzie nie mieszkaliby tutaj, lecz tłoczyli się w zaniedbanych lepiankach. A więc bez wątpienia jest pan radykałem, sir.

Mack i stary Meksykanin wymienili spojrzenia, w milczeniu zawierając pokój.

Marquez jęknął przez sen. Czerwone promienie zachodzącego słońca zniknęły powoli za horyzontem. Mukerji sięgnął do kontaktu osłoniętej cynowym abażurem elektrycznej żarówki i zapalił ją.

Mack przeszedł przez mroczne już teraz podwórze. Skrzywił się czując zapach brudu i potu po długiej podróży. Ciało ciążyło mu, jakby było z granitu. Podeszedł do pompy i odsunawszy się nieco, by nie pochłapać sobie ubrania, napęłnił kubek stojący obok cembrowiny. Woda była zimna i słodka. Ugasiwszy pragnienie, zwilżył dłonie i obmył sobie twarz.

Kiedy ponownie otworzył powieki, zobaczył Hindusa stojącego w świetle elektrycznej lampy.

- Panie Chance - zawołał on, zbliżając się szybko. - Chciałbym prosić pana o chwilę rozmowy, zanim pan odjedzie. Jestem Gopal Mukerji. W mojej rodzinnej wiosce, w Pendżabie, nauczyłem się pracować na roli. Popłynąłem do Kanady i najmowałem się tam przy żniwach. Potem przybyłem tu, do Kalifornii, gdzie osiedlili się także inni moi rodacy. Kocham ten stan, pomimo nienawiści, z jaką zetknąłem się we Fresno. Chcę być Kalifornijczykiem.

Zmęczony i zniecierpliwiony Mack nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać - odezwał się w końcu.

- Proszę tylko o jedną chwilę, sir. Jestem bardzo dobrym, wytrzymałym robotnikiem. Znam się doskonale na wszystkich pracach polowych, włącznie ze zbieraniem winogron, których, jak widzę, tak dużo pan tu hodzi.

- Na litość boską, Mukerji, nie czas teraz...

- Dlaczego nie, sir? Jestem silny, wykształcony i uczciwy. Proszę dać mi pracę, sir.

Mack oparł się o pompę.

- Zrozum mnie, tutejsi ludzie nie lubią takich jak wy. Czy doświadczenia z Fresno nie nauczyły cię tego? Nie lubią także tych, którzy zatrudniają Hindusów. Powiedziałem to już w baraku i powtórzę jeszcze raz: nie chcę żadnych kłopotów, mam ich już dosyć. Będziesz musiał pójść sobie gdzie indziej.

- Ależ, sir, gwarantuję, że będę najlepszym pańskim robotnikiem. Będę pracował na tej plantacji przez tyle godzin, ile tylko pan zażąda. Chciałbym zaoszczędzić tyle pieniędzy, by sprowadzić tu z Chandpur moją żonę. Mam nadzieję, że w Kalifornii dorobimy się majątku.

- Będziesz musiał iść gdzie indziej. A teraz proszę, wróć do baraku i zejdz ludziom z oczu.

- Sir...



Mack poruszył ramieniem pompy.

- Nie dostaniesz żadnej pracy.

Hindus patrzył w ślad za Mackiem idącym w stronę packarda. Nagle chwycił ogrodowy wąż i chlusnął Mackowi wodą pod nogi. Tego już było za wiele. Mack obrócił się i kopniakiem wytrącił wąż z ręki Mukerjia.

- Do licha, powiedziałem ci, że masz wejść do środka.

- Czy mogę się przedtem napić wody?

Na dziedzińcu panowała zupełna cisza. Stali w ciemnościach z dala od elektrycznych świateł. Nikt ich nie widział. W oddali żółta poświata otaczała szczyty górskiego pasma.

Nagle przypomniał sobie Swampy Hellmana siedzącego na koniu i odmawiającego wędrowcowi choćby łyka wody...

- Sir?

Mack podniósłszy ogrodowy wąż wręczył go Mukerjowi. „Co się do diabła ze mną stało? Jak mogłem zapomnieć? Czy to sprawa wieku? Pieniędzy? Frustracji?” Cokolwiek to było, Macka ogarnęło palące uczucie wstydu. Jesse Tarbox galopem wjechał na podwórze. Czerwony i podniecony z daleka już wymachiwał szpicrutą.

- Homer Keeter powiedział mi, że pan już tu jest, panie Chance. Na drodze widać reflektory samochodów. Cała kawalkada aut.

Mack podbiegł do packarda i wspiał się na pokrywę bagażnika. Z tej wysokości widział całą drogę. Rzeczywiście, sunął nią sznur samochodów. Mack naliczył siedem par reflektorów, nadjeżdżających kolumną ze wschodu od strony Fresno.

Tarbox podprowadził do samochodu swą zdenerwowaną klacz.

- Hej, Sal, uspokój się, przekłeta. - Ściągnął wodze tak gwałtownie, że na pysku konia pojawiła się krew.

- Czemu zawdzięczamy wizytę tych niespodziewanych gości, Jesse?

- Ktoś musiał wygadać się w mieście. Gopal Mukerji podbiegł do packarda.

- Nie dam się stąd wyrzucić, sir - powiedział do Macka. - Przynajmniej dopóki mój towarzysz zupełnie nie wydobrzeje. - Sięgnął pod koszulę i zza paska spodni wyciągnął mały rewolwer.

„Boże Wszchemogący, wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie” - pomyślał Mack.

- W siedmiu samochodach może zmieścić się wielu ludzi - stwierdził przerażony Tarbox. - Mogą spalić plantację i pozabijać naszych robotników.

Czemu nie wyrzuci pan stąd tych ludzi?

Macka ogarnęła pokusa, by posłuchać rady zarządcy. Miał ochotę zrzucić z siebie ten ciężar, ale nie potrafił tego uczynić.

- Nie gadaj tyle, Jesse. Jedź do biura i przywieź broń.

Zeskoczył z bagażnika samochodu, zdjął płaszcz i wyciągnął z kabury kolta. Zajrzał do bębena, żeby upewnić się, że ma w nim naboje. Teraz mógł już nie tylko widzieć, ale i słyszeć nadjeżdżające samochody.

Mack czekał przy pompie z wodą. Wysłał Jesse Tarboxa z powrotem do biura, polecając mu, aby cały czas był przy telefonie. Przypiął kaburę do prawego biodra, by w razie czego móc szybko sięgnąć po kolta. W dłoniach trzymał farmerską strzelbę.

Samochody kierowały się w stronę podwórza, w świetle ich reflektorów wirowały tumany unoszonego z drogi kurzu. W uszach zmęczonego podróżą Macka odgłos ich silników brzmiał jak pomruki głodnych, gotujących się do ataku górskich jaguarów.

Światła pierwszego samochodu oślepiły go na moment. W czarnym fordzie siedziało czterech lub pięciu mężczyzn. Auto skręciło w bok, zatrzymując się tuż przed barakami.

Wkrótce stanęły koło niego pozostałe wozy. Mack patrzył na czternaście jaśniejących w mroku reflektorów. Ścisnął mocno nogi, aby nikt nie zobaczył, jak drżą mu kolana. Nie chciał, by napastnicy wiedzieli, jak bardzo się boi.

Drzwi samochodów otworzyły się ze szczękiem i ze środka wysypali się ubrani w tanie garnitury mężczyźni. Byli to urzędnicy z miasta oraz ogorzali, spracowani farmerzy z okolic Fresno. Mack znał większość z nich, włączając w to sierżanta Phila Lummissa, który dzisiaj był bez munduru, oraz mężczyznę będącego najwidoczniej ich przywódcą. Ten otyły, łysy farmer nazywał się Peter Sledgeman.

Nie spuszczać wzroku z Macka, Sledgeman podszedł do pompy. Reszta mężczyzn uformowała półkole za jego plecami. Mack naliczył dwudziestu trzech ludzi. W zniszczonych pracą rękach trzymali trzonki siekier i młotki. Nie zauważył żadnej broni palnej.

- Witaj, Pete - powiedział, lekko skinąwszy głową.
- Witaj, Mack.
- Co mogę dla ciebie uczynić?
- Myślę, że sam wiesz. Udzieliłeś schronienia dwóm ludziom. Żądamy, żebyś ich nam wydał.

Okrągłe okulary Macka błysnęły w świetle reflektorów samochodowych. Jego włosy lśniły bielą jak świeżo zebrana z krzaka bawełna. Toczona w języku hiszpańskim rozmowa musiała być z pewnością doskonale słyszalna wewnątrz baraków. Mack polecił wcześniej wszystkim ich mieszkańcom, by trzymali się z dala od otwartych okien.

- Powiedziałem, że masz dwóch ludzi...
- Uspokój się, Pete. Słyszałem. Chcecie ich czy mnie? Sledgeman uśmiechnął się lodowato.

- Cóż, coś w tym jest. Nigdy nie trzymałeś z tutejszymi ludźmi. Zawsze uważałeś swoich sąsiadów za coś gorszego od siebie. Wystawiłeś te przekłete baraki, uważając, że namioty nie są dostatecznie dobre dla twoich pracowników...

- To prawda. Nie są dostatecznie dobre. Co jeszcze, Pete?

- Chodzi o tych dwóch czerwonych. Wydaj ich nam, a rozstaniemy się w zgodzie.

- Wydać ich wam? Po co? Żeby poddano ich jeszcze jednej „kuracji wodnej” w więzieniu? Czy też tym razem macie zamiar po prostu ich zlinczować?

- Nie sprzeciwiaj się nam, Mack. Wiemy, że są w środku. Jeden z kuzynów Ramona Obregona wypił za dużo tequili w mieście i to rozwiązało mu język.

- Nie zaprzeczam, że tu są. Ale nie dostaniecie ich. Udzieliłem im schronienia i dobrze wiecie, czemu to zrobiłem. Chyba pamiętasz, iż ziemia, na której stoisz, jest moją własnością, Pete. Chcę, żebyście się stąd natychmiast wynieśli. Wracajcie do domów.

Wtedy wystąpił naprzód inny farmer, Carl Cass. Jego kark był całkowicie czerwony od pracy na plantacji melonów. Żuł prymkę tytoniu, którego sok plamił mu usta. Mack pożyczył mu kiedyś pięćset dolarów na lekarstwa dla ciężko chorej córki, Clarice. Ale w spojrzeniu Cassa nie było śladu wdzięczności za tamtą przysługę.

- Jesteś szalony, Chance. Czemu ochraniaś tych przeklętych czerwonych, którzy tylko czekają na to, by ukraść wszystkie twoje pieniądze i zabrać twoją ziemię?

- Właśnie - mruknął ktoś z tłumu.

- Posłuchaj, Carl - powiedział Mack. - Równie mocno jak ty nie cierpię „wobblies”. Ale wygłaszanie przemówień jeszcze nigdy nie wyrządziło nikomu krzywdy. O ile mi wiadomo, obywatele Ameryki mają prawo przemawiać w dowolnie wybranym miejscu na dowolny temat. Jeśli jednak

ten argument cię nie przekonuje, mam jeszcze jeden: znam jednego z tych ludzi z przeszłości. Ma on wysoką gorączkę, prawdopodobnie cierpi na zapalenie płuc i umrze, jeśli nie sprowadzę do niego lekarza. Życie ludzkie jest ważniejsze od wszystkich pieniędzy i ziemi.

- Od kiedy to? - zapytał jakiś farmer, opierając się o lśniący zderzak swego samochodu.

- Możesz sobie wybić z głowy sprowadzenie tu doktora - oświadczył Sledgeman. - Zatrzymaliśmy się o pół mili stąd i Lenn Sudder przeciął twoją linię telefoniczną. Posłaliśmy także jeden samochód ze zgaszonymi światłami na tyły twojej posiadłości. Jest w nim paru dziarskich chłopców na wypadek, gdyby ktoś próbował wymknąć się stąd przez pola.

Mack poczuł nagle suchość w ustach.

Sledgeman przesunął językiem po wystających żółtych zębach i mocniej nacisnął na głowę stary słomkowy kapelusz.

- Sądzę, że lepiej zrobisz, wydając nam tych ludzi - powiedział podchodząc bliżej.

Mack wymierzył strzelbę w jego pierś. Sledgeman zatrzymał się. Wśród pozostałych farmerów dały się słyszeć jakieś szepty.

- Wolałbym z tego nie strzelać, Pete, ale zrobię to, jeśli mnie zmusisz. Jeśli chcecie tych ludzi, musicie najpierw dostać mnie. Zapewniam jednak, że zabiorę paru z was do grobu.

Sledgeman przygryzł dolną wargę i obrzucił Macka uważnym spojrzeniem, jakby chciał ocenić jego determinację. Po chwili pochylił się i splunął mu prosto pod nogi.

- Łamiesz prawo, Mack.

- Co to, u diabła, ma znaczyć?

- To szeryf Chittenden wysłał nas tutaj - krzyknął w odpowiedzi Carl Cass. - Wszystkich, jak tu jesteśmy.

- Wyjąwszy mnie - powiedział sierżant Lummis z szerokim uśmiechem. Mack potarł dłonią policzek. Pod palcami poczuł ostre igiełki zarostu - odkąd opuścił San Francisco, nie miał w ręku brzytwy.

- Rozumiesz więc...

- Nic nie rozumiem, Pete. Nic nie rozumiem.

- Chcemy tych dwóch, ponieważ mamy do tego prawo.

- Chcę zobaczyć nakaz aresztowania - odparł Mack. Mężczyźni cofnęli się nieco, szepcząc między sobą.

- Zresztą niezależnie od tego, czego chce szeryf, nie ustąpię. - Uniósł dwururkę nieco wyżej.

Sledgeman wzruszył ramionami.

- Poczekamy, aż stąd odjedziesz. Możemy czekać całą noc. Cały tydzień. Chcemy uczynić z tego tłuszciocha i tego szmatogłowego pewien symbol. Przestrozę dla całej tej przeklętej doliny.

- Dla całego stanu - poprawił go ormiański farmer, nazwiskiem Pazjan. Inni przytaknęli mu hałaśliwie.

Sledgeman odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku samochodów. Lummis oraz kilku innych otoczyło go, szepcząc coś z przejęciem. Mack podszedł do drzwi baraku.

- Jest tam kto?

- Tak, sir. To ja, Mukerji - dobiegł go z ciemności cichy głos. - Sprawdź wiszący na ścianie telefon. Powiedz mi, czy działa.

- Nie działa, proszę pana.

Mack zaklął i usiadł zrezygnowany na ganku.

- Zgaś światła - polecił.

Obserwował farmerów i urzędników zawzięcie dyskutujących przy zaparkowanych samochodach. Nigdy nie tracił pieniędzy na gry hazardowe, ale jeśli to, co działo się teraz, przypominało pokera, miał niezbitą pewność, że trzyma w ręku przegrywające karty.

Tykanie. Jednostajne tykanie...

Gwałtownie podniósł głowę. Oprzytomniał.

Gdzieś zapiął kogut. Biały welon mgły przesłonił gwiazdy. Tykanie nie ustawało. Przypomniawszy sobie, gdzie jest, i pożałował, że w ogóle tu przyjechał. Kilka godzin temu nałożył na garnitur płaszcz, ale mimo to przemarzł, ręce miał zgrabiałe z zimna. Kiedy oddychał, z ust wydobywała się para.

Na jego kolanach leżała strzelba, a tykał kieszonkowy zegar z dwudziestoczerokaratowego złota. Ponieważ kupił go jeszcze przed trzęsieniem ziemi, na kopercie widniały wygrawerowane inicjały JMC.

Baraki stały frontem na północ. Od wschodu w dolinę zaczynał wkraczać świt. Mack wyciągnął z kieszeni zegarek i wyteżył wzrok. Wpół do szóstej.

Ziewnął, prostując zeszywniałe nogi. Reflektory samochodów wyłączono już dawno temu, a ci, którzy nimi przyjechali, skulili się wewnątrz lub położyli obok na ziemi, by się zdrzemnąć.

Nagły syk na tyłach baraku oznajmił, że rozpoczął się kolejny cykl irygacyjny. Widocznie Jesse Tarbox włączył prąd w swym oddalonym o trzy czwarte mili biurze.

Mężczyźni w samochodach budzili się powoli. Czyjeś ciche słowa wywołały wybuch śmiechu. Mack, patrząc na gromadę ludzi, poczuł się jeszcze bardziej samotny.

Za plecami usłyszał jakiś szmer, jakby ktoś wewnątrz baraku przesuwiał stoły. A więc Mukerji przesiedziały tam całą noc, czuwając jak służący przy swoim panu. Cóż znaczyły jednak ich rewolwery i strzelba przeciwko dwudziestu trzem przeciwnikom?

Sytuacja nie wyglądała dobrze.

Lummis przywołał Cassa, Sledgemana i pięciu innych mężczyzn. Nad czymś się naradzali. Stali przed czarnym

fordem, tak że Mack mógł ich doskonale widzieć - zresztą pewnie właśnie o to im chodziło. Przez całą noc zastanawiał się, jak uniknąć walki. Uznał, że pomoc Tarboxa i Homera Keetera nic by tu nie dała. Mukerji proponował, że spróbuje przedrzeć się polami po pomoc, ale Mack ostro się temu sprzeciwił. Do kogo miałby się zwrócić? Być może władze miasta i hrabstwa Fresno nie miałyby odwagi zorganizować napaści na posiadłość Macka, ale z pewnością nie kiwną palcem, żeby pomóc mu, kiedy już do czegoś takiego doszło. A znikąd indziej nie mógł się spodziewać pomocy.

Zaciskając dłonie w pięści, Sledgeman gorączkowo tłumaczył coś zebranim przy fordzie ludziom.

- Nie, już teraz - upierał się.

Lummis wzruszył ramionami. Sledgeman zdjął z głowy kapelusz i podszedł do pompy.

- Chance?

- Tak?

- Posłuchaj, bawiliśmy się z tobą całą noc, ale teraz chłopcy są zmęczeni, głodni i zmarznięci i mają już tego dosyć. Przywieźliśmy tu parę baniek benzyny. Jeśli nie wydasz nam tych ludzi, ukarzymy ich tu, na miejscu. Usmażymy im dupy wewnątrz tych baraków. Spalimy ich żywcem, razem z tym twoim litościwym Meksykaninem.

- Pete, w baraku są także kobiety.

- Wiem o tym.

- I dzieci...

- To twój wybór, Mack. Jeśli umrą, wina za to spadnie na twoją głowę.

- Musiałbyś podejść bliżej, żeby podłożyć ogień.

- Zrobimy to. Wszystkich nas nie wystrzelasz.

Na skronie Macka wystąpiły błękitne żyły. Nie chciał nawet myśleć, co się stanie, jeśli napastnicy spełnią swoją groźbę.



- Mukerji? - zawołał przez ramię.
- Tak, proszę pana?
- Czy obstawili także tyły baraków?

- Tak, sir. Dziesięć minut temu widziałem ich także po tamtej stronie. Mack zadrżał, nie był to jednak dreszcz wywołany chłodem. Mimo trzęsących się kolan podszedł do rogu budynku i zerknął na plantację winorośli. W odległości pięćdziesięciu jardów dostrzegł trzech mężczyzn.

Za plecami usłyszał jakiś chlupot. To Cass wylewał na ziemię benzynę z pięciogalonowej bańki, starając się, by nie popłynęła ona w stronę zaparkowanych samochodów. Mack wrócił do drzwi baraku i uniósł strzelbę.

Sierżant Lummis okręcił szmatą stylisko od siekiery i zanurzył ją w benzynie. Odszedłszy ze swą pochodnią na bok poczekał, aż ktoś przytknął do niej zapaloną zapałkę. Kiedy ogień zapłonął na dobre, wolnym krokiem ruszył przez podwórze. Wewnątrz baraku jakaś kobieta płaczącym głosem uspokajała po hiszpańsku garnące się do niej dzieci.

Mack odbezpieczył strzelbę.

- Dość tego, Phil.

- Nic z tego. Mam nakaz policyjny. Jeśli mi się sprzeciwisz, będziesz wisiał - dodał, nie zatrzymując się.

- Phil... - powtórzył Mack napiętym głosem.

- Nie bój się, Phil - wrzasnął Cass. - To człowiek bez jaj. Nie zastrzeli cię z zimną krwią.

Co za sukinsyny. A więc znali go aż tak dobrze.

Nad doliną wschodziło słońce, obiecując swym blaskiem kolejny ciepły kalifornijski dzień.

- Po raz ostatni, Phil, rozkazuję ci, byś się cofnął. Niepotrzebnie ucierpi wielu ludzi.

- Nie uważam, by wyrzucenie radykalnych związków zawodowych z Kalifornii było czymś niepotrzebnym - krzyknął Sledgeman.

- Ma rację! - rozległy się liczne głosy. - Zabić ich, zabić!

Macka ogarnęła wściekłość. Lummis zbliżał się coraz bardziej. Mack przyłożył strzelbę do ramienia. Policjant patrzył mu prosto w oczy. Mack nieomal czuł ciepło płonącej pochodni. Sierżanta dzieliło od niego tylko dziesięć kroków...

„Zrób to. Zastrzel go.”

Tylko siedem...

Tylko pięć...

„Zastrzel go!”

Twarz Lummisa wykrzywił szyderczy uśmiech.

- Jesteś śmierdzącym tchórzem, Chance. Lummis zamierzył się, chcąc przez okno wrzucić pochodnię do baraku. Mack zacisnął zęby i dotknął palcem spustu.

Nagle przez szum płynącej rurami irygacyjnymi wody przedarł się inny, znacznie głośniejszy dźwięk.

- Odsiecz! - rozległ się czyjś krzyk.

- Do diabła, nie! Mieli zawracać każdego, kto próbowałby tędy przejechać - warknął Sledgeman.

Mack ostrożnie zdjął palec ze spustu. Ze zdumieniem zamrugał powiekami, nie wierząc własnym oczom. Lummis obejrzał się i także to dostrzegł. Wyglądało to tak, jak na jednym z filmów „Essanay”. Z rykiem silników drogą nadjeżdżało pięć samochodów. Kolejno skręcały w stronę posiadłości Macka.

- Co się, do diabła, dzieje? - krzyknął Lummis. Płonąca pochodnia zaczęła parzyć go w dłonie, rzucił ją więc na ziemię, gdzie z sykiem zgasła w mokrym piasku. Wzniecając tumany pyłu, samochody wjechały na podwórze.

Bok pierwszego samochodu zdobила złota gwiazda, pod którą wymalowano napis: SZERYF. Na twarzach farmerów i urzędników miejskich pojawił się wyraz paniki. Czarny stoddard-dayton objechał wokół zaparkowane samochody i zahamował tuż przed nimi. Cztery pozostałe wozy zatrzymały

się za nim, blokując drogę. Wskoczyli z nich pokrzykujący coś do siebie po miejsku ubrani mężczyźni. Szeryf także wysiadł z samochodu, poprawiając umocowany na wydatnym brzuchu pas z rewolwerami. Spod kremowego kapelusza widać było jego siwe włosy.

- Wszyscy opuścić pałki - rozkazał z miną nauczyciela przemawiającego do uczniów. - Chance, opuść strzelbę. Lummis, do diabła, co robi stróż prawa pośród tej hałasty?

- Twierdzili, że to pan ich wysłał - odparł Mack. W oczach szeryfa Chittendena błysnął gniew.

- Przekłęci kłamcy. Byliby gotowi powiedzieć wszystko, żeby tylko wydał im pan tych ludzi.

Zza drzwi wyjrzał ostrożnie Mukerji, z rewolwerem w ręku. Na jego widok oczy Sledgema zwięzły się.

- Powiedziałem, wszyscy opuścić kije - powtórzył szeryf. - To rozkaz. Barney, Al, jeśli ktoś nie posłucha, aresztować go.

- Słyszeliście, panowie? - rozległ się jakiś głos. Spomiędzy zaparkowanych samochodów wysunął się młody policjant o chłopięcej twarzy. Za nim kroczył drugi, nieco starszy stróż porządku z winchesterem w dłoni. Z wprawą odebrali najbliższym stojącym mężczyznom kije baseballowe, reszta zaś sama opuściła broń. Wydawało się, że Pazjan oraz kilku innych farmerów odetchnęło z ulgą.

Policjanci przeszukali napastników. Mack zobaczył wyjmowane z kieszeni marynarek chustki, cygara i zegarki z łańcuszkami.

- Kto cię tu u diabła wezwał, Chittenden? - zapytał Sledgeman.

- Dziennikarze z San Francisco, Pete - odparł szeryf. - Przyjechali tu specjalnym pociągiem o wpół do piątej rano.

- Ale jak, u licha, dowiedzieli się o tym wszystkim? - zdumiał się farmer.

- Wytlumaczę ci to - powiedział jeden z reporterów, wysiadając z samochodu i zbliżając się do nich. Miał wypomadowane wąsy i czerwony nos.

- Chętnie posłucham - warknął Sledgeman.

- Jeden z was musiał wygadać się w mieście, co zamierzacie zrobić, ponieważ ktoś przysłał do nas telegram. Być może uważał, że spodobają nam się takie barbarzyńskie wyczyny. Wiadomość dotarła z Sacramento do San Francisco i redaktor naczelny wyciągnął mnie wprost z Shay's Market Street Saloon i kazał natychmiast wsiadać do pociągu, mówiąc, że najprawdopodobniej dojdzie tu do strzelaniny lub linczu. No i jestem, wieśniaku.

Farmer popatrzył na niego ze złością.

- Nie nazywaj mnie wieśniakiem, miejski mądralo!

- Cóż, skoro sobie tego nie życzysz - reporter wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że będę miał dzięki wam świetny tytuł do mojego artykułu. „«Wobblies» w okrażeniu! Motłoch i bezprawie rządzą w hrabstwie Fresno!" Tak, proszę pana, to świetny materiał.

Sledgeman z zaciśniętymi pięściami podszedł do Macka.

- Gdyby nie ty, dostalibyśmy ich. Nikt ci tego nie zapomni.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Szeryf Chittenden wyjął z kabury kolta.

- Chcę coś powiedzieć i radzę, żebyście mnie posłuchali. Wy, tutejsi, wsiadajcie do swoich samochodów i wynocha stąd. Niech inni cofną wozy, żeby mogli przejechać. Dziennikarze także niech wracają do miasta. Przedstawienie skończone.

- Szeryfie, przebyliśmy długą drogę, żeby porozmawiać z tymi ludźmi - zaprotestował jeden z reporterów.

Chittenden zastanowił się przez chwilę.

- W porządku. Pięć minut. Tylko tyle. Dziennikarze natychmiast zasypali farmerów pytaniami.

- Czy to są dziennikarze z gazety? - zapytał Macka Gopal Mukerji.

- Tak. Z San Francisco.

Hindus wsunął rewolwer za pasek spodni i z uśmiechem podszedł do stojącego najbliżej reportera. Napięcie opuściło Macka. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest śpiący i zmęczony. Odstawił strzelbę i pochylił się, by zwilżyć twarz wodą lśniąca w promieniach porannego słońca.

Kiedy wyprostował się i otworzył oczy, ujrzał, że z samochodu dziennikarzy wysiada ktoś jeszcze.

- Nellie!

Był tak zdumiony, że nie mógł się poruszyć. Woda spływała strużkami po jego policzkach i podbródku.

Jej twarz była blada z niewyspania, a we włosach lśniło jeszcze więcej siwych pasemek niż wtedy, kiedy widzieli się po raz ostatni. Patrzyła na niego z dziwnym napięciem, jakby z trudem hamując łzy.

Gopal Mukerji krążył pomiędzy dziennikarzami, ściskając im dłonie.

- Witajcie, panowie. Jestem Gopal Mukerji, Kalifornijczyk i świetny rolnik. Pragnę powiedzieć, że gdyby nie ten dżentelmen, pan Chance, byłibyśmy z pewnością martwi. Albo jeszcze gorzej. To bardzo dzielny człowiek. Mam zamiar pracować dla niego przez wiele lat.

- Czy już zatrudnił pana u siebie?

Gopal Mukerji rzucił Mackowi szybkie spojrzenie.

- Tak - odpowiedział Mack. Twarz Hindusa rozpromieniła się jak słońce. Mack podszedł do Nellie i przytulił ją mocno.

- Mack, mój Boże - szepnęła. W jego ramionach czuła się taka szczęśliwa i bezpieczna. - Puść mnie, kochany. Muszę napisać artykuł...

Mack nie zwrócił uwagi na to, co mówiła. Zaprowadził ją do samochodu i pocałował.

- Co tu robisz? - Mack czuł się jak uczeń, któremu zupełnie niespodziewanie przedłużono cudowne wakacje.

- Słyszałeś, co powiedział Kipper Harkness? Dostaliśmy depeszę z Fresno. Byłam w San Francisco i miałam właśnie siadać do kolacji wraz ze starymi przyjaciółmi z „Examinera”. Zadzwoniono do nas z redakcji i padło przy okazji twoje nazwisko. W ciągu dwudziestu minut gazeta wynajęła pociąg. No i przyjechałam tu razem ze wszystkimi.

Uważnie przyglądała się barakom. Robotnicy, ich żony i dzieci tłoczyli się w oknach na piętrze.

- Czyżbyś był teraz zwolennikiem zatrudniania Hindusów? To coś zupełnie nowego.

- Nie wydaje mi się. Jak wiesz, zawsze żywiłem namiętną sympatię do uciskanych. A ten młody człowiek, Mukerji, do takich należy. Marquez także.

- Diego Marquez?

- Tak, jest w środku. - Mack oparł się o zderzak forda. - Zanim zabierzesz się do pracy, coś ci powiem. Chcę dzielić się wszystkim, co mam, z tymi ludźmi. Chcę pomagać im w ich kłopotach. - Wylał wilgotną jeszcze od wody twarz. Postanowił zaryzykować. Zamierzał powiedzieć to możliwie obojętnie, choć przypuszczał, że Nellie i tak wyczuje w jego głosie napięcie. Pewnie już teraz słyszała, jak mocno bije mu serce. - Nie chcę wracać do poprzedniego życia, Nellie. I chciałbym mieć taką żonę, która swym piórem wspomogłaby mnie w moich wysiłkach.

- Chciałbyś mieć...? - Usta Nellie zadrżały. Zaskoczenie wprost odebrało jej głos.

- Żonę, Nellie. Żonę. Jej oczy wypełniły się łzami. Przytuliła twarz do jego policzka, nie dbając o to, że ktoś

może ich zobaczyć. - Do diabła, Mack. Jak napiszę choć jedno sensowne zdanie po tym, co od ciebie usłyszałam?

- Nie wiem. Po prostu musiałem to powiedzieć. Mam już dość życia bez ciebie. Zbyt długo pozwalałem, by kierowały mną duma i ambicja. Nigdy nie kochałem żadnej innej kobiety. Dobrze o tym wiesz. I właśnie ja ponoszę odpowiedzialność za to, że nie mogliśmy być razem.

- Ja też - szepnęła Nellie. - Bardzo się zmieniłeś.

- Nie wiem - westchnął. - Ale na pewno próbuję się zmienić. Uśmiechnęła się i położyła głowę na jego ramieniu.

- Ja także się zmieniłam. Czy widzisz, ile mam już siwych włosów?

- To normalne.

- Nie jestem już młoda. I nie jestem już taka pewna siebie. Przynajmniej nie w ten sposób jak w wieku dwudziestu lat. To kara za to, że się zestarzałam. I powiem ci coś jeszcze: nocami marzę w łóżku. Książki mnie nie ogrzeją. Myślę, że mąż byłby... bardzo pożądanym.

- Odpowiedni mąż.

- Jest tylko jeden taki, Mack. - Przytuliła się do niego. Po jej twarzy spływały łzy. Peter Sledgeman przeszedł obok samochodu, rzucając im wrogie spojrzenie.

- Nigdy nie było nikogo innego - pocałowała jego suche, spierzchnięte wargi.

Mack czuł, jak kręci mu się w głowie z radości i wyczerpania.

- Muszę wyciągnąć Tarboxa z nory, w której się schował - powiedział. - I wysłać go do Fresno po doktora.

- A ja muszę zająć się swoim artykułem - oświadczyła Nellie. Sięgnęła po notes i popatrzyła na szeryfa Chittendena. Odchodząc, szepnęła: - Bądź błogosławiona, Margaret.

- Co powiedziałaś? - zapytał Mack.

- Nic, kochanie. Nic.

Dziewięć dni później Diego Marquez poczuł się na tyle dobrze, by opuścić barak. Mack zawiózł go do Fresno, żeby mógł tam wsiąść do pociągu Southern Pacific.

Wchodząc z przyjacielem na peron, zastanawiał się, co też stanie się teraz z byłym księdzem, wciąż jeszcze bardzo bladym po przebytych zapaleniu płuc.

- Żegnaj, Mack. Dzięki za to, co zrobiłeś.

- De nada. Musiałem tak postąpić. Mam nadzieję, że teraz znów będziemy prawdziwymi przyjaciółmi.

- Kiedyś miałeś mi za złe, że próbuję być twoim sumieniem - powiedział Marquez, uśmiechając się lekko. - Czy sądzisz, że jakikolwiek człowiek może zaprzyjaźnić się z własnym sumieniem?

- Mówiłem poważnie, Diego.

- To, co proponujesz, jest niemożliwe.

- Kiedyś było możliwe.

- Wszyscy zachłanni ludzie pogardzają duchem wolności. Czyżbyś stanował wśród nich wyjątek?

- Skoro tak o mnie myślisz, znaczy to, że nigdy mnie dobrze nie poznałeś.

- Znam siebie. Wiem, w co wierzę i o co się modlę. Kościół próbował poprowadzić mnie wąską, choć wygodną ścieżką, porzuciłem go więc, wkraczając na inną, szerszą drogę, pełną cierni i pułapek, mimo że miałem niemal całkowitą pewność, że powiedzie mnie ona ku ciemności. To wspólna droga głupców i bohaterów, którzy tak głęboko wierzą w zwycięstwo, że bez sprzeciwu godzą się na ukrzyżowanie. Walczymy po dwóch różnych stronach barykady.

- Walczymy w różnych armiach, ale po tej samej stronie.

Marquez popatrzył na niego z powątpiewaniem. Uścisnęli sobie ręce i były ksiądz wsiadł do wagonu. Na moment jego



oczy zaszyły mgłą. Zachwiał się. Czarny bagażowy podtrzymał go, póki nie odzyskał równowagi.

Mack pokręcił głową. Jakąż dziwną parę stanowili on i Marquez: dwa kalifornijskie wyrzutki.

- Dziękuję bardzo - powiedział Marquez.

- Naprawdę nie ma za co. Marquez uczynił nad czołem bagażowego znak krzyża.

- Niech ci Pan Bóg sprzyja.

Murzyn pomógł mu wgramolić się na stopnie. Kiedy buchający kłębami pary pociąg zniknął w oddali, Macka ogarnęło głębokie uczucie smutku.

Tej nocy miał dziwny sen. Zaczynał się podczas zawiei śnieżnej, ale wkrótce przeniósł się do Kalifornii. Mackowi śnił się Swampy, odmawiający mu wody ze strumienia. A potem zobaczył samego siebie przepędzającego Gopala Mukerjia z podwórza przed barakami.

Obudził się o trzeciej nad ranem przekonany, że dokładnie wie, co ten sen oznaczał. W pewnym momencie upodobił się do Waltera Fairbanksa, człowieka, który znalazłszy złoto, odmawiał innym prawa do poszukiwań.

Rano, za pomocą naprawionej już linii telefonicznej, skontaktował się z urzędującym przy Greenwich Street Alexem Mullerem.

- Odszukaj adres Yacoba Steinweisa. Zawiadom go, że zdecydowałem się sprzedać mu ziemię, o którą prosił.

## Rozdział 84.

W piątkowe południe pewnego sierpniowego dnia 1911 roku, podczas cywilnej uroczystości James Macklin Chance poślubił w salonie „Hollywood Hotel” Natalię Rotchev. Pannę młodą poprowadził narzeczone mu William R. Hearst. Johnson specjalnie przybył z Niles, by być drużbą Macka. Kiedy wszedł do hotelu, personel rozpoznał go natychmiast, a ktoś zdobył się nawet na odwagę, by poprosić o autograf. Tak oto rosła sława Broncho Billa, jego filmów i grających w nich aktorów.

W hotelu kłębił się tłum dziennikarzy. Wśród niezbyt licznych zaproszonych przez Macka gości byli: Alex, jego żona Sophia, Billy Biggerstaff - zarządca z Riverside - wraz z małżonką, Haven Ogg z przedsiębiorstwa naftowego, razem z żoną i dwanaściorciem dzieci, oraz Enrique Potter, teraz już wdowiec. Około siódmej Mack i Nellie życzyli gościom dalszej miłej zabawy, po czym udali się do sypialni największego hotelowego apartamentu. Nie było między nimi nieśmiałości ani pośpiechu, jakie towarzyszą z reguły młodym kochankom, ale raczej uczucie zadowolenia i spokoju, jakby na nowo spotykali się po długim rozstaniu.

Późnym wieczorem, leżąc obok siebie, wspominali cierniste drogi, jakie każde z nich przebyło, oraz zakręty życiowe, które nieomal ich pokonały. Nellie stawiała przed swoim mężem poważne wymagania.

- Jeśli daję ci kawałek siebie, oczekuję tego samego z twojej strony. Nie pozwolę się ignorować i zaniedbywać, tak jak to robiłeś z Carlą.

- Rozumiem. - Mack wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku. - Która to godzina? - Wziął z nocnego stolika swój kieszonkowy zegarek i wstawszy nago z łóżka, pochylił się nad nią. - Wpół do jedenastej. Muszę iść.

- Teraz? Dokąd?

- Na dół. Szef kucharzy obiecał udostępnić mi kuchnię, gdy tylko zamkną restaurację.

- Dlaczego, u licha...

- Bądź cierpliwa. To niespodzianka.

Pocałował ją mocno, po czym założywszy spodnie i koszulę, zniknął w ciemnościach. Nie było go aż do północy.

Stojący na rogu Hollywood i Highland mężczyzna bacznie obserwował wysokie okna hotelowego apartamentu dla nowożeńców.

W nocnym powietrzu unosił się zapach kurzu i wilgoci, zmieszany z aromatem rozkwitających różanych pączków. Jednakże ów człowiek, którego wiek i rysy twarzy skrywała ciemność, zdawał się obojętny na te subtelne zapachy. Jedyłą rzeczą, która go interesowała, był blask elektrycznych lamp oraz poruszające się za zasłonami cienie postaci.

W porządku. Wciąż tam byli. Może spokojnie spać aż do rana. Przewędrował kilka przecznic, zanim znalazł przejście pomiędzy pełnymi śmieci pudłami. Wiodło ono ku ogrodzeniu, na którym umieszczono tablicę: WSTĘP PSOM, ŻYDOM I AKTOROM WZBRONIONY!

Wyatt drżąc przemknął się między skrzynkami. Język miał suchy i obrzmiały. W jego uszach, włosach, pod pachami i na łonie kłębiły się tysiące wszy. Sięgnął do kieszeni postrzępionego, o dwa numery za dużego, kradzionego płaszcza i omal nie złamał igły, kiedy trzęsącymi się dłońmi robił sobie zastrzyk.

Rankiem Mack umieścił na dachu wynajętego wozu dwa wielkie kufry i wkrótce państwo Chance ruszyli na zachód Bulwarem Zachodzącego Słońca, szeroką, brudną aleją z wiszącą nad jezdnią trakcją trolejbusową i przewodami telefonicznymi. Hollywood było tłoczną, małą miejscowością, pełną placów do wynajęcia oraz przeniesionych jakby żywcem ze środkowego Zachodu domków. Nellie uśmiechnęła się i

zaczęła nucić coś pod nosem. Po tym, jak Mack wrócił do łóżka pachnący mąką, przyprawami i innymi kuchennymi woniami, nie usnęli już ani na chwilę. Mimo zmęczenia czuli się jednak wspaniale.

- Konia pod siodło - powiedział Wyatt do młodego stajennego w Knarr's Sunset Livery. Blisko dwadzieścia minut obserwował położony na uboczu budynek, zanim upewnił się, że wewnątrz zostanie tylko jedną osobę.

- Mamy tu piękną, szybką klacz o imieniu Rosabelle. Potrzebuje pan wierzchowca na jeden dzień czy też na dłużej?

- Na jeden dzień - odparł.

Chłopak sięgnął po derkę.

- Proszę się pośpieszyć.

Kiedy Rosabelle była już osiodłana, młody stajenny uważniej przyjrzał się nieznanemu. Jego nieokreślonego koloru garnitur był poplamiony, włosy zaś długie i zlepione w długie strąki. Nawet biały kołnierzyk koszuli miał szarawy odcień. Chłopak uznał, że dobrze będzie zniechęcić tego klienta, wyznaczając mu podwójną cenę.

- Sześć dolarów.

Wewnątrz stajni było ciemno i pachniało sianem. Wyatt rzucił okiem na drzwi. Chłopak wyciągnął rękę po zapłatę, mając nadzieję, że przybysz nie będzie miał tyle pieniędzy. I wtedy nagle Wyatt złożonymi rękami uderzył go w podbródek, a kiedy młody mężczyzna upadł, kilka razy kopnął go w głowę.

Konie zaczęły rzeć i uderzać kopytami w żłoby. Wyatt zatkał stajennemu dłonią usta i zaciągnął go do pustego boksu. Trzymając się barierki i nie spuszczać oka z drzwi, ponownie począł butami nabijanymi ćwiekami kopać swoją ofiarę w głowę, szyję i klatkę piersiową.

Upewniwszy się, że chłopak nie żyje, zamknął starannie stajnię, dosiadł Rosabelle i pognął przez Bulwar

Zachodzącego Słońca, klucząc między czerwonymi, miejskimi trolejbusami.

Nastał kolejny upalny poranek. Mack zdjął marynarkę. Podnóże gór Santa Monica przybrało dziwną, żółtawą barwę. Podmuchy łagodnego wiatru unosiły z ziemi tumany kurzu.

Mack skręcił w stronę Coldwater Canyon. Kiedy mijali ostatnią farmę, jej gospodarz, który stał właśnie na drabinie reperując wiatrak, zapytał ich, czy wybierają się w góry.

- Tak. Mam tam posiadłość. Chcemy rozbić na jej terenie obóz.

- Proszę być ostrożnym z paleniem ognia. Panuje okropna susza i łatwo o pożar.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział Mack ruszając w dalszą drogę.

O zmierzchu Wyatt wślizgnął się do sadu o kilkaset jardów od krętej drogi wiodącej do Coldwater Canyon. Wiał silny wiatr, ale nie zanosilo się na deszcz. Wieczorne niebo było żółto - białe jak rozpalony mosiądz.

Drżący i zmarznięty Wyatt ukrył się za drzewem, by zaaplikować sobie ostatnią dawkę narkotyku. A potem, odrzucił strzykawkę, która błysnęła w promieniach zachodzącego słońca.

Mack wyprzągnął konia i założył mu na głowę wielki worek z obrokiem. Czując zapach Wyatta, zwierzę zarżało. Wyatt podszedł do zaniepokojonego konia i poklepując starał się go uspokoić, jednocześnie rozglądając się po okolicznych wzgórzach. W pewnej odległości zauważył smużkę unoszącą się nad obozem. Gorące, nieruchome powietrze i pył sprawiały, że czuł się okropnie brudny. Wrażenie to potęgował jeszcze czterodniowy zarost. Nienawidził tego przepoconego, stęchłego odoru swojej skóry - była to woń ubóstwa, zapach przegranej...

Cóż, wszystko to się zmieni. Prawnik złoży uzgodnioną sumę pieniędzy na osobistym bankowym koncie Wyatta, co pozwoli mu znowu stanąć na nogi. Układając swój plan nie przewidział, że Mackowi będzie towarzyszyła Nellie, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Przemawiał łagodnie do konia tak długo, aż zupełnie go uspokoił, po czym wąskim szlakiem począł wspinać się pod górę.

Znalazłszy odpowiednią polanę, Mack rozbił na niej podwójny namiot. Kiedy rozpałał małe ognisko, Nellie niespokojnie rozejrzała się po okolicznych wzgórzach.

- W pobliżu jest gospoda, Mack - powiedziała. - Czy naprawdę powinniśmy nocować pod namiotem?

Mack także rozejrzył się dookoła.

- Zachowam specjalną ostrożność i zaleję ognisko wodą, kiedy będziemy już szli spać. Mogę także zrobić to: wielkim składanym nożem starannie wyciął pas darni dookoła ogniska, a potem, usunąwszy trawę, wykopał rowek.

Rozstawili mały piknikowy stoliczek i z jednego z kufrów Mack wyjął dwie butelki wina „Sonoma Creek”, który to trunek cenił sobie najbardziej. Z drugiego wyciągnął tacę, sztućce, talerze, serwetki i kieliszki oraz przywiezione ze sobą przysmaki.

Na pierwszy ogień poszło *pate en croute* z wołowiny i cielęciny oraz grzybów i panierowanych grzanek. Następnie Mack podał przepołowione awokado ze świeżymi plasterkami cytryny. Głównym daniem okazało się *matambre*, potrawa, którą Mack nauczył się przyrządzać od swej argentyńskiej kucharki, którą zatrudniał w Riverside. Były to cienko rozbite, zawijane steki, które napełniano w środku liśćmi szpinaku, cienkimi krążkami cebuli, marchewką, papryką, oliwkami i gotowanymi na twardo jajami, po czym zalewano czerwonym winem i zapiekano. Mack wyjął je teraz ze skrzynki z lodem,

który zdążył się już zamienić w zimną wodę, i pokroił w plasterki. Deser stanowiły winogrona i pomarańcze.

- Oto przyjęcie weselne, pani Chance - powiedział.

- Wygląda wspaniale. Będę musiała wynająć kucharza. Nie mogę bez przerwy siedzieć z tobą w kuchni.

- Przyznam ci się, że nie wszystko zrobiłem sam. Hotelowy kucharz pomógł mi w przygotowaniach.

- Nie musisz silić się na fałszywą skromność. Masz wielki talent do gotowania.

- Przygotowując ten posiłek poczułem tęsknotę za końmi do gry w polo oraz za wszystkimi tymi rzeczami, które tak lubiłem, zanim w moim życiu wydarzyło się tyle złego. - Klęknął obok niej i pocałował ją w policzek. - Ale ty to wszystko naprawisz.

- Spróbuję. Usiedli przy stoliczku, na którym stały talerze i kieliszki z winem. Ciemniejące niebo było gorące i przejrzyste, a w oddali migotały gwiazdy. Na południu, na otwartej równinie ciągnącej się wzdłuż Wilshire Boulevard, dostrzegli światelka szybów naftowych. Płótno namiotu łopotało na wietrze.

Po jedzeniu, z uczuciem błogiej sytości sącząc wino, omawiali przy świetle ogniska plany domu, które Mack zabrał ze sobą.

- Podobają mi się - powiedziała w końcu Nellie, przejrząwszy je uważnie. - Mnie też. Czas już wybudować nowy dom na Nob Hill.

W powietrzu wirowały niesione przez wiatr źdźbła pożółkłej trawy. Mack od lat nie odwiedzał tych wzgórz i teraz czuł się świeżo i radośnie.

- Uśmiechasz się - stwierdziła Nellie.

- Jestem szczęśliwy. Żałuję, że nie ma tu Jima, ale skoro oszedł, cieszę się tym, co mam. - Pochylił się i złożył na jej

ustach delikatny pocałunek. - Bardzo mi się pani podoba, pani Chance.

Nellie pogładziła go po policzku, ale w jej oczach pojawił się na chwilę wyraz zadumy.

- Czy naprawdę sądzisz, że z Jimem wszystko w porządku?

- Tak. Wiem, że żyje, ale zdaję też sobie sprawę, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Być może teraz nie będę go już nawet szukał.

- Och, Mack, nie mów tak.

- Kiedy to prawda. Chyba nie potrafiłbym już wysłuchać tego, co o mnie myśli.

- Ale jeśli uważasz, że jest jeszcze jakaś szansa, by go odnaleźć, nie wolno ci się poddawać. Nie wolno, póki starczy ci tchu w piersiach.

Mack lekko dotknął jej włosów.

- Czy sądzisz, że sam o tym nie wiem? Boże, nie ma przecież godziny, żebym o tym nie myślał.

Miała rację, absolutną rację. Będzie niósł ten ciężar do samej śmierci. Ale jednocześnie, gdzieś w głębi duszy, czuł lęk. Kiedy wyobrażał sobie, jakimi uczuciami darzy go Jim, był przerażony.

Płótno namiotu coraz mocniej łopotało na wiejącym od gór wietrze. Jego podmuchy unosiły z ogniska snopy iskier, rozrzucając je wśród wysokich chwastów wokół polany. Mack popatrzył w niebo.

- Wiatr zmienia kierunek. Nadchodzi santan. Chyba będzie lepiej, jeśli jutro rano wrócimy do domu. Mam parę rzeczy do załatwienia w Riverside.

Nellie delikatnie przesunęła palcem po jego podbródku.

- Dobrze. Ale wciąż jeszcze mamy przed sobą tę noc. - Pocałowała go, przymykając oczy. - Nie rozumiem, czemu



musiało minąć tak wiele czasu, nim posłuchałam głosu rozsądku.

- To dotyczy nas obojga, Nellie. Miałem całkowicie błędne wyobrażenie o roli kobiety.

- A ja zupełnie złe wyobrażenie o mojej własnej roli. Tak naprawdę zawsze podziwiałam cię za to, co robiłeś. Szczególnie zachwycało mnie to, że potrafiłeś wykorzystywać swoje sukcesy dla tak wielu pożytecznych celów. Mack uśmiechnął się.

- Czyżbyś mówiła mi pochlebstwa po to, bym w przyszłości zabrał cię w jakąś lepszą podróż poślubną?

- To jest najcudowniejsza podróż w moim życiu. Jedyna, jakiej naprawdę pragnę.

Pocałowała go.

Nad nimi huczał santan.

Nieco dalej, wśród wysokich zarośli, tak suchych, że trzeszczały, gdy, się ich dotykało, Wyatt obserwował parę siedzącą obok dogasającego ogniska. Był bardzo zadowolony ze zmiany kierunku wiatru.

Sięgnął do kieszeni po ostatni kawałek chleba, jaki mu pozostał, i wsunął go do ust. Znowu pogrzebał w kieszeni, tym razem wyjmując z niej pudełko zapalek. Wiedział, że musi poczekać, aż zasną, zanim podłoży ogień. Zwinął się w kłębek, przygotowując się do długiego czuwania. Po dziesięciu minutach poczuł, że oblewa go pot, po pół godzinie zaś zdrętwiały mu palce, a w uszach pojawił się dziwny szum. Jeśli nie wróci zaraz do Los Angeles i nie wypali fajki opium lub nie wstrzyknie sobie morfiny, umrze. Nie mógł czekać całymi godzinami.

Ponownie wyciągnął z kieszeni zapalki.

Wiejący od gór wiatr coraz bardziej się nasilał.

- Dorobiłem się w Kalifornii większych pieniędzy, niż o tym marzyłem - powiedział Mack, wspierając się na łokciu. - I

budowałem dookoła siebie coraz wyższy mur. Nie rozumiałem, co się ze mną działo, aż do chwili, kiedy ten młody Hindus rzucił mi pod nogi ogrodniczy wąż. Miałem później sen, który uświadomił mi, że próbowałem postąpić z nim tak samo jak Swampy i Fairbanks postąpili ze mną. Niewiele brakowało, a zatrzasnąłbym drzwi także przed Steinweisem. „Mam już dużo, ale trzymaj się ode mnie z daleka, bym mógł zdobyć jeszcze więcej...”

- Wielu ludzi z Kalifornii myśli w ten sposób - powiedziała Nellie.

- Bo taka właśnie jest ludzka natura.

Silny podmuch wiatru rozrzucił po polanie iskry z ogniska. Przez chwilę wirowały w powietrzu, po czym opadły na ziemię. Zatliła się wysoka po kolana trawa. Mack zerwał się z koca, na którym leżeli, i zdeptał ogień.

- Ten farmer miał rację. Wszystko tu suche jak pieprz.

Ukryty ponad ich obozowiskiem Wyatt usłyszał te słowa. Uśmiechnął się. Potarł zapałkę o podeszwę buta i zbliżył ją do szeleszczących zarośli.

Nellie zobaczyła nagły błysk ponad nimi i z krzykiem zerwała się na równe nogi.

- Mack, widziałam tam kogoś na wzgórzu.

- Jesteś pewna?

- Tak. Widziałam mężczyznę. Podpalał krzaki.

Mamrocząc coś do siebie, Wyatt przedzierał się przez zarośla. Po chwili zapalił kolejną zapałkę, rzucając ją na ziemię. Kawalek dalej zapalił trzecią. W miejscach, gdzie upadały, natychmiast zaczynała płonąć trawa. Ogień rozprzestrzeniał się szybko. Wspiąwszy się na palce, Wyatt zatarł ręce z radości.

- Teraz ja także go zauważyłem - zawołał Mack, przekrzykując szum wiatru i trzask ognia. Płomienie ogarniały coraz to nowe połacie suchej trawy porastającej wzgórze.

- Chodźmy, Nellie. Musimy zejść na dół.
- A co z namiotem? Tu są nasze rzeczy...
- Do diabła z nimi! Pośpiesz się.

Chwycił ją za rękę, na której miała teraz skromną złotą obrączkę. Ruszyli w dół, w stronę, gdzie zostawili konia. Ogień utworzył już czerwony mur, na którego szczycie powiewały flagi dymu. Przebiegłszy dwadzieścia jardów, obejrzeni się za siebie. Długi język ognia dosięgnął właśnie ich namiotu. Płótno poczerniało i zniknęło w płomieniach. Mack otoczył Nellie ramieniem. Wiatr szarpał jej suknię, zerwał z głowy kapelusz i potargał siwiejące włosy. Ślizgając się i potykając biegle ścieżką, co jakiś czas oglądając się na huczącą za nimi ścianę ognia.

Wyatt obserwował ich ze szczytu wzgórza. Ogarnęła go nagła wściekłość. Popęłił błąd nie czekając, aż zasną, i dlatego mu uciekli.

„Nie, nie” - powiedział do siebie.

- Nie! - powtórzył głośno.

Omijając ogień, zaczął zbiegać ze wzgórza. Płomienie rozprzestrzeniały się teraz z nieprawdopodobną wręcz szybkością. Santan niespodziewanie zmienił kierunek i rękaw ubrania Wyatta zatlił się dosięgnięty językiem ognia.

Podpalacz krzyknął przeraźliwie. Udało mu się zdusić płomienie, ale stracił przy tym równowagę, upadł i potoczył się zboczem, kalecząc się do krwi o drobne kamienie i raniąc twarz kolcami suchych krzewów. Zatrzymał się dopiero w biegnącym w poprzek wzgórza płytkim rowie.

Lewą nogę miał wygiętą pod dziwnym kątem. Spróbował ją wyprostować. „Chryste, co za ból...” Jęknął, czując jednocześnie intensywny żar. Obrócił głowę i tuż nad sobą ujrzał płomienie.

- Mack! Mack, pomóż mi! - wrzasnął przerażony.

Mack usłyszał jego wołanie. Zatrzymał się gwałtownie. Nellie krzyknęła i szczękając zębami przywarła do niego całym ciałem. Poczuł w ustach smak krwi z przygryzionego języka.

Pogładził ją po głowie, patrząc na szalejące w górze płomienie. Nie był pewien, czy rzeczywiście ktoś go wołał, czy też tylko tak mu się wydawało.

- Mack!

- Ten człowiek jest ranny.

- Ten, który podłożył ogień?

- Boże, Nellie! Wiem, kto to jest! - powiedział nagle ze zdumieniem, puszczać ją.

- Nie możesz tam iść... - zaczęła Nellie, ale on biegł już pod górę. Wspinał się, walcząc z podmuchami wiatru, dławiącym dymem i piekielnym żarem.

Wyatt leżał na boku w płytkim rowie, nie mogąc ruszyć się z bólu. Czuł, że ogień jest coraz bliżej. Przez głowę przebiegały mu myśli, jakich nie miał już od dawna. Wyciągnął rękę.

- Pośpiesz się, Mack.

- Wyatt, to ty?

Oszołomiony bólem i lękiem Wyatt rozpłakał się.

- Nie chciałem cię zabić - szlochał. - Ale Fairbanks obiecał mi za to mnóstwo pieniędzy...

Zdyszaniem wspinaczką Mackowi nagle zabrakło tchu.

- Fairbanks? - krzyknął, mając nadzieję, że się przesłyszał.

- Tak - odparł Wyatt tak wyraźnie, że nie było mowy o pomyłce.

Mack znajdował się już niedaleko od rannego, ale ogień był szybszy. Płomienie poczęły go parzyć. Na wzgórzu było jasno jak w samo południe. Santan i ogień tworzyły diabelski, sopranowo - basowy duet.

- Mack, pośpiesz się. Jestem ranny. Nie mogę się ruszyć...

- Trzymaj się - krzyknął Mack, wspinając się z wysiłkiem.

Ściana ognia pochyliła się nad rowem, sięgając nieomal jego twarzy. Dym oślepił go i wdarł się do płuc, wywołując atak kaszlu.

„Naprzód. Nie poddawaj się.”

Starał się przebrnąć przez ogień, ale płomienie huczały tuż nad jego głową. Przez ich pomarańczowo żółte języki widział, jak zapłonęły spodnie, a potem włosy Wyatta. Wciąż postępująca ściana ognia zmusiła Macka do cofnięcia się.

Mack trzymał Nellie w ramionach, głaszcząc jej ciemne włosy. Gdzieś w oddali biły dzwony.

- Nie mogłem mu pomóc - powiedział, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy gniewu. - Zginęlibyśmy razem. Boże, co za wstyd.

- Czemu tak się tym przejmujesz? Przecież on przyszedł tutaj, by cię zabić.

- Musiał chyba oszaleć. Biedny Wyatt. Biedny Wyatt, jeden z tych, którym nie spełniło się kalifornijskie marzenie.

## Rozdział 85.

Opera nosiła tytuł Trubadur. Podczas pierwszego antraktu państwo Chance oraz ich goście - gwiazda wytwórni „Essanay” Margaret Leslie i aktor H. B. Johnson - opuścili swą lożę i zeszli do holu.

Była to pierwsza premiera w tym sezonie. Margaret wzbudzała powszechne zainteresowanie - jej twarz stała się w ciągu ostatnich miesięcy powszechnie znana. Natomiast w wystrojonym w biały krawat i frak Johnsonie trudno było rozpoznać starego kowboja z filmów o Broncho Billu. - Podoba się wam? - zapytała Margaret, przeciskając się przez tłum.

- Niezbyt - odparł szczerze Johnson. - Nie rozumiem Włochów i nie wiem, o co chodzi w ich operach.

- Zrozumiesz w następnym akcie - uśmiechnęła się. W świetle olbrzymiego kryształowego żyrandola lśniąca na jej rękawiczce diamentowa bransoletka migotała tysiącem barw. Anderson ofiarował ją jej w dowód uznania za to, że wzbudzała taką sympatię u widzów.

Schodząc w dół marmurowymi schodami, Mack i Nellie natknęli się na znajomą parę.

- Mack uścisnął rękę Hiramowi Johnsonowi, a Nellie przywitała się z jego żoną.

Gubernator odciągnął Macka ku balustradzie i szepnął mu coś na ucho. - Rozważano to bardzo starannie - dodał na zakończenie. Gdy zeszli ze schodów, Mack pobladł nagle.

- Co ci jest, kochanie? - zapytała Nellie i w tym momencie także dostrzegła trzymającą się z dala od innych parę.

Walter Fairbanks III i jego żona.

Macka ogarnęła furia. Nie widział Fairbanksa od czasu, gdy Wyatt zginął u stóp wzgórzy Hollywoodu. Jego spalonego ciała nigdy nie odnaleziono. Mack sądził, że były współnik

jest też odpowiedzialny za strzelanie do jego samochodu w Riverside. Nellie ciekawa była, jak jej mąż zareaguje na widok człowieka, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zlecił Wyattowi zamordowanie go. Pomyślała, że dawniej, w starej Kalifornii, ludzie w takiej sytuacji wyciągali rewolwery i strzelali do siebie .

Mack stanął przy balustradzie schodów, zagradzając prawnikowi drogę na górę.

Musiał przyznać, że Fairbanks nie stara się unikać jego wzroku. Sądził, że usłyszy od prawnika jakieś słowa powitania, i zastanawiał się, jak powinien na nie zareagować, ale Fairbanks zaledwie lekko skinął głową i ruszył dalej, podtrzymując ramieniem żonę. Carla uśmiechnęła się do Macka przepraszająco. Kiedy znalazła się na tym samym stopniu, co on, zachwiała się nagle. Mack wyciągnął rękę, by uchronić ją przed upadkiem. Jej oczy były zamglone i półprzytomne, ale mimo to wciąż było w nich coś młodzieńczego i pięknego - w przeciwieństwie do reszty jej twarzy, zrujnowanej przez alkohol, wiek i nadwagę. Carla Hellman Chance Fairbanks miała na sobie paryską suknię z bursztynowego atlasu, ozdobioną czarno - złotym brokatem i lamowaną białym lisim futrem. „Zawsze jakieś stworzenie musi umrzeć dla Carli” - pomyślał cynicznie Mack. Wyglądała dostatnio, ale była otyła i najwyraźniej czuła się z tego powodu nieszczęśliwa. Niespodziewanie zrobiło mu się jej żal.

- Dziękuję, Mack. Dziękuję ci bardzo. - Ścisnęła jego dłoń i popatrzyła nań znacząco. Przez moment wydawało mu się, że widzi w jej oczach zmieszanie, ale po chwili wrażenie to zniknęło.

Rzuciła niespokojne spojrzenie mężowi i widząc, że właśnie się z kimś wita, szepnęła:

- Proszę cię, zadzwoń do mnie w poniedziałek. Walter będzie tego dnia wnosił jakąś apelację w Sacramento. Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć, zanim wyjadę. To bardzo ważne. Zadzwoń.

Fairbanks popatrzył na nią i Carla posłusznie ruszyła za nim. Przez woń jej perfum przebijał silny zapach whisky.

Za zgodą Nellie zadzwonił do Carli tak, jak o to prosiła.

Umówiła się z nim na spotkanie w tym samym miejscu, w którym niegdyś rozmawiał z Abe Ruefem. Tego dnia jednak pogoda była zupełnie inna. Zbocza gór odcinały się ostro od rozświetlonego nieba, a migotliwa Golden Gate pełna była wpływających i wypływających z portu statków.

Mack spacerował nerwowo, co chwilę zerkając na zegarek. Carla spóźniała się. Przyszło mu na myśl, że może Fairbanks dowiedział się o ich spotkaniu, ale uznał to jednak za mało prawdopodobne. Mąż Carli był teraz zajęty innymi rzeczami i kłopoty małżeńskie z pewnością najmniej go interesowały. Zaledwie tydzień temu, kiedy grali w piłkę w Olympic Club, Rhett Haverstick podzielił się z nim najnowszymi wieściami.

- Mam pracownika, który uwielbia Charlesa Dickensa. To on właśnie nadał to wspaniałe dickensowskie imię Walterowi i teraz wszyscy prawnicy w mieście - przynajmniej ci, którzy pogardzają Fairbanksem, a takich jest większość - określają go w ten sposób za jego plecami. Mówią na niego „pan Oldefoot”.

- Tak? Haverstick powtórzył.

- Nie rozumiem.

- Walter ma swoją praktykę: umowy w handlu nieruchomościami, rozwody. Z trudem jednak wystarczyłoby mu to na życie na takim poziomie, do jakiego przywykł, gdyby nie dochody, jakie czerpie z udziałów w Fairbanks Trust. Tylko to zajęcie pozwala mu zachować szacunek dla



samego siebie. Ale musi tam świadczyć usługi ludzi, którzy wyrzucili go z biura prawnego SP. Stąd przezwisko „Oldefoot” - zachichotał Haverstick.

Prowadzony przez szofera samochód Carli nadjechał dwadzieścia po drugiej. Wsiadła i podbiegła do Macka.

- Mam tylko chwilę czasu, mój drogi. Jutro rano wyjeżdżam.

- Tak, wspominałaś o tym. Co to za podróż?

- Nie taka, o jakiej bym marzyła. To miejsce nazywa się Saratoga Springs i leży w pobliżu Nowego Jorku. Piękne uzdrowisko. Wysłała mnie tam Walter. Jest tam między innymi sanatorium dla alkoholików.

- Boże, Carlo!

- Być może dobrze mi to zrobi - powiedziała z krzywym uśmiechem. - Ale nie przyjechaliśmy tutaj dyskutować o moich nałogach. Nie robiliśmy tego już od lat, prawda?

- Czy mogłabyś odpowiedzieć mi na jedno pytanie?

- Spróbuję.

- Czego, do diabła, Walter chciał przez wszystkie te lata? To znaczy, czego chciał ode mnie? Zamierzał pozbawić mnie życia? Doprowadzić do całkowitej ruiny?

- Nie wiesz?

- Gdybym wiedział, nie pytałbym cię o to.

- On chciał być taki jak ty.

- Taki jak...

- Ty. Pragnął być podobny do ciebie już od tego pierwszego dnia, kiedy tata nie pozwolił napić ci się ze strumienia, a ty ośmieliłaś mu się sprzeciwić. Jesteś taki jak inni Kalifornijczycy... A Walterowi nigdy się to nie udało.

Dotknęła jego twarzy swą elegancką rękawiczką.

- Och, Mack. Tak wiele było między nami nieporozumień. Tyle niepotrzebnej wrogości... Tak często czułam, że cię nienawidzę, i pragnęłam cię zranić, ale

przynajmniej nigdy się przy tobie nie nudziłam. Nigdy. Tata mylił się co do tego. Natomiast niemal przez cały czas bardzo się ciebie bałam. Bałam się, że odkryjesz moją złą naturę... Bałam się, a ludzie przerażeni są skłonni do złości. To właśnie dlatego tak dużo piłam. Wiedziałam, że tego nienawidzisz. A potem, pewnego dnia, kiedy byłam pijana, opuściłam ciebie i dziecko... Cóż, sam to wiesz. Tata miał całkowitą rację, jeśli chodzi o jedno: jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek kochałam. Jeśli chcesz znać prawdę, w ogóle jedynym, jakiego kochałam.

Mack poczerwieniał.

W oczach Carli błysnęły łzy.

- Chcę ci coś powiedzieć w absolutnym zaufaniu - ciągnęła. - Zaslugujesz na to.

Na chwilę zapadła cisza.

- Nasz syn żyje. Walter widział go w Pasadenie i ja także widziałam go w Redlands tej wiosny. Przybrał inne nazwisko. Nie chciał mieć nic wspólnego z Walterem. Powiedział, że to ty jesteś jego ojcem.

Mack miał wrażenie, że ziemia zafalowała pod jego stopami. Niewiele brakowało, a upadłby.

- Mam nadzieję, że teraz wierzysz, iż naprawdę cię kocham.

Carla pochyliła się i czule musnęła jego policzek wilgotnymi wargami, pozostawiając na nich krwistoczerwoną smugę pomadki. Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w jego twarz, po czym odeszła w stronę samochodu.

## Rozdział 86.

Kaleki chłopiec? Jim David? Zarządca Redlands Citrus Cooperative wskazał skapane w promieniach słońca pole.

- Znajdzie go pan gdzieś tam.

Mack nerwowo obracał w spoconych dłoniach kapelusz.

- Jim David? Witaj. Czy wiesz, kim jestem? Wyraz twarzy chłopca wskazywał na to, że go poznaje.

- Sądzę, że wiesz również, iż nie jestem twoim ojcem. Ale przyjechałem tu, aby powiedzieć ci, że chciałbym nim być. O ile ty tego zechcesz.

Stojący na drabinie Jim David uważnie wpatrywał się w dobrze ubranego, siwowłosego mężczyznę, który tak bardzo nie pasował do tego nagrzanego słońcem pomarańczowego gaju...

Epilog  
EL DORADO  
1921

Nad wejściem do hangaru wymalowano wielki napis:  
CALROSS AVIATION  
LONG BEACH . LONG ISLAND CITY  
LONDON. PARIS

Drzwi hangaru były otwarte. Promienie słońca odbijały się od czarno - złotych skrzydeł sportowego dwupłatowca, który stał w środku.

Ubrany w skórzaną kurtkę, kask, gogle i długi biały szal Mack wyszedł na zewnątrz. Był teraz dość tęgi, a na jego twarzy widniały głębokie zmarszczki.

Za nim stanęli Nellie i Jim. Chłopak utykał wprawdzie jak zawsze, ale był wysoki i silny. Świetnie prezentował się w nowym garniturze. Tego dnia, dwudziestego ósmego września, kończył dwadzieścia trzy lata i choć nie mógł poprowadzić do tańca żadnej dziewczyny, stanowił najlepszą partię w Południowej Kalifornii.

Tuż za nimi z hangaru wynurzył się Johnson, pchając przed sobą chromowany wózek inwalidzki, na którym siedział Jocker. Starzec miał już zupełnie siwe włosy, a jego złożone na kolanach ręce były niesamowicie zniekształcone. Ale oczy dawnego włóczęgi wciąż patrzyły uważnie i przenikliwie, a uśmiech nie stał się ani odrobinę mniej ujmujący. Doskonale rozumiał, jakie znaczenie ma dla Macka ta chwila.

Mack z dumą wskazał na samolot, pod kołami którego umieszczono blokujące kliny.

- Oto, Jimie, nowa szwajcarska maszyna, która pomoże nam pokonać curtissa R - 1.

Jim uśmiechnął się, ale nie powiedział ani słowa, nie będąc pewnym, czy Mack skończył już mówić. Wszyscy ludzie mieli obowiązek słuchać J. M. Chance'a, nie przerywając mu - takim był już typem człowieka.

Nellie obserwowała męża z życzliwą tolerancją. Była teraz niemal równie siwa jak on. Na dzisiejszą okazję założyła

dwuczęściowy tweedowy kostium, który uzupełniła białą bluzką i czarnym jedwabnym kapeluszem. Obie te rzeczy Mack kupił dla niej w Paryżu, podczas ostatniego służbowego pobytu w tym mieście.

Od czasu wydania Milionów Huntworthy'ego Nellie nie opublikowała już żadnej powieści, co nie znaczy, że porzuciła pisanie. Nadal zajmowała się nim regularnie przez trzy lub cztery poranki w tygodniu, tyle że zrezygnowała z fikcji literackiej i spisywała teraz wspomnienia z czasu swej pracy w „Examinerze”. Zatytułowała je: „Jak tworzyliśmy informacje”. Nie miało dla niej znaczenia, jak zareaguje na tę książkę Hearst.

- Chcę, by ten samolot na jesieni wziął udział w zawodach o nagrodę Pulitzera. Do diabła, sędzę, że można by go nawet załadować na statek i wysłać do Europy na zawody o puchar Schneidera. Należy do ciebie.

- Jak to? Chyba źle zrozumiałem...

- Nie, dobrze zrozumiałeś. Ten samolot jest twój. Wszystkiego dobrego w dniu urodzin, chłopcze - uścisnął syna Mack. - Nie patrz na mnie takim przerażonym wzrokiem. Czemu nie miałbym ofiarować swemu dziecku samolotu, skoro mam taką zachciankę? Jesteś doskonałym pilotem i świetnie prowadzisz finanse moich przedsiębiorstw.

- Dziękuję, tato. Wiesz, jak bardzo kocham moją pracę. Czy latałeś już tym samolotem?

- Nie tym modelem. Przywilej pierwszego lotu należy się właścicielowi - czyli tobie.

- Wiem, że nie jest szczytem dyplomacji sprzeciwić się właścicielowi firmy, w której się pracuje, ale pierwszy lot powinien należeć do ciebie - powiedział z niepewnym uśmiechem Jim. - Oddaję ci go wraz z najszczerzszymi podziękowaniami.

- Nie, nie, nie mogę...

- Ale ja nalegam, tato. Ten samolot nie jest tylko moim kolejnym spełnionym marzeniem. To coś więcej: prezent od ciebie! Proszę, byś pierwszy wzniósł się nim w powietrze.

- W porządku - mruknął Mack, wzruszony słowami syna.  
- Zgoda. Dziękuję ci. - Zaczął szykować się do lotu, nakładając rękawiczki i poprawiając spinający kurtkę pas. Jim i Nellie wymienili spojrzenia.

- Poczekaj, jeszcze jedno - powiedział nagle Mack. - Prawie o tym zapomniałem. - Sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i wyjął zeń jakiś owinięty w złoty papier przedmiot. - Prezent dla ciebie. Niewielki, ale bardzo dla mnie ważny. Z najszczerzszymi wyrazami miłości.

Jim rozwinął papier i ze zdumieniem popatrzył na ojca.

- Ależ to twoja książka!

- Owszem. T. Fowler Haines. Myślę, że nadszedł czas, by przekazać go w ręce młodszego pokolenia. Ta książka wiele mnie nauczyła. Z niej właśnie dowiedziałem się, co stanowi prawdziwe skarby Kalifornii. To nie ropa naftowa, pomarańcze czy nieruchomości. Nawet nie złoto, po które wciąż jeszcze ludzie wyruszają do Mother Lode. I to nie blask słońca w górach Sierra czyni ten stan tak wyjątkowym. Tym prawdziwym skarbem jest nadzieja. Ona jest złotem Kalifornii, Jim: nadzieja. Nie ma na tym bożym świecie człowieka, który nie potrzebowałby nadziei - dodał. - Chcę, żeby ta książka była twoją własnością. Żałuję, że mnie tak trudno było pozbyć się koszmarnych snów o śnieżnej zamieci.

Jim bez słowa uściskał ojca. Jocker chrząknął wzruszony.

- Odprowadzę cię do samolotu - powiedziała Nellie, ujmując Macka pod ramię.

- Och, dziękuję ci bardzo - odparł lekko zdziwiony. Jim został z tyłu wraz z Johnsonem i Jockerem, kartkując stronicę przewodnika.

- Nie wiem, czy to jest właściwy czas... - zaczęła Nellie, kiedy nieco się od nich oddalili.

- Czas na co?

- Czas na wyjawienie ci sekretu. Nie miałam pojęcia, że pragniesz ofiarować tę książkę Jimowi.

- O co chodzi, Nellie? O jakim sekrecie mówisz? Chyba masz już za dużo lat na to, aby zająć w ciążę.

Roześmiała się. - Mówię o książce. O dziele T. Fowlera Hainesa.

- Co z tą książką?

Zerkając w stronę pasierba, Nellie podeszła bliżej samolotu i z roztargnieniem cmoknęła męża w policzek.

- To wszystko kłamstwo - szepnęła.

- Co powiedziałaś?

- Mack, nie wściekaj się. Zawsze ceniłeś prawdę. A prawda w tym wypadku wygląda tak, że T. Fowler Haines nigdy nie ruszył się na zachód ze swego miejsca urodzenia: Passaic River w New Jersey. Pamiętasz, jak wiele lat temu powiedziałam, że mam zamiar dowiedzieć się o nim czegoś więcej? No więc uczyniłam to. Odkryłam, że większość przewodników z czasów gorączki złota opartych jest na oszustwie. W 1849 roku wydawcy nie różnili się wcale tak bardzo od tych dzisiejszych. Wtedy też ulegano modzie. A gorączka złota była w owym czasie najważniejszym wydarzeniem. Wydawcy na wschodzie wynajmowali więc przeróżnych autorów, by pisali dla nich przewodniki. Jednym z takich twórców był Haines, dziennikarz z brukowej gazety. Zmarł na marskość wątroby w wieku trzydziestu sześciu lat, w rok po tym, jak na poddaszu w pobliżu Printing House Square napisał twoją umiłowaną książeczkę.

- Czemu nigdy wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

- Wielokrotnie, gdy byliśmy ze sobą skłóceni, miałam na to ochotę.



- Ale zdołałaś się powstrzymać?
- Bywają noże zbyt ostre na to, by ich kiedykolwiek użyć.
- A no tak...

Mack oparł się o samolot i z nie odgadnioną miną wpatrywał się w niebo.

- Tak... - powtórzył. - Haines mógł być oszustem, ale co do Kalifornii miał rację. Cholerną rację - dodał. - Nie powiem jednak o tym Jimowi!

- Ja też wolałabym, by o tym nie wiedział - powiedziała Nellie, przytulając się doń z czułością.

Mack zajął miejsce w kabinie pilota i w chwilę później rozległ się głośny warkot silnika.

W chwilę później samolot uniósł się w przejrzyste kalifornijskie niebo, ponad wierzchołki wzgórz.

- Znam ten wyraz jego twarzy od chwili, kiedy spotkałam go po raz pierwszy - powiedziała Nellie, wymachując jedwabnym kapeluszem.

- Ja też - odparł Johnson. - Zawsze ma taką minę, ilekroć coś mu się udaje.

- Nigdy się nie zmieni - uśmiechnął się Jim, obejmując macochę i kładąc drugą rękę na ramieniu Jockera. Wszyscy czworo patrzyli, jak samolot unosi się nad błękitnymi wodami Pacyfiku, kierując się na zachód.

„Prawdziwe Eldorado wciąż jeszcze znajduje się przed nami.” Peck, Nowy przewodnik po Zachodzie, 1837.

# POSŁOWIE

„Trudno jest uwierzyć w tę jasną, młodą krainę. Zawsze było w niej coś, co wymykało się wszelkim opisom... Unosi się nad nią jakaś złota mgielka, w powietrzu wiruje jakiś złoty pył, wytwarzający magiczną atmosferę, w której łatwo o złudne, cudowne wizje.”

Carey McWilliams Kalifornia - kraina niezwykła

Kalifornia jest kwintesencją Ameryki. Jest także uniwersalnym wyobrażeniem słonecznej, pełnej palm krainy, mającej niebywały urok dla uciekinierów, pechowców i ludzi pragnących zacząć życie od nowa. Jest symbolem nadziei i możliwości.

Dlaczego tak się dzieje i jak do tego doszło? Od bardzo dawna miałem ochotę poszukać odpowiedzi na te pytania. Chciałem zagłębić się w ekscytującą historię tego stanu i zobaczyć, jak przekraczał on granicę między tym, co dawne, a nowoczesnością. Na półce, gdzie zbierałem prace dotyczące Kalifornii, jako pierwszą ustawiłem jej historię spisana przez Warrena Becka i Davida Williamsa. Kupiłem ją w księgarni o kilka przecznic od „Beverly - Wilshire Hotel”, gdzie zatrzymałem się podczas podróży mającej na celu promocję jednej z moich książek. Na wyklejce zanotowałem rok zakupu: 1979. Chciałem napisać o Kalifornii, zanim jeszcze skończyłem The Kent Family Chronicles, i zabrałem się do trylogii Północ - Południe.

Dziesięć lat później Złoto Kalifornii stało się urzeczywistnieniem tego marzenia.

## KILKA UWAG DLA CIEKAWYCH

John Dickson Carr napisał kilka wspaniałych, tajemniczych powieści opartych na historycznych wydarzeniach. Pod koniec każdej części swych książek Carr dodawał przypisy, objaśniając, do jakich rzeczywistych wydarzeń się odwoływał. Zatytułował je Uwagi dla ciekawych. Zapożyczyłem od niego tę nazwę w tym samym celu. Przed każdym przypisem umieściłem numer części i rozdziału, do którego się on w głównej mierze odnosi.

I, rozdział 5 i następne: Sposób, w jaki przedstawiłem kolej, to, jak powstawała i rozwijała się, jest zgodny z odczuciami wielu Kalifornijczyków z tamtego okresu. Bali się oni „Ośmiornicy” i szydzili z niej. W pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku jednoznacznie negatywna ocena kolei pojawia się u wszystkich niemal historyków. Dziś to jednostronne spojrzenie wydaje się niesprawiedliwe i przeciwnicy dawnych poglądów zwracają uwagę, iż stworzone przez Wielką Czwórkę kolejowe cesarstwo nie tylko związało ze sobą ściślej obywateli całego kraju, ale było też główną siłą, która pozwoliła Kalifornii rozkwitnąć. Krótko mówiąc, SP nie stanowiła li tylko diabelskiego wynalazku, jak skłonni to byli widzieć dziewiętnastowieczni i wczesnodwudziestowieczni historycy. Znam uczonego, który pracuje właśnie nad nową, nieco bardziej wyważoną wersją losów SP, a być może wkrótce dołączą do niego i inni.

I, rozdz. 5: Papież Leon XIII ogłosił encyklikę Rerum Novarum w maju 1891 roku, później, niż to wynika z niniejszej książki. Ten wspaniały dokument jest „pełną zrozumienia analizą problemów robotników na świecie” i dalekosiężnym, mądrym planem rozwiązania ich.

II, rozdz. 13 i następne: Prom Bao Kee'a należał naprawdę do Johna L. Davie'a. Był większy i pływał po zatoce później

niż ów opisany przeze mnie. Przez krótki czas z powodzeniem świadczył usługi przewozowe, potem jednak trafił w macki SP i został zlikwidowany.

III, rozdz. 16: Zapewnienia Wyatta o dobroczynnym wpływie Kalifornii na ludzkie zdrowie zaczerpnięte zostały z wydawanych w owym czasie broszur. Reklamy te nie miały nic wspólnego z prawdą.

III, rozdz. 21: Strajk drukarzy w Los Angeles miał miejsce w 1890 roku. Ale już w 1888 roku Harrison Gray Otis prowadził kampanię na rzecz tego, by Los Angeles było miastem wolnym od „plagi związków zawodowych”.

IV, rozdz. 27: Olejowy piecyk Johnsona został w rzeczywistości wynaleziony przez Lymana Stewarta z Hardison & Stewart, założyciela Union Oil (teraz Unocal). Korporacja ta nie posiada obecnie ani szczegółowego opisu, ani rysunku piecyka. Jeśli ktoś mógłby mi taki opis udostępnić, będę mu bardzo wdzięczny, ponieważ to, do czego dotarłem, mnie nie satysfakcjonuje.

IV, rozdz. 31: Pewne szczegóły katastrofy kolejowej wzięte zostały z opisu zderzenia „Overland Express” i „Tehachapi Summit”, które miało miejsce w styczniu 1883. Wiele w tym czasie pisano o tej tragedii, w wyniku której zginęło piętnaście osób.

V, rozdz. 34 i następne: Chińscy robotnicy zostali usunięci z gajów pomarańczowych, kiedy w 1893 roku tysiące bezrobotnych białych wyruszyły do Kalifornii w poszukiwaniu pracy. Jest to haniebna plama na honorze Kalifornii. Przejeżdżając przez Riverside piętnastego marca 1988 roku, na wielkim zbiorniku wodnym widziałem namalowany sprayem napis: **WSZYSTKIE ŻÓŁTKI MUSZĄ ZGINAĆ.**

V, rozdz. 41: Piękna fraza Oczarowany w ciemności to tytuł pracy George'a Pratta, znanego historyka filmu, poświęconej niememu filmowi.

VI, rozdz. 44: Brytyjski emigrant W.K.L. Dickson wynalazł kinematograf w laboratorium Edisona w roku 1888. Później Edison użyczył także swego nazwiska projekcyjnemu systemowi witaskopowemu, który sam odkrył. Jak napisałem na początku księgi IX, Edison nie zawsze był entuzjastą filmów, ale ponieważ konstruował aparaty projekcyjne, uważa się go za ojca kina i wychwala bardziej, niż na to zasłużył.

VI, rozdz. 49: Przyśpieszyłem o kilka miesięcy datę przybycia do Riverside Barneya Oldfielda z jego objazdową wystawą. Rekord szybkości naprawdę został ustanowiony przez niego w grudniu 1902 roku, a sześć miesięcy później również przez niego został pobity.

VII, rozdz. 56: Abe Ruef przejeżdżał przez San Francisco z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w pudłach na koszule w miesiąc po trzęsieniu ziemi, a nie przed nim. VII, rozdz. 56 i następne: Przyśpieszyłem o rok wejście na rynek rolls - royce silver ghost, ponieważ chciałem, by Mack miał możliwość prowadzenia jednego z tych wspaniałych samochodów.

VII, rozdz. 61: Pomimo zniszczeń i licznych tragedii, jakie wywołało trzęsienie ziemi z roku 1906, z wydarzeniem tym wiązało się także kilka epizodów humorystycznych. Opowiadano, że Caruso obudził się, kiedy runął fragment sufitu w jego pokoju w „Palace Hotel”. Przerażony wybiegł w piżamie na ulicę, ściskając w dłoni ręcznik i zdjęcie Roosevelta z autografem prezydenta, krzycząc: „Do diabła, co za miejsce! Położyli mnie spać na jakimś Wezuwiuszu!” Z tego samego źródła co owa legenda pochodzi historia o odbywającym wówczas tournée młodym aktorze, Johnie Barrymore, który podczas trzęsienia ziemi znajdował się w łóżku z cudzą narzeczoną.

VIII, rozdz. 62: London, podobnie jak Jim Chance i wielu ludzi w jego wieku, był przez jakiś czas włóczęgą. Później w nader eufemistyczny sposób opisywał swoje doświadczenia z "Jokerami" - starszymi włóczęgami, którzy czynili z młodych chłopców swych „niewolników”, nieraz wykorzystując ich seksualnie. Wiadomo jednak, iż London takiego losu uniknął.

VIII, rozdz. 62: Kawiarnia Nellie pod gołym niebem oraz związany z nią slogan zaczerpnięte zostały z fotografii. Żarty na temat Oakland są do dziś powszechne w San Francisco.

VIII, rozdz. 66: Trzynastego listopada 1908 roku odrzucony sędzia przysięgły Morris Haas strzelił do Francisca J. Heneya, tak jak to opisałem. Oczywiście nie zastrzelił żadnej fikcyjnej postaci.

IX, rozdz. 73: Młody Charlie Chaplin nakręcił cztery krótkie komedie w studiu „Essanay” w Niles. Uznał jednak oferowane przez wytwórnictwo warunki za zbyt prymitywne i za zgodą Andersona przeniósł się do Los Angeles.

IX, rozdz. 76: Artykuły w „Los Angeles Times” istotnie wymierzyły kilka ciosów organizacjom pracowniczym. W kwietniu 1911 roku, po sensacyjnym, zakrojonym na szeroką skalę śledztwie, detektyw William J. Burns (z wydziału śledczego San Francisco) aresztował niejakiego Ortie McManigala, nazywanego „zawodowym wysadzaczem”. McManigal doprowadził go następnie do Johna McNamary, sekretarza International Association of Bridge and Structural Iron Workers, oraz jego brata Jima. Liderzy organizacji robotniczych utworzyli pochody i wiece, protestując przeciw „sfabrykowanym oskarżeniom”, zaś Clarence Darrow wziął całą trójkę w obronę. Podczas końcowego przesłuchania bracia McNamara zaskoczyli swych przyjaciół ze związków zawodowych wyznaniem, iż istotnie planowali przestępstwo. Darrow namówił ich, by przyznali się do winy, dzięki czemu

mieli uniknąć egzekucji, co też uczynili. Owo wyznanie winy ułożył dla nich Lincoln Steffens, dziennikarz z Sacramento.

X, rozdz. 81: Komitet Chrześcijańskich Obywateli rzeczywiście istniał przez krótki czas w praworządym, głównie protestanckim Hollywood. Wysyłał liczne petycje, żądając, by aktorzy filmowi trzymali się z daleka od związków zawodowych.

X, rozdz. 82 i następne: Hinduscy robotnicy sezonowi zaczęli przybywać z Kanady do USA w pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku, przynosząc na amerykańskie pola wysoką kulturę rolną, podobnie jak czynili to przed nimi Chińczycy i Japończycy. Główna pozycja dotycząca tego tematu, *Factories in the Field* (1939), książka napisana przez Careya McWilliamsa, podaje, iż w 1915 roku na polach Kalifornii pracowało dziesięć tysięcy Hindusów. Dwaj z nich spisali fascynujące, osobiste wspomnienia ze swoich doświadczeń.

Epilog: Przewodnik emigranta napisany przez T. Fowlera Hainesa to wymysł autora, wzorowany jest jednak na wielu innych przewodnikach pisanych podczas gorączki złota przez mieszkających na Wschodzie dziennikarzy, którzy nigdy nie odwiedzili Zachodu. Do najbardziej znanych należą: Joseph Ware, którego książka stała się prawdziwym bestsellerem, Henry Simpson i J. Tyrwhitt Brooks (jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Vizitelly).

Na zakończenie chcę podać kilka krótkich not o ludziach i wydarzeniach, o jakich pisałem w mojej książce.

William Randolph Hearst żył aż do 1951 roku, a prasowe imperium, które stworzył, istnieje oczywiście po dziś dzień. W czasie swej długiej i barwnej kariery Hearst został wybrany na burmistrza Nowego Jorku i gubernatora tego stanu. Nie szczędził wysiłku, by zwiększyć swój wpływ na politykę amerykańską - niewątpliwie odniósł sukces, rozpętując burzę



wokół wojny hiszpańsko - amerykańskiej. Hearst miał przez wiele lat kochankę, aktorkę Marion Davies. Finansował jej filmową karierę oraz zbudował dla siebie i dla niej w Big Sur cudowny dom nad brzegiem morza, który stał się wkrótce turystyczną atrakcją San Simeon. W późniejszych latach Hearst użył całej siły stworzonego przez siebie imperium, by nie dopuścić na ekrany klasycznego już dziś filmu Orsona Wellesa Obywatel Kane, którego główny bohater był postacią wzorowaną na Hearście.

James J. Corbett żył do roku 1933 i zarabiał na życie występując na scenie w specjalnie dla niego napisanej sztuce. Według współczesnych sobie krytyków, był świetnym aktorem.

Jack London umarł w roku 1916, mając zaledwie czterdzieści lat. Zyskał światowy rozgłos, ale pod koniec życia był już załamany psychicznie alkoholikiem.

Wspaniałe życie Johna Muira zakończyło się w roku 1914. Do końca prowadził krucjatę przeciwko niszczeniu przez cywilizację doliny Hetch Hetchy, ale była to walka daremna. Dopiero znacznie później, w 1923 roku, prezydent Wilson i sekretarz spraw wewnętrznych doprowadzili do realizacji jego projektu. (Trudno powiedzieć, czy wysunięta w 1988 roku przez administrację Reagana propozycja zburzenia tamy, osuszenia doliny i utworzenia z niej miejsca równie atrakcyjnego turystycznie jak Yosemite, była po ważną ideą, czy też tylko rzuconym mimochodem pomysłem) Wracając do Muira, wielkiego obrońcy przyrody i wroga cywilizacji. James D. Hart tak oto napisał o nim w swej książce A Companion to California: „Nadał nazwy o wiele większej liczbie miejsc w Kalifornii niż ktokolwiek inny.” Praca Harta jest powszechnie dostępna i żaden poważny badacz historii Kalifornii nie może jej zlekceważyć.

W 1914 roku Ambrose Bierce wraz z ekipą dziennikarzy udał się do Meksyku w poszukiwaniu partyzanta Pancho Villi i nikt go od tej pory nie widział. Zapewne został zabity, ale nie wiadomo, w jakich okolicznościach to nastąpiło.

Pisałem już, że małe towarzystwo naftowe przerodziło się w jedno z największych przedsiębiorstw na świecie: Union Oil. Uliczne dystrybutory Eda Doheny'ego w Los Angeles stały się początkiem kalifornijskiej dynastii naftowców.

Abraham Ruef został zwolniony z więzienia w sierpniu 1915 roku i rehabilitowany w 1920. Do końca życia pośredniczył w handlu nieruchomościami. Zmarł jako bankrut w 1936 roku.

Henry (Ed) Huntington, jeden ze spadkobierców Wielkiej Czwórki, był namiętnym kolekcjonerem książek, które jego agenci wyszukiwali i kupowali na aukcjach na terenie całego kraju. Założył w San Marino bibliotekę i galerię sztuki swojego imienia i był jednym z największych w historii fundatorów takich instytucji na różnych kontynentach. Część materiałów źródłowych, jakimi posłużyłem się pisząc tę książkę, pochodzi właśnie z biblioteki Huntingtona.

## PODZIĘKOWANIA

Wielu ludzi służyło swym czasem i wiedzą, pomagając mi w pisaniu tej powieści. Chciałbym teraz publicznie im za to podziękować. Zaznaczam jednak, że choć otrzymywałem od nich wszelakiego rodzaju pomoc: listy, noty biograficzne, egzemplarze książek czy też po prostu słowa otuchy zachęcające mnie do pracy, nikt z nich nie ponosi odpowiedzialności za popełnione w tekście powieści błędy. Cała odpowiedzialność spoczywa wyłącznie na mnie.

Podczas poszukiwań zgromadziłem liczne książki na temat Kalifornii, pośród nich także cenne, pierwsze wydania niektórych pozycji. To, że je zdobyłem, zawdzięczam pomocy trzech kalifornijskich wydawców: Jima Chapmana z Barry Cassidy Rare Books w Sacramento, Michaela Dawsona z firmy Dawson w Los Angeles i Richarda Hilkerta z Richard Hilkert Bookseller w San Francisco. Wielkie dzięki, panowie.

Na specjalne podziękowania zasługują także następujące osoby: John i Val Curry z Hilton Head Irland (dziadkowie Johna utworzyli Camp Curry w Yosemite); Merry Franzen, pani docent z Heritage Square w Los Angeles; Ed Hardy, prezes Yosemite Park i Curry Company; dr Gerald Haslam; Michael T. Hogelund z Unocal Corporation; Andrew Jameson, historyk Bohemian Club z San Francisco; Rainer Heumann; Beverly Rae Kimes; Peter LaMotte; Harry Lawton z University of California w Riverside; Kim Miller, bibliotekarz z amerykańskiego Antiqua Automobile Club; Vince Moses, kustosz Riverside Municipal Museum; mój przyjaciel Jay Mundhenk, ekspert w sprawach historii i weteran kalifornijskiego przemysłu spożywczego; Elisabeth Young Newsom z Waring Historical Library w Medical University of South Carolina; Andrew Nurnberg; Bill Roe, znawca gry w polo i mój przyjaciel, który obiecał schudnąć, by móc zagrać Billy'ego Rodeena w filmowej wersji tej książki; wspaniała

żona Billa, Nancy, która hoduje konie i także świetnie zna się na grze w polo; Dick Schaap; Charles Silver z Film Study Center przy Museum of Modern Art w Nowym Jorku; Monsignor Francis J. Weber, archiwista z diecezji w Los Angeles, oraz Jim Young, asystent szefa informacji sportowej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

Przygotowując się do pisania, przeczytałem dosłownie setki artykułów, monografii, pamiętników, wycinków prasowych, opracowań statystycznych i powieści. Prawie wszystkie okazały się użyteczne, wiele też na zawsze pozostanie w mej pamięci. Na wymienienie zasługują szczególnie dwie spośród nich, jako że zaciągnąłem wobec nich intelektualny dług: *Americans and the California Dream, 1850 - 1915* oraz *Inventing the Dream: California Through the Progressive Era*, obie autorstwa doktora Kevina Starra. Starr systematyzuje w nich i omawia wielkie polityczne i społeczne wydarzenia kalifornijskiej historii. Choć są to dzieła naukowe, napisano je lekkim piórem, w sposób łatwy do czytania.

To, co najważniejsze, zostawiłem jednak na koniec.

Zanim zabrałem się do układania planu i pisania tej książki, podróżowałem dużo po Kalifornii i w związku z tym potrzebowałem jakiejś bazy wypadowej. Uważam za prawdziwe błogosławieństwo losu, że skontaktowano mnie wówczas z Melissą Totten z Los Angeles.

Ponad rok Melissa sekundowała mi dzielnie w moich kalifornijskich poszukiwaniach. Przekopywała się przez sterty dokumentów we wszystkich bibliotekach miasta, sprawdzała wątpliwe lub sprzeczne ze sobą informacje źródłowe, dostarczała mi adresów ekspertów i, ogólnie mówiąc, wykonała godną Herkulesa pracę archiwistyczną, nigdy przy tym nie tracąc dobrego humoru.

Jestem już w takim wieku, że mógłbym być ojcem Melissy, i o ile zawsze z przygnębieniem obserwuję lenistwo

wśród młodych ludzi, którzy uważają, że sukces powinien przyjść bez żadnego wysiłku, o tyle, ilekroć pomyślę o Melissie, czuję się podniesiony na duchu świadomością że są także i inni (choć jest ich niewielu!). Melissa była dla mnie znakomitą przewodniczką po Zachodzie i wspaniałą towarzyszką wypraw. Dziękuję jej za to serdecznie. Sądzę, że podobnie jak ja przez całe życie nie przestanie się uczyć, niezależnie od tego, jaki będzie wykonywać zawód. Do jej zalet należy także to, że zna się na najważniejszej rzeczy, potrzebnej przy korzystaniu z kalifornijskich bibliotek: wie, gdzie znaleźć miejsce do zaparkowania samochodu.

Mam nadzieję, że niniejsza powieść zapoczątkuje długą i owocną współpracę z moim nowym wydawcą: Random House. Szczerze się cieszę z nawiązania kontaktu z tym wydawnictwem, jako że to właśnie ono publikowało książki dwóch absolutnych mistrzów wśród pisarzy powieści historycznych: Jamesa Michenera i Gore Vidala. Chciałbym także w tym miejscu wyrazić swą wdzięczność za słowa otuchy i zachęty, jakich nie szczędziło mi czterech pracowników Random House: Bob Bernstein, Joni Evans, Susan Petersen i Bob Wyatt. Składam także podziękowania Howardowi Kaminsky'emu, który pracował w Random House w chwili, gdy wyjeżdżałem za granicę.

Jestem bardzo wdzięczny Amy Edelman za inteligentne i sprawne zredagowanie tekstu oraz za wskazanie kilku nieścisłości, jakich dopuścił się zapominalski autor. Takie błędy są zapewne rzeczą nieuniknioną, jeśli maszynopis książki liczy sobie tysiąc dwieście stron, niemniej człowiek czerwieni się potem po uszy, widząc owe niedociągnięcia w druku. Podczas pracy swymi cennymi uwagami, ekspertyzami i dobrym nastrojem pomagał mi także mój drugi redaktor. Nie wymienię go tutaj z nazwiska. I tak wie, że to o niego chodzi.

Od samego początku w pracy wspierał mnie także mój przyjaciel i doradca, Frank Curtis. Dług, jaki wobec niego zaciągnąłem, jest tak duży, że nigdy nie uda mi się go spłacić.

Od początku była też przy mnie moja żona, Rachel, jak zawsze solidarna i kochająca.

## UWAGI KOŃCOWE

Kalifornijski autor, Gerald Haslam, pisał niegdyś o „czerwonoskórych” (rodowitych mieszkańcach) oraz „błdych twarzach” (obcych przybyszach spoza Złotego Stanu). Ja sam, niestety, zaliczam się do tych ostatnich. Być może nigdy nie zrozumieję Kalifornii tak dogłębnie jak pisarze w niej urodzeni, ale mimo to udało mi się zaobserwować kilka interesujących rzeczy.

Na przykład, poziom przewodników po Kalifornii jest - generalnie biorąc - niski. Kiedy zacząłem zbierać książki na temat tego stanu, zakupiłem wszystkie standardowe przewodniki, jakie tylko udało mi się dostać. Sięgnąłem do nich, kiedy wraz z żoną zaczęliśmy planować pierwszą „wyprawę poszukiwawczą”, i byłem przerażony odkrywwszy, że pozycje takie jak Fodor's California zupełnie pomijają całą centralną część stanu. Można tam znaleźć co nieco na temat Mother Lode, a także, naturalnie, maleńki ustęp o Yosemite, ale jest to po prostu skąpa wzmianka o znaczeniu tych miejsc dla rolnictwa, jako że produkują one dwadzieścia pięć procent żywności na całym rynku amerykańskim. Przewodnik nie zaznacza, iż jest to miejsce ważne również z innych względów. Wydawcy uznali widocznie, że żadni turyści nie zechcą nigdy tam pojechać.

Na nieszczęście większość podobnych publikacji popełnia ten sam błąd: Kalifornia składa się dla nich z San Francisco, sekwoi, Big Sur, Los Angeles, Disneylandu, Universal City Studios, San Diego, Yosemite i kasyn Tahoe.

Zaskakująco mało jest prac historycznych na temat Kalifornii. Bardzo przydałaby się na przykład nowa historia budowy Central Pacific, napisana przez Oscara Lewisa The Big Four pochodzi z roku 1930 i choć nie jest to praca zła, jej rozmiary są niestety niewielkie. Apologetyczna biografia C. P. Huntingtona jest dziś trudna do czytania. Nie udało mi się

znaleźć także żadnej pełnej biografii Eda Doheny'ego ani żadnej biografii - filmografii Broncho Billa Andersona, pierwszej gwiazdy westernu, aktora równie wielkiego, jeśli nie większego nawet niż William S. Hart, Tom Mix czy John Wayne. Znalazłoby się także parę innych zagadnień dla tych, którzy zamierzają zrobić doktoraty z historii.

Pod koniec zimy 1988 roku, kiedy pewnego słonecznego ranka z Melissą Totten jechaliśmy słoneczną, acz szarą od spalin drogą do Riverside, moja towarzyszka roześmiała się nagle i powiedziała: „Jeśli zapytają cię kiedyś, co sprawiło ci największą trudność, gdy zajmowałeś się Kalifornią, odpowiedz, że było to zanieczyszczenie środowiska.” Miała rację. Jest szczególnie smutno patrzeć na dzisiejszą Kalifornię po tym, kiedy przeczytało się opisy jej nie skażonego niczym piękna i czystego powietrza w książkach takich jak pochodząca z końca dziewiętnastego wieku praca Nordhoffa. Jeśli Kalifornia jest kwintesencją Ameryki, a także kwintesencją piękna danego od Boga, to samochody, fabryki i handel są czynnikami zniszczenia. Gdybym miał wymalować na murach tego stanu jakiś slogan, brzmiałby on: OCALCIE KALIFORNIĘ, ZANIM JESZCZE NIE JEST ZA PÓŹNO. Może zresztą ktoś tak już napisał.

Chciałbym też wspomnieć o tym, że zdarzyło się w moim życiu coś, co mogę uznać za dobry omen: w marcu 1988 roku, na kilka tygodni przed napisaniem przeze mnie pierwszego rozdziału tej książki, w Santa Rosa, w Kalifornii, przyszedł na świat mój piąty wnuk, Duncan. Korzenie mego rodu sięgają do farmera nazwiskiem John Downs, który walczył w szeregach Virginia Continental Line, w czasach walki o niepodległość. Moi przodkowie, potomkowie Downsa, który jako weteran został przez Kongres nagrodzony ziemią, w większości mieszkali na Środkowym Zachodzie. Duncan jako



pierwszy z mego rodu przyszedł na świat w Kalifornii.  
Uważam to za dobry znak.

Kończąc, chciałbym dedykować tę książkę ludziom współczesnej Kalifornii, jako dar wdzięczności za cudowne i pouczające doświadczenie, jakim było zetknięcie się z przeszłością i teraźniejszością ich stanu.

John Jakes

Greenwich, Connecticut

San Francisco, Santa Rosa,

Sonoma, Modesto, Yosemite,

Bakersfield, Riverside,

Los Angeles, Kalifornia

Hilton Head Island, Południowa Karolina

4 stycznia 1988 - 24 stycznia 1989